

N I E

W I N N Y

GRAHAM MOORE

JEDNA PRZYSIĘGŁA WPLYNĘŁA NA ZMIANĘ
WERDYKTU CAŁEJ ŁAWY. A JEŚLI SIĘ MYLIŁA?

Wydawnictwo
ab
two

GRAHAM
MOORE

NIEWINNY

Przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Tytuł oryginału: *The Holdout*
Copyright © 2020 by Graham Moore
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXI
Copyright © for the Polish translation by Dorota Konowrocka-Sawa, MMXXI
Wydanie I
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Podziękowania

Dla Caitlin, najlepszego, co ma Los Angeles

Rozdział 1

DZIESIĘĆ LAT W LOS ANGELES TERAZ

Maya Seale wyjęła z aktówki dwie fotografie. Opuściła je w rękach, trzymając awersem ku sobie. Najważniejsze było odpowiednie wyczucie chwili.

– Pani mecenas? – dobiegł ją zniecierpliwiony głos sędziego. – Czekamy.

Belen Vasquez, klientka Mai, została wielokrotnie potwornie pobita przez swojego męża Eliana Vasqueza, co potwierdzały wyniki obdukcji. Któregoś ranka przed kilkoma miesiącami czara wreszcie się przelała. Belen zadźgała męża we śnie i odcięła mu głowę sekatorem. Do wieczora jeździła swoim zielonym hyundaiem elantrą z odciętą głową na desce rozdzielczej. Albo nikt jej nie zauważył, albo nikt nie chciał się wtrącać. W końcu zatrzymał ją patrol za przejechanie na czerwonym, ale zdążyła upchnąć głowę w schowku na rękawiczki.

Z perspektywy Mai dobra wiadomość była taka, że prokuratura na poparcie oskarżenia miała tylko jeden fizyczny dowód. Zła wiadomość: tym dowodem była głowa.

– Jestem gotowa, wysoki sędzie. – Maya uspokajająco położyła dłoń na ramieniu klientki, po czym powoli podeszła do miejsca przeznaczonego dla świadka, które zajmował Jason Shaw, funkcjonariusz policji Los Angeles. Wpięty w klapę granatowego munduru medal za wybitną służbę aż bił po oczach.

– Sierżancie Shaw, co się wydarzyło, gdy zatrzymał pan samochód pani Vasquez?

– Proszę pani, jak już mówiłem, mój partner został za samochodem pani Vasquez, a ja podszedłem do okna kierowcy.

Zatem był jednym z tych gliniarzy, którzy jej „paniowali”. Nie znosiła tego. Nie dlatego, że miała trzydzieści sześć lat, co prawdopodobnie zaliczało ją do grona „pań”, lecz dlatego, że była to jawna próba jej zdyskredytowania.

Założyła za ucho kosmyk krótkich ciemnych włosów.

– I kiedy podszedł pan do okna, zobaczył pan panią Vasquez siedzącą na fotelu kierowcy, tak?

– Tak, proszę pani.

– Czy poprosił ją pan o prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

– Tak, proszę pani.

– Czy je pan otrzymał?

– Tak, proszę pani.

– Czy poprosił pan panią Vasquez o coś jeszcze?

– Zapytałem ją, czemu ma zakrwawione ręce... – urwał na chwilę – ... proszę pani.

– I co odpowiedziała panu pani Vasquez?

– Powiedziała, że zacięła się w kuchni.

– Czy zaprezentowała jakiś dowód na poparcie swoich słów?

– Tak, proszę pani. Pokazała mi zabandażowaną prawą dłoń.

– Czy zapytał ją pan o coś jeszcze?

– Poprosiłem, żeby wysiadła z samochodu.

– Dlaczego?

– Bo miała zakrwawione ręce.

– Czy nie udzieliła panu wiarygodnej odpowiedzi na zadane pytanie?

– Chciałem się upewnić.

– Dlaczego chciał się pan upewnić, skoro pani Vasquez udzieliła panu wiarygodnej odpowiedzi?

Shaw spojrzał na nią tak, jakby była nauczycielką pełniącą dyżur na korytarzu, która wysyła go do dyrektora za drobne przewinienie.

– Przeczucie – odparł.

Mai zrobiło się go żal. Biedny gość. Prokuratura nie przygotowała go wystarczająco.

– Bardzo przepraszam, ale czy może pan opisać bardziej szczegółowo swoje „przechucie”?

– Być może dostrzegłem kawałek głowy.

Pograżał się coraz bardziej.

– Być może – powtórzyła powoli Maya – dostrzegł pan kawałek głowy?

– Było ciemno – przyznał Shaw. – Ale może podświadomie zobaczyłem włosy. W sensie włosy na głowie, wystające ze schowka na rękawiczki.

Zerknął na prokuratora, który w milczeniu drapał się po białej brodzie. Na jego oczach Shaw własnoręcznie detonował akt oskarżenia.

Czas na zdjęcia.

Maya uniosła ręce, trzymając w każdej dłoni jedno z nich. Dwie fotografie pokazywały pod różnym kątem ludzką głowę wciśniętą do samochodowego schowka. Elian Vasquez miał włosy obcięte na jeża i cienki, niechlujny wąsik pokryty zakrzepłą krwią. Na policzku rysowała się karmazynowa smuga. Głowa najwyraźniej wykrwawiła się gdzie indziej, po czym została wciśnięta do schowka, w którym leżały już stare dowody opłaty ubezpieczenia i wymięta książka obsługi pojazdu.

– Czy zrobił pan te zdjęcia rzezonego wieczoru?

Wręczyła mu fotografie.

– Tak, proszę pani.

– Czy pokazują, że głowa znajduje się całkowicie wewnątrz schowka na rękawiczki?

– Głowa jest w schowku, proszę pani.

– Czy schowek był zamknięty, gdy poprosił pan panią Vasquez o to, aby wysiadła z samochodu?

– Tak, proszę pani.

– Więc w jaki sposób mógł pan „być może” dostrzec głowę, skoro znajdowała się całkowicie w schowku?

– Nie wiem, ale przecież znaleźliśmy ją tam podczas przeszukania samochodu. Nie powie mi pani, że jej tam nie było, bo była.

– Pytam o to, dlaczego w ogóle zapadła decyzja o przeszukaniu samochodu.

– Ta kobieta miała krew na rękach.

– Czy nie powiedział pan przed chwilą, że „być może” dostrzegł pan włosy wystające ze schowka na rękawiczki? Mogę poprosić protokolanta, by odczytał panu ten fragment zeznania.

– Nie, chodzi mi o to, że... tam była krew. Może zauważyłem włosy. Nie wiem. Jak już powiedziałem, to była kwestia intuicji.

Maya podeszła bardzo blisko przesłuchiwanego świadka.

– Albo-albo. Czy przeszukał pan samochód pani Vasquez, bo zauważył pan jakiś fragment odciętej głowy, co jest niemożliwe, czy też przeszukał go pan dlatego, że pani Vasquez miała krew na rękach, co uzasadniła w sposób absolutnie zgodny z prawem?

Shaw wyraźnie się zagotował, próbując znaleźć przekonujące wyjaśnienie. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo wtopił.

Maya zerknęła na prokuratora, który pocierał skronie. Wyglądał, jakby miał atak migreny.

Prokurator podjął heroiczną próbę ustalenia z Shawem spójnej wersji jego opowieści, ale mleko już się rozlało. Sędzia nakazał obu stronom przygotować do następnego poniedziałku streszczenia stanowisk procesowych. Na ich podstawie miał podjąć ostateczną decyzję w sprawie dopuszczenia odciętej głowy jako dowodu w postępowaniu.

Maya usiadła obok swojej klientki i szepnęła, że przesłuchanie poszło znakomicie.

– Super – burknęła Belen, ale nie podniosła wzroku. Nie była jeszcze gotowa świętować.

Maya doceniała jej ostrożny pesymizm.

Woźny wyprowadził Belen z sali sądowej i odprowadził ją do aresztu. Sekretarz sądowy ogłosił kolejne przesłuchanie.

Prokurator podszedł niepostrzeżenie.

– Jeśli doprowadzisz do odrzucenia głowy jako dowodu w sprawie, zgodzę się na nieumyślne pozbawienie życia.

Maya wykrzywiła się pogardliwie.

– Jeśli przegrasz głowę, przegrasz ciało w kuchni i sekator w szufladzie. Nie będziesz miał żadnego namacalnego dowodu, który łączyłby moją klientkę ze śmiercią jej męża.

– Męża, którego zabiła.

– Widziałeś świadectwa obdukcji? Połamane zebra? Połamaną szczękę?

– Jeśli chcesz upierać się przy samoobronie, proszę bardzo. Jeśli chcesz dowodzić, że jej mąż zasługiwał na śmierć, może nawet przekonasz ławę przysięgłych. Ale wyłączenie głowy jako dowodu w postępowaniu? Serio?

– Ona nie pójdzie do więzienia, mowy nie ma. Na dziś możesz dostać nieumyślne narażenie życia i zdrowia, które już odsiedziała. Możesz też spróbować szczęścia w przyszłym tygodniu, już po ogłoszeniu decyzji. – Maya skinęła głową w kierunku sędziego. – Pozwalam ci obstawić zakończenie.

Prokurator mruknął w krawat coś o potrzebie uzyskania zgody przełożonego i odszedł niepewnym krokiem. Maya wsunęła fotografie do aktówki i z satysfakcją ją zatrzęsnęła.

Na korytarzu pod salą sądową roiło się od ludzi, pod sklepieniem odbijały się echa dziesiątek rozmów. Sądowe korytarze stanowiły jedno z tych nielicznych już miejsc, gdzie wciąż jeszcze mieszały się wszystkie warstwy społeczne. Po marmurowej podłodze przechodzili bogaci i biedni, starzy

i młodzi, przedstawiciele wszystkich możliwych ras i narodowości zamieszkujących Los Angeles. Pospiesznie wracając do biura, z przyjemnością dała się na chwilę unieść tej demokratycznej masie.

– Maya.

Głos dobiegł z za jej pleców. Rozpoznała go w jednej sekundzie. Ale to nie mógł być on... prawda?

Wzięła wymuszony wdech i odwróciła się. Po dziesięciu latach stanęła znów twarzą w twarz z Rickiem Leonardem.

Nadal był szczupły, wysoki i nosił okulary, chociaż srebrzyste druciane oprawki z ostatnich lat studiów zamienił na grube czarne ramki obytego profesjonalisty. Wciąż ubierał się bardzo elegancko; dziś padło na jasnoszary garnitur. Musiał mieć pod czterdziestkę, był tylko trochę starszy od niej. To okrutne, ale przez te dziesięć lat tylko wyprzystojniał.

– Przepraszam. – Miał spokojny głos, z którego biła pewność siebie. – Nie chciałem cię wystraszyć.

Przypomniała sobie jego wcześniejszą nieporadną nieśmiałość. Teraz nosił się jak człowiek, który wreszcie poczuł się dobrze we własnej skórze.

Ją natomiast ogarnął przemożny niepokój.

– Co ty tu robisz?

– Możemy porozmawiać?

W ciągu minionej dekady setki razy była prawie pewna, że go widziała: w sklepie spożywczym, w restauracji, a raz – co już całkiem nieprawdopodobne – na pokładzie samolotu lecącego do Seattle. Za każdym razem oblewała się zimnym potem, nim zdążyła przekonać samą siebie, że ma zwidy. Jaka była szansa wpaść na niego przypadkiem w supermarkecie? A teraz stał przed nią. W budynku sądu. We własnej osobie.

Głupawo powtórzyła pytanie:

– Co ty tu robisz?

– Próbowałem się dobić do ciebie mailowo i telefonicznie. To znaczy do biura. Ale bezskutecznie. Przyszedłem porozmawiać.

Nie przekazano jej żadnej wiadomości, lecz oczywiście nie było w tym nic dziwnego. Jej asystentka dostała bardzo szczegółowe wytyczne: miała przerwać połączenie z każdym, kto próbowałby się dowiadywać przez telefon czegokolwiek na temat tamtej sprawy. Sama Maya ustawiła filtr antyspamowy w taki sposób, by eliminował wszystkie wiadomości zawierające nazwiska kluczowych w tamtej sprawie postaci. Dom kupiła na

spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, aby jej nazwisko nie trafiło do rejestru nieruchomości. Jej adres nie figurował w książce teleadresowej.

Osiągnęła ten poziom niesławy, na którym zupełnie obce osoby wiedziały o niej tylko jedną, za to bardzo konkretną rzecz. Czasem wyobrażała sobie, jak by się czuła jako aktorka uwikłana w skandal albo polityk, który wypadł z łask. Nadużycia tych ludzi skatalogowano i udostępniono do wiadomości publicznej, umożliwiając ich wyszukanie po słowach kluczowych. Stanowili otwartą księgę niegodziwości. Tymczasem wszystkie grzechy Mai pozostały rozkosznie prywatne. Z jednym wyjątkiem.

Gdy tylko ktoś się orientował, kim jest Maya, chciał rozmawiać już wyłącznie o tym. Praktykanci ubiegający się o pracę wtrącali znaczące napomknienia w rozmowach kwalifikacyjnych. Potencjalni narzeczeni robili aluzje już na pierwszej randce. Na urodzinach przyjaciół nie siadała za stołem w rogu pomieszczenia, by nigdy więcej nie dać się złapać w pułapkę i nie musieć udawać rozbawienia nieśmiesznymi żartami znajomych znajomych. Zrobiła, co mogła, by zostawić tamtą sprawę za sobą. Okazało się, że to za mało.

Przesłuchania dowodowe toczyły się przy drzwiach otwartych. Jej nazwisko musiało trafić na wokandę. Dla Ricka nie było lepszego sposobu znalezienia jej niż zjawienie się właśnie w tym miejscu.

– O czym chcesz porozmawiać? – zapytała, udając, że się nie domyśla.

– Zbliża się rocznica – odparł.

– Nie myślałam o tym – skłamała.

– Dziewiętnastego października minie dokładnie dziesięć lat, odkąd Bobby Nock został uznany niewinnym zamordowania Jessiki Silver.

Zauważyła, jak starannie dobrał stronę bierną. Wiedziała jednak aż za dobrze, kto uznał niewinność Bobby'ego Nocka. Konkretnie dwanaścioro ludzi.

Wśród nich byli Maya i Rick.

Przed dziesięciu laty – zanim jeszcze została prawniczką i zanim po raz pierwszy znalazła się w sali sądowej – przyjęła wezwanie do stawienia się w charakterze członkini ławy przysięgłych. Zaznaczyła odpowiedni kwadracik i wrzuciła do skrzynki pocztowej opłaconą zawczasu przesyłkę, po czym spędziła pięć miesięcy – tyle trwał proces i obrady ławników – z Rickiem i całą resztą, odizolowana od świata zewnętrznego.

Nikt z nich nie był przygotowany na kontrowersje, jakie wzbudził wydany werdykt. Dopiero po zakończeniu przymusowego odosobnienia Maya dowiedziała się, że osiemdziesiąt cztery procent Amerykanów było przekonanych, że Bobby Nock zamordował Jessicę Silver. Zatem osiemdziesiąt cztery procent Amerykanów uważało, że Maya i Rick puścili wolno człowieka, który zamordował dziecko.

Zacząła wtedy szukać innej kwestii, w której osiemdziesiąt cztery procent populacji osiągałoby jednomyślność. Odkryła, że zaledwie siedemdziesiąt dziewięć procent Amerykanów wierzy w Boga. Pocieszyła ją informacja, że najmarniej dziewięćdziesiąt cztery procent podzielało przekonanie, że lądowanie na Księżycu było faktem.

Pod karcącym spojrzeniem opinii publicznej Rick – jako pierwszy z przysięgłych – skapitulował. Wystąpił chyba we wszystkich programach telewizyjnych, w każdym z nich wylewnie przepraszał. Błagał o wybaczenie rodzinie Jessiki Silver. Wydał książkę o swoich przeżyciach, w której całą winę za niesprawiedliwy werdykt zrzucił na Mayę. Oskarżył ją, że zmusiła go do uniewinnienia oskarżonego, choć od początku był w głębi ducha przekonany, że tamten jest mordercą.

Potem jeszcze kilkoro przysięgłych odzęgało się od wydanego wyroku. Większość, podobnie jak Maya, zachowała milczenie. Chcieli przeczekać.

Czasem żałowała, że nie wyrzuciła tego wezwania do kosza, jak zrobiłby każdy normalny człowiek.

– Wszystkie stacje informacyjne planują programy wspomnieniowe – ciągnął Rick. – CNN, Fox, MSNBC. Do tego *60 Minutes* w CBS News i część innych programów publicystycznych. To dość zrozumiałe, zważywszy na to, z jaką uwagą śledzono tamten proces. I na to, co wydarzyło się od tamtej pory.

W ciągu tych lat wielokrotnie rozmawiała o tamtym procesie z rodzicami. Z przyjaciółmi, których wskutek jej niesławy zrobiło się jakby mniej. Z wieloma psychoterapeutami. Ogólnie opisała swoją sytuację partnerom z zatrudniającej ją kancelarii i podzieliła się kilkoma błahymi szczegółami z częścią swoich klientów. Natomiast przez dziesięć lat ani razu nie omawiała tamtej sprawy publicznie.

– Nie będę rozmawiać o tym, co się wydarzyło – powiedziała. – Ani w CNN, ani w *60 Minutes*. Nie zamierzam o tym dyskutować nawet z tobą. Zamknęłam ten rozdział.

- Słyszałaś kiedyś o *Morderczym mieście*?
- Nie.
- To podcast. Ma bardzo wysoką słuchalność.
- No i?
- Robią serię dokumentalną dla Netflixa. Osiem godzin. Adaptację podcastu.

Maya pomyślała o wszystkich godzinach jej życia, które pochłonęła sprawa Jessiki Silver. Cztery miesiące procesu, potem trzy tygodnie burzliwych dyskusji. W okresie izolacji rozstawała się z tą sprawą tylko we śnie. Ale gdy pomyślała o pokoju w hotelu Omni, w którym nocowała... Doskonale zapamiętała każdy fragment tapety w irysy, każdy centymetr kwadratowy beżowego dywanu. Miała wrażenie, jakby cała ta sprawa zawłazczyła również jej sen. Czasem dla zabicia czasu rozwiązywała wymyślone zadania matematyczne. *Dwadzieścia tygodni razy siedem dni w tygodniu razy dwadzieścia cztery godziny dziennie to...* Nadal potrafiła podać wynik tego mnożenia z pamięci.

– Kto ma ochotę poświęcić kolejne osiem godzin życia na zastanawianie się, co przytrafiło się Jessice Silver? – zapytała.

– Mnóstwo ludzi. Jednym z nich jestem ja.

– Bierzesz udział w tym podcaście?

– W serii dokumentalnej. Pomagam producentom. Próbuję zebrać nas wszystkich. Wszystkich razem. Całą ławę przysięgłych.

Mai zrobiło się niedobrze.

– Moglibyśmy już z pewnej perspektywy opowiedzieć o tym, co się naszym zdaniem wydarzyło – wyjaśnił Rick. – A wiedząc to, co wiemy... – zawiesił głos, jakby już byli na antenie – ...czy dziś także zagłosowałabyś „niewinny”?

Maya uświadomiła sobie nagle obecność wszystkich tych ludzi przepychających się obok nich korytarzem. Wszystkich tych obcych ludzi, którzy przyszli do budynku sądu po sprawiedliwość, rozgrzeszenie lub zadośćuczynienie.

– Nie, dzięki – odparła.

– Rozmawiałem z pozostałymi. Są gotowi przyjść.

– Wszyscy?

– Carolina zmarła. Nie wiem, czy dotarła do ciebie ta informacja.

Nie dotarła. Podczas procesu Carolina Cancio była już po osiemdziesiątce. Mimo to Maya się zawstydziała, że po wszystkim, co razem

przeszły, tak bardzo straciła zainteresowanie jej losem. *Dwadzieścia tygodni raz siedem dni raz dwadzieścia cztery godziny...*

Ale Maya od lat nie rozmawiała ani z Caroliną, ani z nikim z pozostałych.

– Jak? Kiedy?

– Rak. Cztery lata temu, tyle wiem od rodziny. – Rick wzruszył ramionami. – Natomiast Wayne powiedział producentom: „Nie”. A dokładnie: „Nie, kurwa”.

Wayne Russel. Maya zastanawiała się, czy po tym wszystkim zdołał się w ogóle pozbierać. Miała nadzieję, że tak. Ale jeśli był tym samym człowiekiem, którego widziała pod koniec obrad, to na pewno lepiej dla niego, żeby się trzymał od tego z daleka.

– Ale cała reszta – ciągnął Rick – pozostała ósemka... Wszyscy zdecydowali się przyjść.

– Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić.

– Przyszedłem cię prosić, żebyś do nas dołączyła.

– Nie.

– Popełniliśmy błąd.

– Przeczytałam twoją książkę. Masz prawo dowolnie długo zadrećcać się wyrzutami sumienia, ale mnie do tego nie mieszaj. – Nie zdołała powstrzymać wybuchu gniewu.

Kilkoro obcych ludzi zerknęło na nich i pospiesznie zajęło się własnymi sprawami.

– Zginęła dziewczyna – powiedział Rick z powagą, którą Maya знаła aż za dobrze – a zabójca uniknął kary, bo popełniliśmy błąd. Nie męczy cię to? Nie chciałabyś w jakiś sposób... tego odkupić?

– Nawet gdybym była przekonana, że Bobby jest winny, a wcale nie jestem, to nie ma tu już nic do zrobienia. Trzeba żyć dalej.

Rick rozejrzał się po korytarzu.

– Jesteś obrończynią w sprawach karnych. Pracujesz w tym samym budynku, w którym odbywał się proces Bobby’ego. „Żyjesz dalej” całe dwa piętra wyżej.

– Żegnam.

– Odkryłem coś.

– Co?

– Przeprowadziłem własne śledztwo.

Nie zaskoczył jej. Wiedziała lepiej niż pozostali, jaki potrafi być zawzięty. Kiedy się na coś uparł, zwłaszcza gdy chodziło o jakąś niesprawiedliwość, nigdy nie odpuszczał. Ale w przypadku Jessiki Silver nie był jedyny. Majątek jej rodziców, Lou i Elaine, wart był trzy miliardy dolarów. Jasna cholera, pomyślała Maya, teraz już pewnie ze dwa razy więcej. Lou Silver był właścicielem niebagatelnej części nieruchomości w hrabstwie Los Angeles. Śledztwo dotyczące zniknięcia jego córki prowadzili najlepsi z najlepszych.

– Przy tej sprawie pracowały dziesiątki śledczych z policji Los Angeles – powiedziała. – FBI. Do miasta zwalili się dziennikarze z całego świata, przypadkowi ludzie gromadzili i weryfikowali informacje przez okrągłą dobę, do tego zespoły prawników po obu stronach, armie blogerów, youtuberzy i ich teorie spiskowe, i jeszcze... – Maya ugryzła się w język. Nie mogła pozwolić sobie na to, by znów dać się wciągnąć. – Nie ma więcej dowodów.

– A ja coś znalazłem.

– Co?

– Przyjdź na nagranie.

– Co znalazłeś?

Podszedł bliżej. Poczula na policzku ciepło jego oddechu.

– Nie mogę ci teraz powiedzieć.

– Blefujesz.

– To skomplikowana sprawa. Delikatna... Słuchaj, po prostu przyjdź na nagranie, a ja pokażę wszystkim, nam wszystkim, bezsporny dowód na to, że Bobby Nock zabił Jessicę Silver.

Maya zajrzała mu w oczy i zrozumiała, jak bardzo Rick tego potrzebuje. Był absolutnie przekonany, że popełnili niewybaczalny błąd.

Ona sama nie wiedziała, czy Bobby Nock zabił Jessicę Silver. Na tym to wszystko polegało: nie wiedziała wtedy i nie wiedziała teraz. Dlatego go uniewinniła. Nie dlatego, że był niewinny, lecz dlatego, że nie było dość dowodów, by mieć pewność. Przekonywała, że lepiej puścić wolno dziesięciu winnych niż niesłusznie skazać niewinnego.

Może Rick naprawdę był przekonany, że znalazł wreszcie niepodważalny dowód, ale Maya już dawno straciła wiarę w jego istnienie. Od dziesięciu lat uczyła się żyć z wątpliwościami. Rick, jeśli kiedykolwiek miał się uwolnić, musiał nauczyć się tego samego.

Kiedyś był dla niej ważny. Jego twarz nie powinna przyprawiać jej o mdłości. Był dobrym człowiekiem. Zasługiwał na szczęście. Wiedziała, że nie znajdzie go na zgliszczach sprawy Jessiki Silver.

– Powodzenia – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że ci to pomoże. Ale ja nie wezmę w tym udziału.

Odwróciła się i odeszła.

Nie obejrzała się za siebie.

Gabinet Mai w kancelarii Cantwell & Myers znajdował się na trzydziestym czwartym piętrze należącego do firmy śródmiejskiego biurowca. Usiadła przy biurku, modernistycznym meblu z połowy wieku, który jej asystentka wybrała z katalogu mebli biurowych. Trudno było jej się skupić.

Odwróciła się do okna i ogarnęła spojrzeniem panoramę nowego śródmieścia, skupiska nowoczesnych wysokościowców rozdzierających niebo. Jeszcze dziesięć lat temu połowa z nich nie istniała. Ile z nich należało do Lou Silvera?

Błękitne niebo nad Los Angeles wyglądało na prastare, wręcz odwieczne – tej samej barwy dziś i jutro, w tym samym odcieniu błękitu co dziesięć lat temu, gdy pewnego popołudnia zniknęła pewna nastolatka. Niecałe dwa kilometry dalej. Ludzie na okrągło powtarzali, że Los Angeles nie ma żadnej świadomości historycznej, ale Maya wiedziała, że jest wprost przeciwnie. Los Angeles samo w sobie stanowiło kapsułę czasu, opakowaną i zachowaną na wieki w niezmiennej skorupie niebiańskiego błękitu.

– Masz chwilę?

W otwartych drzwiach stał Craig Rogers. Miał na sobie ciemny, idealnie skrojony garnitur. Siwizna przyprószyła na skroniach krótko przystrzyżone włosy. Gdy zaczęła dla niego pracować, musiała zajrzeć do jego CV, by sprawdzić, ile ma lat: bliżej trzydziestki czy pięćdziesiątki, bo na oko nie sposób było zgadnąć. Wreszcie odszukała informację, w którym roku ukończył studia, i przeliczyła: miał pięćdziesiąt sześć lat.

W młodości bronił praw obywatelskich. Był jednym z tych czarnych adwokatów z misją, którzy w latach osiemdziesiątych zakładali sprawy z powództwa cywilnego brutalnym, skorumpowanym funkcjonariuszom policji Los Angeles z Rampart Division. W latach dziewięćdziesiątych pracował z NAACP Legal Defense Fund przy sprawie Thomas przeciwko hrabstwu Los Angeles. Teraz był starszym partnerem w kancelarii Cantwell & Myers.

Czy się sprzedał? Może. Ale z pewnością nie tanio. W Cantwell & Myers dysponował niezrównanymi zasobami, które mógł poświęcić sprawom uznawanym przez niego za istotne.

– Jasne, wchodź.

Zamknął drzwi i usiadł. Jeśli prokurator pracujący przy sprawie Belen Vasquez pominął ją i złożył propozycję ugody bezpośrednio Craigowi, zamorduje sukinsyna.

– Z naszym działem PR skontaktowali się producenci czegoś o nazwie *Miasto morderców* – powiedział Craig.

Powinna się była domyślić, że nie pozbędzie się Ricka tak łatwo. To oczywiste, że zwrócił się do jej szefa.

– Robią ośmiogodzinny serial dokumentalny na temat sprawy Jessiki Silver i chcą, żeby wzięli w tym udział wszyscy ówcześni przysięgli, włącznie ze mną.

– A więc rozmawiali z tobą?

Pokrótkę opisała poranną scysję z Rickiem.

Craig sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Doskonale. Rozumiem, że się pojawisz?

– Odmówiłam.

Zmarszczył brwi.

– Mogę zapytać o powód?

– Nie uważam, żeby w tej sprawie mogły pojawić się jakieś „nowe” dowody. Nawet jeśli Rick przedstawia się jako domorosły detektyw. Fakty ustalono już dawno: krew, DNA, zapisy z monitoringu, logowania do nadajników BTS, niedwuznaczne esemesy... – Wciąż miała to wszystko w pamięci. – Kości ogryziono do czysta.

– Sądziłem, że nie odnaleziono ciała.

– W przerośni.

Craig odchylił się na krześle, jakby chciał dać do zrozumienia, że te „kości” nie muszą być przerośnią.

– Nie ma takiej możliwości, żeby Rick Leonard znalazł ciało Jessiki Silver – powiedziała Maya.

– Abstrahując od tego, czy jest amatorem, czy zawodowcem, jak dziesięć lat grzebiesz w jakiejś sprawie... Właśnie dlatego sugerowałbym, żebyś wzięła w tym udział.

– Zdefiniuj „sugerowałbym”.

– Wybór należy do ciebie – oświadczył Craig. Ludzie mówili tak tylko wówczas, gdy nie należał. – Możesz postąpić, jak uznasz za stosowne. – A zatem nie mogła. – Firma stoi za tobą murem.

Maya doskonale wiedziała, że rola, jaką odegrała w procesie Bobby'ego Nocka, była jednym z powodów, dla których zatrudniono ją w Cantwell & Myers. Czy pomagało jej to pozyskiwać klientów? Jasne, że tak. To był jeden z elementów jej oferty. Wielu obrońców w sprawach karnych odgrywało wcześniej rolę oskarżycieli, ale Maya zasiadała w ławie przysięgłych, i to podczas jednej z najgłośniejszych spraw. Nie reprezentowała strony przeciwnej, lecz sam wymiar sprawiedliwości. Któż mógł lepiej od niej wiedzieć, jak ława przysięgłych podejmuje decyzje? Który oskarżony – winny czy nie – nie chciałby skorzystać z porady prawnej kobiety odpowiedzialnej za uniewinnienie Bobby'ego Nocka?

Owszem, werdykt pomógł Mai wślizgnąć się do palestry. Ale to nie werdykt ukończył na jedenastej pozycji studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, to nie werdykt przeprowadził kilkudziesięcioro klientów przez zasieki ugody sądowej i to nie werdykt uzyskał uniewinnienie we wszystkich czterech sprawach zakończonych formalnym procesem. To nie werdykt w ciągu trzech lat awansował na partnera kancelarii, a zważywszy na wszystko, co werdykt wyrządził jej na przestrzeni lat, nie czuła się zobowiązana przeproszać za parę drobiazgów, które jej załatwił.

– Wszyscy już i tak są zdania, że Bobby to zrobił – powiedziała Maya. – Kogo obchodzi, co Rick Leonard powie po raz setny w programie telewizyjnym?

– Jesteś partnerem w kancelarii, co oznacza, że wszystko, co się o tobie mówi, rzutuje na pozostałych partnerów. W kwestii postawy etycznej stoimy za tobą murem. Dlatego zachęcałbym cię, żebyś i ty za sobą stanęła.

Craig miał imponującą umiejętność formułowania swoich życzeń w taki sposób, by człowiek nabrał przekonania, że działa we własnym interesie, ale tak naprawdę zasygnalizował, że kancelaria będzie bronić swojej reputacji, która mogłaby zostać nadszarpnięta wskutek udziału Mai w postępowaniu, na którym Cantwell & Myers nie zarobili ani centa.

– Obstawać przy swoim przez dziesięć lat dla zasady to jedno – powiedziała. – Ale wyjść na idiotkę, która broni głupiej decyzji nawet wówczas, gdy w obliczu nowych dowodów jest ona nie do obrony, to co innego.

– Wszyscy staramy się uczyć na błędach, prawda? – odparł Craig.

Ironia losu polegała na tym, że gdyby Rick Leonard faktycznie dysponował dowodami jednoznacznie obciążającymi Bobby’ego Nocka, a Maya publicznie by przeprosiła, jej wizerunek uległby ociepleniu. Niektórzy obrońcy bywali zatwardziałymi apologetami zabójców – ale nie Maya. Mogłaby niebezpiecznie utrzymywać, że dokonuje oceny materiału dowodowego bezstronnie, choćby wymuszało to na niej zmianę stanowiska. Wchodziłaby na salę sądową otoczona nimbem osoby uczciwej i rzetelnej.

Wystarczyłoby, gdyby zapoznawszy się z tajemniczymi nowymi dowodami, przyznała, że nie miała racji.

Nie skomentowała notatki ze szczegółami, którą wręczył jej Craig. Termin zjazdu przysięgłych wyznaczono za miesiąc; ławników po raz kolejny zaproszono do hotelu Omni przy Olive Street. Tego samego, w którym zostali odizolowani od świata na czas procesu.

Ani razu podczas tej rozmowy Maya nie wypowiedziała słowa „tak”. Słuchała tylko i kiwała głową, próbując odsunąć od siebie drażniące poczucie, że złapano ją w pułapkę.

Wreszcie Craig wstał. Zerknął na jej biurko i skrzywił się.

– To głowa męża Belen Vasquez?

Zanim przyszedł, zdążyła rozłożyć fotografie.

– Tak.

– Słyszałem, że proponują nieumyślne narażenie życia i zdrowia. Dobra robota.

Kiedy wyszedł, Maya przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, bębniąc palcami o gładką powierzchnię makabrycznych zdjęć.

Co pomyślałaby o nich przed dziesięciu laty? Poważna, naiwna dwudziestosześcioletka wchodząca wówczas pierwszy raz w życiu na salę sądową była kimś zupełnie innym, kogo Maya z trudem wydobywała z pamięci, niczym osobę poznaną niegdyś na przyjęciu.

Ta sprawa nadal budziła jej gniew. Tylu było ludzi, na których mogła być wściekła: sędzia, który zbyt długo trzymał ich w odosobnieniu, prawnicy, którzy podstępnie nimi manipulowali, prezenterzy, którzy zmienili ich w żywe puenty programów telewizyjnych. Im wszystkim chciała wykrzyczeć w twarz, że to nie ona zabiła Jessicę Silver.

Twarc Jessiki została na zawsze zatopiona tuż pod powierzchnią jej wspomnień i mogła wynurzyć się w każdej chwili. Moment oczekiwania

w kolejce po kawę – i nagle się wyłaniała. Błękitne oczy, gładkie policzki, promienny uśmiech. Słynny obrazek ślicznej dziewczyny, która pewnego dnia po prostu zapadła się pod ziemię. Ktokolwiek ją zamordował, był potworem zasługującym na gniew Mai i całej reszty.

Lecz to nie zabójca był osobą, na której skupiła się złość siedzącej przy biurku Mai. Obecym adresatem jej rozgoryczenia była osoba odpowiedzialna za wmanewrowanie jej w tę sytuację: ławniczka 272.

Rozdział 2

RICK

29 MAJA 2009

– Kto, do cholery, nie potrafi się wyłgać z ławniczenia?

Właśnie tak ujął to tego ranka Gil, z którym Rick Leonard wynajmował na spółkę trzypokojowe mieszkanie. Siedzieli akurat w kuchni.

Rick miał dwadzieścia osiem lat i robił studia magisterskie. Nigdy dotąd nie wezwano go do zasiadania w ławie przysięgłych, choć pamiętał, że jego ojciec dostał takie wezwanie, gdy Rick był jeszcze dzieckiem. Funkcję ławników pełniło też kilku wykładowców, za których ktoś prowadził wtedy zajęcia. Uczciwie rzecz ujmując, funkcja ławnika wyglądała na problem klasy wyższej. Nawet narzekanie na nią – nie do wiary, wrobili mnie w ławę przysięgłych! – miało w sobie jakiś rys snobizmu.

– Jak chcesz się wywinąć, to naprawdę nic prostszego.

Rick wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mogę to po prostu odwalić.

Był maj. Zakończył się semestr wiosenny. Latem Rick miał podjąć pracę w niepełnym wymiarze godzin w pewnym projekcie badawczym dotyczącym niepowodzeń planowania przestrzennego w Brasílii, wskutek których powstały niezarządzalne fawele. Miał czas. A poza tym – nie powiedziałby tego Gilowi – czyż nie nadarzała się właśnie sposobność, by uczynić coś naprawdę dobrego? Wymiar sprawiedliwości z pewnością potrzebował ławników poważnie podchodzących do swoich obowiązków. A on, Rick, mimo wielu wad, sprawiedliwość traktował bardzo serio.

Obciągnął niebieski sweter, który na jego szczupłych barkach nieco zwisał.

– Daj spokój – powiedział. – To raptem dzień, może dwa. Szybka piłka i po sprawie. Przecież się tam nie pozabijamy, nie?

Rick przyjechał pod budynek sądu hrabstwa Los Angeles i zastał pod drzwiami zbity tłum dziennikarzy. Uznał prasę i ekipy telewizyjne za zwykły widok; zapewne robili materiały o gwiazdach filmowych wnoszących zażalenie o niesłusznie wypisane mandaty albo o DJ-ach

przyłapanych na posiadaniu narkotyków i wnoszących o możliwość odrobienia prac społecznych. Poczuł się jak idiota dopiero później, gdy dni zmieniły się w tygodnie, a tygodnie w miesiące – nie powiązał obecności prasy ze zbliżającym się procesem Bobby’ego Nocka, który miał być sądzony za zabójstwo Jessiki Silver. Czy mediom mógł się trafić lepszy kasek?

Kilka minut przed dziewiątą rano Rick wszedł do poczekalni dla osób wezwanych do zasiadania w ławie przysięgłych. Umundurowany urzędnik odhaczył jego nazwisko na liście i wręczył mu świstek papieru nadający mu nową tożsamość „Ławnika 158”.

– Ze względu na ochronę danych osobowych oraz na pana bezpieczeństwo podczas przebywania w budynku sądu inne osoby będą zwracać się do pana tylko i wyłącznie pana numerem ławniczym – powiedział urzędnik. – Czy to dla pana jasne?

– Tak.

– Zatem żadnych imion ani nazwisk. Niezależnie od tego, czy porozumiewają się państwo z nami czy między sobą.

– Między sobą?

– Z innymi ławnikami.

Po tych słowach urzędnik zwrócił się do kolejnej osoby w kolejce.

Rick usiadł i przyjrzał się kilkudziesięciu innym oczekującym. Omiótł spojrzeniem ubrania, gazety, czasopisma, krzyżówki, dostrzegł nawet kilka thrillerów w miękkiej oprawie.

Kto, do cholery, nie potrafi się wyłgać z ławniczenia?, pomyślał.

Zastanawiał się, kto z nich zaserwuje jakieś zręczne kłamstwo, żeby się wymigać. Małe dzieci, obłożnie chorzy rodzice, trudności finansowe, upośledzenie umysłowe – każdy powód był dobry. Wystarczyło złożyć oświadczenie przed sędzią, który raczej nie miał szans czegokolwiek sprawdzić.

Wystarczyło skłamać.

Zatem ci, którzy się ostaną – kimkolwiek by byli – są uczciwi.

Dziewczyna zajęła miejsce obok niego. Miała jasną karnację, krótkie ciemne włosy i łagodne rysy twarzy, przez co z początku pomyślał, że jest o wiele młodsza od niego, i dopiero po chwili, przyglądając się, jak spokojnie siedzi, uzmysłowił sobie, że musi być w jego wieku. Włożyła granatową spódnicę i elegancką bluzkę w jaskrawych kolorach. Większość

pozostałych ławników miała na sobie dzinsy i koszule wyłożone na spodnie – ona jako jedyna ubrała się tak formalnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie zagadnąć, ale porzucił tę myśl. Nigdy nie miał pomysłu na pociągnięcie rozmowy.

Siedzieli w milczeniu, póki dziewczyna nie wypila ostatniego łyka kawy z papierowego kubka i nie odstawiła go na podłogę obok krzesła.

Wstał.

– Skończyłaś?

Dłuższą chwilę chyba zastanawiała się, o co pyta.

– Och... Tak.

Podniósł z podłogi oba kubki i zaniósł je do kosza na śmieci.

– Miło z twojej strony – powiedziała, gdy wrócił na swoje krzesło.

Wskazał na przyklejony na ścianie plakat z wytycznymi. Pod numerem drugim widniało: „Śmieci prosimy wyrzucać do odpowiednich koszy”.

– Po prostu przestrzegam zasad.

Zlustrowała go spojrzeniem, prześlizgując się wzrokiem po jego spodniach khaki i odprasowanej koszuli.

– Widzę, że nie jesteś typem rebelianta.

Podniosła plecak i postawiła go sobie na kolanach. Rick zauważył na jednej z kieszonek dużą przypinkę wyborczą Obamy. Przypinka była kwadratowa, kolorowe – czerwone, białe i niebieskie – litery układały się w słowo NADZIEJA.

Rick uniósł swój plecak i pokazał przypiętą z przodu identyczną plaketkę.

– Objął urząd cztery miesiące temu – powiedziała z uśmiechem. – Chyba już czas je zdjąć.

Fajnie się uśmiechała.

– Nie wyrzucaj. Za trzy lata będzie jak znalazł.

– Jezu, potrafisz sobie wyobrazić, że cała ta kołomyja odbędzie się jeszcze raz?

– Owszem, mogę. – Już czułem, że w jej towarzystwie zaczyna z niego wyłazić jakaś krępująca powaga. – Byłaś wolontariuszką?

– Przez kilka weekendów obchodziłam mieszkańców Pensylwanii. Mieszkałam wtedy w Nowym Jorku.

– Nevada. To znaczy chodziłem od drzwi do drzwi w Nevadzie. Mieszkałem tam.

– Szanowni państwo! – zawołał urzędnik. – Bardzo wam dziękujemy za waszą służbę na rzecz Los Angeles. Proszę o chwilę uwagi, za moment odtworzę krótkie nagranie opisujące wasze obowiązki i odpowiedzialność względem sądu.

Z rogu pomieszczenia wyciągnął czarny metalowy wózek, na którym stał stary teleodbiornik. Z wysiłkiem próbował go włączyć, z coraz większą irytacją raz po raz naciskał kciukami przyciski pilota. W końcu na ekran wypłynęła twarz aktora Sama Waterstona.

– No... Tego się nie spodziewałem – powiedział Rick.

– Czy to nie ten gość z serialu *Prawo i porządek*? – zapytała dziewczyna.

– Dzień dobry – powiedział Sam Waterston z telewizora. – Witamy osoby spełniające obowiązek ławniczy.

Razem obejrzeni dziesięciominutowe nagranie, w którym Waterston objaśniał im powagę ich funkcji. Dowiedzieli się, że nie wszystkie kraje – a nawet nie wszystkie demokracje! – zapewniają oskarżonym o przestępstwa kryminalne ławę przysięgłych złożoną ze współobywateli. Przykładowo, we Francji i w Japonii ława przysięgłych orzeka o stanie faktycznym, w Niemczech zaś rolę ławy przysięgłych odgrywa trzyosobowy zespół złożony z sędziego i dwóch umocowanych politycznie osób bez wykształcenia prawniczego. To za sprawą ławy przysięgłych amerykański system wymiaru sprawiedliwości jest tak cenną i wyjątkową składową amerykańskiego eksperymentu. Sprawowanie funkcji ławnika to jedna z najważniejszych ról, jakie może odegrać obywatel tego kraju.

Rick nie dał po sobie poznać, że zrobiło to na nim wrażenie.

Po odtworzeniu nagrania urzędnik zaczął wywoływać ich po kolei do wybranych sal sądowych.

– Ławnik sto dziesięć! Proszę o podejście do stanowiska.

Ławnik 110 był starszym mężczyzną pochodzącym najwyraźniej z Azji. Bez słowa skierował się do wyznaczonej sali.

– Czemu on to robi, twoim zdaniem? – zapytała dziewczyna, wskazując głową świeżo upieczonego ławnika, który ciężkim krokiem szedł ku drzwiom.

– Ale co robi?

– Spełnia obowiązek zasiadania w ławie przysięgłych. Przecież tak łatwo się wykręcić. Ludzie, którzy nie wymyślają naprędce jakiejś wymówki, muszą mieć solidny powód, żeby się w to pakować.

– Może czują się... no nie wiem... zobowiązani wobec kraju? – powiedział Rick.

Dziewczyna z namysłem przyjrzała się starszemu Azjacie.

– A może... ten gość całe życie napadał na banki? Nigdy go nie złapali. Uwielbia przeciągać strunę, podnosić stawkę, bawić się z policją w kotka i myszkę, więc kiedy dostał wezwanie, nie odmówił sobie wycieczki do sądu, który nigdy nie zdołał wsadzić go za kratki.

– Może przypisano go do procesu jednego z byłych współników. Wszystko zostało ukartowane.

– Widzę tu pewne luki.

– Niby jakie?

– Statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo przypisania cię właśnie do tego procesu, w którym chciałbyś uczestniczyć...

– Ha – powiedział Rick. – Teraz już wiem, co tu robisz.

– Co?

– Planujesz napad.

Odrzuciła głowę i roześmiała się serdecznie. Kilka osób siedzących w pobliżu obejrzało się na nich z ciekawością.

Rick naprawdę polubił ten śmiech, lecz natychmiast przywołał się do porządku. Pytanie dziewczyny o imię było wbrew zasadom.

Kilka minut później urzędnik wywołał ławnika 111, którym okazał się wyraźnie poirytowany biały mężczyzna, i zgodnie z rozpiską wysłał go do wyznaczonej sali sądowej. Rick i dziewczyna uzgodnili przyciszonymi głosami, że ławnik 111 skorzystał zapewne ze sposobności wzięcia wolnego w pracy, której nie znosił, mając nadzieję, że zdoła w spokoju przeczytać magazyn sportowy.

Przez resztę poranka bawili się w ten sposób, wymyślając historie wszystkich wywoływanych ławników i kierujące nimi pobudki. Dziewczyna była dowcipna, a Rick miał poczucie, że jest przy niej zabawny, co było raczej niecodzienne. Zastanawiał się właśnie, jak ją zagadnąć, czy nie zechciałaby zjeść z nim lunchu, gdy urzędnik wywołał ławnika 158.

– To ja – powiedział Rick.

– Powodzenia w sprawiedliwym ferowaniu wyroków.

– Ławnik sto pięćdziesiąt osiem! – warknął urzędnik.

– Powodzenia w napadzie – odparł Rick na odchodnym.

Okropnie żałował, że nie dowiedział się, jak jej na imię.

Dwadzieścia minut później zorientował się, że wpadł w niezłe tarapaty. On i pozostali ośmioro potencjalnych ławników dostali po czarnym długopisie i kwestionariuszu liczącym kilkanaście stron. Miał odpowiedzieć na setki pytań, lecz już pierwsze z nich pozwoliło mu się zorientować, o jaką sprawę chodzi: „Czy kiedykolwiek poznał pan osobiście lub pośrednio Roberta Nocka?”.

Cholera. Zatem miał zostać prześwietlony pod kątem sprawy Jessiki Silver?

Pytanie numer 2: „Czy kiedykolwiek poznał pan osobiście lub pośrednio Jessicę Silver?”.

Rick przypomniał sobie mgliście wygląd Jessiki Silver. Nie mieli z Gilem telewizora, ale jej twarz widział dziesiątki razy na ekranach umieszczonych w pubie Mohawk Bend i wszystkich innych miejscach, w których bywał, gdy miał ochotę poczytać poza domem. Wyglądała tak samo jak reszta ładnych białych dziewczyn, których zniknięcia raportowano przez okrągłą dobę w rozmaitych stacjach telewizyjnych: blondynka, niebieskie oczy, wiecznie uśmiechnięta – wcielenie posażnej niewinności. Typowa córka typowych rodziców z przedmieścia będących typowymi odbiorcami tych audycji. To oni byli prawdziwymi ofiarami programów istniejących tylko po to, by przyzwoici obywatele nabrali przerażającego przekonania, że ich spokojna, uporządkowana egzystencja nieustannie wisi na włosku. Nie miało znaczenia, jak mikroskopijne było prawdopodobieństwo zamordowania białego dziecka z zamożnej rodziny zamieszkałej w dobrej dzielnicy. W wiadomościach nie wspomniano, że dziewczyna taka jak Jessica Silver ma większą szansę na to, że trafi ją piorun. Zamiast wyjaśnić, jak rzadko dochodzi do takich zdarzeń, media alarmowały: „To mogło przytrafić się tobie!”. Co godzinę o pełnej godzinie: „To mogło przytrafić się twoim dzieciom!”.

Czy Rick miał okazję poznać Bobby’ego Nocka albo Jessicę Silver? Nie. Wiedział jednak, że Jessica Silver była biała i zamożna, a Bobby Nock czarny i splekany – więc zostanie zjedzony żywcem.

W tym momencie człowiek rozsądny skłamałby w formularzu i poszedł do domu. Odpowiedzieć na wezwanie to jedno, ale pełnić funkcję ławnika w procesie Bobby’ego Nocka to co innego. Gdyby Rick został wybrany, spędziłby w tym budynku długie tygodnie, może nawet połowę lata. Czy naprawdę był na to gotowy? Miał w zanadrzu tyle poręcznych kłamstw: znajomość z kimś, kto padł ofiarą morderstwa, nienawiść do policjantów

tak głęboka, że nie wierzył ani jednemu ich słowu. Mógł rzucić jakąś wariacką uwagę, by uznali go za psychicznego.

Spuścił wzrok na arkusz z pytaniami i z westchnieniem uzmysłowił sobie, że nie umie odpowiedzieć na nie inaczej niż zgodnie z prawdą.

Cholera.

Półtorej godziny później wprowadzono go na salę sądową. Sędzia kazał mu zająć miejsce w łoży przysięgłych, tymczasem oskarżyciel i obrońca zaczęli przeglądać odpowiedzi, których udzielił w kwestionariuszu. Ricka zaskoczył widok młodego czarnego mężczyzny siedzącego na miejscu dla oskarżonych. Czy to był Bobby Nock?

Pierwszy raz mógł mu się dobrze przyjrzeć. Na żywo Bobby Nock wyglądał jak nastolatek. Był zdecydowanie młodszy od Ricka i nie było to tylko wrażenie, jakie robił zbyt obszerny garnitur, który na nim wisiał; gość był po prostu chudzielcem. Wzrok spuścił na złożone ręce. Ten dzieciak miał być mordercą?

Sędzia, biały, łysiejący mężczyzna o głosie tak cichym, że Rick musiał pilnie nadstawiać uszu, by usłyszeć jego słowa, powiedział, że czeka go procedura o nazwie *voir dire*.

– To starofrancuski – wyjaśnił sędzia. – Oznacza „powiedzieć prawdę”.

Oskarżyciel i obrońca mieli teraz po kolei maglować Ricka w sprawie odpowiedzi, których udzielił w kwestionariuszu.

Oskarżyciel był przysadzistym facetem z potrójnym podbródkiem; przedstawił się jako Ted Morningstar. Roztaczał aurę arogancji płynącej z doświadczenia nabytego na niejednym polu walki. Kiedy zapytał Ricka, czy potrafi wymienić powody, dla których w tym procesie mógłby być stronnicy, Rick odpowiedział przecząco. Kiedy zapytał, czy w tym momencie Rick ma już wyrobioną opinię na temat winy oskarżonego, ten zgodnie z prawdą odparł, że nie.

Jednak Rick nie był ślepy. W sali sądowej było czworo czarnych: oskarżony Bobby Nock, asystentka prokuratora zajęta studiowaniem kwestionariuszy przy stole oskarżenia, która nie odzywała się ani słowem, umundurowany policjant pilnujący bezpieczeństwa – oraz Rick.

Co wiedział na temat oskarżonego? Tylko tyle, że tak jak i on sam był czarnym mężczyzną z Los Angeles. Jeśli prawnicy uważali, że Rick z tego powodu nie może zachować bezstronności, to już ich sprawa. Wbił wzrok

w twarz Bobby'ego, ale nie zdołał z niej nic wyczytać. Jakby patrzył na śnieżący telewizor.

Morningstar krążył wokół pytania, które tak naprawdę chciał zadać Rickowi – pytania będącego spuścizną wszystkich procesów, jakie odbyły się w tej sali sądowej i setkach jej podobnych.

Czy pan, Rick Leonard, czarny mężczyzna, jest w stanie nie brać pod uwagę tego, że Bobby Nock, obecnie oskarżony o zamordowanie białej dziewczyny, również jest czarnym mężczyzną?

Czy pan, Rick Leonard, potrafi wznieść się ponad to bagno?

Rick nie marzył o niczym innym jak o tym, by oskarżyciel zwyczajnie zapytał. Wiedział jednak, że nie może na to liczyć.

Pamela Gibson, obrończyni, była młodsza od oskarżyciela. Chuda i koścista, przecięła salę sądową jak sportowiec biorący udział w dobrze przećwiczonej rozgrywce. O ile ton oskarżyciela można by podsumować słowami: „Wszyscy dobrze wiemy, co się tu dzieje, prawda?”, o tyle jej ton kojarzył się bardziej z: „Któż może wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?”.

Kiedy już Morningstar skończył, to obrona stanęła przed koniecznością zadania nie wprost pytania, jak całe to „bycie czarnym” wpłynie na decyzje podejmowane przez Ricka.

Czy pan, Rick Leonard, rozstrzygnie wątpliwości na korzyść oskarżonego, bo łączy was... no wie pan co?

Podczas czterdziestopięciominutowego przesłuchania Rick tylko raz nawiązał kontakt wzrokowy z Bobbym Nockiem. Gibson poprosiła Ricka, by wymienił wszystkie znane mu osoby, które padły ofiarą przestępstw z użyciem przemocy (to była krótka lista), a gdy opowiadał, jak jego matka została napadnięta, gdy miał dziewięć lat, Bobby Nock spojrzał wprost na niego.

– Właściwie trudno to nazwać szczególnie brutalnym napadem. Gość po prostu wyrwał jej torebkę i uciekł – doprecyzował Rick, po czym spojrzał Bobby'emu prosto w oczy, wystraszone oczy biednego chłopaka, którego wszyscy uznali za zabójcę nastolatki. Czy w tamtym momencie spojrzenie Bobby'ego było błaganiem o pomoc? Jakimś sygnałem? *Czy możesz mi pomóc?*

Rick nie miał pojęcia i uzmysłowił sobie, że mało go to obchodzi. Ci, którzy sądzili, że on i Bobby Nock mają ze sobą cokolwiek wspólnego, żadnego z nich dobrze nie znali. Rick szczerze powiedział prawnikom, że

będzie uczciwy. Bezstronny. Przyjrzy się dowodom niezależnie od konkluzji, do jakich go doprowadzą.

– Ławnik sto pięćdziesiąt osiem? – Głos sędziego przerwał mu rozmyślenia. – Zostaje pan włączony w skład ławy przysięgłych.

Sędzia poinstruował go, by w budynku sądu nie posługiwał się prawdziwym nazwiskiem i nie podawał pozostałym ławnikom informacji pozwalających go zidentyfikować. Miał stawiać się codziennie o ósmej rano i pozostawać w sądzie do godziny siedemnastej. Zabroniono mu wprost czytania jakichkolwiek doniesień prasowych na temat przedmiotowej sprawy. Nie wolno mu było również omawiać jej z kimkolwiek spoza sądu – rodziną, przyjaciółmi czy wścibskimi dziennikarzami. Sąd zobowiązany był utajnić jego dane osobowe – codzienny bezpieczny przyjazd ławników do sądu i powrót do domu regulowała odpowiednia procedura – więc nie powinno dochodzić do zastraszania go czy napastowania.

Czy Rick zrozumiał wszystkie instrukcje przekazane mu przez sędziego?

– Tak, wysoki sędzie – odparł Rick.

I to było na tyle.

Woźny sądowy odprowadził Ricka do pokoju przysięgłych. Siedziała tam tylko jedna osoba: staruszka, na oko co najmniej osiemdziesięcioletnia. Rick podszedł i przedstawił się:

– Ławnik sto pięćdziesiąt osiem.

– Numer sto sześć – odparła z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

Miała na sobie ciemne spodnie z szerokimi nogawkami i jaskrawą bluzkę z długim rękawem. U jej stóp leżała czarna płócienna torba na ramię. Nadrukowane na niej białe litery układały się w napis „Dom Tarota”.

– Czy jest pani wróżką? – zapytał Rick.

Ławniczka 106 spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

– Nie.

Gestem wskazał jej torbę.

– Dom Tarota. To na Sunset, prawda? Przechodziłem tamtędy. Sądziłem, że to zakład wróżbiarski.

Kobieta wyglądała na niezadowoloną.

– Nie wolno nam się dowiadywać niczego na swój temat.

– Jasne, nie pytałem o nazwisko ani nic, po prostu...

Urwał. Nie chciał jej zdenerwować.

Usiadł kilka krzeseł dalej.

– Nie wierzę w przeznaczenie – powiedziała, zagłębiając się na powrót w krzyżówce.

Dzień dobiegł już prawie końca, kiedy drzwi otworzyły się i do sali, która miała stać się ich drugim domem, woźny wpuścił trzeciego ławnika. Rick roześmiał się. Dziewczyna również.

– Statystycznie rzecz biorąc... – zaczął.

– Jak sądzisz? – przerwała mu. – Czy to część mojego niecnego planu?

Ławniczka 106 podejrzliwie spojrzała na Ricka i dziewczynę.

– Znacie się? – zapytała.

– Od dawna – odparł Rick.

Ławniczka 106 sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Od rana – wyjaśniła dziewczyna.

Rick odwrócił się do niej i wyciągnął rękę.

– Mam na imię Ri... – Urwał. – Przepraszam.

– Naprawdę musimy się aż tak pilnować? Nie można przedstawić się nawet imieniem?

Rick zaangażował się w to, co robili, i jeśli wiązało się to z koniecznością przestrzegania kilku irytujących zasad, gotów był się z tym pogodzić. Sprawiedliwość zasługiwała przynajmniej na tyle.

– Ławnik sto pięćdziesiąt osiem – powiedział.

– Miło cię poznać. – Ucisnęła mu dłoń; jej palce były miękkie w dotyku.

– Ławniczka dwieście siedemdziesiąt dwa.

Rozdział 3

NADZIEJA

TERAZ

– Nazywam się Maya Seale – powiedziała do asystentki produkcji, która wyszła jej na spotkanie w holu hotelu Omni. – Ławniczka dwieście siedemdziesiąt dwa.

– Tak, wiem! – odparła energiczna asystentka, nie zerkając nawet na listę przypiętą na podkładce, którą trzymała na przedramieniu. – Wszyscy są ogromnie podekscytowani pani przyjazdem! Mam na imię Shannon!

Maya rozejrzała się po lobby. Był późny ranek, środa. Od pojawienia się Ricka na przesłuchaniu dotyczącym dopuszczenia dowodów w sprawie Belen Vasquez minął miesiąc. W ciągu minionej dekady na hotelowych ścianach powieszono inne obrazy, wymieniono umeblowanie i umundurowanie personelu, wszystko jednak utrzymano w mdłej estetyce właściwej hotelom pod każdą długością i szerokością geograficzną. Zmieniono po prostu odcień nijakości.

Przez ostatnie dziesięć lat nietrudno jej było unikać tego miejsca.

Shannon gestem wskazała windy.

– Może odprowadzę panią do pokoju, by mogła się pani rozgościć? Gospodarze programu wezwą panią na indywidualne nagrania. Dziś i jutro rano.

– Indywidualne?

– Wywiady. Jeden na jednego. Tylko gospodarze i pani.

– To dwóch na jednego.

Shannon sprawiała wrażenie kogoś, kto zastanawia się, czy zrobił coś złego.

– Wygląda na to, że... – Zajrzała do rozpiski. – Pani indywidualny wywiad mam wpisany na rano. Ale osoby, z którymi akurat nie są przeprowadzane rozmowy, zapraszamy serdecznie na spotkanie do restauracji. W dowolnym momencie. Zupełnie nieformalne. Zarezerwowaliśmy salę w głębi. Oficjalne ponowne głosowanie przeprowadzimy jutro.

– Czy pozostali już przyjechali?

Shannon skinęła głową.

– Rick Leonard też?

I tyle zostało z jej nonszalancji. Całe dwadzieścia sekund zajęło jej zdradzenie się z tym, że się denerwuje – i dlaczego. Lecz z drugiej strony czemu miałyby się przejmować opinią jakiejś asystentki produkcji na temat poziomu jej zdenerwowania?

Shannon chyba nie poświęciła jej pytaniu szczególnej uwagi.

– Wydaje mi się, że jeszcze nie przyjechał.

Od chwili pojawienia się Ricka w sądzie Maya zdążyła go porządnie wygooglować, nie znalazła jednak żadnych aktualnych informacji na jego temat: gdzie pracuje, co robi, gdzie mieszka. Nie było go w żadnych przeszukanych przez nią mediach społecznościowych.

Znalazła tylko stare zdjęcia. I dawną nienawiść, której była obiektem. Oglądając rozpikselowane nagrania z YouTube'a – stare wywiady udzielone przy okazji premiery jego książki – poczuła się na nowo boleśnie dotknięta tym, co powiedział o niej i pozostałych ławnikach.

– Kiedy będę mogła zapoznać się z nowymi dowodami? Jeśli mam się do nich odnieść, potrzebuję czasu, żeby im się przyjrzeć.

– Wiem tylko tyle, że Rick Leonard chciał, by wywiad z nim przeprowadzić na końcu. Usłyszycie, co ma do powiedzenia, zanim ponownie oddacie swoje głosy.

Maya spojrzała na zegarek. Zapowiadał się długi dzień.

Shannon wyjęła z koperty kartę magnetyczną z zakodowanym kluczem do pokoju i wręczyła ją Mai.

– Naprawdę bardzo się cieszymy, że pani przyjechała.

Pokój 1208 nie zmienił się ani na jotę. Obrazki, biurko, krzesła, nawet niski stolik... Jak gdyby to były te same meble, wśród których przez pięć miesięcy budziła się i zasypiała. Przeszło jej przez myśl, że tak musi się czuć zwierzę, które uciekło z zoo i trafiło z powrotem do klatki.

Przeszła po znajomej wykładzinie w drobny wzorek. Dotknęła wyglansowanych oparc drewnianych krzeseł. Zapatrzyła się na obrazki w ramkach przedstawiające coś, co przypominało angielskie pagórkowate krajobrazy. Kiedyś wyobrażała sobie, że biegnie przez te pola, a wiatr smaga jej policzki. Być gdzieś, gdziekolwiek, wszystko jedno, byle nie tam, gdzie wtedy... i teraz, tutaj.

Odruchowo ścisnęła trzymaną w ręku kartę magnetyczną. Inaczej niż wówczas, teraz mogła wyjechać, gdyby ją naszła ochota.

– Niesamowite, co? – powiedziała Shannon. – Wierność... Wierność faktom historycznym... To dla nas naprawdę istotne.

Maya powiodła palcami po blacie biurka. Nawoskowane drewno błyszczało, ale coś się tu nie zgadzało. Powierzchnia była zbyt gładka. Próbowwała wymacać zagłębienie w przedniej krawędzi biurka, wydziobane długopisem którejś nerwowej bezkresnej nocy. Bezskutecznie.

– Wyszukaliśmy dostawców umeblowania biurowego, którzy mieli starsze modele tych mebli – wyjaśniła Shannon. – Przywieźliśmy je w zeszłym tygodniu.

– To nie są autentyki? – Maya przesunęła opuszkami palców po obrysie skórzanej podkładki do pisania zamocowanej na blacie.

– Ten sam producent, ten sam model, ten sam rok. Ściągnęliśmy je z hotelu w Atlancie.

Maya stała w makiecie swojego dawnego życia.

Sypialnia była identycznie umeblowana. Na jednym z bocznych stolików stał kosz owoców i czekoladek, a obok karteczka z napisem: „Dziękujemy, że jesteś z nami”. Podpisano: *Miasto morderców*.

I wtedy to zobaczyła, tuż obok kosza.

Mimowolnie cofnęła się o krok.

Na małej kwadratowej plakietce widniał napis NADZIEJA. Białe, czerwone i niebieskie litery rozmazały się i wytarły.

– Co jest, do cholery?

Shannon pospiesznie weszła do sypialni. Rozluźniła się, kiedy zobaczyła, na co Maya patrzy.

– To należało do pani, prawda? Pomyśleliśmy, że to zabawny drobiazg, który przywoła wspomnienia.

– Nosłam kiedyś taką plakietkę na plecaku – powiedziała Maya.

– No właśnie! Pamiętam jak dzisiaj, widziałam ją, kiedy wychodziła pani z sali sądowej po ogłoszeniu werdyktu. Obraz waszej dwunastki, jak odchodzicie... Normalnie kultowy. – Zamilkła na chwilę. – Przepraszam.

Maya nie mogła oderwać wzroku od przypinki.

– Nadal ją mam. Swoją.

– Przepraszam za określenie kultowy.

– Kupiliście to gdzieś online czy co?

– Na eBayu. Teraz to przedmioty kolekcjonerskie. Kosztowała pięćdziesiąt dolarów.

Maya uzmysłowiła sobie, że to, co było niegdyś jej prawdziwym życiem, stało się przedmiotem kolekcjonerskim, jej wspomnienia zaś – pamiątkami. Zostały utowarowione, zapakowane do pudełka, wystawione na aukcji i sprzedane z niezłą marżą.

Wzdrygnęła się.

Ale czy sama nie przyłożyła do tego ręki, przyjeżdżając tutaj? Sprzedawała swoją przeszłość – czy też jedyny jej fragment, który kogokolwiek obchodził, część poświęconą przypadkiem czyjejś tragedii. W ciągu lat obserwowała z przerażeniem, jak inni zbijają fortuny na tym, co zrobiła. Sieci telewizyjne, autorzy biografii, dziennikarze posiadający tak zwane dojścia. Ilu ludzi wzbogaciło się na morderstwie Jessiki Silver? Pewna reporterka „New York Timesa” osadziła śmierć Jessiki w kontekście ogólnokrajowej epidemii przemocy seksualnej względem kobiet i za swoją książkę zainkasowała zaliczkę w wysokości dwóch milionów dolarów. Któż mógł wątpić w jej dobre intencje? Któż by pożądał jej nowego domu z czerwono-brązowego piaskowca w Cobble Hill? A co ze słynnym dokumentalistą, który w sześciuodcinkowym serialu emitowanym przez HBO z taką pieczołowitością odtworzył długą historię dyskryminacji rasowej przejawiającej się w działaniach policji Los Angeles? Przecież dwie nagrody Emmy i prężnie rozwijająca się firma producencka były jedynie skutkiem ubocznym jego szczerych przekonań, prawda? Nie było na tym świecie sprawy dość nieskazitelnej moralnie, by ktoś nie wykombinował, jak na niej zarobić.

Maya widziała w nich wszystkich hieny cmentarne. Lecz teraz, stojąc w telewizyjnych dekoracjach swojego dawnego życia, jak mogła utrzymywać, że jest lepsza? Nie rozgrzeszało jej zrzeczenie się honorarium za występ w programie i przekazanie go – anonimowo! – organizacji dobroczynnej Skid Row, działającej na rzecz bezdomnych. Jeśli wyblakła przypinka w dłoni Mai dowodziła czegokolwiek, to tylko tego, że jej dobre chęci zdały się psu na budę. Przypominała, jak niebezpiecznie jest nabrać przekonania, że jest się lepszym niż w rzeczywistości. Ocalona, stała się ciekawostką, zardzewiałą łyżeczką wyłowioną z wraku Titanica, przedmiotem studiów badaczy zgłębiających tę niegdyś obiecującą historię.

Maya uzmysłowiła sobie, że najbardziej żałuje tej części dawnej siebie, która pielęgnowała nadzieję na to, co miało nadejść, a nigdy się nie ziściło.

Tęskniła za wyobrażoną przyszłością.

Spojrzała na Shannon, zastanawiając się, ile ta dziewczyna może mieć lat. Jakieś... dwadzieścia trzy?

– Śledziłaś proces?

Shannon się rozpromieniła.

– O Boże, czy śledziłam? Byłam wtedy w gimnazjum, ale owszem, miałam na tym punkcie prawdziwego hyzia. Nadal mam. Błagałam o tę robotę. Żeby móc pani asystować. Mam nadzieję, że pani nie uraziłam... To znaczy nie chciałabym... Jeśli to nieprofesjonalne czy coś takiego...

– Co?

Shannon wzięła głęboki wdech.

– Jest pani moją idolką.

Maya nie miała pojęcia, jak skwitować tak absurdalną deklarację.

– Czemu miałabym być twoją idolką?

– Umiała się pani sprzeciwić. Jeśli to, co mówi Rick Leonard, jest prawdą... To znaczy, że była pani o czymś przekonana i gotowa była pani tego bronić. Może nie miała pani racji, ale wierzyła, że Bobby Nock jest niewinny. I przekonała pozostałych, by inaczej spojrzeli na tę sprawę... Walczyła pani o to, by nie skazać niewinnego, i wygrała pani. – Shannon nagle wyraźnie się zakłopotowała. – To znaczy... niezależnie od tego, czy miała pani rację, wygrała pani. Uczciwie.

– Wygrałam – powiedziała Maya. – Taaak... Popatrz, co wygrałam.

Wskazała gestem makietę umiarkowanie drogiego, standardowo nijakiego hotelowego pokoju. To nie była kanonizacja, tylko balsamowanie trupa.

Shannon zmarszczyła brwi. Maya, którą właśnie poznała, najwyraźniej nie dorosła do jej wyobrażeń.

I wtedy to Maya poczuła się zmieszana. Przesunęła kciukiem po gładkiej krawędzi przypinki z napisem NADZIEJA.

– Jakieś dobre rady?

Shannon skrzyżowała ręce na piersi.

– Lepiej nie poznawać swoich idoli?

Maya uśmiechnęła się. Może ta dziewczyna była twardsza, niż się wydawało na pierwszy rzut oka?

– To nie powinno być trudne – odparła. – O ile uda ci się żadnych nie mieć.

Gdy Maya pierwszy raz omawiała dowody w sprawie Stan Kalifornia przeciwko Robertowi Nockowi, nie była jeszcze prawniczką. Teraz miała w ręku atut zarówno ukończonych studiów, jak i czterech lat praktyki adwokackiej w sprawach karnych.

Kiedy już wyprowadziła Shannon z pokoju, odprawiła znajomy rytuał przygotowań do procesu. Wydrukowała sobie na oddzielnych kartkach papieru najważniejsze dowody na poparcie swoich argumentów, po czym rozłożyła je na niskim stoliku.

Miała miesiąc na zebranie wszystkiego do kupy, choć wcale nie potrzebowała aż tyle czasu. Zdumiewające, jak niewiele uleciało jej z pamięci. Przyglądając się realnym, konkretnym dowodom, miała pewność większą niż kiedykolwiek, że uniewinnienie Bobby'ego było nie tylko słuszne, ale i konieczne.

Krótko po piętnastej pchnęła podwójne drzwi do wydzielonej sali hotelowej restauracji i przygotowała się na spotkanie z postarzałymi o dziesięć lat twarzami z poprzedniego życia.

Przy barze stali Cal Barro i Peter Wilkie. Kathy Wing, Yasmine Sarraf i Fran Goldenberg siedziały przy stole pod przeciwległą ścianą, podjadając słupki warzyw. Trisha Harold i Lila Rosales siedziały przy oddzielnym stoliku, popijając piwo.

Rick jeszcze nie dotarł.

W pierwszej chwili Maya poczuła ulgę.

Był jeszcze mały chłopiec, może pięcioletni; pchał zabawkową ciężarówkę po podłodze i dosłownie wszedł Mai pod nogi.

– Aaron! Ostrożnie! – Lila Rosales pognała za chłopcem, który pędził przed siebie z ciężarówką. – Przepraszam! – rzuciła do Mai w biegu. – To Aaron.

Wyszeptała mu coś do ucha, wskazując Mayę, po czym ujęła go za rękę i doprowadziła do niej. Za chłopcem toczyła się ciężarówka.

– Aaron, przywitaj się ze znajomą mamy – powiedziała Lila.

Chłopiec grzecznie wyciągnął rękę.

– Mam na imię Aaron.

– Miło cię poznać, Aaronie. Mam na imię Maya. – Solennie uściśnęła dłoń malca. – Wiesz, co mówi się o mężczyźnie, który ma mocny uścisk dłoni? Że jest uczciwy.

Lila się roześmiała.

– Lubi ciężarówki. – Przez chwilę patrzyła, jak mały popycha swoje auto po sali. – Jakbyś się nie domyśliła. – Wychyliła się i serdecznie uściskała Mayę. – Cześć, tak swoją drogą.

Lila Rosales w chwili procesu miała dziewiętnaście lat i była najmłodszą członkinią ławy przysięgłych. Uczyła się wówczas w studium kosmetycznym; Maya zastanawiała się kiedyś, ile wysiłku musiało ją kosztować zrobienie co rano nieskazitelnego makijażu, który prezentowała na sali sądowej. Teraz wyglądała na umęczoną. Ciemne oczy zdawały się znużone, śliczną buzię wykonturowała niestarczająco, a może właśnie nadmierne staranie, przez co sztuczność makijażu rzucała się w oczy. Wysoka szklanka w jej dłoni była pusta.

– Wydaje się bardzo dojrzały – powiedziała Maya. – Jego tata też tu jest?

Dopiero po zadaniu tego pytania przyszło jej do głowy zerknąć na serdeczny palec Lili. Nie było na nim obrączki.

– Któż to wie, gdzie podziewa się jego ojciec? – Lila westchnęła. – Jakoś nie wypaliło.

Maya poczuła się zażenowana, gdy Lila wyjaśniła, że opiekunka nie mogła się zająć małym, dziadek ostatecznie też nie, więc Lila postanowiła wziąć Aarona ze sobą do hotelu z myślą, że chłopiec poogląda wieczorem telewizję. Chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, prawda?

Lili wprawdzie przybyło dziesięć lat, ale nadal brakowało jej pewności siebie. Zawsze była spośród nich wszystkich najmilsza, najbardziej empatyczna. Kiedy dyskusje stawały się hałaśliwe, gniewne i boleśnie zjadliwe, Lila wyciągała rękę do osoby najzjadliwiej atakowanej przez pozostałych. Instynktownie pocieszała tego, kto akurat najbardziej tego potrzebował.

Zapytała Mayę o jej życie, a Maya odparła, że nie, też nie wyszła za mąż.

– Czeeeeść!

U boku Mai pojawił się Jae Kim i zamknął obie kobiety w uścisku.

– No i jak ci się widzi ten mały? – zapytał Mayę. – Lila świetnie się sprawiła, co?

Maya nie mogła się nie zgodzić. Aaron wyglądał na dziecko imponująco pewne siebie, zwłaszcza zważywszy na jego wiek.

– Dobra, dobra – ucięła Lila. – A jak ty się miewasz?

Jae odparł, że na emeryturze miewa się po prostu znakomicie. Maya zapamiętała, że pracował w branży budowlanej, a po wydaniu werdyktu stracił robotę. Nikt się nie zająknął, że zostaje zwolniony z powodu

zasiadania w ławie przysięgłych, ale każde z nich przekonało się na własnej skórze, że nie ma już powrotu do dawnego życia. W tym momencie Jae mógł być najwyżej pod sześćdziesiątkę.

Mai przypomniał się gospodarz nadawanego późnym wieczorem programu telewizyjnego, który w zjadliwym komentarzu nazwał ich „dwunastką najgłupszych ludzi w Stanach Zjednoczonych”. W jakimś skeczu puszczone w *Saturday Night Live* sportretowano ich jako pacjentów psychiatryka z rozdziawionymi, obślinionymi gębami.

Jak musiała wyglądać próba powrotu Jaego do pracy? Kto chciałby stawiać ścianki z karton-gipsu obok gościa, który uznał, że Bobby Nock jest niewinny? Jaka firma chciałaby awantury z powodu pracownika zarabiającego siedemnaście dolarów i dwadzieścia pięć centów za godzinę?

Ale teraz sprawiał wrażenie pogodzonego z losem.

Kiedy zapytał, odparła, że nie, nie ma chłopaka.

Dostrzegła, że zerkają na nią Trisha Harold i Fran Goldenberg. Dziesięć lat temu Trisha żywiła do Mai głęboką niechęć, która ostatecznie przerodziła się w nieskrywane potępienie.

Maya natychmiast skierowała się w ich stronę.

– Trisha! Nie do wiary! Dziesięć lat...

Trisha uściskała ją bez wahania.

– Uwierzysz mi, jeśli powiem, że miło cię widzieć?

Czy była to prawda czy nie, Maya doceniła wyciągniętą w jej stronę gałązkę oliwną.

– Ciebie też miło widzieć.

Trisha była Afroamerykanką, wysoką, lecz noszącą się jakoś niepewnie, jakby mimo średniego wieku nie przyzwyczaiła się jeszcze do własnego wzrostu. Wyjaśniła, że zrezygnowała z pracy informatyczki w Ratuszu i przeszła na wcześniejszą emeryturę. Ponieważ od lat pracowała w administracji publicznej, chyba najlepiej z nich wszystkich czuła się pośród biurokratycznych procedur trawiących ich życie w okresie odosobnienia. Pogodziła się z emeryturą w wysokości trzech czwartych normalnego świadczenia i przeniosła do Houston, by mieszkać bliżej dzieci. To była jej pierwsza od tamtej pory wycieczka do Los Angeles. Nie tęskniła.

Fran Goldenberg wydawała się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze drobniejsza, niż Maya ją zapamiętała. W sali obrad zawsze emanowała jakimś matczynym ciepłem. Co tydzień zamawiała puszkę ciasteczek dla całej grupy i pilnowała, by każdy zjadł przynajmniej jedno. Po każdym

nieznośnym głosowaniu zbierała ich czarne pisaki. Maya była wdzięczna, że chociaż jedno z nich poczuwało się do utrzymywania porządku.

Fran, wedle własnych słów, wciąż mieszkała w Los Angeles, w tym samym miejscu co dawniej. A jednak od wieków nie widziała żadnego z pozostałych ławników! Co było nie tak z tym towarzystwem? Nie mogli się spotkać chociaż raz w roku czy coś? Co za idiotyzm, że zachowują się jak obce osoby! Połowa z nich mieszkała tak blisko siebie, że to doprawdy cud, że nie spotykali się przypadkiem w lokalnym supermarkecie.

Maya się rozejrzała. Nadal ani śladu Ricka.

– Jeszcze go nie widziałam – powiedziała Trisha z naciskiem, jakby czytając jej w myślach.

– Kogo?

Trisha uniosła brew. Zaslugiwała chyba na coś więcej niż ściema Mai, prawda?

– Ponoć wszyscy mieli przyjechać – stwierdziła Maya. – Poza Wayne'em.

– Po procesie było mu strasznie ciężko – wtrąciła Fran.

– Wszystkim nam było ciężko – odparła Trisha.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Fran. – Ale znasz Wayne'a. To bardzo wrażliwy człowiek, a po tym wszystkim, co przeszedł...

Maya nigdy nie opisałaby Wayne'a słowem „wrażliwy”. Już prędzej „niestabilny”.

Trisha również nie emanowała współczuciem.

– Nic nie mówię.

– To dobry człowiek – zaprotestowała Fran.

Zawsze wydawała się silniej związana z Wayne'em niż pozostali, choć Maya nigdy nie zrozumiała dlaczego. Może po prostu dlatego, że ich pokoje ze sobą sąsiadowały? A może sieć sojuszów i animozji powstała między ich dwunastką była bardziej skomplikowana, niż kiedykolwiek przeszło jej przez myśl?

Kilka minut później Maya znalazła się po drugiej stronie sali z Calem Barro. Był chudy jak patyk i musiał mieć już pod osiemdziesiątkę. Urodzony i wychowany w Los Angeles, przez całe życie mieszkał w dzielnicy Eastside i potrafił bez końca opowiadać barwne historie z najbardziej wyuzdanych dekad Silver Lake. Dla Caroliny, jak przypomniawszy sobie Maya, część z tych historii była aż nadto kolorowa. Ale Carolina już nie żyła.

Cal nie poszedł na pogrzeb, tak w każdym razie powiedział Mai. Chyba nie było tam nikogo z nich.

Kim był ten człowiek, który szedł w ich stronę? Chwilę zajęło jej rozpoznanie Petera Wilkiego niosącego jej kieliszek wina, o który nie prosiła. Włosy na skroniach zaczynały mu siwieć, po bokach przystrzygł je na tę samą długość co idealnie równy zarost. Najbielszy ze wszystkich białych, zachowywał się tak, jakby to on stawiał, chociaż wszyscy wiedzieli, że stawia telewizja.

Pracował w finansach, choć Maya nigdy nie pojęła, co dokładnie robił. Obecnie zajmował się trawką. Nie w sensie palenia, jak ich szybko zapewnił, ale biznesowo. Mimochodem – a może przeciwnie: w sposób wystudiowany i wyrachowany – popalał różowego elektronicznego papierosa, jednego z tych produkowanych przez jego firmę. Wręczył jej wizytówkę.

Widniało na niej: „Peter Wilkie – prezes i dyrektor zarządzający – WEEDZ”.

– Mam klientów, którzy nadal siedzą w więzieniu za rozprowadzanie marihuany – powiedziała.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– To śmieszne, że tak długo trzeba było czekać na legalizację. Teraz możliwości są takie, że się mózg lasuje.

Kieliszek wina później Maya uzmysłowiła sobie, że minęły dwie godziny, a Ricka wciąż nie było.

Dopuściła wątplą nadzieję, że tego wieczoru w ogóle się nie pojawi. W końcu przyjechał tu po sprawiedliwość, a nie darmowe drinki.

Na chwilę przysiadła się do Kathy Wing i Yasmine Sarraf, by posłuchać, jak przerzucają się opowieściami o dzieciach. Okazało się, że Kathy krótko po procesie odeszła od męża.

– Przynajmniej tyle dobrego z tego całego syfu.

Yasmine wyraziła współczucie i zrozumienie.

– To było najtrudniejsze... Próba wytłumaczenia Davidowi, mojemu mężowi, co się tak naprawdę wydarzyło. No bo jak to opisać?

Maya doskonale знаła to uczucie.

Po jakimś czasie zapomniała o stojących w rogu sali kamerach. Wzięła sobie drinka, na którego faktycznie miała ochotę. A potem jeszcze jednego. Przestała zerkać na drzwi i wypatrywać Ricka.

Pomyślała, że czas przedziwnie rozprawia się z zadawnionymi urazami. Nie skłania do przeprosin, lecz wywołuje fałszywą tęsknotę, nostalgię za prawdopodobnie najgorszym okresem ich życia.

Skutek był przyjemnie odurzający, a Maya nieodporna na jego działanie. Cokolwiek o tych ludziach mówić, przynajmniej ją wówczas znali.

I wtedy w drzwiach stanął Rick.

Tym razem miał na sobie niebieski garnitur. Wszedł do sali restauracyjnej, emanując tą samą spokojną pewnością siebie, którą dostrzegła u niego w budynku sądu.

Może odżyły sentymenty, a może wypła o jeden kieliszek za dużo, lecz niezależnie od powodów, ucieszyła się na jego widok.

Patrzyła, jak wita się ze wszystkimi po kolei. Uścisnął dłoń Petera, poklepał Fran po plecach, uklęknął, by przedstawić się Aaronowi, nad którym pochylała się Lila.

Wreszcie uchwycił spojrzenie Mai.

Otworzyła szeroko oczy, zmarszczyła brwi i rozłożyła ręce, jakby mówiła: „Co, u diabła?!”, pozornie dotknięta do żywego, że dotąd się z nią nie przywitał. Zrobił przesadnie zasmuconą minę, jakby chcąc jej pokazać, że najważniejsze powitanie zostawił na koniec.

Jeszcze się nie przywitali, a już zdążyli ukradkiem zażartować.

– Cześć. Naprawdę się cieszę, że przyjechałaś.

– Mam nadzieję.

– A ty się cieszysz? Że przyjechałaś?

– Zapytaj mnie za jakiś czas.

Czuła na sobie spojrzenia pozostałych. Zapewne spodziewali się rękoczynów, tymczasem zobaczyli uśmiechy.

– Przepraszam za to nieoczekiwane najście. W budynku sądu.

– Nic się nie stało. – Wcale nie skłamała. – Przepraszam, że tak po prostu odeszłam.

– To było dla mnie ważne. Twój przyjazd tutaj. Źle się do tego zabrałem. Nie chciałem wszczynać kłótni, jakoś samo wyszło. Mimo wszystko przyjechałaś. Dziękuję.

Dziesięć lat temu nie przeproszałyby z takim wdziękiem. Efekt był dość konfundujący.

Maya zmieniła się przez minioną dekadę, bez dwóch zdań, ale może Rick zmienił się jeszcze bardziej? Ostatnim, czego potrzebowała, było kolejne

starcie. Nie chciała rozmawiać o Bobbym Nocku ani dowiadywać się, jak wyglądają tajemnicze „nowe dowody” Ricka. Tego wieczoru pragnęła już tylko napawać się obecnością jednej z niewielu osób, które dzieliły z nią najbardziej przejmujące doświadczenie jej życia.

– Czym się właściwie zajmujesz? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Pomyślałabyś dziesięć lat temu, że kiedyś tak zwyczajnie zapytasz mnie, czym się zajmuję? Jak nieznajomego?

– Gdybyś dziesięć lat temu powiedział mi, że tak właśnie będzie wyglądać nasze życie, uznałabym, że oszalałeś.

– Nie do wiary, że jesteś prawniczką.

Pociągnęła łyk wina.

– Przyznaję się do winy.

Skrzywił się na ten kiepski żart. Miała nadzieję, że nie skorzysta ze sposobności nawiązania do procesu. Proszę, nie psuj tej cudownej chwili, pomyślała.

– Bez wątpienia akurat wewnątrz sali sądowej jest ci doskonale znane – zauważył jakby mimochodem.

Zripostowała szczerością.

– Podczas tamtego procesu wiele się nauczyłam. Poznałam kilka przepisów, ale przede wszystkim sposób funkcjonowania sądu. Mechanizm podejmowania decyzji przez dwanaścioro obcych sobie ludzi, którzy wspólnie wyrokują o losie kogoś, kogo nigdy nie poznali. – Wzięła głęboki wdech; mówiąc uczciwie o sobie, mogła uniknąć poruszania kontrowersyjnych tematów. – Pierwszy raz w życiu byłam prawdziwą specjalistką. Chciałam zastosować w praktyce to, czego się dowiedziałam. Po tym procesie studia prawnicze były pestką.

– Mecenasa Maya Seale – powiedział cicho. – Przeszłaś długą drogę od planowanego wówczas napadu.

– Racja! Tego pierwszego popołudnia... Staram się o tym nie zapominać.

– Jeśli sądzisz, że ja zapomniałem...

Na ułamek sekundy oboje odwrócili oczy.

– Twój doktorat – powiedziała, wbijając wzrok w noski swoich pantofli.

– Zrobiłeś go?

W internecie nie znalazła żadnej wzmianki o tym, jakoby uzyskał stopień doktora.

Rick gestem omiół całą salę.

– Myślisz, że któremukolwiek z nas pozwolono wrócić do normalnego życia?

Maya nie uważała się za osobę samotną czy niezrozumianą, ale stojąc tu obok niego, poczuła, że przez ostatnie lata była jedną i drugą.

– A chciałeś wracać? Do normalnego życia?

Milczał przez chwilę.

– Pewnie nie.

Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć. Nie było sensu udawać, że któreś z nich wyszło z budynku sądu takie samo, jakie do niego weszło.

Nagle dojmująco uświadomiła sobie obecność wycelowanych w nich kamer i przypomniała sobie, że nie siedzi w ich dawnej hotelowej restauracji, lecz w telewizyjnej makiecie, która ledwie ją przypomina. Pomyślała o tych kilku – dwóch? trzech? – kieliszkach, które zdążyła wypić. Miała nadzieję, że nic nie palnęła.

– Dziwne uczucie, co? – powiedział Rick, wskazując głową najbliższą kamerę.

– Chcesz gdzieś pogadać... na osobności?

– Bardzo chętnie.

W pierwszej chwili uznała, że najlepiej będzie pójść do głównej sali restauracyjnej, ale uzmysłowiła sobie, że tym sposobem pozostałoby w polu widzenia reszty ławników, nie wspominając o przypadkowych ludziach z ekipy *Miasta morderców*. Te same trudności stwarzało hotelowe lobby.

– W moim pokoju? – powiedziała odruchowo, orientując się sekundę za późno, jak to musiało zabrzmieć. – Nie w tym sensie.

– W jakim sensie?

Podniosła wzrok i zawiesiła go na jego podręcznikowo zadziwionej twarzy, orientując się – znów sekundę za późno – że się z nią droczy.

– Och, na miłość boską! – fuknęła.

Uśmiechnął się.

– No wiem, wiem, nie denerwuj się. Znam twoje flirciarskie zagrywki i „w moim pokoju” do nich nie należy.

– Przynajmniej zapamiętałeś, że mam zasady.

– Myślałem raczej o finezji, ale owszem.

– Idziemy?

Odstawił kieliszek, po czym jakby przeliczył siedzących w sali ławników.

– Wiem, że nie robimy nic szczególnie skandalicznego, ale jeśli wyjdziemy razem...

Maya kątem oka zerknęła na Trishę pograżoną w rozmowie z Yasmine i Peterem; żadne z nich nie sprawiało wrażenia choćby odrobinę zainteresowanego zachowaniem Ricka i Mai.

– Mój miły panie – powiedziała Maya absurdalnie arystokratycznym tonem. – Chciałabym uniknąć choćby cienia podejrzenia o niestosowne zachowanie, pozwolę sobie zatem skierować się na górę, a pan raczy udać się za mną pięć minut później.

– Milady... – odparł kpiąco i dotknął róna wyimaginowanego kapelusza.

Odstawiła kieliszek na blat. Trącony kieliszek Ricka lekko brzęknął.

Pożegnała się ze wszystkimi po kolei. Czuła się jak idiotka, stając na głowie, by wszyscy widzieli, że wychodzi sama.

W pokoju przeżyła miłe zaskoczenie na widok solidnie zaopatrzonego minibarku. Z okresu ich izolacji zapamiętała sytuację dokładnie odwrotną. Pierwszego wieczoru otworzyła minibar z nadzieją na kilka buteleczek czegokolwiek. Akurat! Wyjęli nawet miętówki.

Nalała sobie i oczekiwanemu gościowi wódki z wodą sodową. Sekundę później usłyszała pukanie.

Otworzyła drzwi. W progu stał Rick, oświetlony od tyłu lampami palącymi się na korytarzu.

– Nie zapomniałeś numeru mojego pokoju – stwierdziła, wprowadzając go do środka.

– Pewnych rzeczy mężczyzna nie zapomina.

Wziął podany mu kieliszek.

– Uważaj – powiedziała.

– Na co?

– Żadnych flirtów.

Pokręcił głową.

– Zorientujesz się, gdy zechcę z tobą poflirtować.

Usiadła na sofie. Usiadł obok. Poczwała, jak pod ciężarem jego ciała zapada się poduszka.

Odruchowo spojrzała na łóżko stojące w sąsiednim pokoju. Pożałowała, że nie przyszło jej wcześniej do głowy zamknąć drzwi, i natychmiast zrobiło jej się głupio, że w ogóle pozwoliła myślom zdryfować w tamtą stronę.

Skąd ten dramatyzm? Przecież nic się właściwie nie działo.

Pociągnął łyk z kieliszka.

– Wódka z wodą sodową?

Skinęła głową.

– Zabawna myśl – powiedział. – Nigdy wcześniej nie wypiliśmy razem drinka.

– Wow. No... niezła jazda.

– Co nie? Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich normalnych, nudnych rzeczach, których nigdy nie robiliśmy razem.

– Nie poszliśmy razem na spacer.

– Nie ugotowaliśmy razem obiadu.

– Nie widziałam, jak prowadzisz.

– Nie widziałem, jak cokolwiek kupujesz.

– Nigdy nie byliśmy razem w sklepie!

– W tamtym okresie w ogóle nie posługiwaliśmy się gotówką – powiedział. – Najbardziej podstawowa wymiana w świecie kapitalizmu: proszę, oto odliczona kwota za to czy tamto.

Uśmiechnęła się. Oczywiście, że pociągnął jej myśl w najbardziej abstrakcyjną stronę.

– Jak myślisz, co to o nas mówi? – zapytała. – O tym, w jakim stopniu wszyscy się znaleźliśmy? Jak bardzo to było specyficzne. Jak bardzo... oderwane od rzeczywistości.

– Pojęcia nie mam.

Roześmiała się. Położyła dłoń na sofie i pozwoliła Rickowi nakryć ją swoją dłonią. Wydawało się to absolutnie naturalne, zarówno sam gest, jak i dotyk jego ciepłej skóry.

Co ona wyprawiała?

Wychylił się do przodu i poczuła, jak ich kolana się stykają.

Odstawił swój kieliszek na niski stolik. Wilgotny krążek odcisnął się na białej kartce.

– Czy to... – zapytał Rick, przenosząc wzrok na stronę tytułową jej opracowania dowodów przemawiających przeciwko Bobby'emu Nockowi.

– Czy to analiza DNA?

Uścisnęła jego dłoń; w tym momencie żadna myśl nie napęniała jej taką niechęcią jak ta o analizie DNA.

Ale Rick nie odwzajemnił uścisku.

Odsunął kieliszek na bok i wziął do ręki opracowanie. Roilo się w nim od tabel, procentów i podsumowań wytłuszczoną czcionką.

- Przywiozłaś to ze sobą. Do programu.
- Tak.
- Żeby podważyć moje słowa. Ty naprawdę nadal uważasz, że Bobby Nock jest niewinny.
- Cofnęła dłoń.
- Niewinny ponad dającą się umotywić wątpliwość. Nigdy nie przestałam w to wierzyć. Niektórym z nas udało się nie zmieniać sześciokrotnie zdania w tej sprawie.
- Ludzie powinni zmieniać zdanie w obliczu nowych dowodów – odparł.
- To dobra cecha.
- A protekcyjność? To dobra czy zła cecha?
- Daj spokój. Chcesz powiedzieć, że żaden z faktów ujawnionych już po procesie nie kazał ci zmienić zdania? A jeśli faktycznie... To co to mówi o tej sprawie? Co to mówi o tobie?
- Pożałowała tego ostatniego drinka. Wstała i założyła ręce na piersi.
- Masz obsesję.
- Niesłusznie? Bobby Nock zamordował Jessicę Silver. A my puściliśmy go wolno.
- Chcesz powiedzieć, że ja puściłam go wolno.
- Rick podniósł się z kanapy.
- Uważasz, że winię cię za werdykt.
- Uważam, że napisałeś na ten temat całą książkę.
- Winię siebie.
- Bo przegrałeś w dyskusji?
- Jego głos złagodniał i stał się niemal czuły.
- Pozwoliłem ci skłonić się do tego, by zagłosować za jego niewinnością. Pozwoliłem się wykorzystać. W chwili słabości... ustąpiłem.
- Ale co, wyłudziłam twój głos jakimiś babskimi sztuczkami? No naprawdę. To, co mówisz, obraża nas oboje. Doszło do sporu i ja ten spór wygrałam.
- Owszem. Natomiast ja, poddając się, sprzeniewierzyłem się wszystkim wyznawanym wartościom. I z tym wstydem będę żył do śmierci. Gdyby nie moja porażka, Bobby Nock trafiłby za kratki. Więc owszem, mam obsesję. Obsesję na punkcie własnej odpowiedzialności za to, by go za nie wsadzić.
- Jak? Proces już się odbył. Bobby został uniewinniony. To koniec.
- Może.

– Piąta poprawka. Nikomu za to samo przestępstwo nie wolno wymierzać kary dwukrotnie. Nie można go ponownie sądzić.

– Tak, tak, jesteś teraz prawniczką. obrończynią w sprawach karnych. I niby tylko ja mam obsesję?

Nie wiedziała, jak mu wyjaśnić, że nie została prawniczką, by pomścić Jessicę lub oczyścić z zarzutów Bobby'ego. Zrobiła to dla siebie. Tamta sprawa już jej nie obchodziła. Była tego tak absolutnie pewna, że aż się zagotowała.

– Ten fantastyczny nowy dowód, który rzekomo posiadasz... Co to jest?

– Nie mogę teraz o tym mówić.

Prychnęła.

– Nie mogłeś mówić o tym wcześniej, nie możesz mówić o tym teraz...

– To skomplikowane. Muszę poczekać na... – Czemu był, do cholery, taki tajemniczy? – Jutro. W trakcie programu. Obiecuję, że wtedy wszystko wam powiem.

– Żebym cię dobrze zrozumiała... – Zaczęła krążyć po pokoju, jakby to była sala sądowa. – Latami obsesyjnie badałeś tę sprawę, ale nie podzieliś się ze mną tym wstrząsającym znaleziskiem, natomiast bez wahania opowiesz o nim na wizji?

– Czego się boisz?

– Niczego.

– A ja słyszę coś innego. Moim zdaniem w głębi serca obawiasz się, że mam rację i miałem ją od początku. Właśnie dlatego tu przyjechałaś. Nie po to, żeby wypić drinka z dawnymi znajomymi, i nie po to, żeby ze mną poflirtować. Przyjechałaś, bo drętwiejesz na samą myśl o tym, że być może będziesz zmuszona przyznać, że owszem, całkiem możliwe, że nie miałaś racji.

Nie do wiary, że stać go było na taką bezczelność.

– Racji? Sądzisz, że kiedykolwiek się dowiemy, co naprawdę stało się z Jessicą? Nie dowiemy się. Nie ma żadnej ostatecznej, wszechogarniającej odpowiedzi. Nigdy nie zyskamy pewności.

Pokręcił głową.

– A ja ci mówię, że to wiem.

– Dobra. Załóżmy, że wiesz. Bobby Nock faktycznie zamordował Jessicę Silver, a my wypuściliśmy go z aresztu. Pierwszy raz w historii czarnego chłopaka z Los Angeles nie skazano za zbrodnię, którą faktycznie popełnił.

W drugą stronę to codzienność, natomiast w tę to niesprawiedliwość, z którą gotów jesteś walczyć do śmierci. Poważnie? Tak cię to uwiera?

Stał przed nią bez ruchu.

– Kurwa. Mać. Tylko dlatego, że akurat jestem czarny, mam się pogodzić z tym, że zabójcy dzieci uchodzi płazem... Bo akurat ten drań też przypadkiem jest czarny? Nie. Ten świat rządzi się jakimiś zasadami. I nie chodzi mi o prawo, do diabła z prawem! Chodzi mi o zasady określające nasze człowieczeństwo. Bobby Nock je złamał. Popełnił coś niewybaczalnego. A ty chcesz, żeby chodził wolno, bo innych czarnych niesłusznie skazano? Mówisz o niesprawiedliwości? Udajesz rasowo oświeconą, bo zaprosiłaś mnie do swojego pokoju i zastanawiałaś się, czy się ze mną nie przespać, a w kolejnym zdaniu mówisz mi, że skoro jestem czarny, to mam puścić zabójcę wolno? Pierdol się.

Mai odebrało głos. Palce jej zadrżały, a oczy wypełniły się łzami.

Rick zobaczył, jaki efekt wywarł swoją przemową. Westchnął.

– Nie chciałem...

– Wyjdź.

– Uspokój się.

– Kazałam ci, kurwa, wyjść.

Zniknęły wyrzuty sumienia, które chyba przez moment poczuł.

– Nie powtarzaj tego.

– Czego?

– Nie wycofuj się, gdy rozmowa przybiera niewygodny obrót.

Nie tak opisałyby to, co wydarzyło się między nimi przed dziesięciu laty, ale nie zamierzała powtórnie analizować tego, co zaszło ostatnim razem, gdy wspólnie siedzieli w tym pokoju. Jeszcze kilka minut wcześniej chciała tylko spędzić trochę czasu z Rickiem poznanym tamtego ranka – Rickiem, który ją rozśmieszył pierwszego dnia procesu. Nie zamierzała dyskutować ze stojącym przed nią człowiekiem, który jej nienawidził – być może prawdziwie i do głębi – w sposób, jakiego nie umiała znieść.

– Wyjdź – powiedziała.

Był wyraźnie wściekły, jakby do tej pory powstrzymywał kipiący w nim gniew i wreszcie postanowił dać mu ujście.

– Nie. Nie pozwolę na to. Nie uciszysz mnie tylko dlatego, że boisz się rozmowy o tym, jak wyglądamy: ty, ja, Bobby Nock i Jessica Silver. Rozmowy politycznie niepoprawnej.

Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Jedno z nas wychodzi: albo ty, albo ja.

– Zaczekaj – powiedział.

Spojrzała mu prosto w oczy, próbując wymyślić ostateczną, celną zniewagę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Wyszła na jasno oświetlony korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi.

W lobby było pełno ludzi. Spuściła głowę. Nie chciała, by ktokolwiek dostrzegł łzy, których nie umiała powstrzymać.

Szła szybko chodnikiem, nie wiedząc właściwie dokąd. Chciała już tylko znaleźć się jak najdalej od koszmarne go pokoju.

Co ona sobie myślała, zapraszając go ot tak na górę? Była równie wściekła na siebie jak na niego. Zapewne krążył teraz po pokoju, wyczekując jej powrotu, by po raz kolejny móc oskarżyć ją o zrujnowanie mu życia.

Co za taktyczne męczeństwo! Doprawdy, biedaczek. Wytoczył przeciw niej najcięższe działa, chociaż przecież nie mówił poważnie. Próbował ją po prostu zranić.

Musiała zatrzymać się na światłach. Otarła łzy. Chłodne nocne powietrze otrzeźwiło ją i uspokoiło.

Centrum miasta po zmroku. Kiedy pierwszy raz zjawiała się w Los Angeles, nie знаła nikogo, kto tak późno by się tu zapuszczał. Ta akurat dzielnica była nieprzyjaznym zbiorowiskiem na wpół opuszczonych biurowców sąsiadujących ze Skid Row, jednym z największych skupisk bezdomnych w Stanach Zjednoczonych. Prawnicy i księgowi zatrudnieni w szklanych wieżowcach czmychali stąd po zmierzchu, wabieni jak ćmy odległym blaskiem San Fernando Valley.

Zaledwie kilka przecznic od hotelu Maya natknęła się na tłum ludzi zgromadzonych przed Muzeum Silvera. Ten fragment miasta był zaniedbaną betonową pustynią, ziemią niczyją nieopodal węzła dwóch autostrad. Dzięki dotacji Lou Silvera w wysokości czterystu milionów dolarów stał się siedzibą najwspanialszego muzeum sztuki nowoczesnej na Zachodnim Wybrzeżu. Wstęp był wolny, ale na wejściówki zapisywano się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Wszystkie dzieła sztuki zgromadzone w tym trzypiętrowym budynku pochodziły z prywatnej kolekcji Lou Silvera. Ratusz przekazał miliardero wi działkę za symbolicznego dolara, ten zaś postawił sobie pomnik własnej szczodrobliwości.

Na błoniach odbywał się akurat jakiś koncert. Ze sceny wylewały się rozwibrowane dźwięki syntetyzatorów, tłum kołysał się rytmicznie. Maya szła dalej, wchodząc pod estakady. Budowa węzła drogowego stworzyła całe mnóstwo jałowych nieużytków, jakby ziemi było za dużo, by troszczyć się o jej sensowne zagospodarowanie. Pejzaż miasta upstrzyły spłachetki niekoszonych trawników i betonowych ugorów bez adresu i bez właściciela, bez jakiegokolwiek funkcji wykraczającej poza bycie pomiędzy. Idąc pod wiaduktem, Maya pomyślała, że w tym mieście czuje się czasem jak na granicy dwóch światów.

Jessica Silver zniknęła zaledwie kilka przecznic stąd. Podczas procesu przedstawiono bardzo techniczną dokumentację ostatniego logowania jej telefonu komórkowego – trudne obliczenia mające coś wspólnego z triangulacją nadajników BTS. Jessica prawie na pewno była gdzieś w pobliżu, na tych dzikich rubieżach śródmieścia, zanim jej telefon wyłączono. Nigdy więcej nikt jej nie widział.

Od tamtej pory wzniesiono kilka nowych wieżowców, które lśniły teraz pośród nocy. Budynek koreańskich linii lotniczych wcinał się w atramentowe niebo łukiem przypominającym rekiną płetwę. Dwanaście lat temu Lou Silver był na najlepszej drodze, by zbawić Los Angeles. Osobiście odbudował historyczne centrum miasta, przez długi czas porzucone i zaniedbane, tymczasem miasto połączyło jego jedynaczkę. Cokolwiek zdarzyło się od tamtej pory – cokolwiek przytrafiło się Silverom, Mai, Rickowi i pozostałym ławnikom, i temu krajowi, który raz po raz skazywał się na coraz gorsze decyzje – Los Angeles rozkwitło.

Świat zaczął sprawiać wrażenie gry o sumie zerowej. Przypływ nigdy nie podnosił wszystkich łodzi, wiedziała o tym doskonale, lecz teraz wystarczyło, by podniosła się jedna z nich, a reszta przewracała się i rozbijała o brzeg. Bezlitosna fizyka przyczyny i skutku – kilwater po przepłynięciu jednej łodzi stawał się falą przewracającą inne.

Silverowi wiodło się znakomicie. Niemniej stracił dziecko.

A co z Mayą?

Wedle wszelkich obiektywnych kryteriów życie Mai było teraz lepsze. Miała dobrze płatną posadę, nawet lepiej: prawdziwy zawód odpowiadający jej zamiłowaniu. Była właścicielką domu nad wodą i posiadaczką konta emerytalnego o korzystnym oprocentowaniu. Może zwycięzców i przegranych amerykańskiego snu faktycznie dzieliła coraz większa przepaść, lecz czy Maya nie znalazła się po właściwej stronie?

Nigdy tego nie odczuła. Miała nadzieję przyczynić się do zaprowadzenia na świecie sprawiedliwości. Został jej lexus w podwójnym garażu i niezajęte miejsce obok.

Spośród wszystkich ironii tej dekady ta była chyba najokrutniejsza. Przy takim wyniku nawet zwyczajcy czuli się fatalnie.

Wróciła piechotą do hotelu. W lobby było prawie pusto i szczęśliwie nie natknęła się na nikogo ze znajomych. Miała nadzieję, że jej nieobecność przeciągnęła się na tyle, by Rick dał sobie spokój i wyszedł z jej pokoju. Gdyby tam na nią czekał, nie wiedziałyby, jak się zachować.

Otworzyła drzwi. W pokoju było cicho i ciemno.

Dzięki Bogu.

Przeszła krótkim korytarzykiem i wymacała włącznik światła.

W blasku żarówki zobaczyła leżące na podłodze ciało. Jakimś cudem zdołała nie krzyknąć.

To był Rick. Ręce miał rozrzucone pod nienaturalnym kątem, białą koszulę splamioną krwią. Wokół głowy rozlała się ciemna czerwona aureola. Na jego dłoni leżała przypinka z napisem NADZIEJA.

Rozdział 4

WAYNE

1 CZERWCA 2009

Pierwszego dnia procesu Wayne Russel musiał dotrzeć jako pierwszy do sali obrad ławy przysięgłych. Znalazł się tam przed wszystkimi, by zaklepać sobie miejsce przy oknie.

To musiało być miejsce przy oknie. Żadna inna opcja nie wchodziła w grę. Tej najcenniejszej znanej mu sztuczki nauczył się od swojej psychoterapeutki Avni. Nie zamierzał dopuścić, by ściany zaczęły napierać tak mocno, aż zabraknie mu tchu. Avni nauczyła go, jak uprzedzać takie uczucia.

Czasem ogarniało go wrażenie zamknięcia, uwięzienia – jakby pogrzebano go żywcem. Potem wszystko toczyło się już bardzo szybko. Dlatego trafił do Avni. Głupie nieporozumienie w barze. Musiał się wysikać, ale toaleta była zajęta i po kilkunastu sekundach w tym małym pomieszczeniu śmierdzącym amoniakiem stracił panowanie nad sobą. Wypadł na Sunset Boulevard, chcąc znaleźć jakieś inne miejsce, a kelnerka wezwała policję. Powiedziała, że wybiegł z baru, nie uregulowawszy rachunku. Zeznała gliniarzom, że walił w stojącą przed barem latarnię, jakby był nienormalny. Funkcjonariusze nie robili afery, ale kazali mu zapisać się na wizytę do Avni, której zagracony gabinet znajdował się w wielkim kompleksie szpitalnym przy Wilshire Boulevard.

Nie, wcale nie chciał się spotykać z Avni. Już samo zamknięcie drzwi w jej ciasnym gabinecie sprawiło, że przeszedł go dreszcz. Czego mógł się nauczyć od tej drobnej Hinduski? Nie przeżyła tego co on. Nie murowała basenu dla jakiegoś bogatego gościa z Los Feliz, nie spadła z rusztowania, nie sturlała się ze zbocza i nie uwięzła obiema nogami w siatce ogrodzeniowej. Ratownicy osiem godzin kombinowali, jak go z niej wyciągnąć. Nogi miał tak poranione, że nie chodził przez sześć miesięcy, ale od tamtej pory radził sobie całkiem nieźle, jeśli nie liczyć incydentu w barze. I kilku podobnych. A potem Avni powiedziała: „syndrom stresu pourazowego”, jakby był, kurde, w Faludży czy coś!

Mylił się co do niej. Całkowicie.

Wyjaśniła mu to w taki sposób, że w ogóle nie sprawiało wrażenia terapii w rodzaju „Moja matka była podłą alkoholiczką, więc jestem smutnym przegrywem”. Interesowały ją wyłącznie narzędzia. Sztuczki pozwalające wycisnąć każdy dzień jak cytrynę.

Przykładowo: jak musisz siedzieć w ciasnym pomieszczeniu, wybierz miejsce przy oknie.

Okna w sali obrad ławy przysięgłych zrobiono dla bezpieczeństwa z mrożonego szkła, lecz mimo to czuł na ramionach ciepło słonecznych promieni. Avni powiedziała mu, że światło słoneczne jest dobre, ciepło jest dobre, wrażenia zmysłowe umieszczają człowieka we własnym ciele, dają mu fizyczne poczucie bycia sobą. Słyszał dobiegające z ulicy dźwięki: ciężarówki toczące się po utwardzonej drodze, narastające brzęczenie głosów dziennikarzy, ekip telewizyjnych i gapiów gromadzących się na ulicy. Niebawem miał się rozpocząć proces stulecia, a Wayne jakimś cudem trafił w sam jego środek.

Na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Świetnie sobie poradził z tą salą obrad. Sala sądowa była większa, niż się spodziewał, i miała bardzo wysokie sklepienie. Wymurowanie go musiało być strasznie czasochłonne.

Musi tylko pamiętać o swoich sztuczках i zachować chłodną głowę, a wszystko będzie dobrze.

– Puk, puk. – To były pierwsze słowa prokuratora Morningstara otwierające jego pierwsze wystąpienie. Podniósł wzrok na ławę przysięgłych.

Wayne nie odezwał się ani słowem, podobnie jak pozostali, łącznie piętnaście osób, w tym trzech ławników rezerwowych, którzy po zakończeniu procesu mieli zostać losowo wybrani i zwolnieni. Siedzieli w dwóch rzędach na plastikowych krzesłach biurowych. Wayne żałował, że siedzenia nie są nieco wygodniejsze.

– Kto tam? – ciągnął Morningstar, wypatrując reakcji przysięgłych. – Bobby Nock – ciągnął.

Kolejna chwila niezręcznej ciszy.

– Jaki Bobby Nock?

Morningstar utkwiał wzrok w Wayne i skierował swoją pointę wprost do niego.

– Witamy wśród przysięgłych.

Cicho jak makiem zasiał. Tylko krzesła zatrzeszczały, gdy ten i ów poruszył się na siedzeniu.

Morningstar niezręcznie próbował zachować uśmiech.

– Nikogo nie rozbawiłem? – Odwrócił się do sędziego i wzruszył ramionami: twardzi zawodnicy. Sędzia zdecydowanie nie wyglądał na kogoś, kogo ten żart rozweselił.

Wayne poniekąd podziwiał tupet prokuratora, choć gość wyglądał na faceta, który nigdy w życiu nie opowiedział żadnego dowcipu, najwyżej przeczytał teoretyczny wstęp do rozbawiania słuchaczy kawałami i podjął pierwszą próbę wykorzystania nowych umiejętności w praktyce.

– No cóż – rzekł, odwracając się do ławy przysięgłych. – Nie udało mi się państwa rozluźnić. Chciałem zacząć jakimś żarciem, bo nie będzie to łatwa sprawa. Będą państwo musieli wziąć pod uwagę liczne zeznania. Powierzono wam doniosłe zadanie. W amerykańskim systemie prawnym uznaje się, że ławnicy rozstrzygają o stanie faktycznym. Co to oznacza? – Zrobił wymowną pauzę. – Oznacza to, że usłyszycie dwie opowieści: moją oraz obrońcy Bobby’ego Nocka. Zaprezentuję wam rozmaite fakty i powiem: „Przyjrzyjcie się im uważnie”. Pani mecenas zaprezentuje wam inne fakty i powie: „Nie, to im się przyjrzyjcie”. Jednak nasze opowieści to zaledwie interpretacje. To wy rozstrzygacie o stanie faktycznym i tylko wy możecie powiedzieć, które z tych faktów są najistotniejsze: które z nich są ważne, a które stanowią jedynie szum informacyjny. Zatem cała ta sprawa sprowadza się do odpowiedzi na jedno pytanie: komu dajecie wiarę?

W tym momencie wszyscy – dosłownie wszyscy – obrócili głowy na Bobby’ego Nocka. Wniosek był jasny jak słońce: ten młody mężczyzna nie zasługiwał na zaufanie.

Wayne przyjrzał się natarczywie Bobby’emu Nockowi: młody, czarny, raczej drobny, siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w bezmiernej dali.

Czy to był chłopak, któremu Wayne mógł zaufać?

Skąd miał, u diabła, to wiedzieć?

Morningstar wypalił w nich faktami ze swego arsenału, jakby oddawał długą serię na strzelnicy. Bum! Przeładowanie. Bum! Przeładowanie. Wayne prawie słyszał, jak przy każdym strzale rozpryskują się gliniane rzutki.

Fakt numer 1. W roku szkolnym 2008/2009 dwudziestoczteroletni Bobby Nock pracował na część etatu jako nauczyciel angielskiego w szkole Jessiki Silver.

Fakt numer 2. Bobby Nock i Jessica Silver niejednokrotnie spędzali razem czas po szkole bez niczyjego nadzoru.

Fakt numer 3. Wiadomości wymieniane przez Bobby'ego Nocka i Jessicę Silver – wydobyte po jej zniknięciu z chmury obliczeniowej przez służby informatyczne FBI i Verizon – zawierały treści i zdjęcia o charakterze seksualnym.

Fakt numer 4. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, co dzieje się pomiędzy Bobbym a Jessicą, Bobby zostałby wyrzucony z pracy i nie mógłby zostać ponownie zatrudniony w oświacie.

Fakt numer 5. Bobby początkowo zeznał w komisariacie, że tego popołudnia, gdy zaginęła Jessica, był w bibliotece publicznej miasta Los Angeles, jednak nagrania z bibliotecznego monitoringu pozwoliły stwierdzić, że to nieprawda.

Fakt numer 6. Bobby, nakryty na kłamstwie, nie umiał przedstawić policji żadnego alibi, które można by zweryfikować.

Fakt numer 7. Tamtego popołudnia ktoś zadzwonił z telefonu komórkowego Jessiki na telefon stacjonarny w jej domu. Nikt nie odebrał połączenia, a dzwoniący nie zostawił wiadomości. Triangulacja pozycji telefonu komórkowego pozwoliła stwierdzić, że w chwili wykonywania połączenia znajdował się on w centrum miasta. Szkoła Jessiki mieściła się w Santa Monica, a jej dom w dzielnicy Brentwood, natomiast mieszkanie Bobby'ego Nocka znajdowało się w śródmieściu – właśnie tam, skąd wykonano połączenie.

Fakt numer 8. W samochodzie Bobby'ego na fotelu pasażera odkryto włosy, których DNA odpowiadało DNA Jessiki.

Fakt numer 9. W samochodzie Bobby'ego na fotelu pasażera odkryto plamę krwi, której DNA odpowiadało DNA Jessiki.

Fakt numer 10. W bagażniku samochodu Bobby'ego odkryto plamę krwi, której DNA odpowiadało DNA Jessiki.

Kiedy fakty przedstawiano w taki sposób, jeden po drugim, dopasowane jak puzzle, tworząca się z nich historia wydawała się równie kompletna i wyraźna jak ukończona układanka.

Gibson, młoda obrończyni, roztaczała wokół siebie atmosferę chłodu i surowej dyscypliny. Nie wyglądała na kogoś, kto zamierza marnować czas na opowiadanie kiepskich dowcipów. Całe jej przemówienie Wayne podsumowałby jednym słowem: „wątpliwości”.

Krążyła po sali, wyjaśniając im, że istnieją poważne wątpliwości co do każdego punktu aktu oskarżenia. Każdy niezbity fakt był w istocie znacznie bardziej niejednoznaczny, niż mogłoby się wydawać. Dostrzegłszy tę wieloznaczność „faktów”, które niekoniecznie miały takie znaczenie, jakie chciał nadać im oskarżyciel, nie sposób było przyglądać się tej sprawie tak samo jak wcześniej.

Dla Gibson wątpliwości były jak grzyb w zawilgoconym tynku: kiedy się pojawił, nie dawało się go usunąć. Żadnym sposobem.

Wayne nie był idiotą. Wiedział, do czego zmierza obrończyni. Gdy skończyła, żaden z ławników nie dałby sobie uciąć ręki nawet za nazwisko panięskie własnej matki.

Pod koniec pierwszej przemowy obrończyni padło stwierdzenie, które zagnieździło się w głowie Wayne’a. Gibson zapowiedziała, że będzie do niego wracać co jakiś czas, aż do zakończenia procesu.

– Pomyślicie, że jestem jak zdarta płyta, ale będę to powtarzać, bo to bardzo ważne: nigdy nie odnaleziono ciała Jessiki Silver.

A zatem istniały wątpliwości nie tylko co do tego, że to Bobby zabił Jessicę – można było niebezpiecznie podejrzewać, że Jessica wciąż żyje.

Sędzia nie zezwolił im na posiadanie notesów i długopisów do sporządzania notatek. Drugiego dnia procesu ławniczka 272, pewna siebie biała dziewczyna o ciemnych włosach, podniosła rękę, by o to zapytać: jak mieli to wszystko zapamiętać – szczegóły dotyczące DNA, cząsteczek na milion i rozpisanego co do sekundy przebiegu zdarzeń – jeśli nie mogli sporządzać notatek? Sędzia powiedział jednak, że papier i długopis mogą ich rozpraszać; powinni starać się jak najlepiej wszystko zapamiętać, a gdyby mieli pytania już w trakcie samych obrad ławy przysięgłych, zawsze mogą poprosić sekretarza sądu o odczytanie odpowiedniego fragmentu protokołu.

Wayne uznał, że to szaleństwo, ale jakiś tydzień później zaczęło ono nabierać sensu. Jeśli wszyscy będą coś zapisywać, jakie jest prawdopodobieństwo, że każde z nich zapisze coś innego? Ławniczka 106, stara, wścibska Meksykanka, mogłaby zapisać, że biegły od kwestii DNA

powiedział jedno, tymczasem ławniczka 429, Latynoska, która pewnego dnia upiekła dla wszystkich babeczki, zapisała, że ten sam biegły powiedział coś innego, a wtedy ich położenie stałoby się jeszcze gorsze. Nie uzgodniliby nie tylko werdyktu, ale i tego, co w ogóle powiedziano na sali sądowej.

Zważywszy na okoliczności, pierwsze tygodnie poszły całkiem nieźle. Codziennie na kilka godzin wyprowadzano ich z sali sądowej, by prawnicy mogli się spierać o „kwestie prawne i proceduralne”, jak to określił sędzia, ale gdy ławnicy wracali na salę, Wayne zostawiał na krześle pod oknem torbę albo kurtkę, aby po powrocie nikt go nie podsiadł.

Woźny Steve – poprosił ich wszystkich, by zwracali się do niego po imieniu – skomplementował go, że taki z niego ranny ptaszek; powiedział, że sam też lubi zerwać się skoro świt. Biały, na oko po czterdziestce, miał niemodne, leciutko przyprószone siwizną wąsy. Sprawiał wrażenie uczciwego do szpiku kości.

I wtedy, po trzech tygodniach procesu, sędzia któregoś ranka wezwał ich do budynku sądu, a Wayne z wyrazu jego twarzy natychmiast wywnioskował, że coś jest nie tak.

– Szanowni członkowie ławy przysięgłych – powiedział sędzia. – Obawiam się, że mam dla was niezbyt dobrą wiadomość. Muszę was przeprosić. Mamy wypracowane, sprawdzone procedury mające zapobiegać tego rodzaju sytuacjom i mogę was zapewnić, że władze stanu Kalifornia nie spoczną, póki nie stwierdzą, jak do tego doszło, niemniej... wasze nazwiska wyciekły do prasy.

Wayne miał wrażenie, że słyszy dźwięk wysysanego z sali sądowej powietrza.

– Wysłałem już funkcjonariuszy policji do waszych domów, by upewnili się, że wasi bliscy są bezpieczni, natomiast chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że jesteśmy przekonani, że nikomu nic nie grozi.

Wayne uznał, że skoro do ich domów wysłano policję, to zdecydowanie komuś coś grozi.

– Zobowiązany jestem podjąć decyzję, której żaden sędzia nie podejmuje pochopnie, muszę jednak stawiać na pierwszym miejscu wasze bezpieczeństwo i dobro postępowania. Na resztę procesu zostaniecie odosobnieni.

Wayne potrzebował sekundy, by pojąć, co to dla niego oznacza. Pozostali sprawiali wrażenie zbyt wstrząśniętych, by zareagować w jakikolwiek sposób, ale gdy sędzia podjął swoją wypowiedź, Wayne wyczuł narastającą panikę. Byli szczurami uwięzionymi na tonącym okręcie. Odruchowo rozejrzał się za najbliższym oknem, ale oczywiście w sali sądowej nie było ani jednego.

– Uważam, że odesłanie was wieczorem do domu byłoby niebezpieczne – powiedział sędzia. – I dotyczy to również najbliższej nocy – dodał. – Krewnym będzie wolno przywieźć wam ubrania, kosmetyki i rzeczy osobiste, których zażyczycie sobie dzisiejszego wieczoru. Potem opracujemy harmonogram odwiedzin.

Odwiedzin. Jakby to oni trafili do więzienia.

– Wiem, że dla nikogo z was nie jest to dobra wiadomość – powiedział sędzia niemal ze współczuciem. – Wiem, że macie własne życie i własne rodziny. Ustalimy, gdzie zostanieie zakwaterowani.

Wayne mieszkał sam. Nie wrócił jeszcze do pracy, bo nadal wypłacano mu odszkodowanie. Sam dotrzymywał sobie towarzystwa i było mu z tym bardzo dobrze.

– Zgodnie z prawem – ciągnął sędzia – nikt nie może stracić pracy z powodu pełnienia obowiązków ławnika. Jednocześnie wszyscy podpisaliście oświadczenia, że nie sprawujecie opieki nad osobami, dla których bylibyście jedynym wsparciem.

Ławniczka 272, siedząca tuż obok Wayne'a, zbladła jak ściana. Wyglądała, jakby skurczyła się w sobie. Wayne chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej dłoni, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, lecz przecież tak naprawdę jej nie znał.

Obejrzał się na 429, Latynoskę, której łzy płynęły po policzkach.

– Sukinsyny.

Wayne'owi wydawało się, że powiedział to bardzo cicho, ale słowo huknęło w sali sądowej jak wystrzał armatni.

Sędzia stuknął młotkiem.

– Spokój. Proszę o spokój. Mam prawo oskarżyć pana o obrazę sądu i nie oznacza to grzywny, lecz karę pozbawienia wolności. Proszę nie zmuszać mnie do sięgania po takie środki.

Na sali zapadło milczenie.

Wściekłość przysięgłych wzrosła, gdy dowiedzieli się, że woźny skonfiskuje im laptopy i telefony komórkowe. Tego wieczoru wolno im

będzie wykonać jeszcze kilka telefonów, żeby poustawić rozmaite sprawy, a potem przysługuje im nie mniej niż jeden telefon dziennie. Wszystkie połączenia będą nadzorowane przez woźnego.

I co mogli z tym zrobić? Nic, kurwa.

Wayne wiedział doskonale, że woźny Steve nie po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Wyobraził sobie, jak przysłuchuje się po kolei wszystkim rozmowom – wszystkich ławników przy wszystkich procesach, które obsługiwał... Ależ się musiał w życiu nasłuchać.

W ciszy odprowadzono ich do sali obrad, gdzie mieli oczekiwać przyjazdu mikrobusu, który miał zawieźć ich do hotelu Omni.

Ich nowego domu. Bóg raczy wiedzieć, na jak długo.

Wayne nie miał nikogo bliskiego, do kogo musiałby zadzwonić. Zastanowił się, czy nie powiadomić Avni, ale przecież wiedziała już, że zasiada w ławie przysięgłych i przez jakiś czas nie będzie się umawiał na wizyty.

Reszta kompletnie spanikowała. Ławniczka 429 była w bardzo kiepskim stanie. Starsza Żydówka próbowała ją pocieszyć, ale z marnym skutkiem.

Wszyscy mieli strach w oczach. To było nie do zniesienia.

– Niech to szlag – powiedział Wayne.

– Dobrze nie jest – rzekł 513, starszy gość w skórzanej kamizelce.

– Moglibyśmy stąd normalnie wyjść – rzucił Wayne. – Od razu. Wszyscy. Zwyczajnie cisnąć to w diabły. Co mogliby nam zrobić?

Propozycja otwartego buntu chyba wszystkim wstrząsnęła.

– Wsadzą nas do pudła – powiedział 158, czarny mężczyzna w okularach.

– Co za różnica, ta klatka czy inna – odparł Wayne.

W gruncie rzeczy nie sądził, by można im było to zrobić. Ale nie byli zwierzętami i nie umieli się pogodzić z tym, jak ich potraktowano.

– A jaki mamy wybór?

Wayne nie wiedział, kto zadał to pytanie, lecz czuł, że wszyscy na niego patrzą. Nie spodobało mu się to uczucie. Czasem protestował, ale to bynajmniej nie oznaczało, że nadaje się na przywódcę rebelii.

Te wszystkie spojrzenia jeszcze bardziej go rozsierdziły.

– No więc po pierwsze, nie sposób połapać się w tych wszystkich numerach. Skoro nasze nazwiska i tak wyciekły do prasy, nie widzę

powodu, dla którego także tutaj nie moglibyśmy normalnie ich używać. Nazywam się Wayne Russel.

Wszyscy popatrzyli po sobie, jakby czekając, czy ktoś ich od razu nie ukarze.

– Sędzia wyraził się jasno – powiedział 158. – Narobimy sobie kłopotów.

Ławnik 158 miał na sobie szykowny sweter i starannie zawiązany krawat. Wayne zauważył już, że to typowy mól książkowy, który na przerwach zawsze zasłania się lekturą. Zaprzyjaźnił się z pełną życia dziewczyną, ławniczką 272. Od początku prawie co dzień jedli lunch tylko we dwoje, chociaż widać było, że ta dziewczyna to dla niego za wysokie progi.

– Ale sędziego tu nie ma – odparł Wayne. – Jesteśmy my. Więc jeśli zależy ci na ludziach przebywających w tej sali, to kogo chcesz słuchać? Jego? Czy nas?

Zanim 158 zdążył odpowiedzieć, wystąpił facet w skórzanej kamizelce.

– Nazywam się Cal Barro. – Wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Wayne'a. – Miło cię poznać.

Zaczęli się przedstawiać wszyscy po kolei, a Wayne usiłował zapamiętać podawane nazwiska: Cal Barro, Carolina Cancio, Maya Seale, Trisha Harold, Lila Rosales, Kellan Bragg, Peter Wilkie, Jae Kim, Fran Goldenberg, Kathy Wing, Yasmine Sarraf, Arnold Dean, Enrique Navarro.

I Rick Leonard. Szykowny pod krawatem przedstawił się jako ostatni, ale nawet on wziął udział – wraz ze wszystkimi – w tym pierwszym akcie buntu.

Gdy tylko skończyli się przedstawiać, rozległo się pukanie do drzwi. To był woźny Steve.

– Gotowi?

Wszyscy umilkli. Patrzyli w bok albo pod nogi, byle nie na postać w drzwiach reprezentującą władzę. Jakby byli dziećmi złapanymi za rękę. Jakby wszyscy co do jednego byli winni.

Rozdział 5

IDIOTKA, NIE KLIENTKA TERAZ

Maya siedziała na brzegu hotelowego łóżka, starając się zajmować możliwie mało miejsca. Ekipa policyjna kręciła się po całym pokoju, robiąc jedno zdjęcie po drugim. Na razie byli bardzo uprzejmi, spokojni i małomówni. Była wdzięczna, że jeden z nich przykrył już ciało Ricka plastikową płachtą.

– Jest pani ranna? – zapytał jeden z umundurowanych funkcjonariuszy. Był wysoki, grubawy i miał pucołowatą twarz dziecka. Jak na policjanta wyglądał zdecydowanie zbyt młodo. Gestem wskazał jej dłonie zwinięte w pięści na kolanach. To wtedy zauważyła, że są całe we krwi.

Zrobiło jej się niedobrze.

– Nie. To jego krew. Dotykałam go.

– Kogo pani dotykała?

– De... Ricka. Znalazłam go. To mój pokój.

– Już to pani mówiła.

– No tak. Jasne. Przepraszam. – Odzyskała równowagę. – Dotknęłam go. Położyłam mu ręce na szyi. Próbowałam wymacać puls. Chciałam sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc...

– I pomogła pani?

– Nie, bo on... To znaczy nie... Nic już nie mogłam zrobić.

– Czy jeszcze żył, gdy go pani dotknęła?

– Nie.

– Skąd pani wie?

– Nie dało się wyczuć pulsu.

Maya spojrzała na swoje zakrwawione palce, po czym wstała i skierowała się w stronę łazienki.

Starszy policjant z siwymi włosami obciętymi na jeża zastąpił jej drogę.

– Przepraszam, czy mogłaby pani chwileczkę poczekać?

– Ja tylko... Ta cała krew, chciałam umyć ręce.

Czuła się brudna.

– Musimy pobrać próbkę – powiedział policjant o twarzy dziecka.

– To krew Ricka – odparła Maya. – Po co mielibyście pobierać próbki...?

Dopiero wtedy rozpoznała zwodniczo przyjazny wyraz twarzy pucołowatego. To było miejsce zbrodni, a ona była podejrzaną. Ta konstatacja pozwoliła jej zebrać myśli. Maya odsunęła od siebie obraz zakrwawionej głowy Ricka i jego bezwładnego ciała. Rozgrywająca się wokół niej scena nie była już surrealistycznym, niemieszczącym się w głowie horrorem, ale jej pracą.

Funkcjonariusze wykonywali swoją robotę. Ona będzie musiała wykonać swoją. Oskarżoną będzie reprezentować pani Seale i pani Seale zdaje sobie sprawę, że jej klientka powiedziała już o wiele za dużo. Co w tym momencie powinna zrobić Maya? Przede wszystkim się zamknąć.

Czystym palcem założyła sobie za ucho kosmyk włosów.

– Czy jestem aresztowana? – zapytała.

– Śledczy będą tu lada moment – odparł obcięty na jeża.

– Ellen! – zawołał pucołowaty do techniczki pochylonej nad ciałem. – Czy możemy poprosić o wacik?

Ellen podeszła czujnie.

– Może spróbujemy panią obmyć...

– Jeśli nie jestem aresztowana, chciałabym wyjść.

– Może tylko zmyjemy tę krew.

– Jeśli mnie aresztujecie – powiedziała Maya – do czego macie prawo, chciałabym rozmawiać z moim adwokatem. Jeśli nie, nie wyrażam zgody na pobieranie żadnych próbek. Miłego wieczoru.

Podeszła do drzwi. Pucowaty zastąpił jej drogę. Niechętnie odczepił od pasa kajdanki.

– Chyba nie chce mnie pani zmusić, bym ich użył?

Maya zerknęła na kajdanki. Metalowe, starego typu. Wyglądały tak, jakby od wieków nikt ich nie używał.

Doskonale.

Wyciągnęła ręce przed siebie, pokazując zakrwawione nadgarstki.

No dalej, pomyślała. Przecież aż się palisz, żeby mi je założyć...

Policjant z westchnieniem zatrzasnął jej kajdanki na nadgarstkach.

– Zostaje pani aresztowana w związku z prowadzonym śledztwem. Zostanie pani przewieziona na posterunek policji. Proszę nie robić trudności.

Nie zacisnął kajdanek zbyt mocno. Nie sądził, by mogła stwarzać jakiegokolwiek zagrożenie. Po prostu dopełniał irytujących formalności.

Powstrzymał Ellen gestem, sygnalizując jej, że pobiorą próbki w komisariacie. Maya skorzystała z okazji, by ukradkiem wetrzeć nieco krwi w metalowe kajdanki; zanieczyszczała w ten sposób wszelkie próbki, jakie mogliby pobrać. Któż mógł wiedzieć, czyje DNA znajdowało się na tych kajdankach? Wszelkie próbki pobrane teraz z jej rąk miały zerową wartość dowodową.

Studia i praca zawodowa nauczyły ją, że należy jak najwcześniej przygotować grunt pod obronę. Gdy przedstawiano akt oskarżenia, karty były już rozdane. Nie postawiono jej jeszcze żadnych zarzutów – nie mówiąc o formalnym oskarżeniu – ale właśnie w tym oknie czasowym należało je korzystnie potasować.

Podniosła wzrok na policjanta.

– Nie mam zamiaru stawiać oporu. Kiedy dojedziemy na komisariat, chciałabym zadzwonić do adwokata. – Skinęła głową w stronę drzwi. – Pan przodem.

Maya siedziała w komisariacie w pokoju przesłuchań – sama – czujna, podniecona i świadoma każdej upływającej sekundy. Gdy kolejny technik wszedł do środka, by zetrzeć z jej rąk krew i zachować ją do badania, wiedziała już, że wygrała.

Wyobrażała sobie, co dzieje się w tym momencie w hotelu. Wszyscy pozostali ławnicy zostali zapewne wyrwani z łóżek i przesłuchani na okoliczność tego, co widzieli. Wyobraziła sobie ich zaspane twarze, gdy otwierali drzwi do swoich pokojów. Czy ktoś z nich przyczynił się do śmierci Ricka?

Jedynymi gośćmi hotelu, którzy – oprócz przysięgłych – wiedzieli o obecności Ricka, byli pracownicy *Miasta morderców*, ci zaś – cokolwiek mówić o producentach programów telewizyjnych – nie mieli żadnego interesu w mordowaniu swojego gwiazdora. Jeśli zaś chodziło o ławników... Niezależnie od animozji dzielących ich przed dekadą, czy którekolwiek z nich naprawdę chciałoby zabić Ricka?

Mayę najbardziej złościło to, że osobą mającą najwięcej powodów, by pragnąć jego śmierci, była ona sama.

Po pierwszej w nocy przybyło dwoje śledczych ubranych po cywilnemu: mężczyzna o latynoskiej urodzie i czarna, nieco starsza od niego kobieta. Z wyrazu ich twarzy Maya wywnioskowała, jaki spektakl zamierzają przed

nią odegrać. I była prawie gotowa im na to pozwolić, choćby po to, by sprawdzić, jak się spiszą.

– Chciałabym rozmawiać z moim prawnikiem, jeśli nie mają państwo nic przeciwko – powiedziała, nim zdążyli otworzyć usta.

Wymienili spojrzenia.

Kobieta zignorowała prośbę.

– Śledcza Rhonda Daisey.

Miała na sobie modne czarne džinsy i sportową marynarkę, która wyglądała na męską. Mówiła głosem tak słodkim, jakby za chwilę zamierzała podzielić się smakowitymi plóteczkami o wspólnych znajomych.

– Martinez – burknął mężczyzna. A więc to on będzie tym złym.

Maya zmilczała.

– Nie pamięta pani, jak się poznałyśmy? – zapytała Daisey.

Maya pokręciła głową.

– Belen Vasquez – powiedziała śledcza. – Kobieta, która obcięła głowę mężowi. Przesłuchiwałam ją. Jest pani jej obrończynią.

Maya skinęła głową.

– A teraz chciałabym rozmawiać ze swoim adwokatem.

– Stwierdziliśmy, że głowa znajdowała się w posiadaniu pani Vasquez – ciągnęła śledcza Daisey. – Raczej nie pozostawiało to zbyt wielkich wątpliwości, prawda?

Maya była pod wrażeniem. To wręcz podręcznikowa strategia, ale Daisey znakomicie ją realizowała. Próbowwała wciągnąć Mayę w rozmowę o czymś pozornie niezwiązanym ze sprawą. Starła się skłonić ją do mówienia w nadziei, że Maya okaże się wystarczająco głupia, by uznać temat za neutralny.

Ale Maya wiedziała, że w kontaktach z policją nie ma tematów neutralnych.

– Chciałabym rozmawiać ze swoim adwokatem. Przekazałam jego numer policjantowi, który przeprowadził aresztowanie.

– Moment, moment – zaprotestowała Daisey. – Nie jest pani aresztowana. To przyjacielska pogawędka. Jednej starej wygi z drugą.

– Na razie przyjacielska – wtrącił Martinez. Przeholował i Mai zrobiło się przykro ze względu na Daisey. Była lepsza od swojego partnera.

– Proszę posłuchać – odezwała się Daisey. – Po prostu musimy się dowiedzieć, co się wydarzyło. Wie pani doskonale, jak to działa: dopóki nie

podsunie nam pani innego podejrzanego, mamy wyłącznie panią.

– Chce pani, żebyśmy się na panią uwzięli? – zapytał Martinez. Miał na sobie ciemny garnitur i ohydny żółty krawat, który wyglądał tak, jakby wybrało mu go jedno z jego dzieci.

Daisey musiała naprawdę podpaść swoim przełożonym, skoro przydzielili jej takiego idiotę.

– Powiedziała pani funkcjonariuszowi, że wyszła z hotelu i poszła na spacer, a kiedy pani wróciła, denat już nie żył, tak? – spytała Daisey. – Proszę więc pomóc nam dociec, kto mógł tam wejść i go zabić, co zwolni nas z konieczności skupiania się wyłącznie na pani.

Daisey zamierzała grać twardo. Nie blefowała. Maya wiedziała, że gdy tylko opuści posterunek, rzucają na nią wszystkie siły.

– Chciałabym rozmawiać ze swoim adwokatem. – Maya urwała, po czym ostatnie słowa rzuciła niemal jak wyzwanie: – Bardzo proszę.

Śledczy byli wytrwalsi, niż się spodziewała. Przez następne pół godziny niestrudzenie zadawali jej pytania o Ricka, zjazd ławników po dziesięciu latach i ten konkretny wieczór. Odpowiadała zawsze tak samo. Pytali przyjaźnie, grozili jej, na powrót uderzali w koncyliacyjne tony, ale ona raz za razem udzielała tej samej odpowiedzi, jakby recytowała mantrę, jakby grała w tenisa i musiała tylko przestać myśleć, pozwolić ciału przejąć kontrolę. Jej mięśnie wiedziały już, co robić.

– Chciałabym rozmawiać ze swoim adwokatem. – Wdech. – Bardzo proszę.

W końcu poddali się i wręczyli jej telefon bezprzewodowy.

– Taryn – powiedziała do swojej zaspanej i zdezorientowanej asystentki, gdy nieszczęsna dziewczyna wreszcie odebrała – zostałam aresztowana. Jestem w komisariacie Central Division. Proszę cię, żebyś zadzwoniła teraz do Craiga. Masz dzwonić do skutku. Obudź go i przekaż mu, że ma tutaj natychmiast przyjechać. Dziękuję.

Powiedziała to tak, jakby prosiła swoją asystentkę o to, by kupiła jej kwiaty.

Maya domyśliła się, że musi być już rano, kiedy drzwi znów się otwały i detektyw Daisey wprowadziła do środka Craiga Rogersa.

Miał na sobie jasnoniebieski garnitur, oczywiście idealnie skrojony. Sprawiał wrażenie wypoczętego.

Bez słowa zaczął uważnie oglądać Mayę. Robił to z tym samym spokojem, uwagą i koncentracją, z jakimi przeglądał szkice jej pism, gdy była jeszcze zwykłą pracownicą kancelarii.

Wiedziała, że szuka w jej wyglądzie czegoś, co mogłoby okazać się później użyteczne – niewyjaśnionego siniaka, rozdarcia bluzki – ale nie miał się o co zaczepić. Maya prezentowała się rozczarowująco dobrze.

Odwrócił się do śledczej Daisey.

– Chcielibyśmy porozmawiać bez świadków, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

Kiedy Daisey wyszła, Craig usiadł naprzeciw Mai i położył jej dłoń na ramieniu.

– To było sprytne – powiedział. – Nie pozwolić im pobrać próbek krwi aż do przyjazdu tutaj. Możliwość zanieczyszczenia... Będą bezwartościowe.

Nawet w tych warunkach komplement Craiga napełnił ją dumą.

– Aresztują mnie?

– Nie dziś – odparł. – Potrzebują czegoś więcej. Musiałabyś zrobić coś głupiego. Jeśli więc chcesz usłyszeć moją poradę prawną, oto ona: spróbuj dalej nie robić nic głupiego. – Serdecznie uścisnął jej przedramię. – No dobrze. Pozwolisz, że się stąd, do cholery, wyniesiemy?

W południe Maya obudziła się we własnym łóżku na dźwięk dzwonka u drzwi. Pierwszą przyjemną myślą było zdumienie. Co też mogła robić we własnym domu, we własnym łóżku, w samym środku dnia roboczego? Lecz gdy tylko wciągnęła spodnie i pospieszyła do drzwi, przypomniał jej się poprzedni wieczór.

Kiedy już opuścili komisariat, Craig kazał kierowcy zawieźć Mayę do domu w dzielnicy Silver Lake, a jej samej polecił zdrzemnąć się choćby kilka godzin. Nie zamierzał przeprowadzać rozmowy z klientką, która nie spała przez ostatnią dobę – kimkolwiek by była.

Otworzyła drzwi i zastała w progu Craiga trzymającego w dłoniach dwa białe papierowe kubki luksusowej kawy. Wręczył jej jeden z nich i wszedł za nią do środka.

Prześlizgnął się wzrokiem po jej kuchni. Za oknami sięgającymi od podłogi do sufitu rozlewały się wody jeziora Silver. Po utwardzonej drodze truchtali biegacze, a ich jaskrawe ciuchy lśniły jak neony.

– To jezioro Silver? – zapytał.

– Tak.

Wydawał się usatysfakcjonowany.

– Dzisiaj jest znacznie ładniejsze.

Kiedy poszła wziąć prysznic i się ubrać, pochylił się nad swoim iPhone'em. Gorąca woda była bardzo miła, dopóki Maya nie zamknęła oczu. Gdy tylko zacisnęła powieki, pojawiły się pod nimi zwłoki Ricka: nienaturalnie rozrzucone ręce i szkarłatna aureola. Przekręciła gałkę do końca w kierunku zimnej wody. Gdyby teraz zaczęła głębiej zastanawiać się nad tym, co zaszło, mogłaby się całkiem rozsypać.

Kiedy znów poczuła się mniej więcej sobą – a przynajmniej zaczęła na siebie wyglądać – wróciła do salonu, gdzie Craig siedział spokojnie na kanapie, obsługując jednocześnie dwa iPhone'y. Rozmnożyły się, kiedy brała prysznic.

Wygasił oba telefony i odłożył je ekranami w dół na kanapę, w pełni koncentrując się na Mai.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie zabiłam...

– ...i w tym miejscu ci przerwę – wszedł jej w słowo. Otworzył aktówkę, którą wcześniej położył na niskim stoliku, po czym wręczył jej kartkę papieru i długopis. – Najpierw chciałbym, żebyś mnie formalnie zatrudniła.

Odruchowo przeleciała wzrokiem umowę. Była identyczna z tą, którą wręczała wszystkim swoim klientom. Podpisała się na dole.

– Wyszłam się przejść – powiedziała Maya. – Możemy znaleźć kamerę monitoringu, która mnie uchwyciła, albo kogoś, kto był akurat w lobby, kiedy wracałam. Możemy...

Uniósł dłoń, jakby kierował ruchem.

– Wiem, co powiedziałaś funkcjonariuszom w hotelu. Dostaniemy nagrania ze wszystkich firm i instytucji działających w pobliżu. Ale oczywiście przekazując funkcjonariuszom te informacje, byłaś w szoku. Teraz, skoro już doszłaś do siebie... Wiesz doskonale, jak to działa. Zastanów się dobrze, co chcesz mi powiedzieć.

Nie musiał mówić nic więcej. Wszystko, co od tej chwili Maya powie Craigowi, ograniczy mu pole manewru, jeśli zostanie oskarżona o zamordowanie Ricka. Zgodnie z kalifornijskim prawem prezentowanie linii obrony będącej – zgodnie z najlepszą wiedzą prawnika – kłamstwem jest nieetyczne. Craig potrzebował swobody działania, by stworzyć narrację będącą adekwatną odpowiedzią na dowolne dowody, które przedstawi ostatecznie prokuratura.

– Wyjaśniam to swoim klientom mniej więcej tak – powiedziała – że jeśli powiedzą mi, że byli w Disneylandzie, nie będę mogła przekonywać sądu, że byli na Księżycu.

Niewinnemu często najtrudniej było skonstruować dobrą linię obrony. Ludzie niewinni mieli ochotę wykrzykiwać publicznie całą prawdę o tym, co się wydarzyło, lecz z prawniczego punktu widzenia prawda bywała nie najlepszą linią obrony.

Maya pamiętała, że zbyt wczesne przedstawienie swojej wersji zdarzeń było pierwszym błędem Bobby’ego Nocka. Podczas pierwszego przesłuchania prowadzonego przez policję Los Angeles nie miał jeszcze adwokata. Powiedział funkcjonariuszom, że w chwili zaginięcia Jessiki był w bibliotece publicznej, lecz nagrania wideo dowiodły, że to nieprawda. Ułożył swoją historię, zanim się dowiedział, jakie dowody zgromadziła policja, natomiast jego wersja zdarzeń nie zgadzała się z faktami.

Craig nie zamierzał dopuścić, by Maya popełniła ten sam błąd.

– Poczekajmy, sprawdźmy, co ma policja – powiedział. – Wtedy ci opowiem, jak wygląda twoja wersja zdarzeń.

– A co mają do tej pory?

Wychylił się do przodu.

– Pan Leonard, twój były kolega z ławy przysięgłych, został zabity w twoim pokoju hotelowym. Jego ciała nie przenoszono. Zadzwoiłaś na numer alarmowy o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt sześć. Producenci programu dysponują nagraniem, na którym pan Leonard wychodzi z restauracji na dole o godzinie dwudziestej trzydzieści osiem. Ty wyszłaś kilka minut wcześniej, o dwudziestej trzydzieści dwie. Powiedziałaś już policji, że spotkaliście się w twoim pokoju, prawda?

Maya była zażenowana tą podwójną głupotą: najpierw zaprosić Ricka do pokoju, a potem powiedzieć o tym policji.

– Tak.

Craig westchnął.

– Wróćmy do tego. Dalej: Rick zginął wskutek uderzenia tępym narzędziem w głowę. Rana znajduje się na potylicy. Jeden cios, mocny i zdecydowany, doszedł aż do mózgu. Znalezione krew na krawędzi biurka. Kąt tej krawędzi wydaje się odpowiadać głębokości rany.

– A więc potknął się – stwierdziła Maya, zmuszając się do tego, by beznamiętnie przeanalizować tę scenę. – Upadł i uderzył się głową o krawędź biurka.

Craig uniósł brew.

– Albo też, co jest znacznie bardziej prawdopodobne, został pchnięty.

Maya próbowała to sobie wyobrazić.

– Doszło do bójki? Szamotaniny? Upadł i...

– Śmierć nastąpiłaby właściwie na miejscu.

Jeśli zamierzał ją pocieszyć, to tym ostatnim komentarzem trafił jak kulą w płot. Nie chciała, by ją pocieszano. Chciała zdobyć się na zawodową beznamiętność.

– A zatem sądzisz, że to może podpadać pod pozbawienie życia?

Znów skinął głową.

– Nie było śladu, by ktoś wszedł do pokoju z użyciem siły.

Kurde.

– A więc... ktokolwiek tam wszedł... – Pod miazdzącym spojrzeniem Craiga zmieniła front. – Zatem jeśli ktoś wszedł do mojego pokoju i zabił go... to Rick go wpuścił.

– Właśnie.

Craig milczał przez chwilę.

Zapowiadało się niewesoło.

– Mam dobrą wiadomość – odezwał się wreszcie Craig. – Oraz złą.

– Najpierw poproszę złą.

– Zawsze zaczynasz od złej, co? – Pokręcił głową. – Najpierw przekażę ci dobrą, bo nam się przyda. W dwa tysiące dziesiątym roku Bobby Nock został skazany za rozpowszechnianie pornografii dziecięcej. Spędził w więzieniu osiemnaście miesięcy, po czym został zwolniony warunkowo.

To nie była żadna wiadomość.

– Ten zarzut o pornografię dziecięcą był sfabrykowany.

– Jak to?

– Prokurator nie uzyskał skazania za morderstwo, więc dowodził, że może oddzielnie ścigać Bobby'ego za rozbierane fotki, które przesłała mu Jessica. Była nieletnia...

– Rozpowszechnianie?

– Miał telefon komórkowy i laptopa. Przesłał zdjęcia z jednego urzędnika na drugie.

– Do rozpowszechniania potrzeba drugiej osoby.

– Telefon komórkowy był zarejestrowany na jego matkę.

Craig wzniósł oczy do nieba, jakby tupet oskarżyciela naprawdę zrobił na nim wrażenie.

– Nie bawiliście się tam w uprzejmości.

– Prokuratura stanęła na głowie, żeby wsadzić Bobby’ego za cokolwiek. Sędzia zezwolił na proces bez udziału ławy przysięgłych, powołując się na rozgłos, jaki towarzyszył sprawie o morderstwo. Tryby sprawiedliwości obracały się tym razem tak skutecznie, jak to było możliwe.

Takie rzeczy kompletnie wytrącały Craiga z równowagi. Ledwie skrywał i dość łatwo ujawniał obrzydzenie podsycane przez lata obserwowaniem tego, jak aparat sprawiedliwości bezkarnie pozwala sobie na demonstracje siły.

– Teraz wyjaśnij mi, jakim cudem ta wiadomość jest dobra.

Craig skinął głową.

– Bobby Nock zniknął.

– W jakim sensie zniknął?

– W takim sensie, że kilka miesięcy temu... Momencik, zaraz sprawdzę. – Ujął jeden ze swoich iPhone’ów i przeszkrolował aż do poszukiwanej informacji. – Pięć miesięcy temu Bobby Nock złamał zasady zwolnienia warunkowego. Jako zarejestrowany pedofil miał meldować się raz w tygodniu u swojego kuratora. Pięć miesięcy temu nagle się nie pojawił. Policja pojechała do jego domu, ale nic nie znalazła. Zapadł się pod ziemię.

– Jak to możliwe, by ktoś taki jak Bobby Nock po prostu zniknął?

– Kiedyś reprezentowałem takiego faceta, trenera siatkówki dziewcząt w gimnazjum, odsiadywał trzy lata za... no, możesz sobie wyobrazić. Ale całe to obchodzenie sąsiadów po każdej przeprowadzce, żeby im powiedzieć, że jest gwałcicielem dzieci... Już nie mógł tego znieść. Wyjechał ze stanu, zmienił nazwisko... Niewiele mamy narzędzi, żeby wyśledzić takich ludzi. Kartoteki pedofilów prowadzone są przez poszczególne stany.

– Ale Bobby Nock jest sławny.

Craig wzruszył ramionami.

– A gdzie mieszka Robert Blake?

Maya zmarszczyła brwi.

– Ten aktor, który zabił żonę? Nie wiem.

– No właśnie. A co z George’em Zimmermanem? Amandą Knox?

– Ona tego nie zrobiła.

– Chcę tylko powiedzieć, że gdybyś zobaczyła którekolwiek z nich na ulicy, w nowym uczesaniu... Rozpoznałabyś? Kiedy już sprawa przyschnie... Dalej się o tym mówi, pamięta się nazwisko. – Nie umiała

zgadnąć, czy ma na myśli ją. – Ale tak naprawdę interesuje to już tylko bliskich ofiary, zwolenników teorii spiskowych i blogerów.

– No i ławników, jak mieliśmy okazję się przekonać – dodała Maya.

– I przypadkowych podcasterów. Na przykład twoich nowych znajomych z *Miasta morderców*. Próbowali namierzyć Bobby’ego przed programem. Bezskutecznie. Jak już powiedziałem, to dobra wiadomość.

– Zdążyłeś już z nimi porozmawiać?

– Z kim?

– Z producentami?

– Mike i Mike z nimi rozmawiali. – Craig zatrudniał teraz dwóch prawników o imieniu Mike. Jeden z nich skończył właśnie prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim, drugi na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, obaj byli masywnymi blondynami, którzy tyrali jak woły i pili za pięciu. Jeden nosił okulary, drugi szkła kontaktowe, ale poza tym w pierwszej chwili trudno było ich od siebie odróżnić. Zamiast przydzielać ich do różnych zadań, Craig z jakąś perwersyjną przyjemnością utworzył z nich zespół. Dopilnował, by stali się nierozłączni.

Maya była prawie pewna, że Mike i Mike szczerze się nie znosili.

Skoro zaangażowano już Mike’a i Mike’a, zapewne w sprawę włączono również kilku innych pracowników kancelarii. Dochodzeniowcy kancelarii przeprowadzą rozmowy ze wszystkimi osobami przesłuchanymi przez policję. Praktykanci przegryzą się przez wszystkie protokoły. Jeśli Maya próbowała oddzielić swoje życie zawodowe od procesu Bobby’ego Nocka... No cóż, jej próby spełzły na niczym. W tym momencie wszyscy ławnicy zasiadający z nią w ławie przysięgłych mieli już własne teczki z aktami w gabinecie Craiga. Wkrótce jej współpracownicy będą wiedzieli o tych ludziach rzeczy, o których Maya nigdy nie słyszała. O niej również.

Craig jakby czytał w jej myślach.

– Sądysz, że nie kazałem wszystkim rzucić wszystkiego w diabły i zająć się twoją sprawą?

Maya wiedziała, że powinna podziękować, ale upokarzała ją myśl o tym, że tylu jej współpracowników grzebie teraz w jej życiu.

Craig sprawiał wrażenie kogoś, kto ma na głowie ważniejsze sprawy niż pochylanie się nad jej uczuciami.

– Z perspektywy kogoś postronnego są tylko dwie osoby, które mogłyby życzyć sobie śmierci Ricka Leonarda: ławniczka, którą przez wiele miesięcy atakował w prasie...

– Czyli ja.

– ...oraz człowiek skazany za upowszechnianie pornografii dziecięcej i oskarżony o zamordowanie Jessiki Silver, przerażony tym, że Rick znalazł nowe dowody, które mogłyby ostatecznie potwierdzić wysuwane przeciw niemu zarzuty.

Maya się skrzywiła. To nie była przekonująca teoria.

– Nie podoba ci się? – zapytał Craig. – To była właśnie dobra wiadomość.

– Po pierwsze – powiedziała Maya – Bobby Nock nie jest mordercą.

– Z całym szacunkiem, ale jesteś jedyną osobą w Stanach Zjednoczonych, która tak sądzi.

– Po drugie, chcesz bronić tezy, że Bobby Nock wyszedł z ukrycia, by wślizgnąć się do naszego hotelu, jednego z niewielu miejsc na świecie, w którym przebywało co najmniej kilkanaście osób, które rozpoznałyby go na pierwszy rzut oka, aby zabić Ricka, zanim ten zdąży zdradzić światu, jakie rzekomo znalazł dowody?

Craig sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ma żadnych zastrzeżeń co do wiarygodności swojej historii.

– Nie muszę udowadniać, że to prawda. Muszę jedynie dopilnować, by nie zdołali nam udowodnić, że to nieprawda.

Maya przeczesła włosy palcami. Jeśli nie mieli lepszego wyjścia, nie wyglądało to kolorowo.

Może „potknął się i upadł” naprawdę było najlepszą narracją?

– Ale mówiłeś też, że masz złą wiadomość?

Craig oparł ręce na kolanach.

– Jeden z ławników złożył na policji oświadczenie, że dziesięć lat temu łączyły cię z denatem relacje o charakterze seksualnym.

Zachowała kamienną twarz.

– Kto tak powiedział?

– Mike i Mike próbują dojść.

Myśl o tym, że Mike i Mike rozpytują właśnie o szczegóły jej intymnych relacji, postawiła jej włosy na głowie. Wyobraziła sobie, jak milcząco wymieniają spojrzenia, sumiennie wpisując do akt sprawy plotki na jej temat. Wyobraziła sobie stażystów poprawiających literówki w raportach, asystentów oglądających uważnie kopie wszystkich tych plugawych stron... Żenujące.

Lecz to akurat był najmniejszy z jej problemów.

– Nasz zespół ułożył historię, w myśl której podczas procesu Bobby’ego Nocka miałaś romans z Rickiem Leonardem – ciągnął Craig. – Utrzymywałaś to w tajemnicy przed wszystkimi: przed rodziną, przyjaciółmi i pozostałymi ławnikami. I oczywiście przed sędzią, który w mgnieniu oka wykopałby was oboje ze składu ławy przysięgłych.

Mówił spokojnie i rzeczowo, ale na jego twarzy malowało się wyczekiwanie. Najwyraźniej chciał uzyskać możliwie dużo szczegółów. Jak miała mu to wszystko wyjaśnić?

– To skomplikowane – powiedziała bez przekonania.

Craig uznał to za potwierdzenie opisaney historii i przyjął do wiadomości, nie oceniając jej postępowania.

– To zła wiadomość, bo w takiej sytuacji prokuratura nie będzie utrzymywać, że Ricka Leonarda zabiła w akcie zemsty ławniczka zasiadająca razem z nim w tej samej ławie przysięgłych, lecz była kochanka w afekcie. – Na chwilę zawiesił głos. – Taką wersję łatwiej będzie przyjąć... ławie przysięgłych.

Ironia była nieunikniona.

Maya czuła się jak idiotka, która się powtarza, ale co właściwie miała zrobić?

– Mówię ci, że ja... – Urwała, starannie ważąc słowa. – Ktoś musiał wejść do mojego pokoju po tym, jak wyszłam.

– Nie jestem jeszcze przekonany, czy to najkorzystniejsza dla nas wersja wydarzeń.

– Co?

– Ta wersja o byłym kochanku mogłaby zadziałać na naszą korzyść.

– Jak to?

– Możemy obstawać przy samoobronie.

Maya utkwiała w nim wzrok.

– Chcesz, żebym oświadczyła, że zabiłam Ricka Leonarda w samoobronie?

– Jeszcze nie wiem. Ale popatrz na siebie, kobietę twoich gabarytów. Masz w swoim pokoju wściekłego byłego chłopaka, może ileś lat temu złamałaś mu serce i nigdy się po tym nie pozbierał. Wrzeszczy, wyzywa cię, wali pięściami w ścianę... Może ma na koncie jakieś incydenty przemocy domowej? Obawiasz się o życie, nikt nie przybiega na odgłos twoich krzyków, popychasz swojego brutalnego byłego chłopaka na biurko...

Craig sprawiał wrażenie człowieka, który wyobraża sobie, że opowiada to wszystko w sądzie. Jakby przysłuchiwał się, czy jego słowa dobrze zabrzmiały w uszach prawników.

Zacisnął wargi.

– To nie jest zły scenariusz.

Potarła dłonie o siebie. Przyznać się do zabicia kogoś, kogo nie zabiła, by uniknąć kary za zabójstwo – to był jakiś nowy rekord szaleństwa. Tym bardziej że Rick nie był człowiekiem opisanym przez Craiga.

– Rick Leonard nie był w przeszłości notowany za przemoc domową – powiedziała.

Craig opadł na oparcie kanapy.

– No dobrze. Porozmawiajmy zatem o przeszłości.

Rozdział 6

MAYA

1 lutego 2009

Maya Seale przeniosła się z Brooklynu do Los Angeles pierwszego lutego 2009 roku, niecałe dwa tygodnie po tym, jak niemal zamarzła w rozentuzjasmowanym tłumie obserwującym inaugurację Obamy w Waszyngtonie. Przeleciała przez całe Stany ze swoim chłopakiem Hunterem, którego nowa praca w jednej z firm finansowych zlokalizowanych w Century City była powodem całej tej przeprowadzki. Przylecieli do San Francisco, po czym od mieszkającego tam brata Huntera kupili starą hondę i załadowali do jej bagażnika cały swój dobytek. Jadąc wybrzeżem, dowcipkowali, że to ewidentnie przeznaczenie.

Droga stanowa numer jeden wiła się fraktalami brzegiem bezkresnego oceanu. Mniej więcej w połowie natknęli się na paskudny korek. Samochody i ciężarówki stały na odcinku prawie dwóch kilometrów. Maya przyłączyła się do tłumu, który wysiadł z samochodów i niespiesznie ruszył drogą. Chyba nikt nie wiedział, co się stało, ale też nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego zatorym.

I wtedy zobaczyli helikopter, który uniósł się zza zakrętu rozciągającej się przed nimi drogi. Wiszące pod nim białe pasy podtrzymywały nosze, na których leżało ciało człowieka. Owijało je coś na kształt pomarańczowych bandaży.

Jeden z kierowców powiedział jej, że podobno facet na noszach wspinał się w skałach i spadł z klifu znajdującego się gdzieś z przodu. No i teraz ratownicy zabierają go do szpitala, ale szanse ma raczej niewielkie.

Nie dojechała jeszcze do Los Angeles, a już zdążyła zobaczyć umierającego człowieka.

W tych pierwszych miesiącach tryskała nadzieją jak otaczający ją kraj. Razem z Hunterem wynajęli w dzielnicy Los Feliz drewniany bungalow z ogródkiem na zboczu pagórka. Współpracownicy Huntera zgodnie przyznali, że jest bardzo „przytulny”, ale Mai wydał się gargantuiczny. Tak długo mieszkała w Nowym Jorku, że zapomniała, że w innych regionach

Stanów ludzie w jej wieku mogli sobie pozwolić na takie luksusy. Co rano wyciskała sok z grapefruita świeżo zerwanego z drzewa za domem. Potem Hunter szedł do pracy, a Maya gapiała się w pusty ekran, który – jak miała nadzieję – siłą woli zdoła zapełnić zdaniem powieści, którą pisała, o czym nieustannie zapewniała znajomych z Nowego Jorku.

Pisanie było jednym z jej najnowszych niezrealizowanych marzeń. Po ukończeniu college'u doszła do wniosku, że ponieważ lubi gotować, mogłaby podjąć pracę w hotelowej kuchni, odkryła jednak, że nie lubi gotować na akord i nie cierpi, gdy ktoś o szóstej trzydzieści wymyśla jej za to, że dodała do jajecznicy trochę za dużo masła. Potem wyprawiła się ze znajomą do Argentyny, żeby się wspinać, zwiedzać i pić na umór. Łapała rozmaite fuchy jako tłumaczka, by to wszystko sfinansować, ale dopiero co zaczęła spłacać kredyt studencki. Kiedy już nasyciła się wędrówkami z plecakiem, pojechała do Nowego Jorku, gdzie ponoć ludzie bez zobowiązań odnajdywali swoje powołanie.

Maya go nie znalazła. Zaliczyła serię słabo płatnych robótek w beznadziejnych serwisach internetowych, nieprodukujących niczego firmach produkcyjnych i dławiących wszelkie życie instytucjach z Wall Street. Przekładając papiery w dziale kadr jednej z takich instytucji, poznała Huntera, który pracował w dziale obsługi najbogatszych klientów. Nawet jej się nie śniło, że zwiąże się z bankowcem, nijakim kolesiem bez fantazji, ale Hunter miał swój styl. Był głęboko świadomy tego, kim jest, czego chce i jak to osiągnie. Gdy otrzymał propozycję pracy w Los Angeles, Maya była już gotowa na kolejną zmianę.

Hunter z kolei wydawał się zachwycony przyjazdem do Kalifornii z własną dziewczyną. Rozważali nawet zaręczyny, ale chyba tylko dlatego, że tak właśnie postępowali ludzie o ich statusie. Kariera Huntera była już na właściwych torach, teraz powinien zatroszczyć się o uregulowanie sytuacji osobistej, mieszkanie zaś w nowym domu otoczonym płótkiem z białych sztachetek – słyszała już to określenie, ale nie wiedziała dokładnie, co opisuje, póki nie stała się posiadaczką rzeczonoego płotka – stworzyło im obojgu sposobność zagrania w życie fantastycznie niewymuszone, jak się w tym momencie wydawało.

Szła do pobliskiej kawiarni z laptopem wystającym z płóciennej torby i nieznanymi uśmiechali się do niej na ulicy. W Los Angeles ludzie naprawdę się uśmiechali. Nawiązała nowe znajomości w szkole tańca w Atwater Village. Pisała, a w każdym razie zapełniała strony

spostrzeżeniami o tym, jak to jest być młodą i tryskać inteligentnymi spostrzeżeniami, z którymi inni być może chcieliby się zapoznać.

Kiedy przyszło wezwanie do sądu, nie mogła uwierzyć, że tak szybko namierzili ją pod nowym adresem; przecież umyślnie nie wypisała się z rejestru uprawnionych do głosowania w Nowym Meksyku, gdzie się wychowała, by nie marnować głosu w Nowym Jorku czy Kalifornii. Poza tym nie zastanawiała się szczególnie głęboko nad tym, co pociąga za sobą obowiązek zasiadania w ławie przysięgłych. Funkcja ławnika mogła być nawet interesująca jako jedno z wielu nowych, pouczających doświadczeń, na które powinna być otwarta. Może nawet dostarczy jej jakiegoś materiału do pisania? Kto wie, jakich dziwaków można poznać wśród ławników.

Zadzwoiła pod podany numer i została poinformowana przez automatyczną sekretarkę, że dwudziestego dziewiątego maja za kwadrans dziewiąta ma się stawić w budynku sądu. Wzięła sobie laptopa na tę – jak była przekonana – miniprzygodę. Uznała, że pewnie będą mieli wi-fi.

I właśnie tego pierwszego dnia usiadła obok Ricka Leonarda.

Zasiadanie w ławie przysięgłych odizolowało ją od Huntera właściwie od razu. Nie było łatwo wracać co wieczór do domu i ani słowem nie wspomnieć o toczącej się rozprawie. Co mogła mu opowiedzieć? Sam proces ledwie się rozpoczął i w tym przedziwnym układzie Hunter miał większy dostęp do informacji niż ona. Mógł sobie wygooglować wszystko o Bobbym Nocku i Jessice Silver, tymczasem Maya została surowo poinstruowana, by nie próbowała się niczego dowiadywać. Jak na ironię, to głównie Hunter ukrywał informacje przed nią.

Ich wieczorne rozmowy przy stole ograniczyły się do błahych pogaduszek o znajomych. W Nowym Jorku wydawało się, że mają ze sobą tyle wspólnego, a teraz z trudem przypominała sobie, co to właściwie było. Hunter zaczął jej się wydawać bardziej obcy niż reszta ławników. Oni przynajmniej śmiali się z jej głupawych opowiastek o Ameryce Południowej.

A potem ich odosobniono. Nigdy dotąd nie słyszała, by ława przysięgłych została odosobniona w połowie procesu.

Trudno było opisać to samotne tłoczenie się podczas kolejnych tygodni. Więcej czasu spędzali w pokoju obrad ławników niż na sali sądowej, gdzie prawnicy omawiali jakieś kruczki, w które ławników nie wtajemniczano.

Sprawiało to wrażenie, jakby większą wagę przykładano do tego, czego mają nie usłyszeć, niż do tego, czego mają wysłuchać.

Mayę coraz bardziej intrygowały prawnicze dyskusje toczące się przy drzwiach zamkniętych. Na czym polegały wszystkie te ważne kwestie, które trzymano przed nią w tajemnicy? Zanim woźny Steve wyprowadził ich z sali sądowej, pilnie nadstawiała uszu i wyławiała wszystkie prawnicze terminy. Czego dotyczył wyjątek „obejmujący wszystkie możliwe przypadki” zakazu przytaczania faktów zasłyszanych? Dlaczego w Kalifornii najwyraźniej traktowano tę kwestię inaczej niż w pozostałych stanach? Dlaczego wynikało z tego, że nie zostanie przesłuchana pomoc domowa rodziny Jessiki Silver?

Pamela Gibson, obrończyni, wydawała się supertwardą babką za każdym razem, gdy przerywała serię pytań zadawanych przez prokuratora. „Sprzeciw, wysoki sędzie. Pytanie sugeruje odpowiedź” albo „Sprzeciw, wysoki sędzie. Fakty nie znajdują potwierdzenia w materiale dowodowym”. Maya nie rozumiała w pełni prawnego uzasadnienia, ale umiała liczyć: sędzia podtrzymał prawie wszystkie sprzeciwy zgłaszane przez obronę i zaledwie jedną trzecią sprzeciwów prokuratury. Gibson roztaczała wokół siebie imponującą aurę kompetencji.

Mai nigdy dotąd nie fascynowało prawo, ale też nigdy dotąd nie miała z nim styczności, zwłaszcza tak bliskiej. I kiedy siedziała tam dzień w dzień, wpatrzona w twarz Bobby’ego Nocka, przyglądając się, jak jego los zawisa na włosku nieprzeniknionych detali proceduralnych, zaczynała przede wszystkim rozumieć, że musi się jeszcze bardzo wiele nauczyć.

18 czerwca 2009

– Chodzi o ulice jednokierunkowe – powiedział jej któregoś ranka przy śniadaniu Rick Leonard. Siedzieli w hotelowej restauracji przy własnym, oddzielnym stoliku. Pozostali jedli nieopodal w grupkach po troje i czworo. Zdumiewające, pomyślała Maya, jak szybko podzielili się na grupki. Fran, Yasmine i Lila przy jednym stole. Peter, Cal, Kellan i Arnold przy drugim. Trisha, Carolina i Jae siedzieli razem przy trzecim. Kathy i Enrique stali przy barze.

Tylko Wayne popijał swoją kawę samotnie.

Linie podziału przebiegały przede wszystkim wedle kryterium płci, a dalej pochodzenia. Maya miała nadzieję, że może nie przypisywać tego

jakimś potwornym prymitywnym instynktom, lecz uznać za zwykły zbieg okoliczności.

– Mówisz o swoim doktoracie?

– Tak – odparł Rick. – Wpływ ulic jednokierunkowych na problem biedy i segregacji w amerykańskich miastach.

– Twój doktorat na Uniwersytecie Południowej Kalifornii dotyczy ulic jednokierunkowych?

– Ulice jednokierunkowe to jedne z najefektywniejszych narzędzi, jakimi posługują się samorzady celem utrwalenia segregacji rasowej.

– Ulice jednokierunkowe są rasistowskie? – Uniosła wysoko brew.

– Mówię poważnie. – Roześmiał się, więc najwyraźniej nie mówił aż tak poważnie. – Nie chodzi o to, że ulice jednokierunkowe są rasistowskie. Chodzi o to, że ulice jednokierunkowe mają szerokie zastosowanie w planowaniu miasta. To, które ulice kierują ruch na inne ulice, określa przebieg granic dzielnicy. Właśnie tym zagadnieniem się zajmuję. Historycznie rzecz biorąc, kiedy miasta takie jak Chicago, Detroit czy Los Angeles chciały zachować pozory neutralności rasowej, a mimo to delikatnie zachęcić wszystkich czarnych albo Latynosów, albo Japończyków, albo kogokolwiek jeszcze, żeby się za bardzo nie kręcili, przekształcano ulice dwukierunkowe w jednokierunkowe.

– To bez wątpienia najdłuższa rozmowa, jaką w życiu przeprowadziłam na temat ulic jednokierunkowych.

Westchnął z udawaną dezaprobatą.

Zabawnie było tak się z nim droczyć, a i on chyba w jakimś stopniu nieźle się bawił, odbijając piłeczkę.

– Klasycznym przykładem – ciągnął – jest Hyde Park w Chicago. Uniwersytet Chicagowski, w którym uczył się Barack Obama, jest uroczą wysepką klasy wyższej zlokalizowaną w samym środku biedniejszej, historycznie czarnej dzielnicy. Jak zatem miastu udało się przez ponad pół wieku utrzymać taką historyczną enklawę? Otóż dzięki labiryntowi ślepych i jednokierunkowych uliczek, który rozciąga się pomiędzy Cottage Grove i Lake Shore Drive. Lake Shore to autostrada.

– Sądziłam, że autostrady są tylko w Kalifornii.

– No to droga szybkiego ruchu.

– A jaka jest różnica między autostradą a drogą szybkiego ruchu?

Rick umilkł na chwilę.

– To chyba ma coś wspólnego z tym, czy skrzyżowania są bezkolizyjne, nie? Nie ma w każdym razie nic wspólnego z tym, czym się zajmuję.

– Sądziłam, że jesteś specjalistą.

– Od ulic jednokierunkowych. Drogi szybkiego ruchu są dwukierunkowe. Chcę tylko powiedzieć, że jednokierunkowe ulice Hyde Parku sprawiają, że naprawdę niewygodnie jedzie się przez kampus, jeśli próbujesz przebić się z drogi szybkiego ruchu do uboższej dzielnicy na zachodzie. To nie jest segregacja przez zarządzenia, ale przez drobne niedogodności.

– Miasto wytycza ulice jednokierunkowe...

– I wszyscy jadą w tę samą stronę.

Rick prawie nie tknął zalegającej na jego talerzu papkowej jajecznicy. Kompletnie zapomniał o jedzeniu. To było naprawdę ciekawe. Skłonił ją, by spojrzała świeżym okiem na coś tak banalnego jak ulice jednokierunkowe.

– A co z Los Angeles?

– No cóż, w centrum miasta, kawałek na zachód od Skid Row... – zaczął, po czym raptownie urwał.

– Co jest?

– Chyba nie mogę mówić o Los Angeles.

– Czemu?

– Bo jedną z osób, które wywarły olbrzymi wpływ na planowanie infrastruktury Los Angeles był... hm, cóż... – Urwał, po czym wyszeptał: – Lou Silver.

Maya skinęła głową. Oczywiście miał rację, uciszając ją. Rozmowa na temat Lou Silvera byłaby wbrew zasadom. Byłaby właściwie równoważna z omawianiem sprawy.

Wyraz, który zobaczyła wówczas w oczach Ricka, wzbudził jej szacunek. Znamionował kogoś, kto nie zamierzał podważać swojego udziału w wymiarze sprawiedliwości łamaniem zasad ustanowionych nie bez powodu.

– Rozumiem – powiedziała.

Mimo to skręcało ją z ciekawości. Co Rick sądził na temat tej sprawy? Na temat Bobby'ego Nocka? Na temat wielu ekspertów od badań DNA, którzy przez cały tydzień po kolei zajmowali miejsce dla świadka? Szukała w jego twarzy jakichś wskazówek. Okropnie żałowała, że nie może go po prostu zapytać i że nie mogą choć przez krótką chwilę porozmawiać o tym, co pochłania im całe dnie.

Sama czuła rosnącą pewność, że Bobby'ego Nocka oskarżono i de facto skazano zbyt pochopnie. Ile razy w historii Stanów Zjednoczonych przedstawiono oskarżonemu zarzut morderstwa, kiedy nie było nawet zwłok ofiary? To pytanie zostało zadane przez obronę jednemu ze składających zeznania śledczych. Mecenas Gibson sama udzieliła na nie odpowiedzi: czterysta osiemdziesiąt razy od roku... 1800.

Jak zauważyła, Bobby miał większą szansę na porażenie piorunem. Dwukrotnie.

Chyba że działały tu jakieś inne siły. Może policja zwyczajnie musiała aresztować kogokolwiek za zamordowanie córki miliardera, a Bobby nadawał się na kozła ofiarnego?

Czy Bobby, zapytywała Maya samą siebie, trafiłby na ławę oskarżonych, gdyby był biały?

Uznała, że nie. Nie ośmieliła się powiedzieć tego na głos, ale była pewna, że Rick się z nią zgadza. Nie dlatego, że podobnie jak Bobby był czarny – to byłoby uproszczenie, tani esencjalizm, a tak naprawdę obelga dla Ricka. Nie. Maya w głębi serca była przekonana, że Rick by się z nią zgodził, bo jest uczciwy, inteligentny i nieskłonny do pochopnego ferowania wyroków. Mężczyzna tak doskonale obeznany z segregacyjnym aspektem ulic jednokierunkowych musiał znacznie lepiej od niej orientować się w zagadnieniach systemowej dyskryminacji, która doprowadziła do dramatycznego oskarżenia Bobby'ego Nocka.

Maya w milczeniu spojrzała w ciemne, błyszczące oczy Ricka.

Widziała to, choć pozostało niewypowiedziane.

Byli po tej samej stronie.

24 CZERWCA 2009

Ławnicy siedzieli już w mikrobusie, w ciszy zmierzając do hotelu. Po sześciu godzinach słuchania zeznań biegłych sądowych wszyscy byli chyba dość oszołomieni. Na przednim fotelu pasażera w samochodzie Bobby'ego Nocka znaleziono włosy, których DNA odpowiadało DNA Jessiki Silver. Drobiny krwi, również genetycznie zgodne z DNA Jessiki Silver, znaleziono zarówno na przednim fotelu pasażera w samochodzie Bobby'ego... jak i w bagażniku.

Maya przypomniała sobie, że przecież obrona nie zaczęła jeszcze zadawać swoich pytań. Na razie udawało jej się prezentować przekonujące

wyjaśnienia wszystkich dowodów przedstawionych przez prokuratora.

Ale nie wyglądało to dobrze.

Kiedy mikrobus wysadził ich pod hotelem, Lila nachyliła się i wyszeptała Mai do ucha:

– Pokój Kellana. Za dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut później Maya zapukała do drzwi Kellana. Kellan miał długie włosy i aparycję kalifornijskiego surfera. Był bez wątpienia najbardziej z nich wszystkich towarzyski i powszechnie lubiany, choć najwięcej czasu spędzał chyba z Peterem. Maya nigdy wcześniej nie była w pokoju Kellana i Lila chyba też nie. Sześcioro ławników siedziało już w środku. Wkrótce pojawiła się reszta.

– No tak – powiedział Kellan, obejmując dowodzenie. – Układ jest następujący. Mam coś i wydaje mi się, że wszyscy chcielibyście to zobaczyć. To nie ma nic wspólnego z Bobbym Nockiem ani Jessicą Silver, ani też z naszą umiejętnością wydawania sprawiedliwych i bezstronnych wyroków, niemniej formalnie rzecz biorąc, łamię zasady. Chciałbym po prostu powiedzieć, że wam ufam i mam nadzieję, że wy mi również.

Maya pękała z ciekawości, co Kellan chowa w zanadrzu.

– Jeśli nie chcecie brać w tym udziału, po prostu wyjdźcie. Nikt nie będzie miał o nic pretensji, nikt nie będzie się o nic dopytywał.

Po kolei popatrzył każdemu z nich prosto w oczy.

Nikt nie wyszedł.

– No dobra. – Z tymi słowy Kellan wszedł do swojej sypialni i po chwili wrócił z brązową papierową torbą. Sięgnął do środka. Co tam trzymał? Kokainę? Amfetaminę?

Z torby wyłoniła się płyta DVD z filmem Willa Ferrella *Bracia przyrodni*.

Fran podniosła ją z niskiego stolika, wpatrując się w okładkę, jakby to był cenny klejnot. Za chwilę obok pojawiły się kolejne filmy: *Lektor*, *Jestem na tak* oraz *Harry Potter i Zakon Feniksa*.

– Skąd je wzięłeś? – zapytał Rick.

Kellan pokręcił głową.

– Wybacz. Muszę chronić swoje kontakty.

Ławnicy puścili płyty w obieg. Fran nigdy dotąd nie słyszała o filmie *Jestem na tak*. Lila rzuciła, że jest całkiem zabawny. Trisha spytała, czy zdaniem Kellana spodobałby się jej film *Uprowadzona*.

Tego wieczoru Maya, Rick i Lila do późnej nocy oglądali *Lektora* w pokoju Lili. Rick zażartował, że to idealny przykład niewyszukanej

rozrywki dla koneserów. Mai intelektualne pretensje tego filmu wydały się ujmujące. A Rick i tak pod koniec się rozkleił.

Kiedy Lila zasnęła, Maya wyczuła, że Rick odrobinę się do niej przysunął, ale nawet jej nie dotknął.

Maya nigdy nikogo nie zdradziła i teraz również nie zamierzała.

Kiedy pierwszy raz zadzwoniła do Huntera o wyznaczonej im wieczorem godzinie, a on nie odebrał, poczuła ulgę – a potem wyrzuty sumienia. Powinna mieć ochotę porozmawiać ze swoim chłopakiem. Ludzie rozmawiali, kiedy nie mogli być razem. Dzwonili do siebie codziennie i tęsknili.

Ale znalezienie tematu na półgodzinną rozmowę, gdy nie mogli rozmawiać o tym, co wypełniało cały dzień Mai, było zgoła niemożliwe. Hunter też niewiele miał do powiedzenia o swojej pracy. Niezręczne chwile milczenia stały się nieznośne. Z każdą rozmową coraz częściej popatrywała na zegarek, zastanawiając się, jak długo jeszcze musi ją podtrzymywać, by nie zranić uczuć Huntera.

Kiedy nie odebrał telefonu – przedłużyła się służbowa kolacja – powiedziała, żeby się nie przejmował. Zrobiło jej się przyjemnie, że umie mu wybaczyć. Ich związek nie był z tych, gdzie jedno z dwojga jest tym złym.

Zaczęła dzwonić co drugi wieczór.

A potem co trzeci.

6 LIPCA 2009

Maya i Rick oglądali na jego łóżku *Michaela Claytona*. I nagle, sekundę później, film kompletnie przestał się liczyć. Byli absolutnie trzeźwi. Wiedzieli, co robią. Dotyk skóry Ricka na jej skórze był przerażający, podniecający i oszłamiający.

O szóstej rano przekradła się do swojego pokoju piętro niżej. Wzięła prysznic, ubrała się i w malutkim ekspresie zaparzyła upragnioną kawę. Przyszło jej do głowy, że gdyby teraz umarła, nikt by się nie dowiedział, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Tego wieczoru podczas rozmowy z Hunterem strasznie się rozgadała. Nikt nigdy nie opisał tak wyczerpująco jajecznicy serwowanej na śniadanie.

Oczywiście, że miała wyrzuty sumienia. Potworne. Ale jedynym człowiekiem, z którym mogła omówić swoje mdlące poczucie winy, był Rick. Zdrada nie smakowała tak, jak się spodziewała. Skoki w bok były dla tchórzy, którzy nie dostawali w związku tego, czego potrzebowali. Niewierność była ucieczką romantycznych słabeuszy. Tak mawiano o romansach wśród znajomych Mai, z których niejeden znalazł się nieoczekiwanie w roli rogacza. Ale żadna ze zdrad, których ofiary pocieszała alkoholem i wyrazami słusznego oburzenia, nie wyglądała tak jak ta tutaj.

Następną noc spędziła z Rickiem. Pomysł powrotu do własnego pokoju, gdzie zostałyby sam na sam z wyrzutami sumienia, wydawał się nie do zniesienia. Trzeciej nocy Rick zaproponował, by położyli się spać w pokoju Mai. Prawdę mówiąc, nakazywała to zwykła kurtuazja.

Wspólne wykroczenie jeszcze mocniej zacieśniło ich więź. Co powinna zrobić ze swoim chłopakiem? Co mu powiedzieć i kiedy? Rozmawiali o tym otwarcie. Miało nie być między nimi sekretów. Wreszcie miała kogoś, przed kim nic już nie musiała taić.

W izolowanej bańce dwuosobowego uniwersum mogli mówić o całym pozaprocesowym świecie. O wszystkim, czego nie mieli bezpośrednio przed oczami, a zatem o większości spraw. O powieściach, które uwielbiali, i filmach, których nie znosili. O tym, dlaczego Rick postanowił robić doktorat, a Mai nigdy nie przyszło to do głowy. O tym, o co właściwie chodzi w miłości.

Zgodzili się, że miłość powinna się opierać przede wszystkim na całkowitej i bezwarunkowej szczerości.

Ukradkowy charakter ich związku stworzył sprzężenie zwrotne: swoją romantyczną tajemnicę mogli rozkładać na czynniki pierwsze i analizować tylko we dwoje, więc coraz więcej czasu chcieli spędzać we własnym towarzystwie. Seks był zarówno przyczyną, jak i skutkiem ich bliskości.

Wybiegi i uniki weszły im w krew. Czasem wieczorem przekradała się do jego pokoju tylnymi schodami; odkryli, że podłączony do nich alarm tak czy siak nie działa. Czasem Rick przemykał do jej pokoju; o tak późnej porze łatwo było ominąć strażników. Rankiem było gorzej. Musieli wcześniej zrywać się z łóżka, by wyslizgnąć się na korytarz, zanim ktoś miałby szansę ich dostrzec. Co drugi ranek, gdy Maya ukradkiem wychodziła z pokoju Ricka, na krótką chwilę – gdy pękała błona oddzielająca ich sekretne uniwersum od świata zewnętrznego – opadał ją

lęk. Lecz po chwili zagrożenie zniknęło i świat, który porzucała, stawał się na powrót snem.

Któregoś ranka, mniej więcej w dziesiątym tygodniu procesu, Rick wyszedł z pokoju Mai i natychmiast wrócił.

– Wayne mnie widział – powiedział, pośpiesznie wchodząc do środka.

– W jakim sensie cię widział?

– Wyszedłem na korytarz... i Wayne tam był.

– I co powiedział?

– Nic nie powiedział.

– A ty co powiedziałeś?

– Nic nie powiedziałem.

– A widział, że wychodzisz z mojego pokoju?

– Nie wiem. Zobaczył mnie, przeszedł obok, rzucił mi takie spojrzenie...

i już go nie było.

– Jakie spojrzenie?

– No... wymowne.

– Jakby wiedział?

Och, ileż godzin poświęcili na analizowanie tego spojrzenia. Uśmiechnął się? Uniósł brwi? Wysoko uniósł czy nisko? Na pewno nic nie powiedział?

Nigdy się nie dowiedzieli, ile wiedział i komu – jeśli w ogóle – powiedział. Bez wątpienia nigdy nie doniósł na nich sędziemu. Jeśli którykolwiek z pozostałych ławników czegoś się domyślał, też nie puścił pary z ust.

Podczas gdy proces toczył się mozolnie naprzód, Maya i Rick trzymali się niewzruszenie tego jednego jedyne go złożone go zobowiązania: nigdy nie rozmawiali o jego przedmiocie.

Złamanie tyłu innych zasad sprawiło, że ta jedna stała się niejako uświęcona. Oczywiście, że leżąc w łóżku, splątani jak powój, mieli ochotę porozmawiać o Jessice Silver, ale byli tu po to, by Bobby Nock został sprawiedliwie osądzony. Gdyby tak się nie stało, całe poświęcenie, na jakie się zdobyli, straciłoby rację bytu.

A ponieważ nie mogli mówić o terażniejszości, mówili o przyszłości. Późną nocą w wykrochmalonej hotelowej pościeli snuli plany.

Maya uwielbiała to, jak Rick mówił o przyszłości. Potrafił odmalować tak niezwykle sceny. Różnorodne, urzekające, szczegółowe.

Kiedy już proces dobiegnie końca, Maya odejdzie od Huntera. Rick wyprowadzi się z mieszkania dzielone go z Gilem. Razem znajdą sobie

nowe lokum. Może fajnie byłoby zamieszkać w Echo Parku? Przyszłość Los Angeles leżała na wschodzie. Rick dokończy swoją pracę doktorską, a Maya swoją książkę. Z pewnością czas odpracowany w ławie przysięgłych okaże się w obu przypadkach znakomitym materiałem badawczym.

Przedstawią to drugie rodzicom. Wymyślą jakąś bajeczkę, że niby skonsumowali swój związek dopiero po zakończeniu procesu.

Związek, który dla siebie wymyślili, był bardzo romantyczny. Ślepym trafem spotkały się dwie osoby o bardzo podobnym światopoglądzie, które z poczucia obywatelskiego obowiązku oddały się na usługi wymiaru sprawiedliwości. Jakie było prawdopodobieństwo, że spośród wszystkich mieszkańców Los Angeles wezwanych do stawienia się w charakterze członków ławy przysięgłych tych dwoje na siebie wpadnie?

Szydzili, że taka tandetna opowiadka znakomicie sprzedałaby się w rubryce ślubnej „New York Timesa”.

Wspólnie wymyślili przyszłość opartą na wyimaginowanej przeszłości. Maya zakochała się w człowieku, którym Rick miał nadzieję się stać. A Rick chyba zakochał się w kimś, kim Maya naprawdę sądziła, że się staje.

Leżąc w tamte noce u boku Ricka, Maya słyszała dobiegające z ulicy przytłumione dźwięki miasta. Niski pomruk nakładał się w jej uszach na powolny oddech Ricka. Czuła, że jest na krawędzi czegoś wspaniałego.

28 WRZEŚNIA 2009

Zaledwie kilka minut po zakończeniu procesu przysięgłych zaprowadzono do ich pokoju, by mogli rozpocząć obrady. Maya ledwo powstrzymywała podniecenie. Nareszcie, po czterech miesiącach sumiennego milczenia, wszystko, co dotąd było między nimi niewypowiedziane, mogło zostać omówione. Raz po raz zerknęła na Ricka, który unikał kontaktu wzrokowego. Musiał, tak samo jak ona, kipieć z niecierpliwości.

Zanim jednak ława przysięgłych mogła rozpocząć obrady, jej przewodnicząca uznała, że najpierw należy przeprowadzić tajne głosowanie. Rozdała karty i czarne pisaki. Wszyscy pochylili się i zaczęli pisać.

Maya nie wiedziała, jak zagłosują pozostali. Rick, oczywiście, będzie po jej stronie, podobnie jak Lila, Trisha i być może Kathy.

Przewodnicząca zebrała karty i odczytała je na głos.

– Winny. Winny. Winny. Winny. Winny. Winny. Niewinny... Winny. Winny. Winny. Winny.

Mai ziemia usunęła się spod nóg. Jak to się mogło stać? Nie wiedziała, co powiedzieć. Wszyscy obserwowali się uważnie, próbując dociec, kto spośród nich się wyłamał.

– Może powinniśmy po kolei podzielić się naszymi refleksjami? – zaproponowała Fran Goldenberg.

– Może powinna zacząć osoba, która zagłosowała „niewinny”? – zasugerował Rick.

Maya wolno, bezwiednie uniosła dłoń.

Rozdział 7

ILU LUDZI O TYM WSZYSTKIM WIE?

TERAZ

Popołudniowe słońce rozświetliło drobiny kurzu zalegającego na wszystkich poziomych powierzchniach w salonie Mai. Opowiedziała Craigowi całą historię.

– Jako jedyna zagłosowałaś „niewinny”? – zapytał Craig.

– Tak.

Odchyliła się na krzesło i pociągnęła łyk kawy, która zdążyła już wystygnać.

– A Rick był przekonany, że słusznie zagłosował „winny”.

– Tak.

– Wyczuwam... napięcie.

– Zanim wróciliśmy do hotelu, miałam już kompletnie zdarte gardło. Sama myśl o tym, żeby przekonywać go dalej... Podczas kolacji nikt słowem się nie odezwał. To milczenie było okropne. Dwunastu przeżuwających ludzi. Kiedy już wszyscy poszli spać, Rick zapukał do moich drzwi jakby nigdy nic. Wszedł do środka i... – Wzięła kolejny łyk zimnej kawy. – Oboje byliśmy już mentalnie wykończeni. Powiedziałam mu, że nie mam siły na dalszą rozmowę, a on na to, że nie musimy rozmawiać, możemy zwyczajnie pójść spać, chciał po prostu pobyc blisko mnie... Ale w tej sytuacji... Cały nasz związek opierał się na unikaniu tej sprawy. A teraz... Jak mogłam leżeć obok niego i milczeć o tym, że chciał wsadzić Bobby'ego Nocka za kratki? Toczenie tego sporu pod nieobecność pozostałych wydawało się nieuczciwe. Zasady wyłożone przez sędziego były jasne: żadnych dyskusji na ten temat poza pokojem obrad ławników. Wtedy zyskało to jeszcze większą wagę niż wcześniej. Powiedziałam mu, że musimy zrobić sobie przerwę.

– Jak to przyjął?

Maya wiedziała, dokąd zmierza Craig.

– Niezbyt dobrze.

– Wściekł się?

– Nie rozumiał. Powtarzał ciągle: „Ale co z nami? Co z naszym wspólnym życiem? Już cię to nie obchodzi?”. Na tym polegał cały problem. Rick należał do ludzi, którzy potrzebują pewności. Chciał mieć pewność, że Bobby Nock zamordował Jessicę Silver. I że będziemy razem. Nie umiał żyć z niewiedzą. A ja... No cóż, ja nie wiedziałam. Pytał mnie raz po raz, skąd mam pewność, że Bobby jej nie zabił, a ja powtarzałam: „Nie mam tej pewności! Myślę, że tego nie zrobił, ale jest to możliwe...”. To tylko bardziej go rozwścieczało. I ja to rozumiem. Rozumiem tę potrzebę, by wiedzieć. Wszyscy chcą wiedzieć. Ale może dorastanie polega właśnie na tym, by przyjąć do wiadomości, że nie zawsze jest to możliwe. – Wzięła głęboki wdech. – Był mną ogromnie rozczarowany. I nie rozumiał, że ja też jestem rozczarowana. Przyjęcie do wiadomości, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, że zbyt wiele nas dzieli... Chyba nigdy w życiu nie czułam się w takim stopniu rozczarowana.

– Tamtego wieczoru wyszedł z twojego pokoju wściekły?

– Raczej smutny.

– A potem...?

– To był koniec.

– I nigdy więcej z nim nie spałaś?

– Nigdy.

– I nigdy więcej nie rozmawialiście o waszym romansie?

Wzruszyła ramionami. Co miała dodać? Ich związek bazował na obustronnym nieporozumieniu. Gdy iluzja się rozviała, wraz z nią wyparowała wyobrażona przyszłość.

Ich wielka miłość okazała się przelotną przygodą.

Craig skinął głową. Może zrozumiał. Może nigdy nie zrozumie. Dla linii obrony Mai nie miało to żadnego znaczenia.

Wyjaśniła, że napięcie między nią a Rickiem rosło w miarę przedłużania się obrad przysięgłych. Pozostałych ławników udało jej się przekonać, stopniowo, jedno po drugim, tymczasem Rick potraktował ten spór bardzo osobiście, okopując się na zajętej pozycji, jakby sądził, że jeśli zdoła przeciągnąć Mayę na swoją stronę, przekona ją, by do niego wróciła. W końcu miał już przeciwko sobie całą jedenastkę, ale nawet wtedy nie chciał się poddać. Maya wiedziała, jak trudno dyskutuje się z jedenastoma osobami zajmującymi wspólnie przeciwne stanowisko. Ale Rick uparcie obstawał przy swoim.

Poprosił sędziego, by ten ogłosił brak jednomyślności przysięgłych, lecz sędzia odmówił. Zaszli tak daleko, że nie wolno im było rzucić wszystkiego w ką i stawiać sądu w sytuacji, w której zmuszony będzie zaczynać od zera z nową ławą przysięgłych.

Właśnie to ostatecznie rozstrzygnęło sprawę z perspektywy Ricka: myśl, że jeśli nie wydadzą werdyktu, los Bobby'ego znajdzie się w rękach innej grupy obcych ludzi. Sprawiedliwość należna Jessica Silver będzie musiała zostać wymierzona przez tych, którzy – w opinii Ricka – nie cenili jej równie wysoko jak oni.

– Jeśli nie my, to kto? – powiedział.

Jeśli jedenaście z dwunastu osób posiadających wiedzę, która pozwoli wydać werdykt w tej sprawie, doszło do przekonania, że musi on brzmieć „niewinny” – niech i tak będzie.

Gdy Rick ustąpił, wyglądało to tak, jakby porzucił wszelką nadzieję, że zdoła ją przekonać – i że jeszcze kiedyś się zejda.

Maya nigdy dotąd nikomu tego nie mówiła. Ani ówczesnemu chłopakowi Hunterowi – z powodów oczywistych, choć zerwali kilka miesięcy po procesie – ani rodzinie, ani przyjaciołom, ani współpracownikom. A już na pewno nie zdradziła się ani słowem reszcie przysięgłych.

W sali sądowej czuła się jak ryba w wodzie; wiedziała, jak rozsunąć opowieść, która poruszy ławę przysięgłych. Ale związek z Rickiem tak długo istniał wyłącznie w jej wspomnieniach, że trudno było przyszpilić go słowem. Obracanie tamtego buntu, poczucia winy i rozdrażnienia po stracie w historię, która nadawałaby się do opowiedzenia w salonie w czwartkowe popołudnie, wydawało się nieuczciwe, choć przecież mówiła prawdę. Tyle że ta prawda ujęta w słowa załatywała tandetą, naiwną tęsknotą lub przeciwnie – wydawała się wyprana z emocji.

Jak miała opisać komuś, kogo tam nie było, wydarzenia towarzyszące najosobliwшему doświadczeniu jej życia? Rozmawiając z Craigiem, wyobrażała sobie, że siedzi obok Ricka. Był jedyną osobą, która mogłaby pomóc jej wyjaśnić, jak to właściwie wyglądało.

A teraz już nie pomoże. Czy miała dotąd nadzieję, że kiedyś usiądą razem i dojdą do tego, co tam się właściwie wydarzyło? Spróbują to wspólnie zrozumieć? Może tego właśnie oczekiwała od niego ostatniej nocy? Dowodu, że to, co zmuszona była pamiętać samotnie, stanowiło kiedyś rzeczywistość przeżywaną przez nich wszystkich? Opisuując Ricka,

zastanowiła się, czy go kochała. Czy on ją kochał? Te słowa nigdy między nimi nie padły. Czy wymówiłby je teraz? Czy wymówiłby je dzień wcześniej? Gdyby poprosiła? Zanim ktoś wszedł do jej pokoju i roztrzaskał mu czaszkę?

Pierwszy raz od dawna poczuła, że za nim tęskni. Nie za Rickiem, który poszedł do telewizji, żeby obrzucić ją błotem. Nie za Rickiem, w którym wstyd po ustąpieniu jej zastygł w jakąś zajadłą obsesję. Tęskniła za Rickiem, który leżał na hotelowym łóżku i przeczesywał palcami jej włosy, mówiąc o okrucieństwie jednokierunkowych ulic, niesprawiedliwości dróg, z których nie można zawrócić.

– Ilu ludzi o tym wszystkim wie? – zapytał Craig, gdy skończyła.

– Jesteś pierwszą osobą, której to opowiadam, ale nie mam pojęcia, z kim Rick rozmawiał po procesie. Może z rodziną? Znajomymi? A może z nikim.

– Z Wayne'em Russelem?

Maya westchnęła.

– Nawet nie wiem, co Wayne widział. Albo myślał, że widział. Nie wspominając o tym, co mógł powiedzieć innym.

– Ktoś zna przynajmniej część tej historii. Bo ktoś opowiedział ją dziś rano policji.

Przez lata miała mnóstwo czasu na rozmyślania o tym, czy ktokolwiek poznał jej sekret.

– Wayne nie przyjechał na zjazd.

– Mieszka w Kolorado. Producenci powiedzieli Mike'owi, że się z nim kontaktowali. Powiedział dwa słowa i odłożył słuchawkę.

– Jakie dwa słowa?

– Nie, kurwa.

– To do niego podobne.

– Może zeznał policji? A może powiedział komuś, kto zeznał policji? A zatem zeszłej nocy ponownie zaprosiłaś Ricka do swojego pokoju.

– Tak.

– Poszliście do łóżka?

– Nie.

Craig milczał przez chwilę.

– W tym momencie absolutna szczerść działa na twoją korzyść. Możemy poddać cię obdukcji. Jeśli uprawialiście seks, zwłaszcza brutalny,

możemy stwierdzić drobne uszkodzenia nabłonka pochwy. Moglibyśmy to wykorzystać...

– Rozumiem. Ale przysięgam ci, że nie poszliśmy do łóżka. Zwyczajnie... rozmawialiśmy.

– O czym?

– O naszym obecnym życiu. Wypiliśmy drinka. A potem gadaliśmy o tym, jakie to surrealistyczne, że tak po prostu pijemy drinka. Policja znajdzie ślady DNA Ricka na jednym z kieliszków. A potem... pokłóciliśmy się.

– O co?

Westchnęła.

– O jedyną między nami kwestię sporną.

Craig wydawał się jej współczuć, choć zachował profesjonalny dystans. Różnice zdań Ricka i Mai w kwestii morderstwa sprzed dekady budziły jego zainteresowanie chyba tylko o tyle, o ile odsuwały perspektywę jej odsiadki.

– Rick miał jakieś nowe dowody – powiedział Craig. – W każdym razie zapewniał o tym producentów programu telewizyjnego.

– Nie chciał mi zdradzić, o co chodzi. Zapowiedział, że ujawni je przed kamerami.

– Producenci odnieśli wrażenie, że te nowe dowody mają pogrozić Bobby'ego Nocka.

– Ale to się kupy nie trzyma. Nie można sądzić człowieka dwukrotnie za to samo.

– Są wyjątki.

– Zarzuty o przestępstwo federalne? Żaden prokurator palcem by tego nie tknął, piąta poprawka to koszmar.

– A gdyby Rick był naprawdę zdeterminowany? Czym musiałby zanęcić, żeby prokurator federalny złapał haczyk?

Maya rozważyła wszystkie możliwości.

– Po pierwsze, kwestia statusu federalnego... Morderstwo jest ścigane na poziomie stanowym, więc musiałby wysunąć zarzuty w rodzaju... porwania do innego stanu?

Craig spojrzał zachęcająco. Wyraźnie myślał o tym samym.

– Wystarczyłoby przewiezienie ciała do Nevady. Albo jakiś fragment ubrania dziewczyny, który wskazywałby, że przed śmiercią została przewieziona do innego stanu.

– Ale to musiałyby być niepodważalny dowód... Coś w rodzaju noża Bobby'ego pokrytego krwią Jessiki... I nawet wówczas Rick musiałyby przekonać prokuraturę federalną, że nowy proces da lepszy wynik niż poprzedni.

– Może ujawniając publicznie dowody naruszenia zasad etycznych przez ławę przysięgłych?

– Myślisz, że Rick ogłosiłby publicznie, co między nami zaszło?

– Oczywiście mam nadzieję, że nie. Bo tym sposobem zyskałabyś bardzo silną motywację, by go zabić.

Myśłami wróciła do rozmowy z Rickiem w hotelowej restauracji. Uprzytomniła sobie, jak niewiele się od niego dowiedziała. Czym się zajmował, do cholery, przez ostatnie dziesięć lat?

Czego jej nie powiedział? A właściwie: co jej powiedział?

– A co z pozostałymi ławnikami? – zapytała. – Czy Mike i Mike ustalili, jakie mają alibi?

Craig przerzucił wiadomości na swoich iPhone'ach.

– Czy masz powody sądzić, że ktoś z pozostałych ławników chciałby zabić Ricka i wrobić cię w to morderstwo?

Nie umiała sobie tego wyobrazić. Ale jeśli z wątpliwości okrywających cieniem śmierć Jessiki Silver wyciągnęła jakiegokolwiek wnioski, to właśnie takie, że nikt nie był bezpieczny przed współobywatelami. Każdy mógł paść ofiarą morderstwa i wszyscy mogli być podejrzani. Znalazłszy się na końcu długiego szeregu fatalnych decyzji, każdy mógł poczuć, że nie ma innego wyjścia, jak tylko popełnić coś potwornego.

Skoro to nie Bobby Nock zabił Jessicę Silver – pytano Mayę bez przerwy – to kto to zrobił? Musiała przyznać się do posiadania opinii najmniej satysfakcjonującej z możliwych: nie miała pojęcia. A niewiedza potęgowała jej strach. Bo to przecież oznaczało, że zabójca Jessiki, tak samo jak morderca Ricka, wciąż jest na wolności. Przez wszystkie te lata obserwował – lub obserwowała – jak Bobby staje przed sądem, jak uniewinniony przez sąd zostaje skazany przez opinię publiczną i jak całe jego życie systematycznie obracane jest w ruinę. Co o tym wszystkim myślał prawdziwy zabójca? Jeśli Maya miała rację, żył sobie spokojnie wśród mieszkańców Los Angeles. Mógł być kimkolwiek, choć czasem wydawało jej się, jakby był wszystkimi naraz. Jakby Jessicę pochłonęło samo miasto.

– To mógł być ktokolwiek z nich – powiedziała Maya.

Craig wyglądał na zaskoczonego.

– Sądzisz, że popadam w paranoję? – zapytała.

– Sądzę, że zatrudniłem cię nie bez powodu.

Uśmiechnęła się. Tylko Craig mógł uznać jej wypielegnowaną nieufność za atut.

– Żadne z nich nie przedstawiło policji alibi – powiedział. – O ile Mike i Mike zdołali się zorientować, w ogóle w kontaktach z policją wypowiadali się bardzo oszczędnie. Najwyraźniej z tamtego procesu wyciągnęli liczne nauki dotyczące unikania zasadzek wymiaru sprawiedliwości. I dobrze je sobie przyswoili.

Maya była pod wrażeniem. Próbowała sobie wyobrazić, jak dobrotliwa Fran Goldenberg każe policji wypierdalać, gdy ta przychodzi zapytać, gdzie Fran przebywała w czasie, gdy popełniono morderstwo.

Ale jeśli nikt z nich nie udzielił policji żadnych informacji, Mai trudniej będzie dojść, co naprawdę przydarzyło się Rickowi – i samej nie trafić do więzienia.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– Czy Mike i Mike są w biurze? Chciałabym sprawdzić, co na razie mają.

– Wyślę ci wszystkie interesujące materiały. Jak już je obejrzę. Ale nie idziesz do biura. Jesteś na zwolnieniu.

Craig powiedział to tak, jakby przypominał jej treść rozmowy, którą już odbyli.

– Zawieszasz mnie?

– Nie, sama poprosiłaś o możliwość tymczasowego zwolnienia z obowiązku świadczenia pracy.

– Sądziłam... Jesteś moim adwokatem...

– Albo rybki, albo akwarium. Albo jestem twoim szefem, albo twoim adwokatem. Niemniej jako szef nie mogę ci pozwolić na podjęcie pracy przy innych sprawach prowadzonych przez kancelarię. Dopóki się to wszystko nie skończy.

Wstał.

– To co ja mam teraz robić? – zapytała Maya.

– Powtórzę swoje pierwsze przykazanie: dalej nie rób nic głupiego.

Podniósł z kanapy swoją aktówkę.

Maya nie umiała sobie wyobrazić, że ma całkiem sama siedzieć w domu, nagle przedziwnie obcym, i czekać, aż ją aresztują.

– Na pewno mogę wam jakoś pomóc.

– Zastanów się przez chwilę nad sprawami, które prowadziłaś, i powiedz mi, czy którykolwiek z twoich klientów zrobił kiedykolwiek coś, co ułatwiło ci pracę.

Niechętnie przyznała mu rację.

– Obecnie skłaniam się ku samoobronie – rzekł Craig. – Ale dopóki nie podejmiemy ostatecznej decyzji, jedyne, co ci pozostaje do zrobienia, to nic.

I już go nie było.

Przez kilka kolejnych godzin Maya upewniała rosnącą liczbę ludzi, że nic jej nie jest. Po tym, jak w mediach ukazały się informacje o morderstwie, rodzice i garstka znajomych zostawili jej wiadomości na poczcie głosowej lub wysłali esemesy. Szczęśliwie nie wymieniano jej jako „osoby zamieszanej w sprawę”, lecz wspomniano, że ciało Ricka znaleziono w jej pokoju. Wnioski nasuwały się same. Mogła sobie wyobrazić, jakie przerażenie musiało odmalować się na twarzy ojca, kiedy w ramach porannego rytuału usiadł do śniadania przy kuchennym stole w jej rodzinnym domu w Albuquerque, skrolując serwis nytimes.com.

– Czy to źle, że wcale mi go nie żal? – zapytał jej tata przez telefon, gdy już udało jej się do niego dodzwonić i przekonać go, że nic jej nie grozi.

– Tato.

– Wybacz. Ale te wszystkie brednie, które o tobie nawypisywał w swojej książce...

Zdradziła, że to ona znalazła ciało, ale skłamała na temat całej reszty, starannie pomijając przesłuchanie i konieczność zatrudnienia Craiga, inaczej jej ojciec wskoczyłby do najbliższego samolotu lecącego do Los Angeles. Mówiąc mu o tym wszystkim, nie potrafiła usunąć sprzed oczu natrętnego obrazu zwłok Ricka. Oglądała jego ciało w tylu postaciach: ubranego nieznajomego, nagiego kochanka, zajadłego dyskutanta, sztywnych zwłok.

Musiała odłożyć słuchawkę.

– Proszę, przekaz mamie, że nic mi nie jest.

Następny telefon wykonała do koleżanki z pracy, Crystal Liu, która jednak nie dała sobie wmówić, że Mai „nic nie jest”.

– Te chuje z ławy cię wystawiły – skwitowała.

Po procesie Mai niełatwo było z kimkolwiek się zaprzyjaźnić. Zbyt często udzielała wymijających, a przy tym starannie przemyślanych odpowiedzi na nieuniknione pytania. Po tych rozmowach czuła się jeszcze bardziej wyalienowana.

Szczęśliwie Crystal przez pierwszą połowę 2009 roku zaciekle próbowała nie trzeźwieć, drugą zaś spędziła na odwyku. Zupełnie przegapiła zarówno zniknięcie Jessiki Silver, jak i uniewinnienie Bobby'ego Nocka. Gdy sporadycznie wypływała kwestia rozgłosu towarzyszącego niegdyś Mai, Crystal zachowywała się tak, jakby omawiała fabułę starej opery mydlanej: niewyobrażalnie dziwacznej i groteskowo wręcz skomplikowanej.

Crystal nie piła od dziesięciu lat i obecnie stanowiła niewzruszony filar działu arbitrażu kancelarii Cantwell & Myers. Brała na siebie najbardziej sporne i zawikłane negocjacje, jakby nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż odgrywanie roli głosu rozsądku w oku cyklonu.

W pierwszym tygodniu pracy Mai w kancelarii Crystal zabrała ją na lunch i ani razu nie zapytała o proces.

– Które chuje z ławy? – zapytała Maya.

– Wszystkie. Do spółki.

Crystal poszła chyba prosto do Mike'a i Mike'a, a ci najwyraźniej nie zdołali postawić tamy jej dociekliwym pytaniom.

– Uważasz, że cała ósemka, która była tam zeszłego wieczoru, wspólnie uknuła plan zabicia Ricka i wrobienia mnie w morderstwo?

Z drugiej strony słuchawki usłyszała westchnienie Crystal.

– Nic mi nie jest, jakbyś pytała – dodała Maya.

– Nie, stara – odparła Crystal. – Jest. A wiesz dlaczego? Bo ufasz zbyt wielu ludziom.

Terapeutka, do której Maya próbowała chodzić po zakończeniu procesu, powiedziała jej coś wprost przeciwnego. Tak samo jak ta, do której próbowała chodzić później. Maya nie zgodziła się z diagnozą Crystal, lecz doceniła jej bezpośredniość.

– Pod biurem stoją ekipy telewizyjne – ciągnęła Crystal. – Normalnie jak w zoo... Kręcą wszystkich, którzy wchodzą i wychodzą. Czekają na ciebie.

– A ja siedzę w domu. Nie jestem tu zameldowana, nie figuruję też jako właścicielka nieruchomości. Jeszcze mnie nie namierzyli.

– Ale namierzą. Nie przegapią takiej historii. „Czy ławniczka z procesu Bobby'ego Nocka zabiła innego członka ławy przysięgłych?” Nagranie

naszej rozmowy telefonicznej mogłabym sprzedać TMZ za pięćdziesiąt tysięcy.

– I chcesz w ten sposób pozyskać moje zaufanie?

– Twoje zaufanie już mam. Mówię to po to, żebyś się wyniosła z domu, do cholery.

Maya rozejrzała się odruchowo. Na ścianie wisiało zdjęcie, które zrobiła w Argentynie; przedstawiało kurczaki wędzone na polowym grillu rozstawionym na rogu ulicy. To naprawdę był jej dom. Dołożyła starań, by informacja o jego położeniu nie została upubliczniona. Nawet łącze internetowe zarejestrowała na kogoś innego.

– Słuchaj, stara, co ci szkodzi pomieszkać przez jakiś czas u mnie?

– Dzięki. Pomyślę.

– Zapytałam Craiga, czy mogę być w zespole pracującym przy twojej sprawie.

– Nie postawiono mi jeszcze zarzutów.

– Jak myślisz, ilu policja ma podejrzanych? Opinia publiczna czeka na ich ruch, więc muszą coś zrobić, i to szybko.

– Co ci odpowiedział Craig?

– Ha, ha.

– Roześmiał się?

– Zapytałam go mailowo. Odpisał: „Ha, ha”. – Crystal milczała przez chwilę. – Odczytuję to jako „nie”.

Maya nie umiała powiedzieć, czy Craig celowo wykluczył Crystal z zespołu, żeby Maya miała z kim porozmawiać nieformalnie. W życiu zawodowym Craiga niewiele rzeczy działo się przypadkiem.

Wyrzała przez okno. Słońce chyliło się już ku Hollywood Hills.

– Chcesz mi pomóc?

– Chyba, kurwa, jasne.

– *Miasto morderców*, mówię o telewizyjnej adaptacji, nie o podcaście, ma asystentkę produkcji.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

– Mogę sobie wyobrazić, że mają ich kilka.

– Shannon. Dwadzieścia parę lat, biała, blondynka, niezręcznie szczerą i wylewną. Zaprowadziła mnie wczoraj do mojego pokoju.

– No i?

– Znajdź ją.

– Po co?

– Rick nie zdradził mi, czym są tajemnicze „nowe dowody” przeciwko Bobby’emu Nockowi. Ale ktoś z programu musi to wiedzieć.

– Kumam. A ty sądzisz, że asystentka podzieli się z nami tą informacją, bo...?

Maya sama nie wierzyła w to, co miała za chwilę powiedzieć.

– Bo jestem jej idolką.

W negocjacjach spojrzenie Crystal, mówiące „chyba sobie, kurwa, żartujesz?”, było prawdziwym darem. Maya zobaczyła je oczyma duszy.

– Nooo... dobra. – Pobrzmiewał w tym sceptycyzm, ale Crystal była wyraźnie zadowolona, że powierzono jej jakąś misję. – A ty? Co zamierzasz?

Maya wyobraziła sobie śledczą Daisey, która prawie na pewno siedziała w tym momencie w komisariacie i przygotowywała dowody pozwalające postawić Mayę w stan oskarżenia.

Nagle znów ogarnęła ją złość. Złość na siebie, że zeszłej nocy zaprosiła Ricka do pokoju. Że tak gwałtownie wyszła. Że złamała mu serce i pozwoliła mu złamać swoje. Nie zabiła go. Ale gdyby jej nie spotkał, wciąż by żył.

A potem rozżłościła się na Ricka. Za to, że przypomniał jej, jak bardzo ją obchodził – tuż przed tym, nim na zawsze zniknął. Za to, że nie było go przy niej, by ją pocieszyć po stracie. Za to, że jakimś cudem znów udało mu się obsadzić ją w roli czarnego charakteru.

– Ławnicy nie będą gadać z policją – powiedziała. – Ale może porozmawiają ze mną.

Jeden z Mike’ów podał jej numery telefonów i adresy domowe Lili Rosales, Jaego Kima, Trishy Harold, Cala Barro, Fran Goldenberg i Petera Wilkiego. Pozostali najwyraźniej staranniejsz zadbali o ochronę prywatności.

Do domu Lili w południowym Los Angeles był dosłownie kawałek samochodem. Maya pojechała bocznymi uliczkami, by nie pakować się w korki. Mijała całe kwartały identycznych parterowych domów. Kiedy ludzie mówili, że Los Angeles przypomina jedno wielkie przedmieście, mieli na myśli właśnie to: nieskończone połączenie ogrodzonych domów z ogródkiem i żadnego miasta w polu widzenia. Jeśli posiadanie kawałka ziemi było niegdyś amerykańskim snem, to ta część Los Angeles była jego karykaturą. Ziemi starczało dla wszystkich. Tylko nie wiadomo było, co z nią robić.

Jadąc samochodem, Maya nagle skonstatowała, że liczy ulice jednokierunkowe.

Podjechała pod dom, otworzyła sobie furtkę z siatki i nacisnęła dzwonek. Wszedł jakiś facet po sześćdziesiątce, ubrany w dzinsy i stary T-shirt. Był prawie łysy, brzuch wylewał mu się ze spodni. Rozpoznał Mayę w mgnieniu oka.

– Lila nie chce z tobą rozmawiać.

– Jest pan jej ojcem? Wiele o panu słyszałam – powiedziała Maya.

Nastąpiło długie milczenie. Mężczyzna nie ruszył się spod drzwi.

– Lila nie musi ze mną rozmawiać, jeśli nie chce, ale czy mogłaby mi to powiedzieć osobiście? Chyba nie chciałby mi pan zamknąć drzwi przed nosem, nie pytając jej nawet o zdanie? Byłaby wściekła.

Mężczyzna spojrział na Mayę, jakby była kolejną próbą, której poddawał go okrutny Bóg.

Maya przypomniała sobie, że Lila tutaj się wychowała. Jej syn dorastał w domu, w którym sama spędziła dzieciństwo. Podczas zjazdu Maya odniosła wrażenie, że jeśli nie liczyć procesu, Lila nigdy nie opuszczała tych czterech ścian na zbyt długo.

Czy chciała się stąd wyrwać? Czy miała taką możliwość?

Ze znużonym westchnieniem ojciec Lili wprowadził Mayę do środka.

Lila bawiła się z Aaronem w jego sypialni. Gdy tylko Maya weszła do pokoju, poderwała się i mocno ją objęła.

– Tak strasznie się o ciebie martwiłam.

Pokój był nieduży, ściany wymalowane błękitną farbą, podłoga usiana kolorowymi ciężarówkami. Aaron roztrzaskiwał je metodycznie w zderzeniach czołowych.

– Nie żartowałaś z tymi ciężarówkami – powiedziała Maya.

Lila rozejrzała się.

– To był kiedyś mój pokój. Tylko ściany miał wtedy różowe.

Odwróciła się do ojca, który czujnie obserwował je od drzwi.

– *Papá! Dejarnos solos.*

Wszedł, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Lila miała ciemno podkrążone oczy i nieuważne spojrzenie kogoś, kto ostatnio kiepsko sypia. Maya domyśliła się, że sama wygląda podobnie.

– Widziałaś coś zeszłej nocy? – zapytała, gdy już wyjaśniła swoje położenie. – A może coś słyszałaś?

– Byłam z Aaronem. Wróciliśmy do pokoju jakoś między siódmą trzydzieści a ósmą.

Pokój Lili znajdował się piętro wyżej niż Mai i położony był dalej w korytarzu. Nie było szansy, by z takiej odległości usłyszała głośną wymianę zdań.

– I już nie wychodziłaś?

Lila pokręciła głową.

Maya miała ochotę zapytać Aarona, czy jego mamusia naprawdę była z nim przez całą noc w pokoju hotelowym, ale na samą myśl o tym, że miałyby prosić pięciolatka o potwierdzenie alibi matki, poczuła odrazę do samej siebie. Zresztą cokolwiek by jej odpowiedział, nie miałyby to żadnej wartości. Małe dzieci były mało wiarygodnymi świadkami.

– Dobrze bawiłeś się zeszłej nocy w hotelu? – zapytała.

Aaron dalej zderzał ciężarówkę.

– Dziwnie tak spać w obcym łóżku, co?

Nawet na nią nie spojrział.

– Obudziła nas policja – powiedziała Lila. – O pierwszej w nocy? Może o drugiej. Chyba od razu po tym, jak cię zabrali. Zadali mi kilka pytań o ciebie... Nic im nie powiedziałam. Potem kazali wszystkim opuścić hotel. Wróciliśmy tutaj. A on ma dziś... gorszy dzień.

Maya uważnie szukała w twarzy Lili oznak kłamstwa. Czy Lila mogłaby wślizgnąć się do pokoju Mai, kiedy Aaron spał, żeby zabić Ricka?

Ale właściwie czemu miałyby to zrobić? I jaką trzeba być socjopatką, żeby zabrać ze sobą pięciolatka, kiedy planuje się morderstwo?

– Widziałaś się z resztą? – zapytała Maya. – Po tym, jak obudziła cię policja?

Lila odparła, że widziała w korytarzu Fran, a także Cala i Trishę, ale w tym chaosie nie zapamiętała nic więcej. Było strasznie dużo policji.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

– Dawaj.

– Jak myślisz: kto zabił Ricka?

Lila odwróciła się, jakby sama myśl o tym, że ktoś z nich może być sprawcą morderstwa, była sugestią zbyt mroczną, by można było poddać ją pod rozwagę.

– A czy policja ma pewność, że to nie był wypadek? Kiedy tu przyszli dziś rano, żeby mnie przesłuchać, powiedzieli, że Rick prawdopodobnie uderzył głową w stół. Może po prostu potknął się i upadł?

Maya zapamiętała, że to Lila jako jedna z pierwszych przeszła na jej stronę podczas obrad ławy przysięgłych. Łatwo poddawała się sugestiom. A może najmocniej chciała dostrzec w innych dobre cechy?

Maya zastanawiała się, czy taki rys osobowości można w sobie wykształcić. Zawsze chciała być ufna, ale to po prostu nie leżało w jej naturze. Już nie.

Potem Maya zadzwoniła do Trishy Harold, od której dowiedziała się, że policja poleciła jej wstrzymać się kilka dni z powrotem do Houston. Jae Kim zaoferował jej nocleg na rozkładanej kanapie. Mayę dzieliło od nich zaledwie dziesięć minut drogi.

Domy w dzielnicy koreańskiej stały ciasno jeden obok drugiego. Rzadko trafiały się trawniki, a i trawa na nich ledwo kiełkowała. Rick wygłosił kiedyś cały wykład o tym, jak niewiele gatunków roślin w tym regionie było rodzimych; nawet palmy przywieziono tu skądinąd. Los Angeles zbudowano na pustyni, zaledwie kilka godzin drogi od Doliny Śmierci. Dlatego w latach trzydziestych XX wieku miasto zasadziło dziesiątki tysięcy dorodnych drzew; wszystkie zwieziono z Meksyku. Maya nie umiała sobie teraz przypomnieć, o co Rickowi wtedy chodziło – pamiętała tylko, jak rozpałała go ta przemowa: nagie ciało rozciągnięte na okropnej hotelowej kołdrze i ona sama delikatnie gładząca go po plecach.

Może chciał powiedzieć, że tu nic nie miało prawa bujnie rosnąć. Los Angeles było albo inspirującym hołdem dla cywilizacji, która umiała tchnąć życie w nieurodzajną glebę, albo niszczącym gmachem skrupulatnych planów pokolenia, które postanowiło wyhodować coś, co nie powinno żyć.

Jae stał już przy drzwiach swojego domu. Widziała go zaledwie dzień wcześniej, a jednak ponownie uderzyło ją, jak bardzo się postarzał. Stracił większość i tak już siwych, krótko przyciętych włosów, przerzedziła się nieczęsto golona szczecina. Ale nawet w tak zaawansowanym wieku – za tę myśl serdecznie się znienawidziła – był jeszcze dość umięśniony, by wyrznąć głową Ricka w blat stołu.

Prosty drewniany dom był zastawiony meblami i bibelotami: tapicerowane krzesła, ozdobne miseczki, na każdym stole i stoliku rodzinne zdjęcia oprawione w ramki. Jae nie sprawiał wrażenia osoby sentymentalnej, ale wyraźnie miał naturę chomika. Na jednym z krzeseł leżała sterta gazet.

Kiedy weszli do jadalni, Trisha dokładała właśnie trzecie nakrycie, ubrana jak na nagranie w eleganckie czarne spodnie i białą koszulę. Maya pomyślała, że pewnie niewiele zapakowała sobie do walizki, sądząc, że wyjeżdża tylko na dwa dni. W efekcie wyglądała na najbardziej wypoczętą z całej ich trójki.

Maya nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła, więc była wdzięczna za parujące kawałki duszonych żeberek, które Trisha hojnie nałożyła jej na talerz.

– To, że aresztowano cię za morderstwo – powiedziała Trisha – nie oznacza, że powinnaś niedojadać.

– Nie aresztowano mnie – odparła Maya. – Jeszcze.

– Nie widziałem zeszłej nocy nic niezwykłego – wtrącił Jae. – Jeśli właśnie o to chciałaś zapytać.

– Właśnie o to.

– Siedziałem w restauracji do późna. Trochę za mocno dałem sobie w szyję. – Pociągnął łyk jasnego piwa. – To było niemądre, tak się upić na oczach wszystkich. Nie pamiętam nawet, jak dotarłem do pokoju.

Maya pomyślała, że utrzymywanie, że było się zbyt pijanym, by cokolwiek zapamiętać, jest znakomitą metodą uniknięcia odpowiedzialności za przekręcanie szczegółów. W takiej sytuacji trudno się do czegoś przyczepić.

– Pewnie kamery w restauracji zarejestrowały, o której wyszedłeś – powiedziała.

Jae spokojnie wgrzył się w wieprzowe żeberka; nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

– Ja wyszłam tuż po tobie – oznajmiła Trisha. – Tuż po tym, jak wyszedł Rick.

– I poszłaś prosto do swojego pokoju.

– No tak.

– A kiedy zasnąłaś? – zapytała Maya.

– Trudno powiedzieć.

– Czy któreś z was mnie widziało? Po tym, jak wyszłam z restauracji?

Trisha i Jae wymienili spojrzenia.

– A kiedy mielibyśmy cię widzieć? – zapytała Trisha.

Maya uznała, że powiedzenie prawdy Trishy i Jaemu nie powinno podkopać jej potencjalnej obrony. Cokolwiek im powie, będzie informacją

z drugiej ręki, bez związku z teorią popełnienia tej zbrodni, jaką ostatecznie przedstawi.

– Rick i ja poszliśmy do mojego pokoju porozmawiać. Wypiliśmy jeszcze po jednym. A potem wyszłam się przejść, a Rick został w moim pokoju. Kiedy wróciłam, już nie żył.

– Chyba coś kiepsko wyszła wam ta rozmowa – zauważyła Trisha.

– Jeśli ktokolwiek widział, jak wychodzę... albo wracam... łatwiej byłoby mi udowodnić, że mnie tam nie było, gdy Rick umierał.

Ani Trisha, ani Jae nie potwierdzili, jakoby widzieli ją po wyjściu z restauracji.

– Uznałam, że pewnie chcecie spędzić trochę czasu razem – powiedziała Trisha. – Kiedy wyszłaś, a potem on tuż po tobie. Mało to było dyskretne.

Jae wyglądał na zdezorientowanego.

– Co to za historia z tobą i Rickiem?

Maya spojrzała na swoich nieprawdopodobnych gospodarzy. Gdyby nie wspólne zasiadanie w ławie przysięgłych, tych dwoje nigdy by się nie spotkało – a teraz Trisha spała na rozkładanej kanapie Jaego i pomagała mu nakładać na talerze duszoną wieprzowinę. Czy zaprzyjaźnili się dziesięć lat temu? Ktoś – być może jedno z nich – opowiedział policji o związku Mai i Ricka. A teraz musiała się dowiedzieć, kto to był.

Zastosowała technikę, której nauczyła się od jednego z dochodzeniowców ze swojej kancelarii.

– Trisha wie – powiedziała, patrząc Trishy prosto w oczy. Rzuciła to bardzo przyjaźnie, jakby chciała powiedzieć: „Obie znamy mój mały sekrecik, co?”

Trisha wzięła głęboki wdech.

– No tak. – Odwróciła się do Jaego. – Cal mi powiedział.

Ale skąd Cal mógł o tym wiedzieć?

– Ty i Rick? – zdziwił się Jae, kiedy wreszcie powiązał fakty. – Wy...
Podczas procesu?

Maya odwróciła się do Trishy.

– Czego się dowiedziałas od Cala?

– Sprawa była raczej oczywista. No, naprawdę. Sądziście, że tacy jesteście sprytni... Ale Cal powiedział, że to trwało już od jakiegoś czasu.

Maya skinęła głową.

– I zachowałas tę informację dla siebie?

– Myślisz, że jestem donosicielką?

– Nie – odparła Maya. – Zdecydowanie nie. Cal też nie.

– Rick nie napisał o tym w żadnej ze swoich książek – powiedział Jae, pewnie wciąż się zastanawiając, jak mógł nie dostrzec romansu, który rozwijał się dosłownie na jego oczach.

– Maya – odezwała się Trisha, popukując długim fioletowym paznokciem w blat stołu – co wydarzyło się zeszłej nocy?

Próbując odczytać wyraz ich twarzy, Maya jeszcze raz opowiedziała, co się naprawdę wydarzyło. Jae wyglądał na oszołomionego tą niepojętą zagadką. Trisha sprawiała wrażenie sceptycznej, lecz może mimo wszystko była gotowa uwierzyć jej na słowo.

– Ktokolwiek wszedł do mojego pokoju i zabił Ricka, musiał wiedzieć, że go tam zastanie.

– A nie powinnaś pomyśleć o tym na odwrót?

– To znaczy?

– Że ktokolwiek wszedł do twojego pokoju i zabił Ricka... mógł się zasadzać na ciebie?

Ta myśl przyszła już Mai do głowy. W tym scenariuszu ktoś przyszedł zabić właśnie ją, a kiedy drzwi do pokoju otworzył Rick, ten ktoś zwyczajnie... zabił pierwszego człowieka, który się nawinął?

– Sądzisz, że ktoś mógłby chcieć mnie zabić?

– Wnioskując z własnego doświadczenia, owszem – odparła Trisha. – Ale minęło dziesięć lat, więc nie mam pojęcia, komu ostatnio napsułaś krwi.

Maya doceniła jej szczerłość.

– Komu jeszcze Cal opowiedział o mnie i Ricku? I w ogóle skąd Cal o nas wiedział?

Trisha pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Powiedział mi któregoś dnia przy lunchu, pod koniec procesu. Siedzieliśmy tylko we dwoje. Próbowałam pojąć, dlaczego tak trudno się z tobą porozumieć.

– Cal powiedział, że właśnie dlatego?

– Bronił cię.

– Od kogo się dowiedział?

Trisha znów pokręciła głową.

– Sama go o to zapytaj.

Godzinę później Maya siedziała już w salonie Cala Barro. Jego bungalow w kolorze limonkowym krył się za kilkoma drzewkami awokado przy

krętej ślepej uliczce nad jeziorem Silver, zaledwie dwa wzgórza od domu Mai.

– Na pewno nie masz ochoty na jednego? – zapytał, wznosząc kieliszek z koktajlem alkoholowym. – To nasz ostatni eksperyment, mój i Dona. Lillet zamiast wermutu.

Maya odmówiła. Klasyczny biały T-shirt Cala odsłaniał szczupłe, pomarszczone ręce; Cal miał trwałą opalenizną kogoś, kto od dziesięcioleci wystawiał skórę na kalifornijskie słońce. Pomysł, że Cal mógłby stanowić fizyczne zagrożenie dla Ricka, trzydzieści parę lat od niego młodszego, był trudny do zaakceptowania. Choć... nie było to niemożliwe.

Maya zadała mu wszystkie pytania po kolei, lecz niestety, choć pokój Cala znajdował się tuż obok jej pokoju, ubiegłej nocy Cal nie zauważył nic interesującego.

Przyszła pora na poruszenie drażliwszych tematów.

– Skąd wiedziałeś, że ja i Rick ze sobą sypiamy?

– Nie wiedziałem...

– Powiedziałeś Trishy. Dziesięć lat temu. Skąd wiedziałeś?

Cal pociągnął łyk z kieliszka i przesunął palcem po jego brzegu.

– Wayne mi powiedział. Któregoś ranka zobaczył Ricka wymykającego się z twojego pokoju.

– Powiedział o tym komuś jeszcze?

– Chyba nikomu. Tak mi się wydaje. Nie chcieliśmy was sypnąć.

– A ty? Powiedziałeś komuś jeszcze?

Cal milczał przez chwilę.

– Kathy. Zaczęła nabierać podejrzeń... Próbowaliśmy nie dopuścić do tego, by wykopano was z ławy przysięgłych. Albo gorzej.

Maya mu uwierzyła. Gdyby chciał wywalić ją ze składu, osiągnąłby to z łatwością.

– Nikomu więcej?

– Nikomu więcej.

– Kto zabił Ricka?

Kiedy już raz zdobyli się na szczerść, najlepiej było walić z grubej rury.

Cal odstawił kieliszek.

– Długo nad tym myślałem. Tu nie ma prostych odpowiedzi. Ale koniec końców wydaje mi się, że najsensowniejsze jest najprostsze wyjaśnienie.

– Czyli?

– Ty go zabiłaś.

Zabrzmiało to przeprasząco, jakby Cala uwierała nietaktowność tej sugestii.

Maya zachowała kamienną twarz.

– Naprawdę sądzisz, że mogłabym to zrobić?

Skrzywił się.

– Ty sądzisz, że ja bym mógł. Prawda?

Westchnęła. Miał rację.

– Myślę, że to mało prawdopodobne.

Żadne z nich nie miało najmniejszych problemów, by wyobrazić sobie to drugie w charakterze zwyrodniałego przestępcy.

Nagle usłyszała hałas dobiegający z ulicy: jakieś szorstkie okrzyki, tupot ciężkich butów na chodniku.

Cal podniósł się i wyjrzał zza żaluzji.

– Ludzie z kamerami.

– Ekipa telewizyjna – stwierdziła Maya. – Znaleźli cię.

– Nie. Znaleźli ciebie.

Podeszła do okna, żeby się przyjrzeć, ale uniósł rękę, powstrzymując ją.

– Co robisz? – zapytała Maya.

– Jeździsz białym lexusem?

– Tak.

Cal skinął głową.

– Filmują twój samochód. Musieli go jakoś namierzyć... Chyba nie wiedzą o tym domu. O mnie. W każdym razie rozstawili się wokół twojego samochodu.

– Jak mogli mnie namierzyć... Cholera. Samochód jest zarejestrowany na moją kancelarię prawną. Ktoś stamtąd musiał...

W firmie pracowało mnóstwo ludzi, którzy mogliby sprzedać informację dotyczącą rejestracji jej auta. Młodzi prawnicy, stażyści, personel administracyjny. Ktoś dysponujący taką informacją mógł zapewne zhakować aplikację lokalizacyjną jej wozu.

– Muszę się zmywać... Pójdę do domu. Podejrzewam, że nie mają jeszcze mojego adresu. Ale jeśli wyjdę od frontu, to mnie zobaczą. Masz tu jakieś tylne wyjście? – Potrafiła sobie wyobrazić obecną rozterkę Cala: czy miał pomóc potencjalnej morderczynie wymknąć się z jego domu? – Proszę.

Cal westchnął.

– Korytarzem prosto. Drzwi wychodzą na werandę. Możesz przeskoczyć na pustą działkę za domem. Dalej są schody.

W rejonie jeziora Silver była cała masa sekretnych schodków. Ukryte przed wzrokiem postronnych, rzadko zaznaczane na mapach, pozwalały przemieszczać się piechotą między wzgórzami bez potrzeby błakania się po szerokich ulicach, przy których chodników było jak na lekarstwo.

– Chciałbym zauważyć – powiedział Cal, idąc za nią w głąb domu – że to, co właśnie robię, nie czyni mnie współsprawcą morderstwa już po fakcie. Nie utrudniam śledztwa. Nic mi nie wiadomo o tym, żebyś zabiła Ricka, a jedynymi ludźmi, przed którymi cię ukrywam, są paparazzi.

– Zgadza się – potwierdziła Maya, otwierając tylne drzwi. – Dziękuję.

– Maya... – zaczął, zanim zamknęła je za sobą.

– Tak?

– Kiedyś naprawdę lubiłem kryminały.

Nie miała pojęcia, do czego zmierza.

– Agathy Christie. Całą serię.

– Pamiętam, że czytałeś je w hotelu.

– Jakoś straciłem do nich serce.

– Rozumiem.

– I chyba wiem dlaczego. – Wziął głęboki wdech. – Wszystkie kryminały mają jakieś rozwiązanie. Detektyw przypiera podejrzanego do muru, ten się przyznaje, a my zyskujemy pewność. A tutaj... wcale tak nie jest. Tutaj ktoś idzie albo nie idzie do więzienia, a my dalej nie znamy prawdy. Takiej absolutnej i definitywnej. To nie do zniesienia.

Maya nie wiedziała, co powiedzieć.

Gestem wskazał spowite mrokiem miasto za jej plecami.

– Powinnaś już iść. Mam szczerą nadzieję, że go nie zabiłaś.

Wiodące na najbliższe wzgórze schody obsadzone wysokimi krzewami i oświetlone przez rzadko rozstawione latarnie dawały całkiem znośną osłonę. Na szczycie przed sobą widziała już szerszą, lepiej oświetloną ulicę.

Nikt jej nie śledził. Zbłąkana ekipa, która namierzyła jej samochód, mogła się teraz rozbić wokół niego obozem na najbliższy miesiąc.

Maya prawie krzyknęła, gdy w kieszeni zawibrował jej telefon.

Chryste. Bez paniki.

To był Craig.

– Gdzie jesteś?

– A czemu pytasz?

– Bo fotoradar na rogu Trzeciej i Alamedy zrobił zdjęcie czerwonego forda F-150, który zeszłej nocy o pierwszej osiem przejechał na czerwonym. Tablice rejestracyjne z Kolorado.

– No i...?

– Samochód jest zarejestrowany na niejakiego Wayne'a Russela.

Maya zeszywniała.

– Ale przecież mówiłam ci, że Wayne nie przyjechał na zjazd...

– Jesteś pewna?

– Nie było go. Producenci powiedzieli, że im odmówił. Rozmawiałam nawet o tym z Trishą i Fran. Od lat nikt nie utrzymywał z nim kontaktu.

– Więc co robił jego samochód w Los Angeles zeszłej nocy?

Maya odruchowo obejrzała się przez ramię. Nikogo.

– Nie odbiera telefonu domowego w Kolorado – powiedział Craig. – Nic dziwnego, skoro jest tutaj. Nie możemy znaleźć numeru jego telefonu komórkowego. Policji chyba też się nie udało.

– Dlaczego Wayne miałby zapowiedzieć, że nie przyjedzie, po czym ukradkiem zjawić się w Los Angeles?

Nie wiedziała, czy zadaje to pytanie Craigowi czy samej sobie, ale odpowiedź na nie mogła być kluczem do jej uniewinnienia.

Przypomniała sobie, jak któregoś dnia Wayne i Rick prawie pobili się w pokoju obrad ławników. Wayne pochylił się nad Rickiem i uderzył pięścią w stół. Przez większość obrad byli po tej samej stronie, co paradoksalnie nasiliło ich wzajemną wrogość.

Craig mówił szybko.

– Mówiłaś, że z perspektywy Bobby'ego Nocka zakradanie się do hotelu byłoby szaleństwem, bo od razu zostałby rozpoznany. Możesz mieć rację. A jak to wygląda z perspektywy kogoś, kto mieszkał w tym hotelu przez pięć miesięcy i poznał każdy zakamarek?

Maya wyobraziła sobie, którędy zakradłaby się niepostrzeżenie do hotelu Omni. Czy to w ogóle możliwe? Czemu nie.

– Wróć do domu i spakuj torbę – powiedział Craig.

– Czemu?

– Bo Wayne Russel zapowiedział, że nie przyjeżdża, po czym został sfotografowany nieopodal hotelu w chwili śmierci Ricka... A teraz nikt nie wie, gdzie on jest.

Rozdział 8

CAL

9 LIPCA 2009

Cal Barro był dotąd przekonany, że niełatwo jest zawstydzić śledczego policji Los Angeles, lecz przecież widział wyraźnie, że Ted Kadero, trzydziestojednoletni weteran sił policyjnych, zaróżowił się aż po łysinę, czytając na głos wiadomości tekstowe, które wysłali do siebie Jessica Silver i Bobby Nock.

– „Nie mogę się doczekać, aż poczuję twoją ciasną moką cipkę” – wyrecytował śledczy Kadero, siedzący na miejscu dla świadka. Desperacko próbował uniknąć kontaktu wzrokowego z Morningstarem.

– Czy Jessica odpowiedziała na tę wiadomość? – zapytał Morningstar.

– Tak. – Śledczy wziął głęboki wdech. – „Od rana myślę o twoim twardym chuju”.

Cal stłumił chichot. Zmuszanie sztywniaka z policji Los Angeles do wypowiedzania na sali sądowej słów „twardy chuj” wydawało się tak niestosowne, że stanowiło zabawną odmianę.

– Kiedy to było?

– Wiadomość została wysłana z telefonu Jessiki o godzinie czternastej osiem jedenastego stycznia tego roku.

– A potem?

Śledczy spojrzał błagalnie na oskarżyciela.

– Pan Nock odpisał minutę później.

– Co konkretnie?

Policjant odczytał tekst z wydruku wsuniętego w plastikową koszulkę:

– „Tę sukienkę włożyłaś dziś na zajęcia tylko po to, żeby mnie podniecić”.

Kadero podniósł wzrok.

– A potem?

– Minutę później Jessica odpisała: „Nie miałam na sobie bielizny”. – Zawiesił głos. – Tu są literówki... Mam przeczytać na głos?

Cal spojrzał na Elaine Silver, mamę Jessiki, która od trzech miesięcy codziennie siadała w pierwszym rzędzie wśród publiczności. Jak zwykle

była ubrana na czarno, jakby przyszała na pogrzeb. W żaden widoczny sposób nie zareagowała na zeznanie Kadero. Trzymała głowę wysoko i patrzyła jak ktoś, kto nie ugnie się ani przed tym koszmarem, ani przed żadnym innym. Cal nie umiał sobie wyobrazić, czym musi być dla niej konieczność wysłuchiwania tych wszystkich zeznań. Śmierć Jessiki – czy raczej jej „zniknięcie”, jak natychmiast poprawiłaby go obrona – była już wystarczająco smutna. Przyglądanie się, jak ta biedna kobieta stoicko znosi proces o zabójstwo, było wprost nie do zniesienia.

Lou Silver ani razu nie pojawił się u jej boku. Może dla niego było to po prostu za wiele. Cal właściwie go nie winił.

Resztę poranka wypełniło drastyczne zeznanie śledczego Kadero, zmuszonego do wyrecytowania wszystkich dwudziestu kilku nieprzyzwoitych esemesów, które wysłali do siebie Bobby i Jessica. Kazano mu również opisać oba zdjęcia wysłane przez Jessicę, lecz ponieważ przedstawiały nagą osobę nieletnią, prawnicy uzgodnili, by nie pokazywać ich na rozprawie toczącej się przy drzwiach otwartych.

Sam opis, na szczęście, wystarczył.

Cal poświęcił przerwę na lunch na zjedzenie falafela na wynos i lekturę kryminału Agathy Christie. Często rozmyślał o decyzji prowadzącej człowieka do zabójstwa. Umiał sobie wyobrazić pragnienie czyjejś śmierci, ale pragnienie bycia mordercą? Fizycznie unieść nóż i wrazić go w ciało drugiego człowieka? Nie do pojęcia.

Tym, co zawsze pociągało go w kryminałach Agathy Christie, była ograniczona liczba podejrzanych. U Arthura Conan Doyle’a za każdą zbrodnią mogła stać połowa mieszkańców Londynu. U Agathy podejrzanych była ledwie garstka i zawsze poznawało się ich na samym początku. I chociaż trudno było ich spamiętać, gdy historia nabierała tempa – momencik, kim był lord Iksiński? – czytelnik miał pewność, że jeden z nich ma krew na rękach. Agatha grała czysto: pod koniec książki nie pojawiała się znikąd żadna postać, o której nikt dotąd nie słyszał. W każdej z książek Christie zawarty był jakiś pomysłowy zwrot akcji. W *Morderstwie w Orient Expressie* zaskoczenie polegało na tym, że odpowiedzialność za morderstwo ponosiła cała dwunastka. W ulubionej książce Cala pod tytułem *Zabójstwo Rogera Ackroyda* mordercą nieoczekiwanie okazywał się narrator. W *Kurtynie*, historii najsmutniejszej ze wszystkich, mordercą okazał się detektyw. Starszą panią można było

lubić lub nie, lecz bez wątpienia przerobiła wszystkie możliwe kombinacje sprawców.

Czemu bohaterowie Agathy nawzajem się mordowali? Zwykle dla pieniędzy. Czasem z zemsty. Bardzo rzadko z miłości.

Cal obserwował pozostałą czternastkę siedzących w sali ławników, którzy jedli, czytali, rozmawiali lub rozwiązywali krzyżówki. Czy którekolwiek z nich mogło być mordercą?

Stanowili przedziwną zbieraninę. W jakimś sensie budynek sądu okazał się miejscówką bardziej egzotyczną niż Orient Express, choć położony był w odległości zaledwie sześciu kilometrów od domu Cala, na granicy dzielnic Silver Lake i Los Feliz. Cal mógł tam dojść piechotą z prawie wszystkich posiadanych lub zarządzanych przez siebie nieruchomości. Nieruchomościami z Eastside – a w każdym razie zarządzaniem nimi – zajmował się od dwudziestu pięciu lat. Czysze stale rosły, bo cały ten region – z początku sucha, pozbawiona choćby jednej palmy piaszczysta misa – najpierw przeobraził się w rewiry odzianych w skóry chłopców z lat osiemdziesiątych, a potem w mekkę hipsterskich kawiarni i ośrodków pilatesu. Don, partner Cala, mieszkał tu równie długo jak on sam, a jednak mieszkańcy Los Angeles, których Cal zastał w budynku sądu, byli mu zupełnie obcy. Geograficznie byli jego sąsiadami, formalnie – kolegami z ławy przysięgłych, więc skąd to wrażenie, że teleportowali się tu z innej planety?

Myśl, że cała ta przypadkowa zbieranina mogła się zebrać wyłącznie w tej sali sądowej, była dość niesamowita. W Los Angeles niewiele było trzeba, by sąsiedzi zaczęli ze sobą rozmawiać. Wystarczyło, żeby jeden zabił drugiego.

Przerwę na lunch Cal zakończył przy pisuarze w męskiej toalecie obok Petera Wilkiego, który wziął na siebie ciężar zagajenia rozmowy:

- Niezłe te esemesy.
- Co za akcja.
- Dostałeś kiedyś taką wiadomość? – zapytał Peter. – W sensie... od faceta?

Cal wzruszył ramionami.

– Ja dostawałem od dziewczyn takie rzeczy, że byś, kurde, nie uwierzył. Pulitzer wulgarności. Założę się, że w przypadku gejów...

Cal uśmiechnął się uprzejmie. Znał ten gatunek heteroseksualnych mężczyzn. Gdy mówili o tym, co sobie wyobrażali jako beztrioskie rozpasanie gejowskiego życia, w tonie ich głosu pojawiała się zabawna zawiść. Jakby byli zazdrośni.

– Dopiero w zeszłym roku kupiłem sobie komórkę – powiedział, zmierzając ku umywalkom. – Bratanek próbował mi pokazać, jak pisze się wiadomości, ale dalej uważam, że łatwiej zwyczajnie zadzwonić.

Po lunchu za przesłuchiwanie śledczego Kadero wzięła się mecenas Gibson.

– Domyślam się – powiedziała, idąc powoli w kierunku miejsca dla świadka, jakby miała do dyspozycji ocean czasu – że był pan wstrząśnięty, gdy zobaczył te esemesy, które wysyłali sobie Bobby i Jessica.

– Tak, proszę pani.

– Może nawet zbulwersowany?

– Można to tak określić.

– Bardzo prowokacyjne sformułowania jak na dziewczynę w jej wieku.

Kadero uśmiechnął się lekko.

– No cóż, mam córkę w tym wieku. Zdziwiłaby się pani.

Cal zgodził się w duchu z policjantem. To, co dzieci oglądały dziś w internecie...

Gibson przyjaźnie skinęła głową.

– I to jeszcze nauczyciel.

Sędzia zerknął na Morningstara, jakby spodziewał się sprzeciwu, lecz oskarżyciel zachował milczenie. Ostatnio często zgłaszał sprzeciw, więc może oszczędzał amunicję na później.

– Pewnie.

– Jakie wnioski wyciągnął pan z tych esemesów?

– Słucham?

– Jak pan sądzi, na podstawie tych esemesów, co się wydarzyło?

– Wydarzyło się? – Śledczy pomyślał przez chwilę. – No, to były esemesy przesyłane sobie przez oskarżonego i ofiarę.

– Dla jasności zaznaczmy w tym momencie, że kiedy dowiedział się pan o tych esemesach, Bobby Nock nie był jeszcze oskarżonym, a Jessica Silver nie została jeszcze uznana za ofiarę, dobrze?

– Oczywiście. Słusznie. Tak.

– Ale założył pan, że te wiadomości oznaczały, że łączyła ich niestosowna relacja o charakterze seksualnym?

– Owszem, tak. Co stwarzało Nockowi motyw zabójstwa.

– Ach – powiedziała Gibson. – No tak.

Stała przez chwilę bez ruchu, jak gdyby zatopiona w myślach, po czym nagle podniosła wzrok na świadka, jakby właśnie coś przyszło jej do głowy.

– Jeszcze jedno pytanie... Dlaczego pan tak pomyślał?

Cal nie wiedział, dokąd zmierza mecenas Gibson, lecz bez wątpienia przykuła jego uwagę.

– No cóż... Gdyby Bobby Nock chciał zataić przed szkołą i przed rodziną Silverów, że on i Jessica uprawiają seks... Gdyby chciał dopilnować, by nikomu nie powiedziała, co się dzieje... To byłby to całkiem niezły powód popełnienia zbrodni – powiedział śledczy.

– Nie, przepraszam, może źle się wyraziłam. Dlaczego doszedł pan do przekonania, że Bobby Nock i Jessica Silver uprawiają seks?

Detektyw Kadero wbił w nią zdumione spojrzenie.

– Te wiadomości... były raczej jednoznaczne.

– Bardzo obrazowe.

– Tak, proszę pani.

– Ale czy którakolwiek z nich stwierdzała bez niedomówień, że Bobby i Jessica uprawiali już seks?

Cal usłyszał, jak ludzie siedzący w sali poruszyli się na krzesłach.

– Słucham?

– No cóż – powiedziała Gibson. – Weźmy pierwszą wiadomość, którą przeczytał nam pan dziś rano.

– Nie mam jej przed sobą.

Obrończyni odczytała ją ze swoich notatek:

– „Nie mogę się doczekać, aż poczuję twoją ciasną mokrą cipkę”. To chyba ta, prawda?

– Chyba tak.

– „Nie mogę się doczekać” – powtórzyła powoli. – Gdyby pan w tym momencie powiedział: „Nie mogę się doczekać, aż zjem kanapkę z indykiem...”, czy ktokolwiek uznałby to za informację, że jadł pan już lunch?

Na twarzy detektywa odmalowało się, eufemistycznie rzecz ujmując, wzburzenie.

Cal zaczął się domyślać, dokąd zmierza Gibson.

Kurczę, niezła była.

– Sprzeciw. – Morningstar wstał. – Ta hipoteza jest niedorzeczna.

– Sprzeciw na jakiej podstawie? – zapytał sędziego.

Morningstar zastanowił się przez moment.

– Pytanie wykracza poza zakres sprawy.

Gibson zwróciła się do sędziego.

– Oskarżyciel wezwał śledczego na świadka, by złożył zeznania w sprawie tych esemesów. Poprosił śledczego o wyciągnięcie wniosków ze składających się na nie sformułowań. Jeśli rozszerzyliśmy zakres pytań kierowanych do świadka, to zrobił to oskarżyciel.

Sędzia zastanowił się przez chwilę.

– Uchylam sprzeciw.

Cal nie rościł sobie pretensji do znajomości zawłości proceduralnych, lecz nawet dla niego było jasne, że obrończyni wykonała niezwykle inteligentne posunięcie.

– Komisarzu? – przynagliła śledczego.

– Ja... Nie sądzę, by oskarżony mówił tutaj o kanapce z indykiem.

Wśród publiczności rozległy się śmiechy. Cal spojrzał na Elaine Silver. Biedaczka.

Gibson się uśmiechnęła.

– W porządku. No to może weźmy następną wiadomość. Czy ją również mam panu odczytać? – Zajrzała do notatek. – „Tę sukienkę włożyłaś dziś na zajęcia tylko po to, żeby mnie podniecić”.

– Myślę – powiedział śledczy Kadero – że to oznacza, że oskarżonemu podobała się sukienka ofiary.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Domniemanej ofiary.

– Domniemanej ofiary – poprawił się.

– Dziękuję – odparła Gibson. – Zatem widzę tu nawiązania do rzeczy, których Bobby „nie może się doczekać”, i do rzeczy, o których „myśli”, ale nie widzę, by te wiadomości w jakimkolwiek miejscu odnosiły się do czegoś, co Bobby Nock i Jessica Silver faktycznie zrobili. Choć oczywiście nie mogę tego stwierdzić z całkowitą pewnością.

Śledczy Kadero ujął swój plik wydrukowanych stron opakowanych w plastikowe koszulki. Przerzucał je kolejno, kartkując coraz szybciej.

– Też się zdumiałam – powiedziała Gibson; rzuciła to lekkim tonem, jakby była głupiutką nastolatką, dla której to wszystko jest zbyt trudne,

niepewną, co właściwie robi w tej wielkiej sali sądowej.

Calowi zaimponowała łatwość, z jaką Gibson przemieniała się z łowcy w ofiarę i z powrotem.

– Sprzeciw, wysoki sędzie.

Morningstar znów wstał, być może wyczuwając jakąś lukę w murze obrony, ale jeśli to miał być strzał, okazał się chybiony. Bo kiedy wymawiał słowa „obrona nie zadała pytania”, Cal usłyszał w jego głosie zdenerwowanie.

– Sformułuję to inaczej, wysoki sędzie – powiedziała spokojnie Gibson. – Komisarzu, wszystkie te wiadomości tekstowe i fotografie, które wysłano, nawiasem mówiąc, w ciągu jednego dnia, wskazują na bulwersująco niestosowny związek nauczyciela z uczennicą, ale czy pana dochodzenie ujawniło konkretne dowody, w jakiejkolwiek formie, świadczące bezsprzecznie o tym, że Bobby Nock i Jessica Silver rzeczywiście odbyli stosunek seksualny?

Śledczy Kadero wciąż przerzucał kartki. Nie znalazł wiadomości, które miał nadzieję odszukać. W końcu odłożył plik.

– Nie, proszę pani. Nie zdobyliśmy takich dowodów.

Cal znów usłyszał poruszenie wśród zgromadzonych. Na tyle głośne, że sędzia zmuszony był stuknąć młotkiem, by wszyscy się uciszyli.

– Skoro Bobby i Jessica nie uprawiali seksu – powiedziała Gibson – w jakim świetle stawia to przedstawioną przez oskarżyciela teorię motywu zbrodni popełnionej rzekomo przez Bobby’ego?

Śledczemu Kadero nie udało się ukryć frustracji.

– To, że nie uprawiali seksu, nie oznacza, że jej nie zabił.

– Oczywiście. Bez wątpienia. Niemniej... – Gibson wskazała gestem Morningstara – ...mój przyjaciel reprezentujący stronę przeciwną zasugerował, że Bobby Nock zamordował Jessicę Silver, by ukryć potajemny związek o charakterze seksualnym. Dlatego pytam pana, czy pana zdaniem, jako śledczego, teza oskarżyciela jest równie uzasadniona, jeśli związek nie miał charakteru bezsprzecznie seksualnego?

Morningstar zerwał się, by zgłosić sprzeciw. Tym razem wygrał. Świadek nie musiał odpowiadać na pytanie.

Cal poczuł pierwsze drgnienia wątpliwości.

Rozdział 9

NIE ZROBIŁ TEGO SAM TERAZ

Gdy Maya dotarła na wzgórze, na którym stał jej dom, była już prawie jedenasta.

Jasny blask nowego śródmieścia wybudowanego przez Lou Silvera oświetlał od tyłu wzgórze Silver Lake. Jedynym źródłem światła w pobliżu były okna sąsiada Mai – odległe, ciepło otulone zasłonami.

Ulica przed jej domem była pusta. Maya odrobinę się rozluźniła, przekonana, że przynajmniej na ten moment miała rację: nikt jeszcze nie namierzył jej adresu.

A potem zobaczyła coś przemieszczającego się na ukos przez trawnik przed jej domem.

Przez chwilę była pewna, że coś jej się przywidziało. Ze strachu aż ją zemdliło.

Z mroku wyłoniła się sylwetka człowieka, zarys ludzkiej postaci na tle rozświetlonych okien. Ktoś szedł cicho między palmami rosnącymi przed jej domem.

Przykucnęła za drewnianą furtką sąsiada. Czowała, jak wali jej serce.

Kimkolwiek był ów ktoś, przemknął w ciemności na skraj trawnika. Paparazzo polowałby na ujęcie samej Mai, zapewne zaczajając się po przeciwnej stronie ulicy. A ten gość czatował na trawniku.

Wayne.

Wiedziała, że powinna jak najszybciej pobiec z powrotem i zadzwonić na numer alarmowy. Ale zanim przyjechałaby policja, Wayne prawdopodobnie zdążyłby zniknąć, natomiast prokuratura z pewnością zdołałaby wykorzystać ten telefon przeciw niej. Na ich miejscu sama by tak zrobiła.

Wyciągnęła komórkę i przycisnęła ją do piersi, by ukryć świecący ekran. Włączyła kamerkę.

Wyskoczyła zza furtki i pognęła przez trawnik. Wyciągnęła telefon i nacisnęła ikonkę latarki.

– Cholera.

Damski głos. Znajomy. Oślepiąca światłem kobieta osłoniła twarz przedramieniem.

– Dzwonię na policję – powiedziała Maya.

– Proszę poczekać. To ja.

Shannon, młoda asystentka produkcji z *Miasta morderców*, opuściła rękę.

– Co ty tu robisz?

– Pani adres podała mi pani znajoma, Crystal... Chciałam pomóc.

– I niby gdzie ta pomoc?

Shannon uniosła nad głowę dużą żółtą kopertę. Wyglądała, jakby poddawała się brygadzie antyterrorystycznej, a nie prawnicze z komórką w ręku.

– Nie wierzę, by mogła pani kogokolwiek zabić – powiedziała Shannon.

– Dzięki.

– Rick dał producentom dostęp do wszystkich swoich plików. Wszystkiego, co zgromadził na temat zaginięcia Jessiki Silver.

– I czego się dowiedział?

– Nie wiem. – Shannon wyciągnęła przed siebie żółtą kopertę. – Ale przypuszczam, że wszystko jest tutaj.

Shannon czekała, aż Maya pospiesznie wrzuci do niedużej torby trochę ubrań, a do aktówki laptopa i parę przypadkowych ładowarek.

– Pojedziemy twoim autem.

– A gdzie jedziemy? – zapytała Shannon.

– Gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Nowiutkie czarne bmw wiozło je pustymi ulicami na zachód. Silnik mruczał cicho.

– Ładny samochód – powiedziała Maya, zachodząc w głowę, jakim cudem asystentkę stać na taki wóz.

– Rodziców – odparła Shannon, choć pytanie nie zostało zadane wprost.

Dom Crystal Liu w Santa Monica był oddzielony od ulicy rzędem wypielęgnowanych bambusów. Sama Crystal otworzyła im drzwi tuż przed północą, ubrana w stary T-shirt i spodnie od dresu.

– Szykujesz się na randkę? – zaciekała się Maya.

Crystal nie odpowiedziała na zaczepkę. Zamiast tego zwróciła się do Shannon:

- Serio powiedziałaś jej, że jest twoją idolką?
- Tak, a co? – odparowała Shannon wyzywająco.

W salonie urządzonym w duchu wysmakowanego minimalizmu Shannon otworzyła wreszcie żółtą kopertę. Znajdował się w niej pakiet informacyjny przeznaczony dla nowych pracowników *Miasta morderców*: instrukcje dotyczące parkowania, wypłaty wynagrodzeń, dostarczania zwolnień lekarskich i logowania się do repozytorium danych w chmurze.

Shannon zalogowała się z laptopa Crystal.

– Wszystko, co Rick przekazał nam do programu, powinno być dostępne online.

- Czy ktokolwiek może nas namierzyć? – zapytała Maya.
- Pewnie. Logujesz się moimi danymi, ale z adresu IP Crystal.
- Powiedz to jakoś po ludzku.

Shannon przewróciła oczami. Podczas ostatniego spotkania Maya wydała jej się mniej zapóźniona.

– Laptop Crystal ma unikalny adres IP. Jeśli ktokolwiek z ekipy będzie chciał wyszukać lokalizację logowania, zobaczy, że wykonano je z jej komputera. Ale czemu miałyby szukać takich danych? Przecież nikt nie włamał się do systemu. Jestem pewna, że i tak udzielili już dostępu policji. Domyślam się, że dziś wieczorem do systemu zdążyło się zalogować kilka nowych adresów IP.

Maya odwróciła się do Crystal, która skinęła głową.

– Zrób to.

Shannon ściągnęła potężny zbiór plików z folderu „Prezentacja Ricka Leonarda”.

– Jeśli mimo wszystko sprawdzą, zorientują się, że wykorzystaliśmy twój login, i wyleją cię z pracy – powiedziała Maya.

Shannon wzruszyła ramionami.

- Mogę być z wami szczerą?
- A nie byłaś?

Shannon otworzyła zbiór plików na laptopie Crystal.

– To naprawdę kijowa robota.

Shannon powiedziała im później, że nie dostawała nawet wynagrodzenia. Pracowała jako stażystka, a jej rodzice mieli chyba pokaźny majątek w Connecticut, choć Maya nie dociekała, na czym się dorobili.

We trzy rozsiadły się na trzech oddzielnych kanapach. Shannon pracowała na laptopie Crystal, Crystal korzystała ze swojego iPada, Maya podłączyła do prądu własny komputer.

Crystal zagłębiła się w pliki dotyczące rodziny Silverów. Shannon wzięła na siebie badania kryminalistyczne. Maya zajęła się aktami Bobby'ego Nocka.

Rick w ciągu dziesięciu lat przeprowadził wyczerpujące śledztwo dotyczące zniknięcia Jessiki Silver. Maya się tego spodziewała, lecz mimo to skala jego obsesji zapierała dech w piersiach. Każdy element tej sprawy był opisany w oddzielnym pliku: analiza DNA uzupełniona zapisem kilkunastu rozmów z biegłymi sędziami do spraw badań kryminalistycznych, mechanizm triangulacji telefonów komórkowych z dwudziestostronicowym wyjaśnieniem technologii będących podstawą działania sieci bezprzewodowych, historia nieruchomościowego imperium Lou Silvera (nie tylko dane finansowe, lecz także wypowiedzi byłych pracowników), genealogia rodziny Elaine Silver (wyrosła w biedzie, z której zdołała się wydźwignąć, zanim wyszła za Lou, który wkrótce został miliarderm), świadectwa szkolne Jessiki Silver włącznie z cenzurkami z przedszkola, no i oczywiście setki stron na temat życia i nieprawości Bobby'ego Nocka.

Maya pomyślała o własnym folderze dotyczącym tej sprawy – tym, który Rick zobaczył w jej pokoju hotelowym. Czy ubzdurał sobie, że znajdzie w nim świadectwo obsesji mogącej się równać z jego własną? Jaki nędzny i cieniutki musiał mu się wydać tamten folder.

Czy przejrzał go, siedząc samotnie w jej pokoju, nim ktoś go zamordował?

Co sobie o niej pomyślał, zanim zginął? Jak bardzo go rozczarowała?

O pierwszej w nocy Maya poszła zrobić sobie kawę. Nie piła kawy o tej porze od czasu studiów na wydziale prawa.

Zmagala się właśnie z eleganckim norweskim ekspresem Crystal, gdy u jej boku zmaterializowała się nagle Shannon i w ciągu kilku sekund skłoniła maszynę do działania.

– Myślisz, że to robota Wayne'a? – zapytała Shannon.

Maya przyznała, że nie wie. Kłamstwo Wayne'a i jego nagłe zniknięcie nie pozostawiały wątpliwości, że coś ukrywa, ale i przemawiała za teorią

Crystal, w myśl której w sprawę wplątanych było kilku ławników, a wszystko razem zalatywało spiskiem.

– Wayne mógł być zabójcą – powiedziała Maya, nalewając sobie kawy. – Ale to nie jest typ człowieka, który planuje, tylko zwykły łajdak rozstrzygający sprawy pięścią. Jeśli to zrobił, to raczej nie sam.

– Dzięki! – krzyknęła Crystal z salonu, słysząc tak łaskawe podsumowanie własnej teorii.

Shannon wyglądała na kogoś, kogo przeniesiono nagle na plan ulubionego programu: radosna, podenerwowana, jakby nie dowierzała, że to wszystko przydarza się właśnie jej.

Mayę zdumiała liczba osób, z którymi Rickowi udało się porozmawiać. Znalazła zapisy rozmów przeprowadzonych z nauczycielami ze szkoły, kolegami z klasy i przyjaciółmi z dzieciństwa. Na temat każdej z tych osób sporządzono notatki, którym w wielu wypadkach towarzyszyły nagrania audio.

– Kiedy Rick znalazł na to wszystko czas? – zapytała Maya.

– Miał dziesięć lat – odparła Crystal.

– Ale czy przez dziesięć lat zajmował się wyłącznie tym?

– Owszem – potwierdziła Shannon.

Maya odwróciła się do niej.

– To znaczy?

– Zaczęliśmy przygotowywać materiał na jego temat. Kilka tygodni temu. To znaczy nie ja, mnie nigdy nie pozwalali zrobić nic konkretnego. Ale dostarczył nam pewnych informacji dotyczących tego, gdzie przebywał.

– No i gdzie?

– Tutaj – odparła Shannon. – W Los Angeles. Sześć miesięcy po ogłoszeniu wyroku zrezygnował z pisania doktoratu. Były jakieś napięcia między nim a resztą doktorantów i chyba częścią wykładowców, trudno powiedzieć, z czego mogły wynikać. Stał się postacią, jak to się mówi, kontrowersyjną. Ale nie w tym pozytywnym sensie.

– Czasem nie jest źle być kontrowersyjnym – zauważyła Maya. – Ale rozumiem, że to nie był przypadek Ricka?

– No właśnie.

– A więc po prostu został w Los Angeles i...?

Shannon wzruszyła ramionami.

– Pielęgnował obsesję.

– Napisał książkę – powiedziała Crystal. – O tym, jaka jesteś koszmarna. Maya rzuciła Crystal ciężkie spojrzenie.

– A potem? – To pytanie Maya skierowała do Shannon. – Jak zarabiał na życie?

– Chyba sprzedaż książki przez jakiś czas zapewniała mu wystarczające dochody. Sporo zaoszczędził i chyba nieźle zainwestował. Ale niewiele wiem na ten temat.

Shannon zdecydowanie wychowała się w majątnej rodzinie ze Wschodniego Wybrzeża.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że po zakończeniu procesu Rick zajął się wyłącznie dochodzeniem w sprawie zniknięcia Jessiki Silver? – zapytała Maya.

– Tak powiedział. Sądzę, że był dość samotny. Cała ta sprawa fatalnie odbiła się na jego rodzinie. Po ogłoszeniu wyroku jego rodzice się rozwiedli. Oboje nadal mieszkają w... Moment, gdzie to było...?

– W Karolinie Północnej – powiedziała Maya.

Przypomniała sobie, że opowiadał jej o swoich rodzicach; podczas procesu ich rodziny były stosunkowo bezpiecznym tematem do rozmowy. Teraz poczuła się wręcz urażona, że Shannon wie więcej od niej na temat rodziny Ricka.

Rick nie chciał o tym z Mayą rozmawiać. Dlaczego?

– Nie do wiary. Jakby po procesie nie umiał zamknąć tego rozdziału – stwierdziła Crystal.

Maya świetnie to rozumiała.

– Żadne z nas nie umiało go zamknąć. Nawet jeśli udawaliśmy, że jest inaczej.

Tym razem Crystal nie znalazła odpowiedzi.

Zaledwie wczoraj Maya z ogromną pewnością siebie zadeklarowała Rickowi, że ta sprawa już jej nie dotyczy. Że nie zastanawia się, kto zabił Jessicę. Że w ogóle jej to nie obchodzi.

Jasne.

Po przejrzeniu jednej trzeciej plików Maya natknęła się na coś ciekawego.

– Rick pojechał do Bobby'ego Nocka – powiedziała.

Skoro swoje śledztwo prowadził do tego stopnia skrupulatnie, musiał oczywiście znaleźć jakiś sposób, by przesłuchać samego podejrzanego. Nie do wiary, że Rick i Bobby naprawdę się spotkali, a jej przy tym nie było.

– Kiedy? – zapytała Crystal.

Maya przeczytała krótką notatkę.

– Bobby mieszkał w jakiejś mieścinie kilka godzin na północ stąd. Rick pojechał się z nim spotkać piątego kwietnia. Ale w pliku nic więcej nie ma. Rozmawiał z nim, ale nie ma żadnego zapisu rozmowy ani nagrania, dosłownie nic.

Shannon zmarszczyła brwi.

– To raczej... dziwne, co?

Maya skinęła głową.

– Tutaj są literalnie dziesiątki stron o ubogich kuzynach Elaine Silver mieszkających na Florydzie i o osiedlu przyczep, na którym się wychowała, zanim przeprowadziła się do Los Angeles i poznała Lou, a nie ma transkryptu jedynej rozmowy Ricka z człowiekiem, którego przez dziesięć lat próbował zapakować do więzienia?

– A który przypadkiem właśnie zniknął – zauważyła Crystal z kanapy.

Maya spochmurniała.

– Zniknął przed pięcioma miesiącami. Tak powiedział mi Craig... – Jeszcze raz sprawdziła datę wizyty Ricka. – Kiedy dokładnie kurator Bobby'ego poinformował o złamaniu przez niego zasad zwolnienia warunkowego?

Crystal i Shannon popatrzyły po sobie. Czy ta informacja gdzieś tu była?

Maya napisała esemesy do obu Mike'ów.

Jeden odpowiedział dwadzieścia, drugi trzydzieści pięć sekund później.

– Bobby złamał zasady zwolnienia warunkowego dziewiątego kwietnia – odczytała Maya z telefonu. – I od tej pory nikt go nie widział.

Crystal podniosła na nią wzrok.

– Bobby Nock zniknął cztery dni po wizycie Ricka.

– Zatem do czegokolwiek Rick się dokopał, było to dla Bobby'ego znacznie groźniejsze niż złamanie zasad zwolnienia warunkowego – podsumowała Shannon.

Godzinę później sfrustrowana Maya odłożyła wreszcie laptopa na bok.

– Tu nie ma nic więcej. – Wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu. O trzeciej nad ranem w Santa Monica panowała upiorna cisza. – Doczytałam tylko, że Rick znalazł biegłego, który poparł tezę oskarżenia, że w bagażniku samochodu Bobby'ego znajdowała się krew Jessiki. Wielkie mi halo.

– A nie?

– No nie, bo to nic nowego. Przeleciałam setki stron i nie ma tu nic, co nie zostałyby dogłębnie omówione dziesięć lat temu. Są jakieś nowe dane kryminologiczne, ale i one niczego ostatecznie nie dowodzą. Jakiś koleś z zakładu dorabiania kluczy mieszczącego się nieopodal mieszkania Bobby'ego zeznał pod przysięgą, że widział dziewczynę podobną do Jessiki. Przechodziła obok jego zakładu w dniu, w którym Jessica zniknęła. Ale to też żaden przełom.

Shannon opuściła wzrok na własny ekran.

– U mnie to samo. To znaczy... to wszystko sprawy, o których już wcześniej zasadniczo wiedziałam.

– Ja w ogóle nic nie wiedziałam – powiedziała Crystal – ale gdybym była Bobbym, żadna z tych rzeczy nie kazałaby mi natychmiast wiać.

Maya wstała.

– Cokolwiek Rick znalazł, tutaj tego nie umieścił.

Shannon sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Ale nie dostaliśmy od niego nic więcej. – Wstała i rozprostowała plecy.

– Miał nam to wszystko streścić następnego dnia. Dzień po tym... no, dzisiaj. Chryste, czy nadal jest dzisiaj?

Crystal spojrzała na zegar na ekranie.

– Precyzyjnie rzecz ujmując, miał wam to streścić wczoraj.

– Nikt z programu tego nie przeglądał? – zapytała Maya.

– W sumie to nie. Czekaliśmy na Ricka. Nie wiem, czy teraz ktoś do tego usiądzie, biorąc pod uwagę policję i tak dalej.

– Policja nie będzie tego wszystkiego przeglądać – powiedziała Maya. Pomyślała o śledczej Daisey, która zbierała teraz materiały pozwalające ją aresztować. – Wzięli na celownik mnie. Prześlizgną się po wszystkim, co nie pomaga mnie ustrzelić.

Crystal przesunęła palcem po ekranie swojego iPada.

– Hm. No proszę. Wygląda na to, że jednak jest tu coś, co mogłoby ich zainteresować.

– Co takiego? – zapytała Maya.

– Folder. Na samym dole. Nosi nazwę „Maya Seale”.

– A co jest w środku?

Maya usiadła obok Crystal. Crystal kliknęła ikonkę folderu. Na ekranie pojawiły się zdjęcia Mai: niektóre z rozprawy, niektóre z wcześniejszego

okresu jej życia, a niektóre... przedstawiały Mayę w innych salach sądowych. Na innych rozprawach. Wiele lat po procesie Bobby'ego Nocka.

– Ooo, stara – powiedziała Crystal.

Shannon usiadła obok nich.

– Spójrz, jest jeszcze inny plik, informacja na temat rozpraw. Czy to opis wszystkich rozpraw, w których reprezentowałaś stronę?

Mai zrobiło się zimno. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Są tutaj nawet arkusze ocen z twoich studiów – powiedziała Crystal. – Rany boskie, dostałaś celujący z deliktów?

Maya poczuła znajomy ucisk w żołądku.

– Dlaczego Rick tyle czasu poświęcił na śledzenie... mnie?

Crystal kliknęła w kolejny folder. Ten nosił nazwę „Jae Kim”.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia Jaego i młodszych mężczyzn, którzy bardzo go przypominali; Maya uznała, że to pewnie jego synowie. Były też informacje o historii zatrudnienia ich wszystkich.

– Nie tylko ciebie – wyszeptała Shannon.

Maya sięgnęła do klawiatury. Zamknęła folder Jaego Kima i przesunęła kursor na kolejny. Każde z nich, co do jednego, miało własne akta: Lila Rosales, Fran Goldenberg, Kathy Wing, Peter Wilkie, Carolina Cancio, Wayne Russel, Yasmine Sarraf, Trisha Harold, Cal Barro.

– Rick nie poświęcił dziesięciu lat na badanie wyłącznie tej sprawy – powiedziała Maya, czując, że robi jej się niedobrze. – On badał nas.

Rozdział 10

PETER

10 LIPCA 2009

Peter Wilkie zawsze uśmiechał się na wspomnienie tej pierwszej nocy, kiedy wślizgnął się do pokoju hotelowego pogrążonej we śnie dziewczyny. Potwornie się denerwował. Spocił się tak, że dłoń odcisnęła wilgotny ślad na karcie magnetycznej z zakodowanym kluczem, którą dziewczyna zostawiła mu w recepcji.

Nigdy dotąd tak mu się nie dłużyła jazda windą. A jeśli klucz nie zadziała? Jeśli dziewczyna spanikuje na jego widok i uzna, że popełniła błąd? Zaczynało mu się rzucać na łeb.

Wysiadł na piątym piętrze hotelu Long Beach Hyatt, pokój 521; nadal pamiętał numer. Karta oczywiście zadziałała. Ruszył na palcach w ciemność po miękkiej wykładzinie. Dziewczyna leżała w pościeli i spała jak dziecko. Twarz miała zakrytą włosami.

Miał nadzieję, że będzie wyglądać jak na zdjęciach, które wysłała mu dzień wcześniej.

Rozebrał się – łącznie z bielizną – i wślizgnął pod kołdrę. Poruszyła się lekko i spokojnie spała dalej.

Leżał przez chwilę bez ruchu. Był wystraszony, jasne, ale i podniecony, leżąc tuż obok nagiej nieznajomej. Pomyślał wtedy: Kim ja właściwie jestem?

Zakaszłał teatralnie.

Obróciła się w jego stronę i otworzyła oczy. Przez moment błysnęła w nich panika, jakby dziewczyna chciała powiedzieć: „Kim jest ten człowiek i co się tu wyprawia?”.

A potem złapała go za głowę i gwałtownie przyciągnęła do siebie. Bez słowa pieprzyli się do rana.

Dokładnie tak, jak zażyczyła sobie w mailu.

To było dwa lata temu. Chyba nigdy wcześniej nie zrobił nic równie podniecającego. Niesamowite, że tyle czasu zajęło mu zorientowanie się, jakie fikołki można sobie załatwić przez Craigslist.

Dzięki Bogu za internet.

Pomysł podrzucił mu znajomy znajomego. Zalawszy się w pestkę w jednym z barów go-go na Sunset Boulevard, zdradził Peterowi, że problem większości facetów polega na tym, że nie mówią otwarcie o swoich zamiarach, tylko wikłają się w jakieś cienkie aluzje: „Może miałabyś ochotę wyskoczyć na drinka?”, „Może odwiozę cię do domu? Bez żadnych podtekstów, słowo daję!”.

Jaki to miało sens? Przecież babki i tak nie kupowały tych bredni.

Pokazał Peterowi post, który zawiesił na stronie: „Cześć, jestem wykształconym, zdrowym, wysportowanym mężczyzną po czterdziestce, bez chorób wenerycznych, gotowym na seksualne przygody. Szukam partnerki do jednorazowego, anonimowego seksu. Jest coś, co zawsze chciałaś zrobić, a twój mąż, chłopak czy dziewczyna nie mieli ochoty? Opowiedz mi o swoich najgłębiej skrywanych pragnieniach, a będzie, jak zechcesz. Ty dowodzisz, ty decydujesz. Żadnego przedstawiania się, rozmowy czy kontaktu po”.

A potem pokazał Peterowi, jakie otrzymał odpowiedzi... To było niesamowite. Odpisywały trzy, cztery dziewczyny tygodniowo, bardzo dokładnie opisując swoje fantazje. „Chcę uprawiać seks w parku Runyon Canyon, gdzie każdy może nas przyuważyć”. „Chcę Cię łaskotać, aż już nie będziesz mógł wytrzymać, a potem usiąść na tobie, przygwoździć cię i łaskotać cię dalej, a potem...”

Następnego dnia Peter zamieścił swój pierwszy post. „Cześć, jestem wykształconym, heteroseksualnym, białym mężczyzną po trzydziestce, bez zobowiązań. Szukam twojej najgłębiej skrywanej, niespełnionej fantazji”. Odpowiedź dostał po kilku godzinach. „Zawsze chciałam obudzić się w hotelowym pokoju obok nieznajomego, z którym nigdy wcześniej nie zamieniłam ani słowa...” I proszę, w najbliższy weekend ku własnemu zdumieniu wślizgiwał się do pokoju w Long Beach Hyatt. Ale na swój drugi post nie dostał żadnych odpowiedzi. Zaczął więc eksperymentować z językiem.

Po jakimś czasie zrozumiał, że nie warto silić się na nadzwyczajność. Im szczerzej i otwarciej, tym lepiej. Należało pisać jasno, zwięźle i bezpośrednio. Dać im do zrozumienia, że czegokolwiek się obawiają, ty jesteś ich bezpieczną przystanią.

Potem odkrył, że sprawdza się język brzmiący nieco naukowo. „Seks jest dla ciebie korzystny!” – tak zaczynały się jego posty. I dalej: „Badania

dowodły, że spełnione życie seksualne obniża ciśnienie krwi i zwiększa oczekiwaną długość życia o pięć do ośmiu lat”. Wyssał to z palca, ale ludziom wystarczył zwrot „badania dowiodły”, by uwierzyć w to, co napisano dalej. Im więcej było w jego postach nauki, a mniej wyuzdania, tym więcej otrzymywał odpowiedzi.

Jedna dziewczyna chciała supergłośno puścić muzykę. Powiedziała, że mąż w ogóle nie pozwala jej puszczać muzyki, musi panować idealna cisza. Na spotkanie z Peterem przyniosła wielki głośnik do iPoda i puściła Beethovena. A może Brahmsa? W każdym razie jakiegoś klasyka.

Potem korespondował z dziewczyną, która poprosiła o coś brutalniejszego. „Chcę, żebyś włamał się do mojego mieszkania. Tak na niby, zostawię otwarte drzwi. Ale chciałabym, żebyś wszedł jak rabuś, w masce...” Z początku uznał, że chyba nie da rady, w kominiarce czuł się jak idiota, ale kiedy pchnął drzwi i zastał ją pod prysznicem... Adrenalina dawała chyba lepszego kopa niż seks.

Po tym incydencie jakoś dziwnie było wracać do subtelniejszych fantazji: wkładać strażacki mundur, polewać je ciepłym miodem czy czym tam chciały. To nie powodowało wyrzutu adrenaliny w stylu: „O kurwa, to się naprawdę dzieje!”. Znalazł kobietę, która poprosiła go, żeby dorwał ją na schodach pod jej mieszkaniem, zanim zdąży otworzyć drzwi. To było niesamowite. Znalazł drugą, która – serio! – chciała, żeby włamał się do niej przez okno w kuchni. Próbował zbić szybę łokciem, jak to widywał na filmach.

Szyba wytrzymała, a jego przez tydzień ręka rwała jak diabli.

Ostatni post zamieścił zaledwie kilka dni przed wyborem do ławy przysięgłych. Dziewczyna odpowiedziała prawie od razu:

„Szanowny Panie Zdrowe Życie Seksualne, nigdy nie uważałam się za kogoś, kto robi takie rzeczy. Chciałabym, żeby Pan wiedział, że nie jestem tego rodzaju osobą. WCALE. Ale mój Mąż – zawsze tłumaczyły swoich mężów – nie może już podejmować Wysiłku fizycznego – okoliczności łagodzące – a Pan wydaje mi się godny zaufania. I BEZPIECZNY. BEZPIECZEŃSTWO jest dla nas obojga bardzo Ważne”.

Należała do osób losowo stosujących wielkie litery. (Mąż? Wysiłku? Ważne? Jaki tok rozumowania kazał jej zapisać te słowa wielką literą?)

Chciała to zrobić w altance nad basenem w West Hollywood. Tamtej nocy podjechał tam, zgodnie ze wskazówkami znalazł otwartą furtkę, po czym wślizgnął się przezszklonymi drzwiami i zastał kobietę czekającą na

niego w łóżku. Usłyszał, że ma włożyć lateksowe rękawiczki – takie, jakie nosili lekarze. Pachniały trochę jak prezerwatywy.

Kolejna zadowolona klientka.

Rozmyślał czasem o wszystkich tych desperackich wieczorach, gdy za młodu musiał błagać dziewczynę o seks albo zrećnie ją do niego nakłaniać. Jak można było tak żyć? Jego nowe życie było znacznie uczciwsze. I znacznie bardziej autentyczne.

A teraz... Co za nędza. Idzie korytarzem hotelu Omni, zmierzając do pokoju po kolejnym długim dniu spędzonym w sali sądowej. Nic do roboty, najwyżej zwalić konia pod prysznicem i obejrzeć durny film przemycony przez Kellana. Kiedy w ogóle ostatni raz uprawiał seks? Jakikolwiek seks, wszystko jedno, niekoniecznie ten zwariowany z internetowej tablicy ogłoszeń. Powoli zaczynało mu odbijać.

Cwele z sądu skonfiskowali mu jego blackberry od razu na początku odosobnienia. W efekcie Peter był napalony jak diabli i znudzony jak nigdy w życiu. I nie zanosilo się na żadne zmiany.

Przesunął kartą magnetyczną nad zamkiem w drzwiach do swojego pokoju w chwili, gdy Lila Rosales wychodziła ze swojego. Nie do wiary, że wkładała do sądu takie ciasne dzinsy. Nie to, żeby narzekał. Była zdecydowanie najseksowniejszą ze wszystkich ławniczek. Nie, absolutnie się nie skarżył.

– Hej – powiedziała Lila.

Peter zacisnął dłoń na klamce.

– Hej.

Kiedy przechodziła obok, w klimatyzowanym hotelowym powietrzu wyczuł jakąś kwiatową słodycz. Patrzył za Lilą, dopóki nie zniknęła w windzie.

Kurczę, naprawdę zaczynało mu odbijać.

Tego popołudnia mecenas Gibson miała na sobie czarną spódnicę przed kolano i białą bluzkę na tyle cienką, że Peter prawie dostrzegał rysujący się pod nią stanik. Widział już wcześniej ten strój. Jego ulubiony.

Do tego doszło. Podniecał go zarys stanika.

Miała taki szczególny sposób przechadzania się po sali sądowej, gdy przypuszczała atak na któregoś ze świadków oskarżenia. Niektórych facetów kręciła taka pewność siebie, ale akurat nie jego. Nie był

mizoginem czy coś. Jarały go dziewczyny, które wiedziały, czego chcą i jak mogą to dostać.

Tego dnia mówiono od rana o DNA Jessiki Silver. Gibson miała zgrabne wyjaśnienie tego, jak włosy i krew Jessiki znalazły się na siedzeniu pasażera w samochodzie Bobby'ego. Bobby nie zaprzeczył, że po szkole spędzał czas z Jessicą. Czasem zabierał ją na przejażdżkę i przy tej okazji jej włosy bez trudu mogły się znaleźć na siedzeniu. Do tego Jessice często leciała krew z nosa. Już jedno takie zdarzenie mogło tłumaczyć kilka kropelek na ciemnej tapicerce.

Peter i pewnie cała reszta gotowi byli to kupić. Ale skąd krew w bagażniku? Nawet dziecko wie, że jak masz czyjaś krew w bagażniku, to musiało zajść coś bardzo niedobrego.

Jedna z policyjnych specjalistek do spraw medycyny sądowej, Azjatka ubrana w spodnium, mówiła już od dłuższej chwili, gdy Peter uzmysłowił sobie, że powinien uważniej jej słuchać. Od początku procesu kiepsko spał i z każdym kolejnym dniem coraz trudniej było mu się skupić. Niewiele miał okazji poćwiczyć czy trochę się poruszać. Nie podejmował żadnego wysiłku, seksualnego czy jakiegokolwiek innego.

– Obie próbki zostały przyniesione na moje biurko przez jednego z pracowników – powiedziała specjalistka.

– Położył je na pani biurku? – zapytała Gibson.

– Jest tam taki stół, z którego korzystam. Kładziemy na nim próbki, zanim wstawię je do termocyklera. To maszyna, którą opisałam wcześniej.

Peter zaczął rozmyślać o najlepszych wiadomościach, które dostał od dziewczyn przez internet. Pomyślał oczywiście o tej pierwszej i o tym, jak drżał, gdy wślizgiwał się do jej pokoju...

W sali sądowej kilka osób nagle westchnęło. Peter momentalnie nadstawił uszu.

– A zatem umieszczenie obu próbek na takim stole stanowiło jednoznaczne naruszenie procedur wydziału? – zapytała Gibson.

– Z formalnego punktu widzenia – powiedziała specjalistka.

– Rozumiem, że to potwierdzenie – odparła Gibson. – I słusznie mniemam, że coś mogło się przydarzyć tym dwóm próbkom, kiedy tak leżały obok siebie na stole?

– Jest to niezwykle mało prawdopodobne.

– A zatem nie mam racji, mówiąc, że jeśli jakakolwiek część próbki z siedzenia pasażera zetknęłaby się z próbką z bagażnika, śladowe ilości

DNA Jessiki, czyli właśnie to, co zostało znalezione, mogłyby znaleźć się w próbce z bagażnika?

– Prawdopodobieństwo jest znikome...

– Czy mogłabym prosić o odpowiedź na moje pytanie?

Peter z przyjemnością obserwował krótki pojedynek na spojrzenia, który wywiązał się między dwiema kobietami.

– Tak – przyznała specjalistka. – O ile doszłoby do zanieczyszczenia, kiedy obie próbki leżały na stole...

– Na tym stole, na którym wbrew zatwierdzonym procedurom umieściła pani obie próbki?

– Gdyby doszło do takiego zanieczyszczenia, co jest bardzo mało prawdopodobne, wówczas owszem, odpowiadając na pani pytanie, mogłoby to dać uzyskane wyniki. Ale powtórzę, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

– Mało prawdopodobne – powtórzyła Gibson. Odwróciła się twarzą do przysięgłych. – Mało prawdopodobne brzmi dla mnie tak, jakby ktoś miał pewne wątpliwości.

Tego dnia sędzia zwolnił ich wcześniej i Peter wraz z resztą ławników pojechał mikrobusem do hotelu. Nie mógł przestać się gapić na Lilę, która siedziała w rzędzie przed nim. Ile mogła mieć lat? Dziewiętnaście?

Niemożliwe, żeby była jeszcze dziewicą.

Dotarł do pokoju twardy jak pal. Planował ruszyć prosto do łazienki, żeby załatwić sprawę, co wcale go nie cieszyło, bo w sumie nie było w tym nic zabawnego. Wkurzało go to, może nawet trochę niepokoiło. Jakby napalenie było jakąś medyczną przypadłością, na którą musi wziąć przepisaną pigułkę.

Pchnął drzwi do łazienki.

W środku była sprzątaczką. Pochylona nad umywalką, szorowała coś, do czego trudno było sięgnąć. Mundurek ciasno opinał jej pulchne ciało. Świetnie wyglądała, taka pochylona.

Kurek był odkręcony do końca. Chyba nie usłyszała, jak wchodził.

Podszedł bliżej, jakby mimowiednie. Czuł, że coś się dzieje, ale cokolwiek to było, nie on był tego sprawcą.

To był... instynkt.

Usłyszała go, gdy był ledwie kilka centymetrów od niej. Zdenerwowana, zaczęła się obracać w jego stronę, ale położył jej ręce na ramionach.

Mocno. Przejął kontrolę. Jak zwykle.

– Proszę pana? Proszę pana!

Była zdezorientowana. Przywarł do niej, nie pozostawiając cienia wątpliwości.

– Proszę pana. Nie, proszę.

Powiedziała to takim tonem, jakiego używały dziewczyny piszące do niego maile. Te, które lubiły się opierać. Te, które podniecało udawanie, że odmawiają.

Zasłonił jej usta dłonią.

Była wystraszona, jak one wszystkie. Stwardniał jeszcze bardziej.

Pchnął ją na umywalkę.

Ona tego chce, pomyślał stanowczo i zdecydowanie, zrywając jej górę od mundurku. Na zimnej podłodze zabrzączał urwany guzik.

Rozdział 11

MIRACLE

TERAZ

Maya dawno pozbyła się złudzeń, że istnieją ludzie, którzy nie ukrywają kompromitujących sekretów. Przesłuchiwała wystarczająco wielu świadków, by wiedzieć, że zawsze da się wyciągnąć jakieś przewiny, które podważą wiarygodność zeznań. Bez zdumienia czytała więc akta ławników opracowane przez Ricka. Niemniej zaimponowało jej, jak umiejętnie wyciągał z nich ich grzeszki.

Zacząła od siebie. Oczywiście były tam szczegóły ich romansu: „Ja, Rick Leonard, przez trzy miesiące utrzymywałem kontakty seksualne z Mayą Seale, począwszy od dnia...”.

Wreszcie miała przed sobą relację Ricka z tego, co między nimi zaszło. Uzmysłowała sobie, jak bardzo chciałaby usłyszeć jego wersję tego związku. Czy opisałby go tak samo jak ona? Co tak naprawdę do niej czuł? I co, jego zdaniem, ona czuła do niego?

Nie znalazła poszukiwanej odpowiedzi. Jego relacja była krótka i zwięzła, język suchy, ton legalistyczny. Rick był chłodnym, nieporuszonym świadkiem ich wykroczenia. Nigdy dotąd jego myśli nie były przed nią tak boleśnie zakryte.

W aktach Mai znalazła się lista jej klientów, a także ich rzekome przestępstwa. Znalazła argumenty, którymi obaliła tezy policji. Zapisy trudnych przesłuchań na sali sądowej, do których wystawiła biegłych z zakresu medycyny sądowej. Wyczerpujące opisy wszystkich relacji zawodowych, które utrzymywała z wymiarem sprawiedliwości, także tych mało ciepłych i serdecznych. Znalazła nawet wzmiankę o śledczej Daisey, której wyniki dochodzenia podważyła przy sprawie Belen Vasquez. (Nic dziwnego, że Daisey tak się uparła, żeby wsadzić Mayę za kratki).

Nietrudno było stwierdzić, czego szukał Rick. Starał się dowieść uprzedzeń Mai względem policji. Maya Seale nigdy nie osądziłaby sprawiedliwie Bobby'ego Nocka, bo nie dałaby wiary policji, niezależnie od przedstawionych przez nią dowodów.

Sformułowany przez niego akt oskarżenia, już choćby ze względu na jego implikacje, był całkiem niezły.

Maya patrzyła w milczeniu, jak Shannon i Crystal czytają jej akta. Obserwowała ich twarze, gdy doszły do opisu jej romansu z Rickiem. Shannon marszczyła brwi i raz po raz popatrywała na Mayę, jakby chcąc się upewnić, czy to, co właśnie czyta, jest prawdą.

Crystal podczas lektury tylko raz spojrzała Mai w oczy. Na jej ustach zatańczył filuterny uśmiezek.

– Zawsze ci, których w ogóle nie podejrzewasz.

Akta poświęcone były wyłącznie uprzedzeniom, kłamstwom i czynom niezgodnym z prawem. Pomijały chwile prawości, serdeczności i otwartości. W katalogu najgorszych decyzji każdy stawał się czarnym charakterem.

Jae Kim najwyraźniej skłamał w swoim kwestionariuszu kandydata na przysięgłego, co stanowiło ciężkie przestępstwo. Kiedyś pracował na budowie Lou Silvera. Gdyby ujawnił tę informację, nigdy nie wszedłby w skład ławy przysięgłych. Dlaczego skłamał? Co miał do ukrycia? Jak dokładnie wyglądały jego układy finansowe z Silverem?

Wayne Russel zaledwie rok przed rozprawą uległ okropnemu wypadkowi. Zdiagnozowano u niego ostry przypadek stresu pourazowego objawiający się klaustrofobią prowadzącą do wybuchów agresji. Jeden z incydentów doprowadził nawet do scysji z policją. Czy Wayne był zbyt niestabilny emocjonalnie, by wydać racjonalny werdykt?

Lila Rosales w szkole średniej spotykała się z chłopakiem, który trafił później do więzienia za napad z bronią w rękę. Nie ujawniła tego w swoim kwestionariuszu. Dlaczego? W metryce Aarona umieściła adnotację „ojciec nieznany”. Dlaczego? Co się stało z ojcem Aarona, który najwyraźniej nie odgrywał żadnej roli w życiu jej i jej syna? A może on również znajdował się w więzieniu? Jeśli tak, mogłoby to uzasadniać jej uprzedzenia względem wymiaru sprawiedliwości.

Cal Barro w 1974 roku aresztowano pod gejowskim barem za niemoralne zachowanie. Przyznał się do stawianych mu zarzutów i zapłacił grzywnę, ale nie podał tej informacji ani sądowi, ani żadnemu ze swoich późniejszych pracodawców czy partnerów biznesowych. Maya uzmysłowiła sobie, że Rick mógłby to wykorzystać na dwa sposoby. Albo Cal był seksualnym drapieżcą bez skrupułów i wówczas skłonny byłby wybaczyć

Bobby'emu jego przewiny, albo – co bardziej prawdopodobne – był jednym z wielu homoseksualnych Kalifornijczyków nakrytych przez działających incognito funkcjonariuszy w czasach, gdy przestępstwem było nawet noszenie ubrań kojarzonych z płcią przeciwną. W takim wypadku mógł mieć mało entuzjastyczny stosunek do policji.

Kartoteka za kartoteką, a w każdej z nich podejrzenia o mniejsze i większe przewiny. Kiedy Maya doszła do niepotwierdzonych zarzutów, że Fran Goldenberg kryła syna po tym, jak ten sprzeniewierzył pieniądze przeznaczone na zajęcia pozalekcyjne organizowane przez ich synagogę, poczuła się zbyt zbrzydzone, by czytać dalej. Część to były zwykłe pomówienia, część była całkiem niewinna, ale każda z tych rzeczy, przedstawiona opinii publicznej w odpowiednim kontekście, mogła się odbić piętnem na czyimś życiu.

Już samo publiczne zadanie pytania mogło zrujnować reputację. Jest pan winny czy nie... dlaczego nikomu pan dotąd o tym nie powiedział? A więc wówczas pan kłamał? A może kłamie pan teraz?

Uzbrojony w swoje akta, Rick mógłby ich wszystkich zrujnować.

– Próbował dowieść, że ława przysięgłych nie osądziła sprawy w sposób bezstronny – stwierdziła Shannon. – Chciał to wykorzystać, by obalić wyrok.

– Nie – zaprzeczyła Crystal. – Wyroku uniewinniającego nie można obalić. To podstawowa zasada wynikająca z piątej poprawki. Każdy prawnik, z którym Rick by się skonsultował, powiedziałby mu, że nie da się powtórnie przeprowadzić procesu Bobby'ego Nocka.

– Nie w Kalifornii – powiedziała Maya, przypominając sobie coś, o czym wspomniał Craig. – I nie za morderstwo. Ale na poziomie federalnym... Mógłby wykorzystać te akta, by przekonać prokuratora federalnego, że chociaż podczas pierwszego procesu nie doszło do skazania oskarżonego, w drugim może się udać. A może wcale nie chciał tego rozstrzygnąć w sądzie. Może chciał po prostu, by opinia publiczna wywarła presję na władze, by te podjęły jakieś działania. Jakiegokolwiek.

– Przekazał pliki producentom programu – powiedziała Shannon. – Zatem zdecydowanie zamierzał zaprezentować widzom wszystkie wasze najmroczniejsze sekrety.

Maya zerknęła na listę nazwisk na ekranie.

Jedenaścioro ławników. Jedenaście powodów, by nie dopuścić do wypłynięcia tych akt.

Tuż przed czwartą nad ranem Shannon zwróciła się do Mai:

– Kim jest Margarita Delfina?

Z początku Maya nie skojarzyła imienia i nazwiska.

– Margarita... To była chyba jedna ze sprzątaczek. W hotelu. Była tam przez cały okres naszego odosobnienia.

Shannon gestem wskazała akta Petera Wilkiego.

Rick zdobył podpisane zeznanie mężczyzny nazwiskiem Steven Prince. Mai dłuższą chwilę zajęło uzmysłowienie sobie, że to był „woźny Steve”, obecnie emerytowany.

„11 lipca 2009 roku – napisał woźny Steve – Margarita Delfina poinformowała mnie, że padła ofiarą napaści seksualnej ze strony ławnika Petera Wilkiego. Zgodnie z jej zeznaniami była w pokoju Petera, kiedy ten zaszedł ją od tyłu i zaatakował. Podczas szarpaniny zdołała go od siebie odepchnąć i uciec na korytarz”.

Maya przypomniała sobie, jak się niepokoiła, że któraś ze sprzątaczek może znaleźć w jej pokoju pościel poplamioną po stosunku. W świetle tego zeznania jej obawy wydały się zwyczajnie śmieszne.

Ciąg dalszy relacji woźnego Steve’a: „Przedstawiłem te zarzuty Peterowi, ale wszystkiemu zaprzeczył. Margarita nie dysponowała dowodami potwierdzającymi jej wersję zdarzeń, więc nie zdecydowałem się informować o tym incydencie sądu ani policji. Z perspektywy czasu oceniam, że było to niewybaczalne zaniedbanie, za które ponoszę całkowitą odpowiedzialność”.

Maya była zbulwersowana, że woźny Steve nikogo nie poinformował o tym zdarzeniu. Rozumiała jednak, czemu Margarita nie drażyła. Kobięcie niespiesznie było nagłaśniać zarzuty, których nie umiała dowieść.

Crystal pokręciła głową.

– Draniowi uszło to na sucho?

Dalej w swoim oświadczeniu woźny Steve stwierdzał, że w tamtym momencie nie chciał narażać procesu na szwank wskutek czegoś, co mogło się okazać „nieporozumieniem”. Dopiero teraz, na emeryturze, mądrzejszy o dziesięć lat rozmyślań, gotów był zeznać to Rickowi do protokołu.

Crystal skończyła czytać i westchnęła.

– Zdarzało ci się żałować, że zostałeś adwokatką?

Maya ogarnęła spojrzeniem kosztowne, wysmakowane umeblowanie salonu Crystal. Nie stać by jej było na takie luksusy za obronę niewinnych.

– Owszem – przyznała Maya. – Zdarzało się. Ale potem przypominałam sobie, jaka jest alternatywa... Chyba nie mogłabym być oskarżycielką.

Shannon przeglądała wszystkie pliki po kolei.

– Tu nie ma oświadczenia tej kobiety. Czy Rick się z nią skontaktował? Bo tu nie ma takiej informacji.

– Niemożliwe, żeby nie próbował.

– Może jej nie znalazł? – rzuciła Shannon.

– Z całą resztą mu się udało – powiedziała Crystal.

Maya wyciągnęła telefon z kieszeni kurtki. Kilkanaście sekund później miała już właściwy numer.

– Recepcja hotelu Omni, Los Angeles, słucham – dobiegł ją męski głos z drugiej strony.

– Chciałabym rozmawiać z panią Margaritą Delfiną z personelu sprzątającego. Czy przysłała już na dzisiejszą zmianę?

Maya strzelała w ciemno.

– Margarita Delfina... – Słyszała, jak recepcjonista stuka w klawiaturę. – Dziś zaczyna dopiero o szóstej. Może mógłbym połączyć panią z kimś innym z ekipy sprzątającej?

Rozłączyła się i powiedziała:

– Może pracowała tego wieczoru, gdy odbywał się zjazd?

W salonie Crystal na chwilę zapadła cisza. Chyba każda z nich odgrywała właśnie w myślach rozmaite koszmarnie scenariusze.

– Jak myślicie, co zaszło tamtej nocy? – zapytała w końcu Shannon.

– Nie wiem – odparła Maya. – Ale wiemy przynajmniej tyle, że Margarita, Peter i Rick, a więc jedna z niewielu osób, które wiedziały, że Peter napadł na Margaritę, prawdopodobnie byli jednocześnie w tym samym hotelu.

Dzielnice Boyle Heights na wschód od centrum Los Angeles tworzyły płaskie, rozpełzłe peryferie miasta. Maya mijała ciągi ciemnych sklepów i fastfoodowych sieciówek z poczuciem, że mogłyby się znajdować w dowolnym amerykańskim mieście średniej wielkości. Z wysiłkiem przypominała sobie, kiedy po raz ostatni przyłożyła głowę do poduszki. Minione dni zlały się w jedną adrenalinową smugę.

Krótko po piątej nad ranem znalazła adres wymieniony w aktach Ricka. Stała w bocznej uliczce tuż przed przysadzistym, drewnianym, dwupoziomowym budynkiem.

Wysiadła z samochodu. W domu paliło się światło. Otworzyła skrzypiącą furtkę, przeszła przez wąskie podwóreczko i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej kobieta w średnim wieku ubrana w bladoszary mundurek hotelu Omni. Długie ciemne włosy miała mokre, jakby właśnie się kąpała. Wydawała się taka drobna. Maya próbowała sobie wyobrazić, ile wysiłku musiało ją kosztować odparcie ataku męczyzny postury Petera.

– Pani Margarita Delfina?

Mętnie przypominała sobie sprzed dziesięciu lat stojącą teraz przed nią kobietę. Chyba nigdy nie zamieniły słowa. Maya uzmysłowiła sobie ze wstydem, że zajmowało ją zupełnie co innego.

Margarita skinęła głową.

– Wie pani, kim jestem?

Margarita przyglądała jej się przez chwilę.

– *No hablo inglés.*

– *Entonces hablaremos en español* – powiedziała Maya, po czym przeszła z powrotem na angielski: – Ale to chyba bez znaczenia, w jakim języku porozmawiamy.

Spojrzenie Margarity stwardniało.

– Czego pani ode mnie chce?

– Dziesięć lat temu zaatakował panią Peter Wilkie. Dwie noce temu znów zobaczyła go pani w hotelu. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło.

Margaricie nawet powieka nie drgnęła.

– Nie chcę żadnych kłopotów.

– Jestem po pani stronie. Nikt tu nie ma kłopotów. Najwyżej Peter.

Margarita spuściła głowę.

– Co się wydarzyło? – zapytała Maya. – Dwie noce temu? I co zaszło przed dziesięciu laty?

Margarita jakby podjęła decyzję.

– Tamtej nocy nie widziałam w hotelu Petera. Widziałam natomiast Ricka Leonarda.

Spojrzała ponad ramieniem Mai na ulicę, która zaczynała różowieć w świetle poranka.

– Chce pani wejść do środka?

Usiadły w kuchni. Maya słyszała dobiegające z góry odgłosy kręcących się po domu dzieci: odkręcane i zakręcane krany, otwierane i zamykane drzwi, wybuchające raz po raz sprzeczki. Na ucho sądząc: dwóch chłopców.

– Mąż śpi – powiedziała Margarita. – Na górze.

Jakby chciała dać Mai do zrozumienia, że jest bezpieczna we własnym domu. Maya zirytowała się na myśl o tym, że obie zostały postawione w sytuacji, w której nie mogą sobie nawzajem ufać.

– Kiedy widziała pani Ricka Leonarda w hotelu? – zapytała Maya.

– Po południu. Kiedy ludzie z telewizji prowadzili go do jego pokoju. Wystraszyłam się.

– Dlaczego?

Na górze jeden z chłopców krzyknął coś do drugiego po hiszpańsku. Ton braterskiej kłótni był taki sam we wszystkich językach.

– Przyszedł do mnie. Tutaj. – Gestem wskazała zagraconą kuchnię. – Jakoś... rok temu? Powiedział, że wie, co się stało. Chciał, żebym złożyła oświadczenie. Powiedziałam mu, że mowy nie ma.

– Dlaczego?

Margarita gniewnie pokręciła głową.

– A co by to dało? Kogo by to obeszło?

Powiedziała to bardzo ostro.

– Mnie by obeszło. Obeszłoby mnóstwo ludzi. Cokolwiek Peter zrobił...

– Nie będę o tym rozmawiać – powiedziała Margarita wyzywająco.

– Nie musi pani. W każdym razie nie teraz.

– Pamięta pani te płyty DVD?

Maya poczuła, że gubi wątek.

– Jakie płyty DVD?

– Jeden z waszych znajomych przemycał je do hotelu. Wtedy.

– Wiedziała pani o tym?

– Wwoziłam mu je wózkiem z artykułami do sprzątnięcia. Płacił mi. To było nielegalne.

Maya była wściekła. Margaricie wydawało się, że nie wolno jej mówić głośno o tej koszarnej napaści, bo czuła się winna drobnego wykroczenia. Ale Maya to rozumiała. Naruszenie zasad odosobnienia można było uznać za poważne przestępstwo. I bez wątpienia byłby to wystarczający powód, by wyrzucić Margaritę z pracy.

– A temu pani znajomemu, Rickowi... kazałam się zabierać – ciągnęła Margarita. – Był wściekły. Mówił, że jestem mu potrzebna. Nie wiem, o co mu chodziło, ale miał jakieś wielkie plany. Miałam to w nosie. Odmówiłam i sobie poszedł. Minął rok... A potem zobaczyłam go w hotelu, przedwczoraj. Zaprowadzili go do jego pokoju. Nadal sprzątam na tym

samym piętze... To było po południu. Spotkał mnie na korytarzu. Powiedział, że mamy do pogadania. Odmówiłam, a on zagroził, że wszystkim rozpowie, co się stało. Mojemu mężowi też. Wszystkim. Zaprotestowałam, a wtedy powiedział, że ten koszmarny człowiek, Peter... Że on też przyjeżdża. No to zgłosiłam kierownikowi, że źle się czuję, i wcześniej pojechałam do domu. A następnego dnia podali w wiadomościach, że ten pani znajomy, Rick, nie żyje.

Maya zobaczyła na twarzy Margarity bolesne bruzdy, wyłobione dawno temu. Dałaby głowę, że kobieta mówi prawdę.

– No dobra – powiedziała Maya. – Rick wiedział, co Peter pani zrobił. Gdyby Peter wiedział, że Rick wie... to miałyby piekielnie dobry powód, żeby go zabić.

– Nie wiem, co przytrafiło się pani znajomemu, i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Rozumie pani? Mam męża. Dzieci. Pracę. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział.

– W porządku.

– Proszę mi obiecać.

Maya spojrzała jej prosto w oczy. Przynajmniej tyle mogła zrobić dla tej kobiety.

– Obiecuję.

Margarita skinęła głową.

– Myślę, że mogę pani pomóc. – W głowie Mai zakiełkowała pewna myśl.

– Potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Wiem. Ale przyda się pani prawniczka.

Maya przez cały następny dzień bezskutecznie usiłowała dodzwonić się do woźnego Steve'a. Crystal udało się nieco pogrzebać w archiwach sądowych. Okazało się, że proces Bobby'ego Nocka był ostatnim, który Steve obsługiwał przed przejściem na emeryturę. Teraz mieszkał nieopodal Sacramento. Nie odezwał się pod numerem, pod który dzwoniła Crystal.

Zatem Maya skorzystała z jedyne go rozwiązania, które jej pozostało: zadzwoniła do Petera.

Nie spodziewała się, że tak łatwo przyjdzie jej namówić go na spotkanie. zaproponował, żeby do niego przyjechała. Uznała, że nie zdoła skłonić go, aby przyjechał do domu Crystal – przecież w ogóle jej nie znał – więc nie miała innego wyjścia, jak przystać na jego propozycję. Zważywszy na

rozgłos, jaki swego czasu im towarzyszył, spotkanie w miejscu publicznym było właściwie wykluczone.

Peter powiedział, że ma spotkanie służbowe, którego nie da rady przełożyć, więc może się umówić najwcześniej na dwudziestą pierwszą. Maya zyskała w ten sposób kilka godzin, żeby choć krótko się zdrzemnąć, ale gdy położyła się na łóżku Crystal i zmusiła do zamknięcia oczu, odkryła, że nie da rady zasnąć.

Może jej oczy były zamknięte już wystarczająco długo.

Peter Wilkie mieszkał w rezydencji, której zapewne nie nazwałby rezydencją, lecz raczej „hiszpańskim domem w stylu kolonialnym”. Maya uznała, że wszyscy, którzy mieszkali dziś w przestronnych pięciopokojowych domach w dzielnicy Venice, byli zbyt skromni, by określić je słowem na „r”.

Dom stał tuż przy ruchliwej Venice Boulevard. Wjeżdżając samochodem Crystal na podjazd, Maya słyszała dobiegające z głównej ulicy odgłosy imprezy w pełnym rozkwicie. Nacisnęła przycisk wideofonu i otworzyła się stalowa brama. Kiedy zamknęła się płynnie za tylnym zderzakiem samochodu, zgiełk miasta ucichł jak ucięty nożem.

Z bliska dom Petera okazał się jeszcze większy. Dwupiętrowy, składał się z niezliczonych zakamarków ukrytych przed światem zewnętrznym.

Peter powitał ją przy drzwiach z mrożonego szkła. Miał na sobie rozpinany sweter, biały T-shirt i dżinsy. Był bosy.

– Miło widzieć, że cię nie zamknęli – przywitał ją.

– Gliny są cierplive. Lubią wyczekać na odpowiedni moment.

Wnętrze jego domu, choć chłodne i bezosobowe, urządzone z zaskakującym smakiem.

– Mój projektant wymiata – powiedział, gdy pochwaliła modnie wytarte skórzane fotele.

Wściekały ją te zabawy w uprzejmości, ale przyjechała tu nie bez powodu.

Usiedli na białych płóciennych kanapach ustawionych na cienistej przeszklonej werandzie. Ściany oszczędnie przyozdobiono wielkimi czarno-białymi zdjęciami dzikiej przyrody. Maya nie dostrzegła ani jednego przedmiotu, który miałby charakter osobisty. Żadnego rodzinnego zdjęcia, pamiątki z dawnych lat – nic.

Peter otworzył metalowe pudełko stojące na szklanym stoliczku. Wypełnione było elektronicznymi papierosami.

– Chcesz? – zaproponował. – Produkuje je. Nie zioło, tylko elektronikę. Prawdziwe pieniądze są w podzespołach.

I zaczął opowiadać o tym, w jakim stopniu jego technologia pozwala eliminować zanieczyszczenia, ale jego wzrok raz po raz lądował na torebce Mai, którą trzymała na kolanach.

Crystal zmusiła ją, żeby wzięła ze sobą stary pojemnik z gazem pieprzowym, choć Maya uznała to za śmieszne. Rozmawiała już wielokrotnie z gwałcicielami i nie obawiała się ataku ze strony Petera. Ale Crystal przypomniawszy jej, że jeśli Peter zabił Ricka, żeby się nie rozeszło, co zrobił Margaricie, to trudno sobie wyobrazić, do czego może się posunąć zapędzony do narożnika. Teraz, na tej cienistej werandzie, Maya cieszyła się, że wzięła ze sobą gaz.

– Wszystko dobrze? – zapytał Peter.

– Jestem po prostu zmęczona.

– Chcesz macha olejku CBD? Też go wytwarzamy. Nie odleciś ani nic, ale dobrze robi... w napięciach nerwowych.

– Nie, dzięki.

Peter wsunął papierosa do kieszeni swetra.

– Pamiętasz te wszystkie filmy na DVD, które kiedyś oglądaliśmy? Te, które przemycał Kellan?

– Taa.

Peter uśmiechnął się szeroko.

– Niesamowite, ile rzeczy uszło nam wtedy płazem.

Nie umiała powiedzieć, czy ją sprawdza, czy tylko się przechwala.

Co za debil.

– Margarita Delfina nie podpisała jeszcze oświadczenia, że w lipcu dwa tysiące dziewiętego roku w twoim pokoju w hotelu Omni dokonałeś na nią napaści na tle seksualnym. – Patrzyła, jak Peter sztywnieje. – Ale mam złożone pod przysięgą zeznanie innego świadka tamtych wydarzeń. Moje pytanie brzmi zatem: co z tym zrobimy?

Jeśli chcesz, by ktoś się przyznał, nie pytaj go, czy popełnił przestępstwo, czy go nie popełnił. Potraktuj jego winę jako przesądzoną i zachowuj się tak, jakby najbardziej palącą kwestią było pytanie, co dalej.

Peter zmarszczył brwi.

– A kto mówi, że na kogoś napadłem?

– Nie powiem ci, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie ja jedna posiadam zeznania na ten temat. Rick też je miał. I nie żyje.

Jeśli wysuniesz poważniejsze zarzuty, przyznanie się do tych potencjalnie mniej obciążających wyda się łatwiejsze.

– Myślisz, że miałem cokolwiek wspólnego z zamordowaniem Ricka?

– Miałeś z nas wszystkich najlepszy motyw.

Wstał. Odruchowo zrobiła to samo.

Podszedł do okna i otworzył stojącą obok niego drewnianą szafkę.

O Boże, czy Crystal miała rację?

Maya sięgnęła do torebki i chwyciła gaz. Niezgrabnie przebierała palcami, próbując namacać spust.

Peter wyjął z szafki butelkę whiskey i jeden kieliszek. Potem odwrócił się do niej. Nie wyjęła dłoni z torebki.

– Naprawdę sądzisz, że mógłbym zrobić ci krzywdę?

– Nie będę ryzykować.

Zrezygnowany, opadł z powrotem na kanapę.

– Popełniłem głupi błąd.

– Myślę, że to nie do końca załatwia sprawę.

Opowiedział jej swoją historię, zakładając, że Maya zna ją w drobniejszych szczegółach, niż miało to w istocie miejsce. Opowiedział o wiadomościach, które zamieszczał kiedyś na internetowych tablicach ogłoszeniowych, i odpowiedziach, które dostawał od obcych kobiet. Nieoczekiwanym uzależnieniu od adrenaliny i podnieceniu, którego źródłem była konsensualna przemoc. Syndromie odstawienia. Tamtego dnia w pokoju hotelowym był zwyczajnie zdezorientowany. Maya musi zrozumieć, że to była kwestia odruchów warunkowych. Obecnie jest w trakcie leczenia. Wiedział już, że w tamtym okresie kompletnie rozregulował sobie normalne reakcje seksualne i uważał, że w gruncie rzeczy nie robi nic złego. Teraz, oczywiście, już tak nie sądzi. Od tamtej pory nie zrobił nic równie walniętego i nigdy więcej nic takiego nie robi. Jest mu strasznie przykro.

Maya nie wiedziała, czy mu wierzy, ale to nie miało znaczenia.

– I właśnie to powiedziałaś Rickowi?

Raczej nie przepełniała jej empatia.

– Z Rickiem nigdy o tym nie rozmawiałem. Nie wiedziałem nawet, że wie. Nie wiedziałem, że ktokolwiek... – Najwyraźniej w tym momencie powiązał fakty. – Kurwa. Woźny Steve. Tylko on wiedział. Zapytał mnie

o to. Jeszcze wtedy. Skłamałem. Powiedziałem, że nic takiego nie zaszło. Nie drążył.

– Krył cię.

Peter poprawił się na kanapie.

– Naprawdę jest mi, kurwa, strasznie przykro, że do tego doszło. Ale teraz już nic mi nie zrobisz. Sprawdziłem. To znaczy myślałem o tym w kontekście zjazdu i tak dalej... Przedawnienie po dziesięciu latach. – Zerknął na zegarek, jakby miał na nim wskazówkę dekad. – Nastąpiło.

Maya nie miała żadnego kontrargumentu. Sięgnęła do torebki i wyjęła telefon.

Odwróciła go tak, żeby Peter zobaczył ekran. Dyktafon był włączony.

Nacisnęła czerwony guzik.

– Absolutnie masz rację. Z perspektywy prawnej nic ci nie mogę zrobić. W Kalifornii gwałt już się nie przedawnia, ale wtedy się przedawniał i faktycznie minęło dziesięć lat.

Sięgnęła znów do torebki i wyciągnęła z niej plik dokumentów.

– Natomiast powództwo cywilne...

Rzuciła papiery na niski stolik.

Peter pochylił się nad nimi i pospiesznie przeleciał tekst wzrokiem.

– Pozywasz mnie?

– Moja klientka, Margarita Delfina, zastanawia się właśnie, czy cię pozwać. Nie podjęła jeszcze decyzji. Ale widzisz... Zajmujesz się zawodowo sprzedażą marihuany. Legalną sprzedażą marihuany. Na prowadzenie takiej działalności musisz mieć licencję, a osobie karanej taka licencja może zostać cofnięta. Przypuszczam, że nawet jeśli nie zostaniesz skazany, to wobec posiadanych przez nas dowodów i ciężaru zarzutów sprawa z powództwa cywilnego prawdopodobnie... Jeśli moja klientka zdecyduje się wnieść sprawę, postaram się, by urząd wydający licencję cofnął ci ją w pięć minut. – Gestem omiotła werandę. – Ładny dom. Byłaby wielka szkoda, gdybyś musiał go sprzedać.

Żadne z nich się nie poruszyło. Maya zastanawiała się, czy Peter się na nią rzuci. Zakładała, że nie okaże się na tyle głupi, by próbować ją zabić.

Musiał wiedzieć, że nagranie automatycznie zapisywało się w chmurze; niszczenie jej telefonu było bezcelowe i mogło stanowić podstawę do wysunięcia świeżutkich zarzutów karnych.

– Czego ty, Maya, ode mnie chcesz?

Włożyła telefon z powrotem do torebki i podeszła do drzwi. Poszedł za nią jak zbity pies.

– Kiedy moja klientka podejmie decyzję, z pewnością cię o niej poinformuję.

Wyszła w noc. Poczowała na skórze mgiełkę napływającą od oceanu. Bardzo ożywcza.

Stał bezradnie w drzwiach, gdy wsiadała do samochodu.

– Nie zabiłem Ricka! – krzyknął za nią. – Przysięgam! Nie zabiłem Ricka! Odjeżdżała z obawą, że może mówić prawdę.

– Prosiłem cię, żebyś co robiła? O ile mnie pamięć nie zawodzi: absolutnie nic! – powiedział Craig jakiś czas później, gdy złożyła mu relację z tego, czym zajmowała się przez ostatnią dobę.

Zadzwoiła do niego z własnego telefonu już po powrocie do domu Crystal.

– Peter Wilkie miał motyw, żeby zabić Ricka, i mogę dowieść, że w przeszłości napadł już na kobietę – powiedziała. – Motyw Wayne’a Russela jest niejasny, ale skłamał, że nie wybiera się na zjazd, co jest bez wątplenia podejrzane.

– Weź dwanaście dowolnych osób z ulicy, a dostaniesz dwunastu kryminalistów. Wykonałeś dobrą robotę, ale... obstaję przy mojej pierwotnej strategii.

– Nadal chcesz, żebym przedstawiła to jako samoobronę? Nie zabiłam go!

– Co to ma być? Zaczynasz się łamać. A w ogóle to nie słyszałem tego, co właśnie powiedziałaś.

– Przepraszam.

– Policja Los Angeles zbada ubrania Ricka – ciągnął Craig. – Kieliszki, z których piliście. Wszystko, czego mogliście dotykać.

– DNA?

– Mam nadzieję, że znajdą tam DNA kogoś innego: Petera, Wayne’a, nie wiem, kogokolwiek. Ale jeśli nie...

– Oskarżą mnie.

W słuchawce zapadła złowróżbna cisza.

– Badanie zajmuje... czterdzieści osiem godzin? – zapytała. – Siedemdziesiąt dwie?

– Nie muszę ci przypominać – powiedział Craig ze słodyczą w głosie – że przedstawienie komuś zarzutu morderstwa nie jest końcem naszej pracy, ale jej początkiem.

Tak wyglądało zagrzewanie do walki w wykonaniu Craiga.

– Kwity, jakie masz na pozostałych ławników, są solidnie udokumentowane – dodał. – Ale czy bardziej obciążające niż trup Ricka w twoim pokoju, z twoim DNA, z jego krwią na twoich rękach?

Pytanie zawisło na moment w powietrzu.

– Na tym etapie – powiedział – próba powstrzymania aktu oskarżenia nie ma sensu. Więc nie zdradzałbym się jeszcze ze wszystkim, co mamy na pozostałych ławników, zwłaszcza z tym, co sami mogą odkryć, jak w przypadku Petera Wilkiego. Wiemy niewiele więcej niż oni, więc sugerowałbym trzymanie się tej drobiny, którą mamy, póki nie wymyślimy, jak ją wykorzystać. Skupiłbym się na planowaniu naszej obrony. A naszą obroną, o ile w ciągu następných czterdziestu ośmiu godzin nic się nie zmieni, powinna być samoobrona.

Maya wzięła głęboki wdech.

– Jesteś tam? – zapytał.

Próbowała sobie wyobrazić, jak przysięga na Biblię, że Rick Leonard ją zaatakował. Sama myśl była zbyt nieprzyzwoita, by dłużej ją rozważać. Jak to możliwe, by strategia najlepsza z perspektywy prawnej była jednocześnie najdalsza od prawdy?

Musiała znaleźć inne wyjście.

– W plikach Ricka na pewno czegoś brakuje – powiedziała, ignorując pytanie Craiga. – Czegoś, co tak przeraziło Bobby’ego, że gdy Rick go z tym skonfrontował, facet uciekł. Pytanie brzmi: co to było?

– No cóż, Rick nie powiedział tego ani tobie, ani producentom programu. Nikomu. A teraz nie żyje. Jak więc zamierzasz się dowiedzieć?

Maya miała to już przemyślane. Odpowiedź, do której doszła, była żenująco oczywista.

– Tylko jeden człowiek wie z całą pewnością, jakimi dowodami dysponował Rick. I lepiej, żebym go znalazła.

Miracle w stanie Kalifornia już chyba naprawdę nie mogło być mniejsze. Leżało nieopodal wybrzeża, półtorej godziny drogi na północ od Santa Barbara, wśród ciągnących się kilometrami pól. Róże na południu, borówki na zachodzie, na wschodzie i północy sałata – długie rzędkie zielonych liści

wyraźnie odcinających się od czarnej jak węgiel ziemi. Miasteczko miało zaledwie dwustu siedmiu mieszkańców, lecz w przeciwieństwie do większości małych miasteczek mieszkali tu wyłącznie mężczyźni. Wszyscy co do jednego figurowali w rejestrach sprawców przestępstw na tle seksualnym.

Miracle było ostatnim znanym adresem Bobby'ego Nocka.

Maya usłyszała o tym miejscu od jednego ze swoich byłych klientów. Skromny facet, w jej gabinecie prezentował nieskazitelne maniery. Wciągnięto go do rejestru – i słusznie, bo kompulsywnie masturbował się w miejscach publicznych – ale Mai udało się oszczędzić mu odsiadki. Jednak problem z funkcjonowaniem jako zarejestrowany przestępca seksualny polegał na tym, jak dowiedziała się Maya, że ciężko znaleźć miejsce do życia.

Ograniczenia dotyczące przestępców seksualnych, zwłaszcza po odsiadce, były równie drakońskie co zróżnicowane. Karani mężczyźni nie mogli zbliżyć się na kilkaset metrów do szkół, przedszkoli, parków ani siedzib organizacji religijnych prowadzących nauczanie wczesnoszkolne. Czasem ograniczenia dotyczyły również basenów i ośrodków przejściowych dla osób w każdym wieku. Nawet jeśli zgodnie z prawem mogli gdzieś zamieszkać, odkrywali, że właściciele nieruchomości nie palili się do ich wynajmowania osobom skazanym za przestępstwa seksualne. A gdy już udało im się wynająć mieszkanie, czekał ich obowiązkowy obchód nowej dzielnicy i poinformowanie wszystkich sąsiadów o fakcie figurowania w rejestrze, co pociągało za sobą nie tylko upokorzenia, ale i zwykle szybką reakcję okolicznych mieszkańców. Najem wymawiano bez słowa wyjaśnienia, okna obrzucano jajkami, elewację zamalowywano graffiti. Zwykle posługiwano się epitetem „zbocheniec”. Ale bywało gorzej.

Nigdy żaden polityk nie przegrał wyborów z powodu zbyt szorstkiego obchodzenia się z gwałcicielami dzieci. Dlatego wykaz przestępstw, za które trafiało się do rejestru, został rozszerzony. Najpierw było to produkowanie zakazanej pornografii, później również jej oglądanie – nawet jeśli odbiorca był nieświadomy, że w materiałach występują osoby nieletnie. Słowne napastowanie podlegało karze tak samo jak kontakt fizyczny.

Coraz więcej mężczyzn lądowało na społecznym marginesie i potrzebowało miejsca, w którym mogłoby żyć w spokoju. Narodził się ponury rynek nieruchomości i powstały miasta takie jak Miracle.

Odpowiedź na pytanie, czy to społeczeństwo należało chronić przed tymi mężczyznami, czy tych mężczyzn przed społeczeństwem, zależała od przyjętego modelu biznesowego.

Maya wyjechała z Los Angeles tuż po północy. Pożyczyła niebieską tesłę Crystal i pojechała na północ autostradą 101, mając nadzieję, że dotrze do Miracle przed świtem, akurat wtedy, gdy mężczyźni zatrudnieni na pobliskich polach sałaty zaczną się zwlekać z łóżek. Nie miała nadziei, by którykolwiek z nich dał się łatwo skłonić do zwierzeń, więc chciała maksymalnie ogryźć to jabłuszko.

Natychmiast przywołała się do porządku. W otoczeniu setek gwałcicieli, ekshibicjonistów i pedofili nie należało posługiwać się metaforami o zakazanym owocu.

Kilka godzin później patrzyła, jak landrynkowy kalifornijski świt rozlewa się po polach kwitnących róż. Zjechała ze sto jedynek na utwardzoną drogę, wzniesając za sobą tuman kurzu. W pierwszych promieniach słońca dojechała w najbardziej ponure miejsce, jakie zdarzyło jej się do tej pory oglądać.

Miracle było tak naprawdę pojedynczym skrzyżowaniem bez świateł otoczonym kilkunastoma przyczepami. Między nimi ciągnął się nagi ugór, na którym porzucono kilka sflaczałych opon, jakieś stare meble wypłowiałe od słońca i – jakby to był jakiś okrutny żart – kilka pustych baseników dla dzieci. Zjechała na pobocze i wysiadła.

Czekała.

Wkrótce z przyczep zaczęli wychodzić mężczyźni, ubrani niemal identycznie w stare dżinsy i T-shirty z widocznymi plamami potu. Jak można się było spodziewać, natychmiast spostrzegli Mayę i – co było do przewidzenia – od razu, niczym oskarżeni przed budynkiem sądu, odwrócili się twarzami od niej. Maya uniosła dłonie, pokazując, że nie trzyma w nich kamery.

– Chciałam tylko zadać kilka pytań! – krzyknęła.

Chyba nie trafiła im do przekonania. Nie była stąd i przyjechała tesłą, więc wszystko, czego mogła od nich chcieć, było z gruntu podejrzanе. A ponieważ była kobietą, mogła zwiastować wyłącznie zagrożenie.

Przez kolejne kilka godzin podchodziła po kolei do mężczyzn opuszczających swoje przyczepy, ale żaden z nich nie odezwał się do niej nawet słowem. Dopiero po dziewiątej rano ktoś w ogóle zareagował na jej

obecność. Lud pracujący udał się do roboty i na chwilę wszystko znieruchomiło, po czym otworzyły się drzwi wejściowe do jednej z przyczep i stanął w nich potężny mężczyzna we flanelowej piżamie. Biały, z kręconymi blond włosami, sto dwadzieścia kilo niemytej żywej wagi, przystojna zapewne kiedyś twarz zarośnięta szczecina. Na widok Mai zeszywniał, ale zamiast zanurkować z powrotem do przyczepy, rozejrzał się, jakby pomyślał, że jakiś dowcipniś nagrywa go ukrytą kamerą.

– To ty jesteś Delia? – zapytał.

– Mam na imię Maya. Tak się zastanawiam... Czy mogłabym zadać panu kilka pytań o człowieka, który kiedyś tu mieszkał?

Mężczyzna fuknął rozczarowany.

– Czyli nie znasz Delii?

– Nie.

Podeszła do jego przyczepy. Nie powstrzymał jej.

– Pięć miesięcy temu mieszkał tu mężczyzna nazwiskiem Bobby Nock – powiedziała. – Czarny. Jakieś trzydzieści pięć lat.

Właściciel przyczepy zapatrzył się w przestrzeń, jakby zastanawiając się, czy można wykorzystać tę informację przeciwko niemu.

– Próbuję odszukać Bobby'ego Nocka – powiedziała Maya. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej studolarowy banknot. Uniosła go, by mężczyzna mógł mu się lepiej przyjrzeć, łopoczącemu na wietrze. – Czy może mi pan pomóc?

Mężczyzna spojrzął na banknot, po czym wbił wzrok w otaczającą go pustkę. Skinął głową.

– Proszę wejść.

Otworzył siatkowe drzwi do przyczepy i zniknął w środku. Nie miała pojęcia, co może tam na nią czekać.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Telefon pokazywał jedną kreskę.

Bała się i było jej wstyd, że się boi. Nic o tym człowieku nie wiedziała: co zrobił, kiedy i jak się tu znalazł. Jak wszyscy jej klienci zasługiwał na domniemanie niewinności. A jednak wchodzenie do przyczepy z kimś, kogo skazano za jakieś ohydne przestępstwo, wydawało się zwyczajnie głupie.

Maya przypominała sobie dla porządku, po co tu w ogóle przyjechała. Widziała już w tym tygodniu jednego trupa i siedziała z człowiekiem, któremu udowodniono seksualną napaść. A przecież facet mieszkający

w tej przyczepie nie zabił Ricka. To zaś oznaczało, że jakkolwiek niebezpiecznie było tam w środku, na zewnątrz było znacznie groźniej.

W przyczepie panował większy porządek, niż się spodziewała. Może i gość niespecjalnie dbał o siebie, ale w domu utrzymywał czystość. Miał nawet ozdóbki na ścianach: olejne obrazki łódek pochodzące najwyraźniej ze sklepu z rzeczami z drugiej ręki.

Stał przy zlewie i nalewał wodę do dwóch szklanek.

Podał jej jedną.

– Nie ma filtru do wody czy coś.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Dziękuję.

Usiadła na obitej sztruksem kanapce. W przyczepie było ciepło i duszno.

– Kim jest Delia? – zapytała.

– Córka kumpla. Miała wpaść do niego w odwiedziny. Tak mówił.

– Pewnie miło jest mieć gościa.

Poczuła się jak idiotka.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem.

– Jak panu na imię?

Milczał przez chwilę.

– Hank.

Uśmiechnęła się.

– To nie jest pana prawdziwe imię, prawda?

Znów wzruszył ramionami.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Uniosła swój studolarowy banknot.

– Od dawna pan tu mieszka?

Hank gestem wskazał banknot.

– Chciałbym się lepiej przyjrzeć.

Podawała mu banknot. Przytrzymał go w dłoni i pogładził delikatnie palcami.

Maya odsunęła się odrobinę.

– Od dawna pan tu mieszka?

– Osiem lat. – Zamilkł na chwilę. – Może trochę dłużej.

– Czy znał pan Bobby’ego Nocka?

– Faceta, który zamordował tę dziewczynę?

– Myśli pan, że ją zamordował?

– Powiedział mi.

Maya utkwiała w nim surowe spojrzenie.

– Bobby Nock powiedział panu... panie Hank... że zamordował Jessicę Silver?

Hank odłożył banknot na blat obok.

– Chce pani, żebym jej powiedział, że usłyszałem od niego, że ją zamordował?

Maya westchnęła. Sama nie wiedziała, czy z ulgi, czy z frustracji, a może po prostu pozbywała się w ten sposób napięcia.

– Chcę tylko, żeby powiedział mi pan prawdę.

Hank skrzywił usta.

– To pani słowa.

– Znał go pan.

– Znałem.

– Wie pan, dokąd wyjechał?

Hank pokręcił głową.

– Zwinął się z dnia na dzień. Zauważyliśmy to dopiero po jakimś czasie.

– Jak to?

– Gość trzymał się z boku i nie robił wokół siebie zamieszania. Nie miał roboty.

– To z czego żył?

– A bo ja wiem? Rodzina? Nie byłby wyjątkiem, tu wielu ma rodziny. Nie wpadają, nawet nie zadzwonią, ale pieniądze ślą.

Maya wyświetliła na swoim telefonie zdjęcie Ricka Leonarda.

– Zna pan tego człowieka?

Hank zmrużył oczy. Jakby chwilę zajęła mu konstatacja, że ten młody czarny człowiek, Rick, różni się od innego młodego czarnego człowieka, Bobby'ego, który tu mieszkał. To dobrze świadczyło o jego pamięci. Choć Rick i Bobby wcale nie byli do siebie podobni.

– Chciałbym zobaczyć z bliska.

Maya postąpiła krok naprzód, trzymając telefon przed sobą jak latarnię.

– Blżej. Proszę mi to dać.

Maya stanęła przed nim i położyła swój telefon na jego wyciągniętej dłoni.

– To jakiś inny facet – powiedział Hank.

– Owszem.

– Ma na imię Rick?

Maya starała się nie okazywać zaskoczenia.

– Skąd pan wie? Był tutaj?

– No. Kilka miesięcy temu. Też szukał Bobby’ego. Wpadł kilka razy. Uparty był.

– Był tu przed wyjazdem Bobby’ego czy po?

Hank spojrzał w sufit, jakby próbował sobie przypomnieć.

– Widziałem go tylko potem. Mówił, że już wcześniej rozmawiał z Bobbym. Znali się czy jak? Ale jakoś mnie nie przekonał. A potem Bobby się rozpląnął, a ten cały Rick próbował go znaleźć.

– Co mu pan powiedział?

– To co pani.

– Czy ktoś powiedział mu coś, czego mi pan nie mówi?

– A skąd miałbym to wiedzieć?

– Bo wszyscy tu ze sobą gadacie, a pan nie jest kretynem.

Hank pierwszy raz od początku tej rozmowy się uśmiechnął.

– Dziękuję za komplement. – Wstał, a jego potężna sylwetka wypełniła bez mała całą przyczepę. – Ale nie sądzę, by ten pani znajomy do czegokolwiek tu doszedł. Kilku ludziom dał swój numer, gdyby coś się wydarzyło. Ale... no nie wiem, co tu się miało wydarzyć?

– Zostawił panu ten numer?

Hank poszedł na tył przyczepy, gdzie stało łóżko. Słyszała, jak szperał w rzeczach. Odruchowo podeszła nieco bliżej siatkowych drzwi. Namacała w torebce gaz pieprzowy od Crystal i położyła palec na spuście. Gdyby wybiegł stamtąd z nożem, mogłaby uciec albo go odstraszyć. Gdyby wyszedł z bronią, byłaby martwa.

Tymczasem wyszedł z karteczką.

Wręczył ją Mai. Kierunkowy Los Angeles: 310.

Nie wyciągnęła z niego nic więcej.

Po wyjściu z przyczepy łapczywie wciągnęła w płuca świeże powietrze. Słońce paliło bezlitośnie. Schroniła się w samochodzie i zebrała siły na kolejny obchód mieszkańców Miracle.

Ale najpierw wyjęła telefon i wybrała numer, który podał jej Hank. Przygotowała się na odsłuchanie nagrania na sekretarce. Jakie to będzie koszarne, usłyszeć jego głos uwieczniony w tak prozaicznej wiadomości.

Po pierwszym sygnale odezwała się kobieta:

– Dzień dobry, tu biuro Lou Silvera.

Zapadła długa cisza, głucho milczenie w samochodzie Mai zaparkowanym na skraju pustynnego miasteczka, którego każdy z mieszkańców popełnił jakieś koszmarne przestępstwo.

– Z kim mogę połączyć?

Rozdział 12

JAE

27 WRZEŚNIA 2009

Wielu ludzi uwielbiało szkalować bogaczy, ale Jae Kim do nich nie należał. Niektórzy sądzili, że w byciu biednym jest coś szlachetnego, lecz zdaniem Jaego ci, którzy tak myśleli, po prostu nie poznali prawdziwej biedy. On sam jako dziecko niejedną noc spędził pod gołym niebem na głodniaka. Gdyby miał wybór między biedą i bogactwem, bezwzględnie wybrałby bogactwo. Bogaci nie chcieli być tylko ci, którym wmówiono, że nigdy nie będą.

Ludzie z budowy, na której się zatrudnił, oglądali zdjęcia bogaczy w gazetach i czasopismach, zachowując się tak, jakby mężczyźni w ciemnych garniturach i kobiety w olśniewającej bieliźnie (nie wiedzieć czemu połowa bogatych kobiet prezentowała się w czasopismach w samej bieliźnie) byli bandą krętaczy tylko dlatego, że dokonali w życiu kilku trudnych wyborów, by wspiąć się po drabinie społecznej. Może faktycznie byli kuci na cztery nogi, ale Jae znał mnóstwo biedaków, którzy też kombinowali. Mężczyźni z okładek, tacy jak Bill Gates, Steve Jobs czy Warren Buffett, przynajmniej zbudowali firmy, a kobiety jak Oprah, Jennifer Aniston, Angelina Jolie czy Donna Karan stworzyły silne marki osobiste. Zamożność była stanem umysłu. Nic dobitniej nie sygnalizowało, że ktoś nigdy nie miał pieniędzy i nigdy nie będzie ich miał, niż żartowanie z bogaczy.

Na tym polegała chujowość biedy. Ubóstwo rzucało się na mózg. Kazało ci sądzić, że winni są wszyscy, tylko nie ty. I wszyscy wokół myśleli tak samo. Część biedoty kisiła się w tych myślach, marynowała w nich przez całe życie, a potem przekazywała je dalej, następnemu pokoleniu.

A jak spojrzeć na dzieciaki bogaczy, pomyślał Jae, to właściwie dlaczego ostatecznie dorabiają się jeszcze bardziej niż ich rodzice? Ano dlatego, że od chwili narodzin wychowywane były w specyficznym stanie umysłu ludzi bogatych.

Gdyby Jae mógł życzyć swoim dzieciom – trzem dziewczynkom i chłopcu, najmłodsze miało cztery, najstarsze czternaście lat – tylko jednej

rzeczy, to życzyłyby im właśnie tego: by nauczyli się myśleć jak ludzie, którymi chcieli się stać. Wierzył z profetycznym zacięciem, że jego dzieci mogą stać się podobne ludziom, o których czytał. Słyszał, jak mówiono: „Och, dzisiaj nie ma już bohaterów”, a przecież to był tylko kolejny przejaw defetyzmu. Jeśli ktoś sądził, że nie potrzebuje żadnych wzorców, to pogratulować, przecież nikt nikomu nie każe się nigdzie piąć. Jae tak w każdym razie nie uważał i nie uważało tak żadne z jego dzieci.

Kiedy ostatnio widział film, którego bohaterem byłby biznesmen? Kiedy ktoś, kto zbudował coś od zera, nie został przedstawiony na ekranie jako zbrodniarz zatruwający wody gruntowe, ale człowiek, który drąży studnie na obszarach niegdyś pustynnych? Dlaczego Hollywood nie produkowało takich filmów?

Był prawie pewien, że zna odpowiedź. Hollywoodzcy liberałowie mieszkający na cofniętych klifach nad Beverly Hills byli tak zawstydzeni sytuacją pobliskiej biedoty, że zamykali się na cztery spusty w swoich rezydencjach i produkowali filmy gloryfikujące przegrane życie, którego nie potrafili ścierpieć na żywo.

Nic więc dziwnego, że Jae był dość poruszony perspektywą wysłuchania zeznań prawdziwego miliardera. Tego dnia na miejscu dla świadka miał zasiąść Lou Silver.

Wrażeniem w pierwszej chwili dominującym było rozczarowanie. To miał być ten tytan przemysłu, stwórca rynków, Midas z Minneapolis, jak nazwało go kiedyś jedno z czasopism? Pochylona sylwetka. Obwisła twarz, jakby pod skórą zabrakło mięśni, które utrzymywały ją na swoim miejscu. Jae sporo czytał o magnetycznej osobowości miliarderów, którzy ponoć elektryzowali obecnych samym swym wejściem do pokoju. Ale nie Lou. Jego garnitur wydawał się gdzieś indziej za ciasny, gdzie indziej zbyt obszerny. Z początku Jae pomyślał miłosiernie, że może Lou prezentuje jakieś nowe europejskie trendy, ale... nie. Obserwując, jak Lou siada na drewnianym krześle, Jae zorientował się, że miliarder ma po prostu źle skrojony garnitur.

Może żadna kwota nie mogła zapobiec zaniedbywaniu się człowieka, któremu zamordowano jedynaczkę.

Jaego zdumiało, że dopiero tamtego dnia Lou po raz pierwszy pojawił się w sądzie. Jego żona Elaine codziennie siadała w pierwszym rzędzie,

zawsze ubrana na czarno niczym anioł zemsty, który przybył wymierzyć sprawiedliwość za ludzkie postęпки.

Gdyby ktoś zabił jedno z dzieci Jaego, zapewne zachowywałyby się tak jak Elaine: siedziałyby na sali sądowej w pierwszym rzędzie od rana do wieczora przez siedem dni w tygodniu.

Lou był ostatnim świadkiem prokuratury. W ciągu minionych miesięcy Morningstar cegiełka po cegiełce budował swój gmach oskarżenia: ślady krwi, DNA, seksesemesy i wreszcie dziwne połączenie z telefonu Jessiki. Zadzwońiła do swojego domu na numer stacjonarny – albo też, jak przypomniała wszystkim adwokatka: jej telefon wykonał połączenie na numer stacjonarny w domu Silverów – tuż po tym, jak Jessica wyszła ze szkoły tego popołudnia, gdy na zawsze zniknęła. Odezwała się automatyczna sekretarka, ale nie pozostawiono na niej żadnej wiadomości. W chwili wykonywania połączenia telefon Jessiki znajdował się w centrum miasta – albo też, jak nieustannie przypomniała wszystkim adwokatka: na obszarze, który obejmował większość śródmieścia i cztery główne drogi szybkiego ruchu.

Morningstar zasugerował, że lokalizacja telefonu wskazuje najprawdopodobniej na to, że Jessica była w drodze do mieszkania Bobby'ego – albo z niego wracała. Prokurator odmalował plastyczny obraz: tego popołudnia Bobby zawiózł Jessicę własnym samochodem do swojego mieszkania. Kiedy jechali tam, by uprawiać seks, albo gdy wracali już po, wywiązała się kłótnia. Może Jessica chciała zakończyć ich skandaliczny romans, może chciała tylko powiedzieć o nim rodzicom. Bobby się wściekł i zabił ją na miejscu, w samochodzie. Krew była dosłownie wszędzie. Uprzytomniwszy sobie, co właśnie zrobił, wepchnął ciało Jessiki do bagażnika – stąd właśnie znaleziona w nim krew – a następnie pogrzebał je gdzieś daleko na pustyni.

Ogólnie rzecz biorąc, Jae miał poczucie, że zarzuty są solidnie udokumentowane. Jeśli Bobby Nock nie zabił Jessiki, to naprawdę fatalnie wybrał sobie ofiarę molestowania.

Zeznanie Lou miało być zapewne zwieńczeniem konstrukcji oskarżenia.

– Nazywam się Lou Silver – zaczął cicho. – Urodziłem się w Minneapolis w stanie Minnesota, a obecnie mieszkam w Los Angeles.

Jae wychylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć. Zauważył, że pozostali przysięgli zrobili to samo.

– Jestem przedsiębiorcą.

Jae uzmysłowił sobie, że skłonienie piętnastu osób do pilnego nadstawienia uszu jest przejawem siły.

Morningstar poprosił Lou, by opisał, na czym polegają prowadzone przez niego interesy.

Mecenas Gibson zgłosiła sprzeciw. Użyła słów „nieistotne dla sprawy”, a potem przez jakiś czas dwoje prawników przerzucało się argumentami. W tym procesie to była normalka: kilka pytań, jakiś spór prawny, kolejne pytanie, kolejna przepychanka prawników i tak dalej. Jeśli spór stawał się zbyt zawily, sędzia zarządzał wyjście ławy przysięgłych z sali sądowej.

– Jestem założycielem i dyrektorem zarządzającym Silver Properties – odpowiedział wreszcie Lou. – Jestem założycielem i członkiem zarządu SunRay Insurance. Jestem udziałowcem większościowym firm Allied Metalwork, Allied Concrete, Allied Glasswork i Allied Renovations, które wbrew ich nazwom są mniej sprzymierzone, niż można by sądzić. – Zabrzmiało to jak przećwiczony żart. Kilka osób się uśmiechnęło. – Jestem również założycielem i dyrektorem zarządzającym Silver Ventures. A jeśli chodzi o Silver Foundation, pracuję dla mojej żony.

Znowu kilka uśmiechów. Ale Jae się nie uśmiechał. Nazwa Allied Concrete walnęła go jak obuchem.

Jae nie dość, że sam pracował dla Allied Concrete, to jeszcze trzy i pół miesiąca wcześniej zatrudniał dla nich podwykonawców. Pobierał od tej firmy wynagrodzenie aż do chwili, w której wezwano go do zasiadania w ławie przysięgłych.

Miał ochotę palnąć się w łeb jak kojot z kreskówki. Przecież wiedział, że Lou Silver jest właścicielem jakichś przedsiębiorstw z „Allied” w nazwie! Jak mógł się nie zorientować, że wśród nich znajduje się firma zajmująca się konstrukcjami betonowymi?

Lou mówił o nowej budowie w centrum miasta, tymczasem Jae przypomniał sobie właśnie, że zeznał pod przysięgą, że z Lou Silverem nie łączą go żadne relacje osobiste ani finansowe.

Boże! Przecież kiedyś spotkał go osobiście! W każdym razie stali w tym samym kręgu menedżerów nieopodal placu budowy w Century City. Lou był jednym z wielu anonimowych białasów w garniturach, którzy przyszli tego dnia z wizytacją. Ale Jae z pewnością z nim nie rozmawiał. Był pewny prawie na sto procent.

Może na dziewięćdziesiąt.

Zrobiło mu się gorąco. Poruszył się na krześle. Fran Goldenberg, która codziennie siadała obok niego, zerknęła teraz z ukosa. Bezgłośnie wyartykułowała: „Wszystko w porządku?”, po czym podała mu butelkę wody, żeby mógł się napić.

Jae machnął ręką i odwrócił się z powrotem do Lou. Fran nie mogła się dowiedzieć. Nikt nie mógł się dowiedzieć! Koledzy z ławy przysięgłych nie byli jego przyjaciółmi, w razie konieczności bez wahania by na niego donieśli. Lecz właściwie, pomyślał Jae, czy którykolwiek z mieszkańców Los Angeles naprawdę nie ma żadnych związków z Lou Silverem? Skoro Jae nie zauważył nawet, że z tym człowiekiem cokolwiek go łączy, każdy mógł popełnić taki błąd.

Ze wszystkich sił starał się skupić na zeznaniu Lou. Oskarżyciel poprosił właśnie, by Lou opisał swoją ostatnią rozmowę z córką, która odbyła się rankiem w dniu jej śmierci.

Obrona natychmiast zgłosiła sprzeciw.

– Rozmawialiśmy już o tym, wysoki sędzie – powiedziała Gibson znużonym głosem. – Nie dysponujemy dowodami potwierdzającymi rzekomą śmierć Jessiki Silver.

– Podtrzymany – powiedział sędzia i spojrzał z dezaprobatą na Morningstara. – Proszę, by to się nie powtarzało.

Morningstar przepraszająco skinął głową.

– Czego dotyczyła pana ostatnia rozmowa z Jessiką? – zapytał ojca dziewczyny. – W dniu jej *zniknięcia*?

Lou smutno pokręcił głową.

– Wie pan, co jest najgorsze? Nie potrafię sobie przypomnieć.

Lou opisał córkę jako osobę ufną, serdeczną i wyrozumiałą, skłoną do wygłupów i coraz umiejętniej ukrywającą przed nim rozmaite mroczne sekrety. Zeznał, że nie miał pojęcia o tym, co się działo pomiędzy Bobbym a Jessiką. Winił siebie. Może był zbyt pochłonięty swoją pracą? Może niewybaczalnie mało uwagi poświęcał własnej rodzinie? A może to taki wiek, w którym dzieci stają się we własnym domu obce niczym członkowie nieznanego plemienia o odrębnych obyczajach i kodach kulturowych?

Jae pomyślał, że kiedy Lou opowiada o córce, brzmi to jakoś bezosobowo. Nie wiedzieć czemu wydał mu się przez to jeszcze smutniejszy. Jakby nie wiedząc, jak mówić o tym koszmarze, który stał się jego udziałem, ze wszystkich sił starał się mówić o koszmarach w ogólności. Morningstar zadał mu kilka rzeczowych pytań – o której

godzinie Jessica zwykle wracała ze szkoły?, kiedy zaczął się niepokoić jej nieobecnością?, czy często znikwała na długo, nie opowiadając się wcześniej? – ale Lou raz po raz zasłaniał się niewiedzą o wszystkim, co dotyczyło jego córki.

Morningstar po każdej odpowiedzi odwracał się do ławy przysięgłych, w szczególny sposób kierując się do Jaego, Caroliny, Fran, Kathy i Enrique'a. Jae uzmysłowił sobie, że to ławnicy, którzy sami mają dzieci. Pierwszy raz poczuł, że oskarżyciel próbuje nimi manipulować. Jasne, Lou Silver przeżywał koszmar, który śnił się po nocach wszystkim rodzicom; z pewnością śnił się Jaemu. Ale jeśli nawet Lou Silver nie potrafił uchronić swojej córki, to jakie szanse mieli pozostali?

Natomiast trucie Morningstara o tym, co wyczyniają dzieci pod nieobecność rodziców, nie było w porządku. Jeżeli sądził, że nie wygra, jeśli nie będzie dręczył ławników w taki sposób, to może jego akt oskarżenia wcale nie miał tak solidnych podstaw, jak prokurator twierdził?

Na sali zapadło ciężkie milczenie. Gibson wstała powoli, jakby czekając, aż opadnie kurz.

– Bardzo mi przykro, panie Silver – powiedziała. – To musi być dla pana straszne.

Zanim Lou zdążył się odezwać, Morningstar zgłosił sprzeciw.

– Chyba nie słyszałem pytania, wysoki sędzie.

Sędzia rzucił mu spojrzenie, jakim zwykle obdarza się służbistów, ale Morningstar miał rację. Sędzia zwrócił się do Gibson:

– Proszę przejść bezpośrednio do pytań.

Gibson skinęła głową.

– Tak, wysoki sędzie. Ze względu na pana Silvera postaram się streszczać. – Obróciła się w stronę ławy przysięgłych. – Ile różnych firm pan posiada?

Morningstar zaprotestował:

– Nieistotne dla sprawy.

Gibson pokręciła głową.

– Mam déjà vu.

– Uchylony – powiedział sędzia do Morningstara. – I to za pana sprawą.

Gibson przeszła na środek sali, zwracając się w równej mierze do świadka, co do – może nawet bardziej – ławy przysięgłych.

– Czy którakolwiek z pana firm wzbudziła kiedykolwiek jakiegokolwiek kontrowersje?

Lou wziął głęboki wdech.

– Nie większe, niż zwykle wzbudzają firmy tej wielkości.

– Przepraszam, czy to oznacza: tak?

– Tak.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek groził panu śmiercią?

Obrończyni spojrzała wprost na Jaego.

Czy to miało coś wspólnego ze związkami łączącymi go z Lou? Ale skąd ona mogła o tym wiedzieć?

– Oczywiście, że tak.

Gibson obróciła się na swoich szpilkach.

– Oczywiście?

– Moje inwestycje oznaczały wysiedlenie dotychczasowych najemców. Wspólnoty mieszkańców były wściekłe. Ludzie wysyłali listy, a rozgniewani ludzie potrafią pisać obrzydliwe rzeczy. Ale to tylko takie gadanie.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek napisał do pana list zawierający groźby wobec pana rodziny?

– Przypuszczam, że tak.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek napisał do pana list z zapowiedzią, że zgwałci i zamorduje pana nastoletnią córkę, po czym pogrzebie jej ciało na pustyni?

Konkretność tego pytania zaskoczyła wszystkich obecnych.

– Nie pamiętam – odparł Lou Silver.

Ja bym zapamiętał, gdyby ktoś kiedyś napisał do mnie taki list, pomyślał Jae.

– Zatem pozwoli pan, że odświeżę mu pamięć. – Gibson wzięła jakiś dokument ze swojego biurka i pokazała go w pierwszej kolejności Morningstarowi; cokolwiek to było, widział to już wcześniej. Następnie zaniósła dokument sędziemu, który sumiennie umieścił go na liście jako „dowód obrony numer 101”.

– Zgoda na podejście do świadka? – zapytała Gibson.

Sędzia skinął głową.

Podeszła do miejsca zajmowanego przez świadka i podała dokument Silverowi.

– Czy może pan to przeczytać, panie Silver?

Lou Silver spojrzał na sędziego jak dziecko proszące o pozwolenie. Sędzia skinął głową.

– „Szanowny Żydzie Silver – zaczął Lou. – Niszczysz to miasto. Zasługujesz na to, by patrzeć, jak twoja puszczalska córeczka zostaje zgwałcona i zamordowana, a jej ciało pochowane na putyni, żebyś go nigdy nie znalazł. Może tak zrobię. Może. Jak będziesz miał szczęście”. – Lou podniósł głowę. – Nie podpisano.

Gibson nie była w nastroju do żartów.

– Pochowane na putyni?

– Tak tu napisano.

– Czy pamięta pan fakt otrzymania tego listu?

– Nie.

– Przyszedł na pana adres domowy.

– Tak powiedziała mi policja. Po tym, jak aresztowano Bobby’ego Nocka za zamordowanie Jessiki.

– Czy ten list nie wydał się panu godny uwagi?

– Oczywiście, że wydał mi się godny uwagi.

– Ale nie na tyle godny uwagi, by nabrał pan przekonania, że autor listu może pisać poważnie?

– To Bobby Nock zamordował moją córkę.

Jae dałby sobie uciąć palec, że dostrzegł uśmiech na twarzy Gibson.

– Musiał być pan wstrząśnięty – powiedziała – kiedy zobaczył pan esemesy, jakie przesyłali sobie oskarżony i pana córka.

– Zobaczyłem je dopiero po tym, jak ją zamordował.

Jae już na tyle połapał się w rytmie rozprawy, że oczekiwał natychmiastowej interwencji Gibson, ale ta ku jego zaskoczeniu puściła to płazem. Spojrzała tylko na przysięgłych, jakby oczekując współczucia. Jakby chciała powiedzieć, że wszyscy robią, co mogą, by jakoś sobie radzić ze zrozumiętymi wybuchami ojca pogrążonego w żałobie.

– Co pan pomyślał, gdy zobaczył pan te wiadomości?

– Że to nie do wiary.

– Że pana córka komunikowała się w ten sposób ze swoim nauczycielem?

– Że wysyłał jej takie wiadomości.

Gibson wydawała się zaciekawiona.

– Był pan bardziej zaskoczony jego zachowaniem niż jej?

– Złamał prawo. Wykorzystał ją.

– Z całym szacunkiem, panie Silver, ale treść tych wiadomości wskazuje na to, że się nie opierała.

Jak prawniczka może powiedzieć coś tak obrzydliwego? Ojcu tej dziewczyny! To nie było w porządku.

Morningstar nie zrobił na Jaem dobrego wrażenia, ale Gibson robiła jeszcze gorsze.

– Jak pani śmie – zaprotestował Lou.

– Przepraszam. Nie chciałam pana obrazić.

– Miała piętnaście lat – powiedział Lou. – Była dzieckiem.

– Bardzo mi przykro, że musiał pan czytać wiadomości wymieniane przez pana córkę i mojego klienta. Wiadomości o tak jednoznacznie seksualnym charakterze.

Lou zmilczał. Wyglądał, jakby się gotował ze złości.

– Czy Jessica kiedykolwiek wspomniała panu o Bobbym?

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje się panu?

– Nie pamiętam.

– Nawet jako o swoim nauczycielu?

Lou pokręcił głową.

Gibson spojrzała prosząco na sędziego.

– Panie Silver – odezwał się sędzia. – Obawiam się, że w sądzie jesteśmy w stanie zaprotokołować jedynie słowne odpowiedzi na pytania zadawane przez pełnomocników stron.

Lou Silver odwrócił się do sędziego, teraz wściekły również na niego. Nie wyglądał na kogoś przyzwyczajonego wysłuchiwać czyichś poleceń.

Jae uznał, że gdyby sam miał miliardy dolarów, nie życzyłby sobie, by ktoś dyktował mu, co i kiedy ma mówić.

– Nie – powiedział Lou.

– Słucham? – zapytała Gibson.

– Odpowiadam na pani pytanie. Nie. Nie pamiętam, by Jessica kiedykolwiek wspominała o tym mężczyźnie.

– Czy zwykle opowiadała panu o swoich chłopakach?

Na twarzy Lou odmalowało się obrzydzenie.

– Słucham?

– Dziewczyny potrafią być bardzo skryte w tych sprawach, zwłaszcza wobec ojców. To absolutnie normalne. Starłam się po prostu zorientować, czy opowiadała panu o swoich poprzednich chłopakach, przed Bobbym.

– Ten człowiek nie był jej chłopakiem.

Gibson wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, a jakiego słowa, pana zdaniem, użyłaby Jessica?
 - Był jej nauczycielem.
 - Kiedy przeczytał pan to, co pana córka napisała do Bobby’ego, musiał zapalać pan do niego prawdziwą nienawiścią.
 - Owszem.
 - Czy chciał pan, by ukarano go za zwracanie się w ten sposób do pana córki?
 - Chciałem, by ten czarnuch dostał to, na co zasłużył.
- Cała sala jak na komendę wciągnęła powietrze. Jae był prawie pewien, że usłyszał czyjeś „O, cholera”, ale nie miał pojęcia, kto to powiedział. Zmartwiał także sędzia.
- Natomiast Gibson nawet powieka nie drgnęła. Westchnęła lekko, jakby zmęczona światem tak zajadle uprzedzonym względem jej klienta.
- Nie mam więcej pytań.

Sędzia zarządził krótką przerwę. W pokoju przysięgłych raz po raz krzyżowały się spojrzenia, ale nie padło ani jedno słowo. Wiedzieli, że gdyby ktoś z nich się odezwał, wszyscy mieliby kłopoty. Ale jak zachować milczenie po czymś takim?

Jae próbował porozumieć się bezgłośnie z Rickiem. Jakby chciał mu powiedzieć: „Słuchaj, stary, wiem, co knują te biały”. Ale Rick, sądząc po wyrazie jego twarzy, nie podzielał potrzeby Jaego. A może nie chciał jego współczucia?

Czasem czarni przyznawali w obecności Jaego, jak rasistowscy bywają biali, lecz natychmiast czynili zastrzeżenie, że to oni, czarni, zbierają najgorsze cięgi. Tak jakby Jae nigdy nie spotkał białego przedrzeźniającego rzekomo azjatycki akcent, rozwodzącego się nad matematycznymi uzdolnieniami Azjatów czy wygadującego inne brednie. Jae dostawał piany, gdy czarni udawali, że jako jedyni padają ofiarą rasizmu.

Podszedł do Trishy, z którą i tak spędzał znacznie więcej czasu. Miała szczególne poczucie humoru, suche i zjadliwe, które śmieszyło do rozpuku, gdy już człowiek wyłapał cały ukryty w nim sarkazm. Jae powiedział tylko jedno słowo:

- Cholera.

Miał poczucie, że trafia w sedno.

Trisha pokręciła głową.

- Celne podsumowanie.

Fran Goldenberg sprawiała wrażenie do głębi zażenowanej. Czy poczuła się zawstydzona, że to właśnie Lou Silver, z którym łączyło ją żydowskie pochodzenie, pozwolił sobie na tak jawnie rasistowską wypowiedź? Czy obawiała się, że samo skojarzenie z nim rzuci cień również na nią?

Kiedy woźny Steve zaprosił ich z powrotem na salę sądową, atmosfera była wciąż napięta.

Sędzia wezwał Morningstara, który wstał.

– Oskarżenie nie ma nic do dodania.

Sędzia odwrócił się do Gibson.

– Czy obrona gotowa jest przedstawić swojego pierwszego świadka? Czy też wolałaby odroczyć rozprawę do jutra i przedstawić świadka rano?

Jae nie odrywał wzroku od Gibson, która zastygła na chwilę, po czym wyszeptała coś do ucha Bobby'ego Nocka. Przez chwilę porozumiewali się szeptem. Wreszcie Bobby skinął głową i na powrót wbił wzrok w blat stojącego przed nim stołu.

Gibson wstała.

– Sędziowie przysięgli, obrona nie ma nic do dodania.

Rozdział 13

NIE ZNAJDZIESZ LEPSZEGO PRZYJACIELA TERAZ

– Chciałabym rozmawiać z panem Silverem – powiedziała Maya do słuchawki.

Kobieta po drugiej stronie, kimkolwiek była, nie odpowiedziała. Po chwili niepewnego milczenia Maya dodała:

– Nazywam się Maya Seale.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział kobiecy głos.

Wpatrując się w ponurą przestrzeń Miracle, Maya czekała, słuchając zapętłonej melodyjki.

Co knuli Rick i Lou? Czy Lou pomagał Rickowi w jego dochodzeniu, finansowo lub w jakikolwiek inny sposób? Dlaczego Rick nikomu o tym nie wspomniał?

Kolejny mężczyzna pojawił się na schodkach swojej przyczepy i zapatrzył się na pożyczoną tesłę Mai, najwyraźniej zachodząc w głowę, co ten samochód i siedząca w nim kobieta robią w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

– Pani Seale? – odezwał się powracający nieoczekiwanie damski głos. – Pan Silver proponuje, by przyszła pani do jego biura jutro o dziewiątej rano. Czy to pani odpowiada?

Maya odpowiedziała twierdząco.

Jeszcze przez kilka godzin próbowała nawiązać rozmowy z mieszkańcami Miracle. Bezskutecznie.

Miała całe popołudnie na powrót malowniczą nadmorską trasą. Droga wiała się urwistym wybrzeżem i niebezpiecznie wychylała ponad położone w dole plaże. Fale w spektakularnych wachlarzach białej piany rozbijały się o skały wystające z wody tuż przy brzegu. Maya potrzebowała czasu, by przemyśleć wszystko, czego się dowiedziała, i nasycić oczy widokiem oceanu, być może ostatni raz przed pójściem do więzienia.

Pierwszy raz od przeprowadzki do Los Angeles jechała tym odcinkiem jedyńki. Wpatrując się w roziskrzoną wodę, przypomniała sobie rozmowę

z Hunterem podczas jazdy z San Francisco. Zawsze, gdy zdarzało jej się pomyśleć o Hunterze, zdumiewała się, że wspomnienia o nim napływają tak rzadko.

Zerwali niedługo po procesie. Ale nie z powodu jej romansu. To, co zdarzyło się między nią a Rickiem, było tragicznym błędem, którego zdążyła już pożałować. Osobą, która stanęła pomiędzy nimi, był – przynajmniej według Huntera – Bobby Nock.

– Czy moglibyśmy chociaż raz dla odmiany porozmawiać o kimś innym? – fuknął Hunter dwa tygodnie po jej powrocie do domu. – Czy ten drań nie zrujnował już życia wystarczająco wielu ludziom? Nasze też musi zrujnować?

Wyszli na kolację, ale ktoś rozpoznał Mayę w restauracji. Jakaś kobieta w ciemnych legginsach, obwieszona ciężką biżuterią, podeszła do ich stolika i powiedziała:

– Zasiadała pani w ławie przysięgłych, prawda? Mam nadzieję, że jest pani szczęśliwa.

Odciągnął ją za rękę jakiś zażenowany całą sytuacją znajomy.

Cały nastrój kolacji dla dwojga prysł. Ciężkie milczenie, rzucona mimochodem opryskliwa uwaga na jakiś temat bez znaczenia, znów ciężkie milczenie, kelner dopełniający szklanki z wodą, brzęknięcie kostek lodu o szkło.

– Chciałbym się po prostu dziś wieczorem dobrze bawić.

Ale o czym chciał z nią w takim razie rozmawiać? Nie miała pojęcia aż do dziś. Zapytała go o to, ale uchylił się od odpowiedzi, przerzucił ją na nią: „O czymkolwiek innym”.

– Nie jestem animatorką – rzuciła podczas jakiejś sprzeczki, już nie pamiętała dokładnie której, w jej wspomnieniach wszystkie zlały się w jedno. – Zabawianie cię nie mieści się w zakresie moich obowiązków.

– Masz obsesję – stwierdził.

To musiała być jakaś późniejsza kłótnia, kiedy już powiedziała mu, że chce iść na prawo. Teraz pomyślała, że jej wcześniejsze niezdecydowanie co do ścieżki kariery rodziło rozmaite napięcia w ich związku, które paradoksalnie jeszcze się nasiliły, gdy zdecydowała się studiować prawo.

– Ale co, chcesz zostać prawniczką, żeby uwolnić Bobby’ego Nocka od zarzutu morderstwa? Wiadomość z ostatniej chwili: już uwolniłaś!

Próbowała mu wyjaśnić.

– Nie. Chcę zostać prawniczką, bo na sprawiedliwość zasługują i tacy ludzie jak Bobby Nock, i tacy jak Jessica Silver.

W tym mieście codziennie ktoś padał ofiarą morderstwa. Co godzinę kogoś gwałcono. Co minutę pozbawiano kogoś własności. Policja aresztowała ludzi przez okrągłą dobę, część z nich była winna, część nie, więc czego Hunter od niej oczekiwał? Miała siedzieć z założonymi rękami? Kończyć głupią powieść, która nikogo nie obchodziła? A może napisać wspomnienia o tym, jak źle potraktował ją wymiar sprawiedliwości?

Wykluczone. Nie była bezradną ofiarą bezwzględnego systemu. Nie była niewinną obserwatorką.

Hunter nie potrafił zrozumieć, że weszła w rolę prawniczki nie po to, by bez końca odtwarzać ten proces. Uwewnętrzniła najtrudniejsze, najbardziej traumatyczne doświadczenie swojego życia i uczyniła je jego sednem.

Dawną Mayę zostawiła w tamtej sali sądowej. Teraz była już kimś innym. Nowa pani Seale narodziła się w tamtych pomieszczeniach. I czuła się w nich jak w domu.

Hunter ożenił się i zamieszkał w Portland. Jeśli wierzyć zdjęciom zamieszczanym przez niego na Facebooku, pasjonował się rzemieślniczymi metodami warzenia piwa.

Dobrze się bawiła podczas jazdy, póki nie wpadła w korek pod Malibu. Słońce właśnie zaszło i w oddali zalśniła łuna bijąca znad nowego śródmieścia, które posiadał niemal na wyłączność jeden człowiek.

Od rozprawy Maya spotkała się z Lou Silverem dokładnie raz. Kilka lat temu była w dzielnicy Palisades na imprezie dobroczynnej na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi, sponsorowanej przez jakąś firmę kosmetyczną. Przyjechała jako osoba towarzysząca Crystal Liu i cieszyła się nieczęstą anonimowością. „Nazywam się Maya, pracuję na tym samym piętrze co Crystal”, mówiła innym uczestnikom spotkania. Tego wieczoru była więc zwyczajną prawniczką pochrupującą słupki warzyw i wachającą zapachy na kolejny sezon.

I wtedy w przeciwległym końcu sali dostrzegła Elaine Silver. Ich spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy i Maya odruchowo odwróciła wzrok. Nie wiedziała, czy Elaine faktycznie ją dostrzegła i czy to w ogóle była Elaine. Próbowwała przekonać samą siebie, że elegancka kobieta po sześćdziesiątce to jakaś inna miliarderka z zacięciem

filantropijnym, jedna z wielu bywalczyń salonów. W takiej sytuacji Maya nie musiałaby nerwowo przemykać pod ścianami.

Symulowanie niewiedzy sprawdzało się znakomicie aż do końca imprezy. Kiedy stała już obok Crystal w kolejce osób oczekujących na podprowadzenie samochodu, poczuła, że ktoś za nią się przepycha.

To był Lou Silver, kierujący żonę ku czekającej na nich limuzynie.

– Pani Seale – wyszeptał, gdy przechodził obok.

I to było na tyle. Wsiedli do samochodu, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem.

– No i jak? – zapytała Crystal, gdy pędziły ciemną szosą. – Poznałaś kogoś ciekawego?

Różne firmy Lou Silvera zajmowały sąsiednie piętra w południowej wieży jego kompleksu zlokalizowanego w Century City. Każda grupa pięter odpowiadała innemu obszarowi jego zainteresowań: nieruchomościom, ubezpieczeniom, funduszom inwestycyjnym, „innovacjom” – cokolwiek miało to znaczyć. Fundacja Elaine i Lou Silverów zajmowała pół piętra w klastrze finansowym. Jego osobisty gabinet znajdował się na samej górze.

Lou wyglądał nadspodziewanie staro. Ludzie opisywali starość jako powolny uwiąd, ale w przypadku Lou trafniejszym określeniem było raptowne usychanie. Dziesięć lat temu, jako pięćdziesięciolatek, wyglądał na człowieka w średnim wieku. Teraz już nie ukrywał łysiny pod zaczeską, a ciemne plamy wątrobowe na rękach wyraźnie odcinały się od jasnej skóry.

Kiedy szedł przez swój narożny gabinet, żeby ją przywitać, zauważyła, jak ostrożnie stawia każdy krok.

Na jego twarzy malowało się takie samo znużenie.

– Interesujące, że dochodzi do tego dopiero teraz, nieprawdaż? Cześć. Jestem Lou.

Uścisnęła wyciągniętą dłoń.

– Nie sądziłam, że dojdzie kiedykolwiek.

– Dlaczego?

– Bo powiedział pan dziennikarzowi „New York Timesa”, że moja matka musiała mnie w dzieciństwie wielokrotnie upuścić na głowę.

Przyjął i odwzajemnił jej szczerść.

– No cóż. Pozwoliłaś odejść wolno człowiekowi, który zabił moją Jessicę.

– Świetnie nam idzie.

Uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc, lepiej, niż się spodziewałem. Usiądziesz?

Wskazał gestem dwie stojące obok kanapy. Przez jedną z przeszklonych ścian widać było ocean, przez drugą Hollywood Hills. Trzecia pozwalała dojrzeć śródmiejskie drapacze chmur, a nawet leżący za nimi region Inland Empire.

– Zatem... zadzwoniłaś do mnie.

– Dlaczego Rick Leonard dał numer pana telefonu przestępcy seksualnemu, który mieszka w miejscowości o nazwie Miracle?

Lou nawet nie drgnęła powieka.

– Ach, rozumiem. Zastanawiałem się, skąd wzięłaś ten zastrzeżony numer. Rick go podawał, bo to był numer moich służb dochodzeniowych.

– Ma pan służby dochodzeniowe?

– Nie powiedział ci?

– Nie.

– Hm. – Najwyraźniej Lou oczekiwał innej odpowiedzi. – No cóż, przez ostatnich kilka lat moimi służbami dochodzeniowymi był konkretnie Rick Leonard.

– Pracował dla pana?

– Jakies dwa lata temu przyjechał tu, żeby się ze mną spotkać. Opowiedział o swoim prywatnym śledztwie dotyczącym Bobby'ego Nocka. Był przekonany, że potrafi dowieść jego winy, ale potrzebował czasu i ludzi, zasobów. Był praktycznie bankrutem. Czytałem jego książkę... Wiedziałem, że jest po właściwej stronie. Dałem mu wszystko, o co prosił.

Maya była zaskoczona otwartością Lou.

Spojrzał na nią.

– Spodziewałaś się, że będę próbował to przed tobą ukryć?

– Nie wiem.

– Dlaczego miałbym to robić?

Przejawiał dezorientujący pragmatyzm.

– Słyszał pan o śmierci Ricka.

– To wcielenie diabła.

– Rick?

– Bobby.

– Słucham?

– Ricka zamordował Bobby Nock.

W jego ustach zabrzmiało to jak oczywistość.

Zdaniem Mai była to teza zupełnie nieuprawdopodobniona.

– Jest pan o tym przekonany?

Wydawał się urażony.

– Bobby Nock zabił moją córkę. Po tym, jak w swej niezmierzonej mądrości wypuściłaś go na wolność, przez dziesięć lat ukrywał się przed tym, na co zasłużył. Rick Leonard, niech mu ziemia lekka będzie, z moim błogosławieństwem próbował dogrzebać się do informacji na jego temat. Znalazł świadczące przeciwko niemu dowody. I właśnie za to Bobby go zabił.

– Zdaje pan sobie sprawę, w co musiałby pan uwierzyć, żeby móc bronić tezy, że to Bobby Nock zabił Ricka?

– Ależ proszę, chętnie posłucham, w co wierzę.

– Po pierwsze, Bobby Nock musiałby wiedzieć, że planowany jest zjazd ławników. Po drugie, musiałby wiedzieć dokładnie, gdzie go zaplanowano. Po trzecie, musiałby wślizgnąć się do hotelu tak, by nie spostrzegło go żadne z nas: dwunastu ludzi, którzy rozpoznaliby go w mgnieniu oka. Po czwarte, musiałby wiedzieć, że – i kiedy – Rick wybiera się do mojego pokoju oraz że mnie tam nie będzie.

– Może zasadnicza różnica między nami polega na tym, że ja nie zakładam, że nie jest do tego zdolny.

Gwoli sprawiedliwości, pomyślała Maya, był to dość precyzyjny opis ich sytuacji.

– Wie pan, że zdaniem policji to ja jestem zabójczynią?

– Owszem.

– Ale pan tak nie sądzi?

– Nie. – Milczał przez chwilę. – Może będzie ci w tym momencie trudno przyjąć to do wiadomości, ale jestem najprawdopodobniej jedyną osobą, która wierzy w twoją niewinność. Co oznacza, że chociaż w moich oczach jesteś bez wątpienia najbardziej łatwowierną oślicą w całej Kalifornii, być może nie znajdziesz lepszego przyjaciela ode mnie.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Wiem – powiedział. – Dziwna z nas para.

Odchylił się na oparcie fotela i rozłożył szeroko ramiona.

Nienawiść, jaką żywił do Bobby'ego, przesłoniła mu całą resztę. Jeśli szło o Bobby'ego, nie było dla niego tezy zbyt nieprawdopodobnej.

– Zatem co odkrył Rick? – zapytała. – Dysponując pana zasobami?

Twarz Lou zasnuła się rozczarowaniem.

– Niedobrze – powiedział. – Bardzo niedobrze.

– Co?

– Miałem nadzieję, że wiesz.

– Nie powiedział panu?

Lou westchnął.

– Rick był bardzo inteligentny i bardzo zmotywowany. Nic nie popycha człowieka do wielkości równie mocno jak apostazja. Chciałem sprawiedliwości ze względu na to, co Bobby zrobił mojej córce. Rick chciał sprawiedliwości ze względu na to, do czego Bobby zmusił go względem siebie. – Nachylił się w stronę Mai. – Rick przynajmniej przyznał się do popełnionych błędów. Nie to co poniektórzy.

Maya nie dała się złapać. Przypomniała sobie stanowczo, że ostatnie, czego jej trzeba, to wdawanie się w dyskusję na temat tego, kto zabił Jessicę Silver. Zwłaszcza z jej ojcem. Tym, czego potrzebowała – jedynym, czego potrzebowała – były informacje, które mogła wykorzystać w swojej obronie.

– Naprawdę wciąż jesteś pewna swego? – zapytał, jakby rozdrażniony jej opanowaniem. – Po tylu latach? Po wszystkim, co się wydarzyło? Pozazdrościć konsekwencji. Albo jednak nie.

– Skoro Rick dla pana pracował, musiał pan mieć dostęp do jego notatek. Jego plików na temat Bobby'ego.

Lou cmoknął z dezaprobatą.

– Owszem. To nie są żadne tajne materiały, przekazał je również producentom programu telewizyjnego.

– Widziałam, co od niego dostali.

– No więc sama rozumiesz. W tych plikach nie ma żadnych wiekopomnych rewelacji. Mnie też nie powiedział. A pytałem. Wielokrotnie. Mogę ci pokazać setki maili. Powtarzał tylko, że ma coś dobrego, naprawdę fantastycznego, ale musi idealnie wstrzelić się czasowo. Nieraz się o to kłóciliśmy.

To wszystko nie trzymało się kupy.

– Dlaczego Rick miałby znaleźć jakiś niepodważalny dowód, a potem go przed panem ukryć? Zwłaszcza przed panem?

Lou popukał palcem w usta. Gest nasuwał jakieś mgliście akademickie skojarzenia.

– Miło, prawda? Że oboje stawiamy wreszcie te same pytania.

Zapatrzył się na linię horyzontu.

– Jessica zawsze lubiła wodę.

Maya powędrowała spojrzeniem za jego wzrokiem. Widziała tylko ciągnące się po horyzont zabudowania.

– Aha.

– Już jak była bardzo malutka. Większość małych dzieci nie cierpi kąpieli, prawda? A Jessica je uwielbiała. Kiedy była starsza, chodziła na zajęcia na basenie. Była w drużynie pływackiej. Co weekend wybierała się ze znajomymi na plażę. A ja siedziałem tutaj. W swoim biurze. Za dużo pracowałem. Nadal za dużo pracuję, ale co innego mi pozostało? Widywałem ją wieczorami, włosy jeszcze nie zdążyły jej wyschnąć. Wyczuwałem zapach słonej wody. Mówiłem: „Jessica, masz treningi pływackie przez cały tydzień, a potem jeszcze pływasz w weekend?”. Powiedziała, że pływanie ma dla niej „charakter medytacyjny”. Taka była moja córka. Mówiła, że coś ma „charakter medytacyjny”.

Maya nie wiedziała, jak to rozumieć ani co odpowiedzieć.

– Żałuję, że nie miałam okazji jej poznać.

Nic lepszego nie wymyśliła.

Pokręcił głową. Jej słowa nie miały żadnego znaczenia.

– Wiesz, co powtarza mi Elaine? „Ukaranie Bobby’ego Nocka nie zwróci nam Jessiki”.

– A pan się z tym nie zgadza.

– Powtarzam jej: „Przekonajmy się, zobaczymy, co się wydarzy”. – Położył ręce na kolanach. – Dlatego ci pomogę.

– Jak?

– Wiem, gdzie jest Bobby Nock.

Nie uwierzyła.

– Rick dowiedział się miesiąc temu – wyjaśnił Lou. – I na szczęście akurat tą informacją się ze mną podzielił. A ja podzielę się nią z tobą.

– Dlaczego?

Lou się uśmiechnął.

– Bo jeśli powiem ci, gdzie jest Bobby, pojedziesz z nim porozmawiać. Żeby samej oczyścić się z zarzutów, musisz sprawdzić, co Rick miał na Bobby’ego. A Bobby może mieć jakieś podejrzenie.

– Dlaczego sam pan nie pojedzie?

Lou wzruszył ramionami i chwiejnie podniósł się z kanapy.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że Bobby ze mną porozmawia? Albo z moimi ludźmi?

– Niewielkie.

– A jakie jest prawdopodobieństwo, że porozmawia z tobą? Swoją niewydarzoną zbawicielką?

Chłodna logika pozwalająca Lou oszacować interesy wszystkich stron i zaangażować tylko te, których cele były zbieżne z jego własnymi, robiła wrażenie. Po latach negocjacji z prokuraturą Maya nauczyła się bezbłędnie wyłapywać manipulatorów, ale Lou był przedstawicielem innego gatunku. Wydawał się znać sekretną instrukcję budowy skomplikowanych maszyn złożonych wyłącznie z podstawowych ludzkich pragnień.

Może, pomyślała Maya, właśnie tak doszedł do swoich miliardów. Nie narzucając swojej woli innym, lecz organizując ich tak, by narzucali sobie swoją wolę nawzajem. Wszyscy pracowali dla Lou Silvera, czy o tym wiedzieli czy nie.

– W porządku – powiedziała. – Wchodzę w to. Gdzie jest Bobby Nock?

– Zanim ci powiem, gdzie jest, powiem ci, czego od ciebie oczekuję.

– Czego?

– Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę.

Pogubiła się.

– A kiedy pana okłamałam?

– Uchyliłaś się od odpowiedzi na moje wcześniejsze pytanie. A teraz chcę wiedzieć: czy rzeczywiście wciąż jesteś niezachwianie pewna, że dziesięć lat temu miałaś rację?

Przez tyle lat ludzie unikali zadawania jej tego pytania, że doceniła, że miał czelność zadać je wprost. O ile on do pewnego stopnia podziwiał jej konsekwencję, o tyle ona do pewnego stopnia podziwiała jego otwartość.

– A może... może jednak istnieje prawdopodobieństwo, że Bobby zabił moją Jessicę?

W jego twarzy czaiło się jakieś ponure pragnienie.

Wiedziała, dlaczego jej odpowiedź ma dla niego takie znaczenie. Rozumiała, jak to jest: spierać się tak długo, że wynik sporu przestaje mieć znaczenie, a ulgę daje nie sama racja, lecz dowiedzenie, że miało się ją od początku. I tego właśnie pragnął Lou. Było za późno na sprawiedliwość; on nigdy już nie zazna spokoju. Teraz mógł mieć tylko nadzieję na satysfakcję, jakiej dostarczy mu przyznanie się Mai, że się pomyliła.

Chciała mu powiedzieć, że to, czego pragnie, będzie go dręczyć do końca życia. Los, który przypadł im wszystkim w udziale, był najtrudniejszy do zaakceptowania. Nigdy nie dowiedzą się na pewno. Karą za poszukiwanie odpowiedzi było życie po wieczność z wątpliwościami.

Na salach sądowych w całym mieście widywała ludzi, którzy otrzymali wyczekiwane wyroki, i takich – a było ich równie wielu – którzy ich nie otrzymali. Tylko że wyrok nie miał nic wspólnego z prawdą. Żaden wyrok nigdy nie zmienił niczyich przekonań. Żaden z przysięgłych nie był bogiem. Ludzie, którzy przychodzili do sądu w oczekiwaniu na boskie objawienie, wychodzili stamtąd z owocami urzędniczych negocjacji.

Maya chciała powiedzieć Lou, że potrzeba windykacji stała się zmorą tego małego kraju. Jego obywatele codziennie budzili się z żarliwą nadzieją, że zobaczą w czołówkach gazet ostateczne dowody na to, że „ich ludzie” są wcieleniem cnoty, a „tamci” – pomiotem czarta. Ale taka wiadomość nigdy nie nadejdzie. Każda nowa informacja pogrążająca ludzi, z którymi się nie zgadzają, okaże się zapowiedzią kolejnej racjonalizacji. Każdej chybionej prognozie towarzyszyć będzie okoliczność łagodząca. Ugruntują się w swoich wątplych przekonaniach, bo alternatywa jest nie do zniesienia, i tak samo postąpią akolici strony przeciwnej. Chciała mu powiedzieć, że jedyna rzecz gorsza od pomyłki to bezbrzeżne pragnienie udowodnienia innym, że samemu nigdy się nie myliło.

Ale wszystko to zachowała dla siebie.

Powiedziała mu to, co chciał usłyszeć. Zrobiła to, bo była ostatnią osobą, która powinna pouczać Lou Silvera, jak żyć. Zrobiła to również dlatego, że zadał jej uczciwe pytanie i zasługiwał na uczciwą odpowiedź.

– Panie Silver – powiedziała, przeczesując włosy palcami – w tym momencie niczego już nie jestem pewna.

Rozdział 14

KATHY

28 WRZEŚNIA 2009

– I co ty właściwie zamierzasz? – zapytał Albert, mąż Kathy Wing, po drugiej stronie słuchawki. W tle słyszała włączony telewizor. – Dojść do sedna tej sprawy?

Kathy z nienawiścią pomyślała o woźnym Stevie, który ze swojego posterunku przysłuchiwał się tej rozmowie. Chciała przypomnieć Albertowi, że nie są jej jedynymi uczestnikami, ale wiedziała z doświadczenia, że „przypominanie” Albertowi o rzeczach, o których wiedział, zwykle nie kończy się najlepiej.

– Jutro są przemowy końcowe – powiedziała. – A potem przysięgli się naradzą. Niedługo wrócę do domu.

– Cztery miesiące, Kath – odparł Albert. – Kto od czterech miesięcy opiekuje się Sarabeth?

Sarabeth, ich córka, nie napisała nawet jeszcze esejów do college’u, tak świetnie Albert się nią zajmował, ale w tym momencie nie było sensu się o to spierać.

– Wiem, ile robiłeś pod moją nieobecność. Obiecuję, że jakoś ci to wynagrodzę. Ten proces dobiega już końca.

– Co ty tam w ogóle robisz? Wymierzasz sprawiedliwość? Nie jesteś prawniczką, nie jesteś sędzią, bladego pojęcia o tym wszystkim nie masz. A jeśli sądzisz, że twój udział może tu cokolwiek zmienić, to jesteś idiotką przez wielkie „i”.

Westchnęła. Albert potrafił być nieprzyjemny, bez dwóch zdań, ale miał rację. Co ona sobie myślała?

Sękała w tym, że obiecała. Przyrzekła stanowi Kalifornia zasiąść na ławie przysięgłych. Jasne, wymagano od niej nieprzyzwoicie dużo, ale jeśli teraz zrzeknie się swoich obowiązków, złamie dane słowo... Jaki przykład dałaby Sarabeth?

Kathy widziała wśród publiczności Elaine Silver, matkę ofiary. Patrzyła, jak wysoko ta kobieta nosi głowę, dzień po dniu, podczas gdy Bobby Nock siedział zaledwie kilka metrów od niej. Nie opuściła jej nawet wczoraj, gdy

jej mąż powiedział coś tak koszmarnego. Kathy nie zamierzała winić tej kobiety za plugastwa, które wyszły z ust jej męża. Gdyby wysoki sąd usłyszał choćby połowę tego, co mówił Albert...

Kathy mogła mieć tylko nadzieję, że jeśli cokolwiek – Boże, broń! – stałoby się Sarabeth, znalazłaby w sobie siłę, jaką zobaczyła u Elaine. Czuła, że swoją obietnicę złożyła nie tylko Kalifornii, ale również samej Elaine. A to już nie było bez znaczenia.

Ale niechby spróbowała wytłumaczyć cokolwiek z tego Albertowi.

Mogła sobie wyobrazić, jak zareagowałyby na jej wynurzenia o obowiązkach względem żony miliardera. Powiedziała więc:

– Może wybiorą mnie na ławniczkę rezerwową? Byłoby świetnie, prawda? Mogłabym wrócić do domu. Może nawet jutro.

Sędzia zapowiedział im, że pod koniec procesu zostaną losowo wybrani trzej ławnicy rezerwowi. Ta trójka zostanie natychmiast zwolniona. Oznaczało to, że Kathy ma dwadzieścia procent szans na to, że następnego dnia wieczorem znajdzie się w domu.

– Idiotka przez wielkie „i”! – rzucił Albert. – Wykorzystują cię, a ty tego nawet nie zauważasz!

Kiedy wpadał w taki nastrój, najlepiej było dać mu się wygadać.

– Powiedz im, że musisz być ławniczką rezerwową.

– Sędzia mówił, że wybór jest losowy. Nie wydaje mi się...

– Powiedz im. Jutro wracasz do domu i kropka.

Kathy wyobraziła sobie siedzącą właśnie teraz w pokoju Sarabeth, która nie potrafi skończyć swoich esejów do college’u. Może tak byłoby dla Kathy najlepiej: pojechać prosto do domu. Przecież jako ławniczka rezerwowa nie migałaby się od obowiązków, prawda? Troje z nich musiało zostać wybranych. Nic nie stało na przeszkodzie, by była jedną z tej trójki.

– Dobrze.

– Dobrze? – W głosie Alberta odezwała się podejrzliwość.

– Powiem im.

– Nie jesteś im potrzebna. Sami sobie dojdą, do czego mają dojść – ciągnął Albert, jakby nie przyznała mu racji. – Raczej nie znajdziesz tego jednego kluczowego dowodu, którego im od początku brakuje, nie? Wymiar sprawiedliwości się nie zawali, jak wrócisz do swojej rodziny.

Kathy miała nadzieję, że woźny Steve zdążył już do tego momentu przysnąć. Chociaż śmiała wątpić.

– Powiedziałam ci już, że im powiem.

– Wyobraź sobie tylko. – Albert zaśmiał się sam do siebie. – Komisarz, kurde, Kathy.

Nazajutrz w sądzie Morningstar szybko uporał się ze swoją mową końcową. Kathy sądziła, że spróbuje włożyć w to więcej serca, opisać cierpienia biednej Jessiki, Elaine i jej męża, ale może po wczorajszym wybiciu wiadomo czego miał poczucie, że musi stonować emocje.

Skupił ich uwagę na trzech fundamentach aktu oskarżenia: esemesach, plamach krwi i kłamstwach odnośnie do miejsca pobytu Bobby'ego w chwili popełniania morderstwa.

– Moja przyjaciółka reprezentująca stronę przeciwną stanęła na rzęsach, by państwa zdezorientować. Ja zaś bardzo proszę, by trzymali się państwo tych trzech prostych fundamentalnych prawd. Esemesy. Plamy krwi. Kłamstwa. Mecenas Gibson powie wam, że być może oskarżony jest tylko niezrozumianym młodym człowiekiem. Może i tak. Ale... Esemesy. Plamy krwi. Kłamstwa. Mecenas Gibson powie wam, że może policja za szybko przedstawiła mu zarzuty. Może i tak. Ale... Esemesy. Plamy krwi. Kłamstwa.

Na koniec wziął do ręki zdjęcie Jessiki niemal naturalnej wielkości. Zrobiła je kamera monitoringu w chwili, w której Jessica wychodziła ze szkoły w dniu swojego zaginięcia. To było jej ostatnie zdjęcie.

W trakcie procesu Kathy widziała to zdjęcie kilkanaście razy. Morningstar ciągle po nie sięgał. Teraz umieścił je delikatnie na podpórcie. Gdyby rozprawa była piosenką, zdjęcie byłoby refrenem. Chodziło przede wszystkim o powtórki.

Kathy nie umiałaby wyrzucić tego zdjęcia z pamięci, choćby chciała. Jessica była ubrana w szkolny mundurek. Granatowa spódniczka przed kolano, ciemne legginsy, biała koszula, blond włosy związane w kucyk. W takim powiększeniu Kathy widziała nawet szczegóły srebrnego wisiorka, który zaczepił się na obojczyku dziewczyny.

Wisiołek był prezentem od Lou, pamiątką wycieczki, na której byli kilka lat wcześniej. Z wisiorkiem na szyi Jessica sprawiała wrażenie jeszcze młodszej, niż była. Wyglądał dziwnie dziecinnie na szyi dziewczyny skaczącej na główkę w dorosłość, na którą była całkiem nieprzygotowana, pomyślała Kathy.

Próbowała sobie wyobrazić Sarabeth noszącą wisiołek, który dostała od ojca. Powodzenia.

Morningstar skończył swoją mowę końcową i pozostawił zdjęcie na podpórce. Jakby chciał, żeby to ono odcisnęło się im w pamięci: Jessica w szkolnym mundurku, z dziecinnym wisiorkiem na szyi.

Taktyka Gibson była zupełnie odmienna. Tam, gdzie oskarżyciel był pewny, obrona zasiewała niepewność. Tam, gdzie miał jasność, wskazywała na niejednoznaczności. Liczby ustalone przez specjalistów od medycyny sądowej przybierały wiele postaci – procentów, części na milion, marginesów błędu – a Gibson zonglowała nimi z oszałamiającą zręcznością.

W kwestii Lou Silvera wybrała najprostszą drogę. Nie wspomniała nawet o tym, co powiedział dzień wcześniej, wznieciła jednak mętłą chmurę podejrzeń wokół jego wrogów. Istnieli ludzie, którzy chcieli skrzywdzić jego i jego rodzinę. Udowodnienie, że to oni porwali Jessicę, nie należało do jej prawnych obowiązków. Obowiązkiem oskarżenia było dowieść, że tego nie zrobili.

W odniesieniu do Jessiki mecenas Gibson zawsze posługiwała się słowem „porwana”. Kathy ani razu nie usłyszała z jej ust słowa „zabita”.

Gibson nigdy nie wyjaśniła, dlaczego nie przedstawiła żadnych świadków ani dowodów. Nie wspomniała ani słowem, dlaczego nie powołała na świadka samego Bobby’ego Nocka.

Zachowywała się tak, jakby już wygrała sprawę. Jakby oskarżeniu nie udało się niczego dowieść, a tym samym ona sama nie musiała niczego obalać.

Kiedy już Gibson podziękowała ławnikom za poświęcony czas i spełnienie obywatelskiego obowiązku, sędzia ogłosił, że rozprawa dobiegła końca.

– Poinformuję teraz, których członków ławy przysięgłych wybrano losowo jako ławników rezerwowych – powiedział. – Kiedy wywołam państwa numer, proszę wstać i udać się za woźnym do mojego gabinetu. Stan Kalifornia składa wam podziękowania za waszą służbę. Podobnie jak ja.

Kathy poczuła, że wszyscy wokół niej nieruchomieją. Była pewna, że tylko ona chce zostać wybrana na ławniczkę rezerwową. Trisha powiedziała któregoś dnia, że nie umie sobie wyobrazić, że wysiedziała tu tyle miesięcy tylko po to, by odesłano ją do domu bez możliwości wydania werdyktu. „To byłaby jakaś kpina” – oświadczyła.

Kathy czułaby podobnie, ale Albert miał słuszność. Gdyby miała wydać wyrok na Bobby’ego Nocka, jak by zagłosowała? Może „winny”? Nie była

najlepszą osobą do ferowania wyroków. Z kolei Maya... Ta aż się paliła, żeby zagłosować. Tak samo jak jej „przyjaciel” Rick. Trisha powiedziała, że Maya i Rick ze sobą sypiają, ale Kathy uznała, że to nie jej sprawa. I Trishy również nie.

No i był jeszcze Wayne. Ten zdecydowanie powinien zostać wybrany na ławnika rezerwowego. Był coraz bardziej roztrzęsiony, coraz częściej popadał w długie milczenie, wpatrzony w okno. W zeszłym tygodniu potrzebował dwudziestu pięciu minut, by „nacieszyć się słońcem”, jak to ujął, zanim wsiadł do mikrobusu jadącego do sądu. Woźny Steve musiał zadzwonić do sędziego i powiedzieć mu, że się spóźni. Nie wiedziała, ile jeszcze Wayne zdoła unieść. Ile jeszcze zdołają z niego wydobyć.

Sędzia rozpoczął wyczytywanie numerów.

– Ławnik numer dziewięćset sześć.

Wstał Arnold Dean. Wyglądał, jakby nie mógł złapać tchu.

– Ławnik numer pięćset pięćdziesiąt dwa.

Kathy prawie zwichnęła sobie kark, kiedy odwróciła się, by spojrzeć na wstającego Enrique Navarro. Przyjął tę wiadomość niemal bez emocji.

To oznaczało, że jej i Wayne’owi została tylko jedna szansa.

– Ławnik numer osiemset siedemdziesiąt trzy.

Wstał Kellan Bragg.

Wszyscy troje poszli za woźnym w stronę drzwi.

Kathy była zdumiona. To wszystko wydarzyło się tak szybko. Nie miała okazji niczego powiedzieć, wyjaśnić swojej sytuacji. Nie było żadnego powodu, by wysyłać do domu właśnie ich zamiast niej.

Zanim zdążyła pomyśleć, uniosła rękę.

Wszyscy wbili w nią wzrok.

– Ławniczka numer sześćset dziewięćdziesiąt? – powiedział sędzia. – Gdyby chciała pani ze mną o czymś porozmawiać, możemy to zrobić w moim gabinecie.

Spłoszona Kathy opuściła rękę. Poczuła się jak idiotka.

– Zanim rozpocznie obrady – sędzia zwrócił się do dwanaścioro ławników – losowo wybierzemy spośród was osobę, która będzie pełnić funkcję przewodniczącego. Wszystkie wiadomości dla sądu, a więc dla mnie, muszą być przekazywane w formie odręcznego pisma sporządzonego przez mianowanego za chwilę przewodniczącego na kartkach, które wam dostarczymy. Obowiązkiem przewodniczącego jest prowadzenie obrad, które toczyć się będą w pokoju przysięgłych, oraz moderowanie dyskusji.

Sąd określa pewne reguły prowadzenia obrad. Po pierwsze, wszystkie dyskusje muszą się toczyć w pokoju przysięgłych w obecności wszystkich dwanaściorga ławników. To oznacza, że żadne rozmowy w przedmiocie rozprawy nie mogą się toczyć na boku ani wieczorem w hotelu. Będziecie dyskutować w tym pokoju, wszyscy razem, dopóki nie ustalicie werdyktu. Czy to jest jasne?

Kathy skinęła głową.

– Po drugie – ciągnął sędzia – oskarżonemu postawiono tylko jeden zarzut: morderstwo pierwszego stopnia. Możecie zawyrokować, że jest winny lub niewinny, jednak decyzja musi zostać przez was podjęta jednogłośnie. Jeśli macie jakiegokolwiek pytania dotyczące definicji zarzutu lub samej procedury, możecie poprosić o szersze wyjaśnienie, zadając pytanie na piśmie, pismem odręcznym, na karcie przekazanej przez przewodniczącego ławy przysięgłych, jak zostało to wcześniej omówione. Czy to jest jasne?

Kathy znów skinęła głową. Chciała już tylko wysłuchać całej tej instrukcji do końca, by móc udać się do gabinetu sędziego i wyjaśnić zaszłe nieporozumienie.

Sędzia otworzył żółtą teczkę i wyjął z niej zaklejoną kopertę.

– Przewodniczącym lub przewodniczącą ławy przysięgłych będzie... – Wyjął z koperty pojedynczą kartkę papieru. – Ławniczka numer sześćset dziewięćdziesiąt.

– Nie mogę tu zostać – powiedziała Kathy do sędziego w jego gabinecie kilka minut później. – Muszę wrócić do domu, do mojej rodziny.

Sędzia odchylił się na oparcie rozklekotanego krzesła. Zdjął już toge, pod którą nosił, jak się okazało, ciemny garnitur. Kathy nigdy dotąd nie widziała go bez togi. Choć elegancko ubrany, wydawał się dziwnie nagi.

– Jeśli opieka nad dzieckiem uniemożliwia pani wykonywanie obowiązków ławniczki, powinna pani wspomnieć o tym wcześniej.

Kathy nie chciała kłamać.

– Nie o to chodzi.

– A więc o co?

Jak miała to wyjaśnić?

– Większość ławników chce zostać. Dlaczego nie zostaną ci, którzy chcą zostać, aby ci, którzy chcą odejść, mogli odejść?

Sędzia podrapał się po łysiejącej głowie.

– Wyczerpująca odpowiedź brzmiałaby następująco: ponieważ w ten sposób ława przysięgłych dokonałaby autoselekcji, być może ze szkodą dla wyroku. Odpowiadając w skrócie: ponieważ podjąłem taką decyzję.

Kathy usłyszała własne sfrustrowane westchnienie i uzmysłowiła sobie, że zapewne tak właśnie czuje się Sarabeth, słuchając dyrektyw Kathy.

– To normalne, że się pani denerwuje – powiedział łagodnie sędzia. – Spoczywa na pani wielka odpowiedzialność.

– No właśnie o to chodzi. Ja się na tym w ogóle nie znam. Mój mąż powiedział... No, że jest to zbyt ważna decyzja, żeby mi ją powierzać.

– Czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że to dlatego, że pani „w ogóle się na tym nie zna”, decyzja powinna zostać podjęta właśnie przez panią?

Co jest nie tak z tym gościem? Idiota przez wielkie „i”.

– Zwolniłem już ławników rezerwowych, więc jeśli pani zrezygnuje przed wydaniem werdyktu, będę musiał ogłosić nieważność procesu. I jeśli nie będzie pani miała naprawdę uzasadnionego powodu, będę mógł oskarżyć panią o obrazę sądu.

Kiedy Kathy wróciła wreszcie do pokoju przysięgłych, wszyscy stali.

Czemu żadne z nich nie usiadło?

– Czy mamy przypisane miejsca? – zapytała Fran.

Wszyscy popatrzyli wyczekująco na Kathy.

– Nie wiem – odparła.

– Może powinniśmy zająć miejsca numerami, rosnąco – zasugerowała Fran.

– Myślę, że to bez znaczenia – powiedział Rick.

– W sądzie siadamy numerami – przypomniała Trisha.

– Ludzie, to nasz pokój – rzucił Wayne. – Możemy ustalać własne zasady.

Znów spojrzeli na Kathy, która poczuła narastającą panikę. Przez piętnaście ostatnich lat pracowała jako farmaceutka, co oznaczało, że miała spore doświadczenie w zakresie uspokajania ludzi, którym skończyły się przepisane środki uspokajające. Ale jedynymi ludźmi, którymi zdarzyło jej się kierować, byli irytujący znajomi jej córki.

– Jeśli pozwolicie, jeszcze raz przeczytam instrukcję sędziego – powiedziała.

– Och, na miłość boską! – warknął Wayne. Podeszedł do drzwi i ku powszechnemu zdumieniu otworzył je. – Woźny Steve! – zawołał w głąb

korytarza.

Zjawił się woźny Steve.

– Coś nie tak?

– Czy to ma jakieś znaczenie, jak usiądziemy?

Woźny Steve sprawiał wrażenie rozbawionego tym pytaniem.

– Nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania natury prawnej, ale... to pomieszczenie należy do was. Organizujcie się tak, jak wam odpowiada. O ile nie stoi to w sprzeczności ze wskazówkami sędziego.

– Dzięki – powiedział Wayne, a kiedy woźny zamknął drzwi, dodał: – Zajmijcie miejsca.

I zajął swoje miejsce przy oknie.

Usiedli zupełnie przypadkowo. Fran sprawiała wrażenie nieco naburmuszonej, a Kathy nie wiedziała, jak poprawić jej humor, choć instynktownie chciała to zrobić. Tyle że znów wszyscy patrzyli na nią. Czekali na polecenia.

– Może – podsunął Rick – powinniśmy zagłosować?

Kathy rozdała kartki pozostawione dla nich na stole. Trochę się uspokoiła, zajęta otwieraniem plastikowego opakowania z pisakami i rozdzielaniem ich między przysięgłych. Taką samą ulgę czuła wówczas, gdy rozdawała rozmaite robótki dzieciom z dawnej grupy świetlicowej Sarabeth.

– No dobrze – powiedziała. – To będzie tajne głosowanie. Niech każdy zapisze swoje orzeczenie i poda kartkę tutaj.

Nikt się nie poruszył. Kathy nie wiedziała, na co jeszcze czekają.

Rozejrzała się, czekając na wskazówki.

– Każdy powinien napisać „winny” albo „niewinny” – wyjaśnił łagodnie Rick. Wyraźnie jej pomógł. – A potem Kathy odczyta wyniki i zobaczymy, na czym stoimy.

Kathy spuściła wzrok na swoją kartkę. Pojęcia nie miała, co napisać. Kim niby była, by wyrokować, kto zabił Jessicę Silver? Jak mogła się wpakować w takie bagno?

Zerknęła na kartkę Trishy, która siedziała tuż obok, zasłaniając kartkę przedramieniem. Kiedy Kathy wyciągnęła szyję, zobaczyła, co na niej napisano.

Zawyrokowała tak samo jak Trisha.

Ta przynajmniej sprawiała wrażenie kogoś, kto wie, co robi.

Minutę później Maya uniosła dłoń.

– To byłam ja.

Kathy nie mogła w to uwierzyć. Cała reszta była zgodna.

Co, u diabła, ta Maya sobie myślała?

Rick wyglądał na zdruzgotanego. Jakby Maya osobiście go zdradziła. Zważywszy na ten ich romans, może tak właśnie było.

– Niemożliwe – powiedział Jae.

– Ale poważnie... tylko ja? – zapytała Maya. – Myślałam, że pewnie część z was uzna, że jest winny. Ale... wszyscy?

Tak. Wszyscy. Skoro już Maya się zorientowała, jak niepopularną podjęła decyzję, będzie musiała ją zmienić. Musiałaby oszaleć, by kłócić się z całą jedenastką.

– Trisha – powiedziała Maya – nie masz żadnych wątpliwości?

Trisha miała niewyraźną minę.

– Jakies tam mam. Ale... No, dajcie spokój.

Maya skierowała spojrzenie na Ricka, który odwrócił wzrok.

– Podejrzewałabym, że ławników o kolorze skóry innym niż biały bardziej zaniepokoi to, czego świadkami na sali sądowej byliśmy wczoraj.

– Niby co chcesz, kurwa, powiedzieć? – przerwała jej Trisha.

Kathy myślała, że padnie trupem.

Maya wyglądała na urażoną.

– Jestem po twojej stronie.

– Skoro jestem czarna, Bobby Nock jest czarny, a Lou Silver jest rasistą, to znaczy, że mam zagłosować „niewinny”?

– Nie – odparła Maya. Spojrzała błagalnie na Ricka, ale ten nie przyszedł jej z pomocą.

– Może – powiedziała Kathy, próbując ostudzić emocje – Maya mogłaby nam wyjaśnić, dlaczego jej zdaniem Bobby Nock jest niewinny? A my będziemy mogli odnieść się do jej argumentów.

Czuła się jak mediator w sporze między Sarabeth i jej kuzynami. Albert kiepsko sobie radził ze zdenerwowanymi dziećmi i zawsze na końcu sam zaczynał wrzeszczeć. Przynajmniej w tej roli Kathy dobrze się odnajdywała.

Maya pokręciła głową.

– W drugą stronę.

– Co? – zapytała Fran.

– To oskarżyciel musi dowieść winy. Powiedzcie mi, skąd macie pewność, że to zrobił. I te punkty możemy przedyskutować.

Ze wszystkich krańców stołu dobiegły westchnienia irytacji.

– Chcesz mi powiedzieć – rzucił Jae – że widząc tego faceta na sali sądowej, możesz sobie spokojnie powiedzieć: „Gość wygląda na niewinnego”?

Na słowo „wygląda” kilka osób poruszyło się niespokojnie na siedzeniach.

Kathy odruchowo spojrzała na Ricka i Trishę. Czy odebrali to jako rasistowską zniewagę? Nie zdołała tego wywnioskować, ale skoro dwoje czarnych członków ławy przysięgłych nie uważało, by uwaga Jaego o „wyglądzie” czarnego oskarżonego była rasistowska, to nie była.

– Ale o co chodzi z tym jego „wyglądem”? – zapytała Maya. – Co masz na myśli?

O ile dotąd napięcie było dokuczliwe, teraz stało się zwyczajnie nieznośne. Kto dał Mai prawo zadawania takich pytań? To miała być cywilizowana rozmowa.

Jae zrobił do Trishy minę, jakby chciał powiedzieć: „Nie do wiary!”.

– Droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami białych – zauważyła Trisha smutno.

Napięcie zgęstniało i Kathy poczuła, że zaraz się rozpłacze. Zaciśnęła pięści, próbując powstrzymać łzy.

– Kiedy patrzę na Bobby’ego Nocka – powiedziała Maya – widzę wyłącznie człowieka niewinnego.

Rozdział 15

EAST JESUS TERAZ

East Jesus, jak poinformował ją Lou Silver, było hippisowską enklawą sztuki nad brzegiem sztucznego zbiornika Salton Sea. Położone na środku pustyni, nie miało formalnego statusu, a tym bardziej własnej policji. Maya zacięła się, czy ktokolwiek w ogóle miałby prawo kogoś tam aresztować, gdyby ten rejon patrolowano – czego nikt nie robił – pod kątem osób łamiących zasady zwolnienia warunkowego. Lou podał jej współrzędne GPS i rzucił, że to idealne miejsce dla złego człowieka, który chciałby się gdzieś zaszyć.

Po siedmiu godzinach jazdy Maya zjechała z drogi szybkiego ruchu na jednopasmówkę, a potem na ledwie zaznaczoną drogę gruntową. Słońce właśnie zachodziło, gdy jechała powoli w ciemniejących tumanach kurzu. Tesla nie została stworzona do jazdy terenowej. Na kamienistym pustynnym gruncie elektryczny samochód zachowywał się dość niestabilnie.

Gdy zgasł ostatni promień słońca, włączyła reflektory. Widziała dosłownie na odległość kilku metrów przed sobą. Pustynia nocą wytrącała ją z równowagi, co było dość zaskakujące u osoby urodzonej i wychowanej w Nowym Meksyku. Przypomniała sobie, że przecież tylko w tym tygodniu była już przesłuchiwana przez policję i sama próbowała przesłuchać mieszkańców kolonii skazanych za przestępstwa seksualne. Na tym tle hippisowska komuna nie wydawała się zbyt wielkim wyzwaniem.

„Miastem” położonym najbliżej East Jesus było Slab City, ale tę zbieraninę przyczep zostawiła już daleko za sobą. Światła widoczne we wstecznym lusterku zniknęły i Maya zatopiła się jeszcze głębiej w mrok.

I wtedy zobaczyła przed sobą coś, co wyglądało jak rozciągnięty łańcuch choinkowy. Światelka mrugały czerwienią, błękitem i żółcią, zwieszając się ze szczytu jakiejś konstrukcji. Podjechawszy bliżej, wyłowiła spojrzeniem z mroku kilka niższych budynków. Niektóre wyglądały jak blaszane budy, inne jak ogromne sterty śmieci. W polu widzenia pojawiły się rozmyte

kontury najwyższej. Niemożliwe, pomyślała, żeby to było faktycznie tym, na co wyglądało...

Zatrzymała samochód.

Wznosiła się przed nią sterta lalczynych główek, wysoka na jakieś cztery piętra i oświetlona blaskiem świątecznych łańcuchów rozpiętych na szczycie.

A najdziwniejsze było to, że na samym dole znajdowały się drzwi. Otwarte.

Wysiadła z samochodu.

– Spokojnie – dobiegł ją z za pleców poważny męski głos. – Odwróć się. Bardzo powoli.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła rudobrodego mężczyznę w poplamionym szarym kombinezonie. Miał na głowie czołówkę, której światło skierował prosto w oczy Mai. Nie widziała jego twarzy, ale nie sposób było nie dostrzec wycelowanej w nią lufy.

Uniosła rękę.

– Nie chcę cię zastrzelić – powiedział.

– To pocieszające. Bo ja nie chcę być zastrzelona.

Uśmiechnął się. Jeden przemądrzalec zawsze rozpozna drugiego.

– Co to jest? – warknął.

Uzmysłowiła sobie, że wciąż trzyma w ręku kluczyki do samochodu.

– Kluczyki do samochodu. Upuszczę je teraz. Więc proszę, nie świruj, jak uderzą o ziemię.

– Postaram się.

Upuściła kluczyki i wzdrygnęła się, gdy metalicznie brzęknęły o jakiś kamień.

Mężczyzna oświetlił czołówką ziemię u jej stóp.

Na szczęście przestał do niej mierzyć.

– Jesteś gliną?

Obróciła stopą kluczyki tak, by zobaczyć logo firmy Tesla.

– Nie.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto przyjechał nas okraść.

– A macie tu coś, co warto byłoby ukraść?

Przez chwilę jakby się zastanawiał.

– Chyba każdy coś ma, nie?

– Szukam kogoś.

Mężczyzna wskazał gestem obóz za swoimi plecami.

– Mamy zasady. Nie wpuszczamy i nie wypuszczamy nikogo po zmroku.

– Przepraszam. Nie wiedziałam.

– To jest na naszej stronie internetowej.

– Nie wiedziałam, że macie stronę.

Skrzywił się z irytacją.

– Instagram. Snapchat. Facebook. Mamy wszystko.

– Nie macie Twittera?

Pokręcił głową.

– Pierdolić Twittera.

– Czuję, że byśmy się dogadali.

Obrzucił przeciągłym spojrzeniem jej ubrania, samochód i wygodne skórzane baleriny.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Nazywam się Maya Seale.

Nie rozpoznał jej nazwiska, co było dobrym znakiem. To miejsce miało najwyraźniej łącze internetowe, ale ten gość i jego ziomkowie chyba nie śledzili wiadomości spoza Los Angeles.

– A do ciebie jak mam się zwracać? – zapytała.

Przez chwilę rozmyślał nad odpowiedzią, po czym się uśmiechnął.

– Mów mi Izmael.

– No dobrze, Izmaelu. Szukam mężczyzny o nazwisku Bobby Nock.

– To z *Moby Dicka*.

– Wiem.

– Tu nie ma żadnego Bobby’ego Nocka.

– Może posługuje się innym nazwiskiem.

– W takim razie chyba nie chciałby z tobą rozmawiać.

– Chciałby. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Izmael błyskał Mai czołówką po oczach przy każdym poruszeniu głowy. Było to bardzo dezorientujące.

– Skąd znasz tego całego Bobby’ego?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Kiedyś wyciągnęłam go z więzienia.

To nie było kłamstwo. Nie do końca. Izmael wydawał się usatysfakcjonowany jej wyjaśnieniem.

– Chodź – powiedział. – Zaprowadzę cię do obozu.

Rozluźnił chwyt na strzelbie, przełożył ją sobie bezpiecznie przez pierś, po czym minął samochód Mai i ruszył w stronę błyskających bożonarodzeniowych lampek.

Maya podążyła za plamą światła z jego czołówki.

– Co to jest? – Wskazała gestem to, co miała przed sobą.

– East Jesus.

East Jesus, jak dowiedziała się Maya, było nieuporządkowanym zbiorowiskiem wielkoskalowych projektów artystycznych zamieszkanym przez ich twórców oraz ich kumpli od kielicha. Czy to, co właśnie widziała, było domkiem dla lalek? Człowiek, który go zrobił, najwyraźniej w nim mieszkał wraz z kilkoma pomocnikami. Część ludzi zakwaterowała się w namiotach obok swoich dzieł, zwłaszcza gdy pracowali w centralnej budowlu obozu, której niewiele brakowało do prawdziwego budynku. Miała ściany z karton-gipsu, dach i zaimprovizowaną scenę z wielkim fortepianem dla muzyków, którzy wpadali tu przelotem. Jak zapewnił ją Izmael, mieli porządne oświetlenie dla ludzi przyjeżdżających do East Jesus, by nakręcić wideoklipy.

– Ludzie kręcą tu wideoklipy?

– Pewnie.

Prowadził ją teraz wzdłuż ściany zbudowanej całkowicie z zepsutych teleodbiorników, na których sprejem wymalowano pojedyncze słowa: RZĄD – UFAJ – MODA – ZABIJ.

– Znaczący, kumas – ciągnął – to miejsce jest dość porąbane.

W jego głosie zabrzmiała duma.

Za ścianą niedziałających telewizorów znajdowało się palenisko. Przy ogniu kręciło się ponad dwadzieścia osób, które piły, paliły trawkę, a czasem zwyczajnie kładły się na ziemi, w urzeczeniu wpatrując się w płomień. Część miała szeroko otwarte oczy ludzi zażywających halucynogeny. Inni spokojnie omawiali, co zrobić na kolację.

Ilość zażywanych tu narkotyków wyjaśniała obawy o bezpieczeństwo. Nie było całkiem jasne, czy większość mieszkańców to dealerzy, którzy zrobili sobie wolne, żeby tworzyć sztukę, czy też artyści, którzy wzięli sobie wolne, żeby handlować narkotykami. W tym miejscu granica się zacierała.

– Przedstawiam wam Mayę – powiedział Izmael do grupy siedzącej przy ogniu.

– Żadnych gości po zmroku! – warknęła jakaś kobieta. Była biała, ogolona na łyso i ubrana w coś na kształt togi. A może było to po prostu prześcieradło.

– Spoko – odparł Izmael. – Ona jest spoko.

Nadal nonszalancko niósł strzelbę, na co chyba nikt nie zwrócił uwagi.

– Szukam znajomego z dawnych lat – odezwała się Maya. – Kiedyś posługiwał się imieniem Bobby. Czarny, jakieś trzydzieści pięć lat. Okulary. Bardzo szczupły, przynajmniej kiedyś był. Minęło parę lat.

Kobieta wymieniła spojrzenia z Izmaelem.

– Czy możecie mnie do niego zaprowadzić? – zapytała Maya.

Izmael i kobieta zdawali się milcząco negocjować, czy nie stanowiłoby to naruszenia jakiegoś niepisanego prawa.

Nagle oboje zastygli. Izmael wbił spojrzenie w coś widocznego ponad ramieniem Mai.

Z drugiej strony ogniska szedł w ich stronę mężczyzna w ciemnych dżinsach i czerwonej koszuli w kratę, niosąc wiadro, którego zawartość przelewała się przez krawędź. Był jeszcze szczuplejszy, niż Maya go zapamiętała.

Na widok Mai zatrzymał się i szeroko otworzył oczy. Blask ognia zatańczył tuż obok niego.

Maya uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę nigdy ze sobą nie rozmawiali.

– Cześć, Bobby – odezwała się.

– Cześć.

– Czy możemy porozmawiać?

Powoli postawił wiadro na ziemi.

– Maya Seale – powiedział. – Normalnie nie potrafię sobie wyobrazić, o czym mielibyśmy rozmawiać.

Izmael zaprowadził ją i Bobby'ego do czegoś w rodzaju tipi. Kiedy odciągnął połę i oczom Mai ukazało się wnętrze, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem sama nie zażyła halucynogenów. W namiocie było mnóstwo pluszowych misiów ustawionych na dioramach w charakterze bohaterów scen przemocy. Część z nich trzymała małe zabawkowe pistolety, niektóre noże, jeden miał nawet łuk i strzały. Oświetlało je kilka reflektorów umocowanych w drewnianej podłodze i skierowanych do góry. Na ścianach tipi kładły się upiorne cienie morderczych pluszaków.

Czy kwas można przyćpać biernie?

– Jak mnie znalazłaś? – zapytał Bobby, kiedy Izmael już wyszedł. Mówił przyciszonym głosem, jakby nawet tutaj obawiał się, że ktoś może ich podsłuchać.

– Rick Leonard.

– Powiedział ci, gdzie jestem?

Maya zastanowiła się pośpiesznie, jak zinterpretować tę odpowiedź.

– Powiedział Lou Silverowi.

Bobby skinął głową. Jakby właśnie tego się spodziewał. Albo obawiał.

– Więc teraz ty również pracujesz dla Lou?

Maya zastanowiła się przez chwilę.

– Tak naprawdę to sama już nie wiem.

Uznał to za potwierdzenie.

– Czy wy wszyscy, Lou, Rick, cała reszta, będziecie ścigać mnie do końca życia? Po krańce świata? Czy ja jestem jakimś potworem Frankensteina?

– On uciekł za koło podbiegunowe. Ty przynajmniej wylądowałeś w cieplejszym miejscu.

Prawie zdobył się na uśmiech. Prawie.

– Kiedyś zadawałem to jako lekturę na swoich zajęciach.

– Jessice?

– W szkole.

– Rick już cię nie ściga. – Uważnie przyjrzała się jego twarzy. Czy naprawdę nie wiedział, co wydarzyło się w ciągu minionych trzech dni? – Rick nie żyje.

Albo ten błysk zaskoczenia był prawdziwy, albo Bobby naprawdę nieźle grał.

– Kiedy?

– Trzy dni temu.

Bobby nie sprawiał wrażenia przygniecionego smutkiem z powodu śmierci mężczyzny, który próbował wsadzić go za kratki, niemniej wyglądał na zaniepokojonego. Zmarszczył brwi. Oświetlony z dołu wyglądał jak ktoś, kto słucha przy ognisku opowieści grozy.

– Jak?

– Był zjazd ławników. W dziesiątą rocznicę procesu wszyscy spotkali się w hotelu Omni. I właśnie wtedy ktoś zabił Ricka.

Bobby skrzyżował ręce na piersi i zaczął krążyć po namiocie. Dostrzegła w nim kogoś, kto nauczył się ważyć słowa. Kogoś, kto wiedział, że nie

może się z niczym zdradzić, póki nie dowie się, co Maya już ma. Nie mogła go winić za to, że jej nie ufał.

– Myślisz, że to ja zabiłem Ricka Leonarda?

– Nie. Ale Lou Silver tak myśli.

– Wcale mnie to nie dziwi. A co sądzi policja?

– Że to ja go zabiłam.

Spojrzał na nią tak, jakby nagle stała się najbardziej interesującą osobą na Ziemi.

– Ty?

– Aha.

Na jego ustach zatańczył dziwny gorzki uśmiech. Jakby go rozbawiło, że role do tego stopnia się odwróciły.

– W przyszłości każdy będzie miał swoje piętnaście minut w roli oskarżonego o zamordowanie człowieka – powiedział.

– Jakież dobre rady?

– A i owszem. – Zaczął wiercić noskiem buta w desce podłogi. – Zatrósz się o skład ławy przysięgłych.

Maya uznała to za komplement.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Jak mógłbym ci pomóc?

– Muszę wiedzieć, co Rick ci powiedział, kiedy odnalazł cię w Miracle.

– Wiesz, że złamałem zasady zwolnienia warunkowego. Wiesz, co się stanie, jeśli ktokolwiek się dowie, że tu jestem.

– Wiem.

– Więc dlaczego miałbym ci pomagać?

– Bo jesteś mi coś winien.

Światło wycięło ostre cienie na twarzy Bobby'ego. Z tak bliska widziała zmarszczki, które się na niej utworzyły. Ślady aresztowania i prześladowań. Ślady bycia ściganą zwierzyną. Na zuchwie rysowała się blizna, której tam wcześniej nie było.

Ten gość pojechał do piekła i z powrotem. Kto wie, jak taka podróż może zmienić człowieka?

Dziesięć lat temu sądziła, że był przyzwoitym młodym człowiekiem, który podjął kilka fatalnych decyzji. Uzmysłowiła sobie jednak, że kimkolwiek był wówczas, nie sposób powiedzieć, kim jest teraz.

– Jestem pod wrażeniem, serio, że masz, kurwa, czelność powiedzieć mi coś takiego.

– Czytałeś książkę Ricka, prawda? Wiesz, że przekonałam jedenaście osób do tego, żeby puścić cię wolno.

Nie próbował zaprzeczać.

– Pamiętasz dzień, w którym zeznawał Lou Silver? Podczas mojego procesu?

– Tak.

– Po tym, jak wygłosił to zdanie o „czarnuchu”, moja adwokatka miała przedstawić dowody i świadków obrony. Pamiętasz, że tego nie zrobiła?

– Tak. Pamiętam wszystko.

– Nie zrobiła tego ze względu na ciebie.

Maya uznała, że musiała się przesygnąć.

– Co?

Uśmiechnął się dziwnie, jakby wspominał sen zaprzeczający wszystkim prawom fizyki. Koszmar, który miał sens tylko dla śpiącego.

– Mieliśmy przygotowaną linię obrony. Ludzi, którzy zaświadczyliby o moim charakterze i powiedzieliby, że z całą pewnością nie tknąłem Jessiki. Dawnych kumpli. Moich braci. Nawet innego nauczyciela. Mieliśmy nawet alternatywne wyjaśnienie tej zbrodni. Ale zastanawialiśmy się jeszcze, co zrobić.

Maya mogła sobie wyobrazić, co wszyscy ci świadkowie zeznaliby w sądzie, bo po procesie słyszała ich wypowiedzi w telewizji. To było wstrząsające, dowiedzieć się tylu rzeczy o Bobbym po tym, jak wydała już własny wyrok. Dopiero po powrocie do domu usłyszała rodziców Bobby’ego opowiadających o jego dzieciństwie w Wirginii. Dopiero wtedy usłyszała jego kumpla z akademika opowiadającego o zespole, w którym wspólnie grali, Bobby na klawiszach. Dowiedziała się, dlaczego Bobby w ogóle przeniósł się do Los Angeles: starszy kolega z jego uczelni nauczał w szkole Jessiki i zaproponował go do pracy w charakterze nauczyciela muzyki. Bobby przyjął propozycję, ale po jego przyjeździe wynikło jakieś zamieszanie w szkole i oferta przestała być aktualna, więc zamiast tego przyjął posadę nauczyciela angielskiego na część etatu. Uczył tylko jedną klasę, cztery dni w tygodniu. Żeby sobie dorobić, udzielał w weekendy lekcji gry na pianinie.

– Gdybyś przedstawił wszystkich tych świadków, oczekiwalibyśmy, że sam też będziesz zeznawał. W oczach ławy przysięgłych wyglądałoby to fatalnie, gdybyś wystawił całą swoją rodzinę i przyjaciół w obronie swojego dobrego imienia, a sam odmówił wystąpienia przed sądem.

- Moja prawniczka powiedziała dokładnie to samo.
 - Ale gdybyś zeznawał, dałbyś prokuraturze szansę wyciągnięcia wszystkich twoich wcześniejszych wykroczeń.
 - Słyszałaś o nich?
 - Już po procesie. Pobiłeś jakiegoś dzieciaka w szkole średniej. Czynna napaść, ale jako młodociany dostałeś tylko prace społeczne.
 - Czynna napaść? Dwóch starszych gnojków próbowało mi zabrać portfel. Pobiliśmy się i tak wyszło, że wygrałem. Do dziś się zastanawiam, jak to było możliwe, ale obaj zeznali, że to ja zacząłem, więc to mnie aresztowano.
 - Ponieważ jednak nie zeznawałeś, informacja o tym, że byłeś karany, nie została dopuszczona jako dowód w postępowaniu sądowym. Twoja adwokatka sprytnie zagrała.
 - Do końca nie wiedzieliśmy, jak postąpimy. Z jednej strony chcieliśmy wszystkim powiedzieć, kim tak naprawdę jestem i co moim zdaniem przytrafiło się Jessice. Z drugiej strony powołanie mnie na świadka pozwoliłoby wykorzystać fakt skazania za „napaść”, a to się mogło źle skończyć. W sensie: naprawdę źle. Tamtego dnia jeszcze nie mieliśmy pewności, jakie posunięcie będzie najlepsze. Ale kiedy Lou Silver wylał z siebie ten rasistowski rzyg... Gibson zauważyła, jak zareagowałam.
 - Znaczą ława przysięgłych?
 - Nie, konkretnie ty.
- Maya nie zrozumiała, co próbował jej powiedzieć.
- Gibson nachyliła się i wyszeptała mi do ucha: „Potrzebujemy tylko jednej osoby. I myślę, że tą osobą jest Maya Seale”.
- Maya próbowała sobie wyobrazić, jaki mogła mieć wyraz twarzy, przypomnieć sobie, czy poruszyła się na krześle, czy zachłysnęła się powietrzem, jak tyłu innych obecnych w sali sądowej. Bezskutecznie. Uzmysłowała sobie, że w tamtej chwili była tak skupiona na Lou, że nie przyszło jej do głowy, że prawniczka Bobby’ego mogła być równie skupiona na niej.
- Ale ja nie... – zająknęła się. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że jeszcze przed rozpoczęciem obrad miała wpływ na wynik procesu.
 - Wiesz, jak się gra w kierki? – zapytał Bobby. – Właściwie sam nadal nie wiem, jak się w to gra, ale Gibson wiedziała. Powiedziała, że spróbujemy zagrać *va banque*. To ryzykowna strategia, bo albo wszystko

zyskujesz, albo wszystko tracisz, właściwie w ułamku sekundy. – Pstryknął palcami. – Pomyślałem, że zważywszy na ryzyko... pierdolić to.

Wyglądało na to, że prawniczka Bobby'ego Nocka miała lepsze wyczucie do ludzi takich jak Maya niż sama Maya. To nie było przyjemne uczucie: zostać do tego stopnia rozszyfrowanym przez kogoś, kto widział ledwie jej twarz na przeciwległym końcu sali. Nie przynosiła pociechy świadomość, że tak łatwo rozpoznać w niej idealistkę. Orędowniczkę sprawy.

Prowincjuskę.

– Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz?

– Jeśli ci pomogę, to nie dlatego, że jestem ci cokolwiek, kurwa, winien. Nie nadstawiałaś za mnie karku. Zrobiłaś dokładnie to, co miałaś zrobić. Zostałaś wyselekcjonowana, żeby to zrobić. Możesz mi wierzyć, że są w moim życiu ludzie, którym naprawdę jestem piekielnie wdzięczny. Nie jesteś jedną z nich.

Maya nie oczekiwała, że Bobby poklepie ją po plecach. Potrzebowała informacji.

– Skoro więc nie chcesz mi pomóc z wdzięczności, czemu miałbyś to zrobić?

– Bo nie zabiłem Jessiki.

Mai dłuższą chwilę zajęło zrozumienie, że nie było to stwierdzenie faktu, tylko układ.

– Nie zabiłam Ricka – odwzajemniła się i tym sposobem zawarli pakt. – Co się stało, kiedy Rick cię odnalazł? Dlaczego od razu potem uciekłeś?

I wtedy zrobił coś, czego nie uczynił ani razu podczas tych setek godzin, które przesiedzieli wspólnie w milczeniu w sali sądowej.

Roześmiał się. Śmiał się cienko i wysoko jak dziecko i ten śmiech wydawał się dobiegać z części płuc, która chyba nieczęsto była używana.

– Przejdźmy się.

W pierwszej kolejności zaprezentował jej dowody potwierdzające jego alibi na tę noc, kiedy zginął Rick. Gdy przechadzali się po obozie, zapewnił ją, że był właśnie tutaj, w East Jesus. Jeden z obozowych fotografów przez cały tydzień robił zdjęcia. Bobby zaprowadził Mayę do swojego namiotu i pokazał jej cyfrowe fotografie ze znacznikiem daty. Na ujęciach widoczna była twarz Bobby'ego.

Jeśli nie sfałszowano znaczników daty, Bobby mógłby zabić Ricka tylko wówczas, gdyby zdołał pojechać do Los Angeles – co normalnie zabierało

pięć do siedmiu godzin – popełnić morderstwo, po czym wrócić – kolejne pięć do siedmiu godzin – robiąc to wszystko w ciągu siedemdziesięciu minut.

Namiot Bobby'ego znajdował się niedaleko wieży lalczynych główek. Starczało w nim miejsca tylko na śpiwór, skrzynkę wody, latarkę i kilka dekoracyjnych drobiazgów.

– Zapropionowałbym ci krzesło – powiedział, gestem wskazując jego brak. – Ale...

Na ścianie namiotu, tuż obok śpiwora, Maya zobaczyła narysowanego kredkami aligatora. Był jaskrawoczerwony i miał pomarańczowe zęby. Tak bardzo nie pasował do całego otoczenia, że siłą rzeczy przyciągał wzrok. Przemknęło jej przez myśl, że Bobby zajął się hobbystycznie rysowaniem, ale uzmysłowiła sobie, że ta praca musiała zostać wykonana przez dziecko. Przypomniała sobie, że Bobby miał dwóch młodszych braci. Czy któryś z nich miał dzieci? Ten rysunek wydawał się jedyną pozostałością po tym, co mogło być zwykłym rodzinnym życiem.

Widziała rodzinę Bobby'ego w sądzie. Jego rodzice przychodzili codziennie i siadali naprzeciw Elaine Silver. Byli wyraźnie bardziej roztrzęsieni niż Elaine, a może tylko nie ukrywali zdenerwowania. Maya usiłowała sobie wyobrazić, jak potwornie muszą cierpieć. Córka Lou i Elaine Silverów zniknęła z dnia na dzień. Syn Jerry'ego i Alany Nock był im powoli odbierany na ich oczach, dzień po dniu, przez wiele miesięcy. Maya nie wiedziała już, co gorsze.

– Rick Leonard nic na mnie nie miał – powiedział Bobby, odpowiadając wreszcie na jej pytanie. – Któregoś dnia zjawił się w mojej przyczepie w Miracle, gotów mnie przesłuchiwać. Chciał, żebym wreszcie wyznał swoją winę czy coś takiego. Kazałem mu spadać.

Mai trudno było w to uwierzyć.

– Więc dlaczego wyjechałeś?

– Bo nachodziłby mnie dalej. I nie tylko on. Powiedział, że zbliża się dziesiąta rocznica, będą specjalne wydania różnych programów. Prasa znów się zainteresuje. Nietrudno było mnie namierzyć. Wszystko zaczęłoby się od nowa. Więc... Nie zniósłbym tego. Nie po raz kolejny. O tym miejscu powiedział mi jeden z gości mieszkających w Miracle. – Bobby pokręcił głową. – Zastanów się przez chwilę, jak mi się wszystko w życiu popieprzyło: pedofile polecali mi miejscówki.

Maya przyglądała się uważnie jego twarzy. Czy rzeczywiście mówił prawdę?

Rick nie zdradził nawet Bobby'emu, co znalazł?

– Mogłeś pojechać do domu.

– Do domu?

– Do twoich rodziców. Do braci.

– Myślę, że wystarczająco dużo przeszli.

– Ale chyba ty sam przeszedłeś znacznie więcej, prawda?

– Czyżby? – Bobby wbił czubek buta w twardą ziemię. – Przychodzi mi do głowy ktoś, kto miał o wiele gorzej. – Podniósł wzrok. – Jessica.

I wtedy, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, Maya zadała Bobby'emu pytanie, które od dziesięciu lat nie dawało jej spokoju.

– Bobby, jak myślisz, kto zabił Jessicę?

Uśmiechnął się ponuro.

– Od tak dawna nikt nie zadał mi tego pytania.

Spojrzał na wiszący na ścianie dziecięcy rysunek aligatora. Jakby pod jego wpływem coś w nim topniało.

– Ojciec ją bił – powiedział.

Mai zapało dech w piersiach.

– O czym ty mówisz?

– Pokazywała mi siniaki. Mówiła, że bił też Elaine. Od zawsze. Nakręcał się od byle czego. Wystarczyło, że Jessica zostawiła na noc zapalone światło. Albo wyłączyła nie te światła, co trzeba. Albo spóźniła się na kolację. Wszystko jedno. Byłem chyba pierwszą osobą, której Jessica o tym powiedziała. Bała się go. Kurde, ja gościa nigdy nie poznałem, a też się go boję. Dorastasz w takim domu... On jest jak supernowa, a cała reszta, z Jessicą włącznie, to nagie skaliste planety. To ona wymyśliła tę metaforę. Pamiętam, jak to powiedziała... Tuż po tym, jak pokazała mi ślady od przypalania papierosem... – Urwał, jakby chciał oszczędzić Mai najgorszego. – Powiedziała, że jej matka obrywała tak samo. Tyle że Elaine, kurwa, Silver nie zamierzała palcem ruszyć w tej sprawie. Za głęboko w tym tkwiła. To piekło trwało od lat.

Mai zakręciło się w głowie. Często się zastanawiała, czy Lou czegoś nie ukrywał. Kiedy coś przytrafiało się nastolatce, ojciec był pierwszym podejrzanym. Statystycznie było to uzasadnione. Ale nigdy nie padło ani jedno słowo o przemocy domowej.

Próbowała sobie wyobrazić kruchego, zapadniętego w sobie Lou Silvera dopuszczającego się takich potwornych nadużyć. Nie wyglądał na kogoś, kto byłby do tego zdolny. Ale ilu przemocowców wyglądało?

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym w trakcie procesu?

– Nie miałem żadnych dowodów poza własnym słowem. A gdybym zajął miejsce dla świadka i przysiągł, że Lou Silver fizycznie znęcał się nad swoją córką... Hm, o czym to wcześniej mówiliśmy?

Maya zrozumiała. Dałby sposobność do wyciągnięcia na sali sądowej faktu swojego wcześniejszego skazania. Zeznania dotyczące krzywdy wyrządzanej Jessice mogły być absolutnie zgodne z prawdą, ale jako strategia obrony były do kitu.

Czasem prawda kopała oskarżonego po kostkach.

– A wiesz, co jest najgorsze? – ciągnął Bobby. – Od tego się wszystko zaczęło. Między nami. Jessica chciała komuś opowiedzieć o tym, co działo się w jej domu. Była wystraszona, dezorientowana, nikomu nie ufała... Z jakiegoś powodu zaufała mi. – Mocno ścisnął swoją dłoń, jakby próbował połamać sobie kości. – No i patrz, co zrobiłem.

– To wtedy zaczęliście się spotykać... sami?

Bobby skinął głową.

– Biedna dziewczyna przechodziła piekło, a ja wiesz, co sobie pomyślałem? Że mógłbym jej pomóc. – Smętnie pokręcił głową. – Przyszło ci kiedyś do głowy, jaki syf potrafimy zgotować światu tylko dlatego, że nam się ubzdurało, że komuś pomagamy?

Na ten akurat temat Maya wolałaby rozmyślać nieco rzadziej.

– Owszem.

– Kiedy zabierałem ją po szkole na kawę, powtarzałem sobie, że jej pomagam. Byłem pewien, że jej pomagam, kiedy powiedziałem, żeby zwróciła się do pedagoga, dyrektora szkoły, kurde, policji... Ale odmawiała. Kazała obiecać, że nikomu słowa nie pisnę. Powiedziała: „Komu uwierzą, tobie czy mojemu ojcu? I co oni właściwie mogą?”. I nie wiem, czy nie miała racji. Myślisz, że aresztowaliby kogoś takiego jak Lou Silver? Myślisz, że ktoś taki jak Lou Silver poszedłby do więzienia? Bez szans. Najgorsze, co mogłoby mu się przydarzyć, to odejście Elaine razem z Jessicą. To też jej radziłem: „Powiedz mamie, że jeśli tam obie zostanieie, to w końcu jedna z was zginie. Zabierz mamę, wsiądźcie do samochodu albo wynajmijcie samolot, stać was na to, i uciekajcie”. Ale Jessica nie odeszłaby bez mamy, a jej mama nie chciała odejść. Mówiła, że

wszystko się ułoży, że potrafi opanować sytuację, że Lou wreszcie się uspokoi, że nikt nie zginie...

Ostatnie słowo odbiło się echem w ciemnościach.

– No więc co zrobiłem? Obiecałem, że nikomu nie powiem. Żeby nie przestała mi o tym opowiadać. Próbowałem ją nakłonić, żeby poszła do pedagoga. Dalej się spotykaliśmy. Sprowadziłem się do Los Angeles niedawno, nie znałem zbyt wielu ludzi. Byłem samotny. Coraz częściej umawialiśmy się na kawę. No bo co właściwie miałem do roboty po szkole? Mówiła o tym, co chciałyby robić w życiu. Zamieszkać w jakimś małym miasteczku gdzieś na odludziu, daleko od wielkiego miasta. Może na jakiejś farmie? Chciała mieć dzieci z jakimś fajnym, dobrym mężczyzną, przeciwieństwem faceta, który jej się trafił na rodzica. Ale to nie były same ciężkie tematy. Wiedziałaś, że była zabawna? Ludzie zobaczyli jej zdjęcie w telewizji, poznali wszystkie fakty z jej życia, a nikt się nie dowiedział, że była naprawdę zabawnym człowiekiem. Nie znosiła wody. To było w niej najdziwniejsze: bała się, że zje ją rekin czy coś takiego. Chyba kiedyś była w drużynie pływackiej, ale potem przestała trenować, bo przez te wszystkie ranki i siniaki nie mogła nosić kostiumu, ale kłamała i opowiadała rodzicom, że nadal pływa. Widywaliśmy się w weekendy. Zanim odwozłem ją do domu, moczyła włosy w umywalce, żeby były mokre, a potem wmawiała ojcu, że przez cały dzień była na plaży. Czemu na plaży? Nigdy się nie dowiedziałem. Potem zaczęliśmy wymieniać wiadomości. To była zabawa, takie wydurnianie się. Wiedziałem, że nie powinienem pisać esemesów do uczennicy, ale rajcowało mnie jej zainteresowanie. Żałosne, prawda? Potrzebowałem uwagi dręczonej piętnastolatki, żeby podnieść sobie samoocenę. Może była pierwszą osobą, która mnie podziwiała? Więc powiedziałem sobie: „Nikomusie nie dziejesię krzywda. Nie zrobiłem nic złego”. I dalej spędzałem z nią czas. Te wulgarne wiadomości i rozbierane zdjęcia to były tylko żarty. Zabrała mi któregoś dnia telefon. To ona wysłała te wszystkie seksesemesy ze swojego i z mojego telefonu. W końcu zorientowałem się, że ma mój telefon. Znalazłem ją po szkole i pokazała mi, co nawyprawiała... Ależ ona się śmiała. „Jak ktokolwiek to zobaczy, będziesz miał przesrane”. Uważała, że to przezabawne. No bardzo dowcipne, naprawdę. Wykasowałem całą tę konwersację ze swojego telefonu, ale ona pewnie zostawiła ją w swoim. A potem, jak już znalazła to policja...

Maya przypomniała sobie pewien szczegół z procesu: wszystkie naprawdę nieprzyzwoite wiadomości zostały wysłane jednego dnia. Wyjaśnienie Bobby'ego zabrzmiało nagle dziwnie wiarygodnie. Nawet jeśli przedstawiał je dopiero teraz.

– Możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym przytoczył tę historię na swoją obronę? Czy ktokolwiek by mi uwierzył? Czy ty byś mi uwierzyła? Lepiej było postępować tak, jakbym to ja wysłał te wszystkie wiadomości. Ale na tym polegał cały problem mojej obrony: nasz związek faktycznie był niestosowny. Przyznaję. I nie zdołalibyśmy wyjaśnić, że miał znacznie bardziej złożoną naturę. Jak z tym samochodem! To już naprawdę zakrawa na ironię: plamy po jej krwawieniach z nosa, włosy na przednim siedzeniu. Masz pojęcie, ile czasu spędziliśmy w moim samochodzie? Tak po prostu jeżdżąc po mieście? Znacznie więcej, niż prokuraturze przyszłoby do głowy. Los Angeles w trzydziestu procentach składa się z dróg. Wiedziałaś o tym? Jessica mi to kiedyś powiedziała, ponoć jej tata mówił o tym na okrągło. No więc jeździliśmy. I pisaliśmy wiadomości. Nadal nie mam pojęcia, jak te drobinki krwi znalazły się w bagażniku. Podejrzewam, że moja prawniczka miała rację i naprawdę doszło do zanieczyszczenia próbek w laboratorium, ale spędziliśmy w tym samochodzie tyle czasu, że dałbym sobie rękę uciąć, że DNA Jessiki było dosłownie wszędzie. To, co wydarzyło się między nami, nie było dobre i to ja ponoszę za to odpowiedzialność. A pewnego dnia... Jessica zniknęła.

I Maya uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Ale przecież zawsze wierzyła, prawda? Koszmarnie zawiódł Jessicę i świetnie o tym wiedział, ale zawiedli ją również wszyscy inni: rodzice, nauczyciele, nawet Maya, która – jeśli Bobby mówił prawdę – współpracowała w tym momencie z dręczycielem Jessiki.

– Czy Lou Silver zabił swoją córkę? – wyszeptwała.

– Taka była linia obrony, którą gotowi byliśmy przedstawić. To się chyba nazywa „obrona afirmatywna”. Może Lou dowiedział się o mnie i o Jessice? Może powiedziała mu o tym, że wtajemniczyła mnie w swoje sprawy? Nigdy nie znaleźli jej ciała, prawda? Kto ma zasoby pozwalające ukryć ciało? Ale tak naprawdę, na dobre?

Nigdy nie przedstawiono nawet cienia dowodu wskazującego na winę Lou. Ale w końcu na tym opierała się argumentacja Bobby'ego, czyż nie? Aby nabrać przekonania, że Bobby zabił Jessicę, należało uwierzyć, że kiepsko pozacierał ślady, zostawiając jej krew we własnym samochodzie.

Aby nabrać przekonania, że to Lou zabił Jessicę, należało uwierzyć, że była to zbrodnia tak doskonała, że przez dziesięć długich lat nikt nie powziął najmniejszych podejrzeń.

Maya wiedziała, że potrafi dać wiarę opowieści Bobby'ego o maltretowaniu Jessiki przez Lou, niekoniecznie przyjmując za pewnik, że to Lou jest mordercą. Ten sam tok rozumowania doprowadził ją do konkluzji odnośnie do Bobby'ego: zrobił coś koszmarnego, ale to jeszcze nie czyniło z niego zabójcy.

Miotając się między Lou a Bobbym, Maya poczuła się uwięziona w jakimś potwornym błędnym kole. Lou i Bobby byli dwoma najważniejszymi mężczyznami w życiu Jessiki, a żaden z nich jej nie obronił.

– I nigdy nie powiedziałaś tego wszystkiego publicznie... – Urwała, poczuwszy, że robi jej się jeszcze bardziej niedobrze niż wcześniej, i po chwili dokończyła: – ...przeze mnie.

Zaśmiał się z goryczą, która musiała dojrzewać w nim przez wiele lat.

– Wiesz, co mnie czasem wkurza? Wymiar sprawiedliwości zadziałał. Zrobiłem coś niewłaściwego z nastolatką i poszedłem za to do więzienia. Ludzie tacy jak ty mówią, że to wielka niesprawiedliwość, ale jak się nad tym głębiej zastanowić... gdzie w tym niesprawiedliwość?

Maya rozejrzała się wokół siebie. To dziwne miejsce nie nasuwało skojarzeń z żadną sprawiedliwością, jaką byłaby zdolna pojąć.

– Musisz o tym wszystkim opowiedzieć innym ludziom.

Bobby spojrzał na nią jak na idiotkę.

– Ja? Dlaczego?

Mai zrobiło się głupio. To były zbyt poważne zarzuty, by mogli zachować je dla siebie, ale... Bobby się nie mylił. Nieinformowanie o nich opinii publicznej nie było bezzasadne. Mogli to zgłosić na policję, ale co policja miałaby zrobić w takiej sytuacji? To była stara sprawa, nikomu nie sposób było czegokolwiek dowieść. Mogliby porozmawiać z prasą, publicznie stawiając Lou pod pręgierzem, ale znów: nie mieli żadnych dowodów poza zeznaniem mężczyzny, który zdaniem większości ludzi zamordował córkę Lou.

Lou i Bobby mogliby do końca życia oskarżać się wzajemnie o rozmaite potworności, ale to już nie miało znaczenia. Nic nie mogło przywrócić im tego, co stracili.

– Więc co zamierzasz? Uciekać do końca życia? – To, co zrobił, było złe, ale nie aż tak, by zasługiwał na prześladowanie go do śmierci. W końcu istnieli ludzie, których zbrodnie, nawet wobec samej Jessiki, były jeszcze gorsze niż jego. – Są tacy, którym na tobie zależy.

– Kto?

– Obserwowałam twoją rodzinę w sali sądowej. Setki godzin wpatrywałam się w twoją mamę, próbując pojąć, skąd czerpie siłę, by codziennie uczestniczyć w rozprawie. Nie powiesz mi, że kiedykolwiek w ciebie zwątpiła, że kiedykolwiek ojciec przestał ci ufać. Nie sądzisz, że za tobą tęsknią? Nie uważasz, że chcieliby mieć cię przy sobie?

Bobby rzucił jej miazdzące spojrzenie.

– Pojęcia nie masz... Myślisz, że tak świetnie mnie znasz, a to nieprawda. W ogóle nie wiesz, kim jestem.

Odwróciła oczy i jej wzrok spoczął na aligatorze narysowanym kredkami. Długie czerwone ciało. Odślonięte, gotowe do ataku pomarańczowe zęby. Dziecinna próba oddania grozy wydawała się smutnie kontrastować z otaczającym koszmarem z narkotykowego odlotu.

Gestem wskazała rysunek.

– Wiem, że lubisz aligatory.

Bobby zdobył się na uśmiech. Nie zamierzał rozmawiać z nią na temat rysunku. Nie był gotów rozmawiać o nim z kimś, kogo po dziesięciu latach ledwie znał.

– Myślałem o tym, żeby do ciebie napisać. Po procesie.

– Ale co konkretnie?

– Że przykro mi, że tobie również zrujnowałem życie.

– To, co zrobiłam... Nie zrobiłam tego dla ciebie.

– Miło byłoby usłyszeć: „Nie zrujnowałeś mi życia”.

– Zrobiłam to dla zasady.

Uniósł brew.

– Niby jakiej?

Maya pomyślała, że chyba nikomu w tym momencie nie tłumaczyłaby wartości zasad mniej chętnie niż Bobby'emu. Mężczyzna skulony w namiociku na środku pustyni był albo ofiarą potwornej niesprawiedliwości, albo jej sprawcą.

Możliwe, że i jednym, i drugim.

A przecież względna sprawiedliwość tego wszystkiego przyniosła mu coś na kształt spokoju. A może to nie całkiem tak. Może Bobby w ogóle

przestał się przejmować tak zwaną sprawiedliwością.

– Ja też myślałam o tym, żeby do ciebie napisać.

– O czym?

Z żalem wzruszyła ramionami.

– Dlatego właśnie nigdy nie napisałam.

Bobby westchnął, jakby zatopił się w ponurych wspomnieniach swojego poprzedniego życia.

– Czy wszyscy tam byli? W hotelu?

– Wszyscy?

– Cała ława przysięgłych?

Skinęła głową.

– I jak się mają?

Uzmysłowiła sobie, że nikogo z nich nie znał. Dla niego byli tylko twarzami, w które wpatrywał się godzina po godzinie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Ich nazwiska poznał zapewne z telewizji.

– Co musiałeś sobie o nas wszystkich myśleć?

Zmarszczył brwi.

– Miałem nadzieję, że spróbujecie stanąć na wysokości zadania.

Ogarnęła ją fala smutku. Rozgoryczenie Bobby'ego było zrozumiałe, a przecież nie mógł powiedzieć nic bardziej wspaniałomyślnego.

I to rozdarło jej serce.

Nagle na zewnątrz namiotu wybuchło jakieś zamieszanie.

Uchyliwszy połę, trafili w sam środek chaosu. Ludzie biegali po całym obozie w różnych kierunkach. Bobby poprowadził ją w sam środek tego kotła. Oczom ich obojga ukazało się to, co tak wszystkich wystraszyło: pięć czarnych SUV-ów na długich światłach, pędzących w stronę obozu jak nacierająca armia.

Reflektory rozcięły ciemność. Gdy SUV-y podjechały bliżej, ludzie osłonili oczy dłońmi przed oślepiającym światłem.

U boku Mai zmaterializował się Izmael. W dłoniach trzymał strzelbę.

SUV-y były tuż-tuż.

Kilku artystów uciekło z powrotem do namiotów. Dwóch wyciągnęło broń.

SUV-y zakreśliły, tworząc mur. Dopiero wtedy Maya zobaczyła na bokach samochodów logo BuzzFeed News.

Izmael uniósł strzelbę.

– Nie! – krzyknęła Maya. – Żadnej broni!

– Pierdolę to – odparł.

SUV-y zahamowały i w nocne niebo wzbił się tuman kurzu.

– Proszę! – Maya łagodnie położyła palce na lufie strzelby. – To nie policja. To reporterzy. Nie przyjechali tu po was.

– Przyjechali po ciebie?

Z SUV-ów wylali się kamerzyści.

Maya zerknęła na Bobby'ego, który stał zmartwiały w smudze światła.

Przeniósł na Mayę przerażone, rozgorzyczone spojrzenie, po czym rzucił się do ucieczki.

Szybko wtopił się w spanikowany tłum.

Chciała za nim pognać, ale musiała doprowadzić do pokojowego zakończenia konfrontacji między odurzonymi do nieprzytomności ludźmi pustyni a nadgorliwymi reporterami. Oświetlenie kamer omiatało lufy broni, które Maya miała w tym momencie po obu stronach siebie. Krzyknęła, prosząc o spokój, ale nikt jej nie słyszał. W tym zamieszaniu nie usłyszeliby jej, nawet gdyby bardzo chcieli.

Było tylko jedno wyjście. Uniosła ręce i stanęła na ziemi niczyjej pomiędzy dziennikarzami a strażnikami East Jesus.

Krok za krokiem, ostrożnie przesuwiała się po nierównym gruncie.

Pięć kamer wycelowało w nią obiektywy.

– Słuchajcie! – krzyknęła, odwracając się z powrotem do artystów. – Weźmy wszyscy na wstrzymanie. Nikt tu nikogo nie chce skrzywdzić. I nie ma powodu, by komukolwiek stała się krzywda. – Zwróciła się do Izmaela. – Oni tu przyjechali po mnie. To media.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Czy Bobby Nock jest z tobą?! – krzyknął jeden z dziennikarzy.

– Bobby Nock jest tutaj! – odkrzyknęła Maya. – Ale jeśli rzucicie się go szukać, moi znajomi poczują się zaniepokojeni i będą mogli zgodnie z prawem się bronić. Część z nich jest uzbrojona. – Zwróciła się do artystów. – Przyjaciele. Myślę, że mądrze będzie opuścić broń. Ci ludzie nie przyjechali tu z waszego powodu. Jeśli komukolwiek stanie się krzywda, wszyscy będziemy mieli potężne kłopoty.

W końcu Izmael opuścił strzelbę.

Widząc to, jego ziomkowie postąpili tak samo.

– Skurwiele mają tu nie wchodzić! – krzyknął Izmael.

– Ten obóz stanowi teren prywatny! – zawołała do dziennikarzy. – Jeśli tu wejdziecie, zgodnie z prawem stanu Kalifornia będą mogli was zastrzelić.

To była kompletna bzdura, ale uznała, że dziennikarze się nie pokapują.

Jeden z nich zapytał:

– Czy możemy porozmawiać z Bobbym Nockiem?

– To kiepski pomysł, żebyście próbowali tu wejść. Ja tam pójdę, znajdę Bobby'ego, zapytam go, czy chce z wami rozmawiać. Mogę przekazać wiadomość.

Dziennikarze nie zgłosili sprzeciwu, Maya zwróciła się zatem do mieszkańców obozu.

– Nie macie nic przeciwko?

– Ale wchodzisz tylko ty – zastrzegł Izmael.

– Tylko ja.

– Zapytaj Bobby'ego, dlaczego uciekł – dobiegł ją głos reportera.

– W porządku – odparła.

Powstrzymała się od uwagi, że odpowiedź będzie brzmiała zapewne: „Przez was”.

– I zapytaj go, czy zabił Jessicę Silver – dorzucił drugi.

– To pytanie już padło i doczekało się odpowiedzi – odparła odruchowo.

– Ale zrobię, co w mojej mocy.

– Niełatwo cię wystraszyć – powiedział Izmael, kiedy Maya przechodziła obok niego, kierując się do obozu.

– To był długi tydzień.

Izmael został na froncie, podczas gdy Maya lawirowała między biegającymi po obozie ludźmi. Do namiotu Bobby'ego trafiła prawie od razu. Wrzuciła właśnie cały swój lichej dobytek do miękkiej torby turystycznej.

– Doprowadziłaś ich do mnie – stwierdził, jakby była jedną z bardzo wielu osób, które go zdradziły.

– Może. A może nie mnie jednej Lou powiedział, gdzie cię szukać.

Bobby pokręcił głową. Nie obchodziły go jej racjonalizacje.

– Nie możesz bez końca uciekać.

– A co mam, kurwa, zrobić?

Gdyby złapała go policja, wróciłby do więzienia za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego. To oznaczałoby kolejne sześć, może dwanaście miesięcy w więzieniu i znów Miracle. A potem gliny znalazłyby jakiś inny

sposób, by wsadzić go z powrotem za kratki. Ta huśtawka trwałaby do końca jego życia: więzienie, kolonia dla przestępców i znowu więzienie.

Bobby Nock miał zaledwie trzydzieści cztery lata, uzmysłowiła sobie, obserwując, jak upycha w torbie bokserki. Twarz miał wręcz wymizerowaną, ciało tak patykowate, jakby zaraz miało się złamać. Jego życiu daleko było jeszcze do kresu, ale nie pozostała mu nawet iskierka nadziei, najmniejsza szansa na wolność. Taki los przypadł mu w udziale i ani ona, ani nikt inny nie mógł nic na to poradzić.

W tym momencie Bobby mógł tylko uciekać. Na to przyszło człowiekowi, którego życie niegdyś – jak była przekonana – ocaliła.

– Jestem po twojej stronie.

Wiedziała, że to raczej kiepska odpowiedź, ale taka była prawda.

– Wiem.

Powiedział to tak, jakby mówił do dziecka.

Zerwał rysunek aligatora ze ściany.

– Chcesz mi pomóc, Mayu Seale?

– Tak.

Uniósł rysunek aligatora.

– To zapamiętaj to.

Spojrzała na aligatora. Pomarańczowe zęby, odsłonięte do walki, były zbyt wielkie w stosunku do całej sylwetki. Nawet ten głupiutki obrazek był zabarwiony przemocą.

– Niewiele rzeczy pozostało mi na własność. A to mi przypomina, że chociaż popełniałem błędy, chociaż robiłem rzeczy złe, to nie jestem człowiekiem, za którego mnie uważają. Więc cokolwiek się zdarzy, cokolwiek będą powtarzać na mój temat... zapamiętaj, że kiedyś byłem człowiekiem.

Złożył rysunek i wsunął go do torby, po czym ominął Mayę i wyszedł z namiotu.

Nie goniła go. Poszła za nim powoli, patrząc, jak biegnie, z torbą podskakującą na ramieniu, które nie wyglądało na stworzone do dźwigania czegokolwiek.

Zniknął w ciemnościach.

Rozdział 16

TRISHA

4 PAŹDZIERNIKA 2009

Trisha Harold obserwowała kamery stacji telewizyjnych, które codziennie zjawiały się jak na komendę o piątej rano. Czuła się – nie po raz pierwszy – jak przypadkowa aktorka ustawiona przemocą na scenie, obsadzona w spektaklu, w którym nigdy nie zgodziła się zagrać. Role zostały rozdzielone. Widownia zgromadzona. Recenzenci zawiesili pióra nad kartką papieru. Czuła się tak, jakby zaraz mieli podnieść kurtynę, odsłaniając krwawy dramat o zemście i zdradzie z początku siedemnastego wieku – tylko że nie nauczyła się kwestii. Czuła się jak w *Revenger's Tragedy* na modłę Christophera Duranga.

Odwróciła się od okna w swoim hotelowym pokoju w stronę krótkiej ławki w nogach łóżka, na której przygotowała sobie ubrania, starannie złożone poprzedniego wieczoru. Przygotowywanie wieczorem ubrań na kolejny dzień było nawykiem, który wyrobiła w sobie jako nastolatka, sposobem na sprawne wejście w nowy dzień, kiedy próby teatralne ciągnęły się nieubłaganie do późnych godzin wieczornych. Sądziła wówczas, że chciałaby zostać aktorką. Musicale były jej pierwszą miłością. Szybciej polubiła melodie niż choreografię.

Najlepsze wakacje swojego życia spędziła między ósmą a dziewiątą klasą na obozie artystycznym w Michigan. Dostały się jej role Fantyny i Roxie Hart oraz kilka ról drugoplanowych w *Tajemnicach lasu*, a wszystko to w ciągu dwóch miesięcy. Nadal słuchała broadwayowskich nagrań tych przedstawień. Pracując w urzędzie miasta, gdzie instalowała i serwisowała systemy informatyczne, mogła zwykle nałożyć słuchawki i wyobrazić sobie, że stoi na jakiejś dalekiej scenie. Ale nigdy nie czuła, że do tego stopnia gra, jak podczas procesu sądowego.

Minęły cztery nużące miesiące i przez cały ten czas nikt słowem się nie zająknął, że Trisha była jedną z dwóch czarnych osób zasiadających w ławie przysięgłych. Że była jedyną czarną kobietą. Kilka razy próbowała na ten temat zażartować z Jaem i Fran, ale zbywali ją, udając, że nie słyszą.

Niekiedy marzyła już tylko o tym, by jeden z pozostałych ławników wręczył jej scenariusz, który oni wszyscy zdążyli dla niej napisać we własnych głowach: kwestie gniewnej czarnej kobiety walczącej z tyranią policji Los Angeles.

Ubierając się, pomyślała, że najgorsza z nich była Maya. Rozpoczynając obłąkańczą misję ocalenia Bobby'ego Nocka, oczekiwała od Trishy poparcia, którego ta nie chciała jej udzielić. Wydawała się dotknięta samym faktem, że Trisha mogła dojść do innych wniosków niż ona. Urażona właśnie tym, że Trisha nie grała roli, w której ją obsadzono.

Maya powtarzała, że wobec braku zwłok prokurator nigdy nie wysunąłby zarzutu morderstwa, gdyby oskarżony był biały. Trisha powtarzała równie uparcie, że to możliwe, ale nie można wykluczyć, że powodem, dla którego oskarżono Bobby'ego o morderstwo, było to, że faktycznie je popełnił.

Na miłość boską, gość uprawiał seks z nastoletnią uczennicą! Fakt, że Maya mogła udawać, że jedyną przyczyną kłopotów Bobby'ego był rasizm, pomniejszał skalę realnych problemów zrodzonych z amerykańskich uprzedzeń rasowych. Trisha próbowała w ten sposób powiedzieć, że jeśli wszystko było przejawem rasizmu, to nic nie było przejawem rasizmu. Czy Bobby Nock był właśnie tym facetem, który najbardziej potrzebował obrony przed systemową nierównością wymiaru sprawiedliwości?

Podczas minionego tygodnia obrad Trisha przyglądała się, jak Maya przeciąga na swoją stronę kolejnych ławników. Lila dała się łatwo przekonać, wystarczył nieco bardziej stanowczy ton głosu. Carolina przestała się orientować wśród sprzecznych interpretacji materiału dowodowego. Cal lubił odgrywać detektywa i Maya oddelegowała go do szperania w przekazanych im informacjach, by znalazł jakieś dowody naprowadzające na trop prawdziwego zabójcy.

Trisha przygotowała się na kolejny dzień wyczerpujących dyskusji.

Wyszła z pokoju i podbiegła truchcikiem do otwartej windy. W środku stał Rick Leonard.

– Hej – powiedział.

– Hej.

Stała obok niego w milczeniu, gdy zamykały się drzwi windy.

Większość okresu izolacji ławy przysięgłych Rick spędził z Mayą. Trisha obserwowała, jak podczas posiłków siadają z dala od reszty. Widziała, jak znikają za drzwiami hotelowego pokoju, by oglądać przemycone filmy.

Wcale jej nie zaskoczyło, gdy Fran zdradziła jej, że Wayne przyuważył Ricka, jak ten wykradał się któregoś ranka z pokoju Mai. Jeśli sądzili, że udało im się kogokolwiek zwieść, to... nie.

Pierwszego dnia obrad Rick był chyba autentycznie wstrząśnięty, znalazłszy się nagle w przeciwnym obozie niż Maya. Trisha patrzyła, jak ustala się między nimi zimny front. Od tamtego czasu prawie ze sobą nie rozmawiali.

– Jak się czujesz? – zapytał Rick, przerywając milczenie.

Jak można było uczciwie odpowiedzieć na to pytanie w ciągu kilkunastu sekund?

– Zmęczona.

Ze zrozumieniem skinął głową.

– Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli wrócić do domu.

– A z czego wnioskujeś?

– Maya się wycofa.

Trisha była świadkiem, jak Rick właściwie wszystkie swoje argumenty przedstawiane w sali obrad kierował wprost do Mai. Widziała, jak na nią patrzył. Chłopak był zakochany po uszy i zachowywał się tak, jak zachowują się zakochani chłopcy, kiedy się ich ignoruje: był wściekły, na nikogo nie zwracał uwagi i ewidentnie popadał w coraz większą obsesję.

Tymczasem Maya odbijała kolejne terytoria. Ledwie wczoraj przeciągnęła na swoją stronę Jaego. Im bardziej Rick koncentrował się na niej, tym bardziej ona skupiała się na wszystkich pozostałych.

– Nie – powiedziała Trisha, gdy drzwi windy otworzyły się na hotelowy hol. – Ona się nie cofnie. Nie wcześniej niż ty.

Poszła w stronę restauracji, gotowa na kawę i kolejny długi dzień dawania odporu ludziom, którzy pielęgnowali tak silne złudzenia, że nie widzieli, co mają przed nosem.

Każde posiedzenie rozpoczynali od głosowania na nowo. Teoretycznie to Kathy miała im przewodniczyć, ale już drugiego dnia Maya przejęła kontrolę. Kathy, prawdę mówiąc, chyba ulżyło. Jednak ostatnio, kiedy wszyscy wzajemnie się wykrwawiali, Kathy zaczęła odzyskiwać energię. Miała rezerwy, których Trisha nie przewidziała. Częściej zabierała głos, jakby pierwszy raz w życiu, ku jej własnemu zdumieniu, ktoś jej naprawdę słuchał, a ona odkryła, że sprawia jej to przyjemność.

Tego ranka z niejaką dumą rozdała karty i pisaki, po czym poprosiła ich kolejno o rytualne odczytanie werdyktów. Dziewięć osób za skazaniem oskarżonego, trzy przeciw.

– Może jeszcze raz przejrzymy esemesy? – zaproponowała Kathy.

Fran się skrzywiła. Odczytywanie tych esemesów na głos bez wątpienia nie należało do jej ulubionych zajęć podczas obrad. Trisha była prawie pewna, że nie jest w tym odosobniona.

Esesemy urosły do rangi kardynalnego przedmiotu sporu, bo tylko one pozwalały im wejrzeć w umysł oskarżonego. Oskarżyciel postawił wyłącznie jeden zarzut: morderstwo pierwszego stopnia. Zgodnie z kodeksem karnym stanu Kalifornia, sekcja 187, który sędzia już wielokrotnie odczytał im na głos, morderstwo pierwszego stopnia to „niezgodne z prawem zabicie człowieka albo płodu, dokonane z premedytacją” (do fragmentu o „płodzie” było objaśnienie, ale ponieważ w tej sprawie nie miało to żadnego znaczenia, sędzia je pominął). Ostatnie sformułowanie okazało się otworem, przez który Maya zdołała wpuścić przejrzysty dym swoich wątpliwości. Objasnienie „premedytacji” w kalifornijskim kodeksie karnym zajmowało wiele akapitów, ale jego sens był taki, że aby mogli zagłosować „winny”, musieliby nabrać przekonania, że Bobby Nock nie tylko zabił Jessicę, lecz także zawczasu zaplanował jej zamordowanie.

W ten sposób Maya przeciągnęła na swoją stronę Jaego. Jego zdaniem Bobby prawdopodobnie zamordował Jessicę w afekcie, pod wpływem chwili. Może zamierzała komuś powiedzieć, co ukrywali, może nie chciała tego ciągnąć, wszystko jedno. Maya powiedziała, że jeśli Jae tak uważa, musi zagłosować „niewinny”. Tym sposobem zorientowali się, że głosowania ławy przysięgłych przypominały szczęśliwe i nieszczęśliwe rodziny Tołstoja: wszyscy głosujący „winny” musieli kierować się identycznym rozumowaniem, tymczasem każdy z głosujących „niewinny” mógł mieć własne przesłanki prowadzące do tej konkluzji.

– Chcesz podkreślić – powiedział Rick – że nie możemy stwierdzić z całą pewnością, że Bobby i Jessica uprawiali seks.

– Właśnie. – Maya musiała wstać i przechylić się przez stół, by dosięgnąć stosu wydrukowanych wiadomości tekstowych pozostawionych im jako część materiału dowodowego. – „Nie mam na sobie bielizny”. Gdyby uprawiali seks, Bobby by o tym wiedział.

Fran westchnęła głośno. Całą tę sprawę odczuwała jako mord dokonywany na sobie.

– Myślę – odezwał się Cal – że sprosne wiadomości niekoniecznie poddają się takiemu dosłownemu odczytaniu.

– Ale po co my to robimy? – przerwała nagle Fran. – Czy tam do czegoś doszło czy nie... Czy te esemesy nie są wystarczająco okropne?

– Aby zwolnić go z pracy? – zapytała Maya. – Owszem. Aby skazać go za morderstwo? Nie sądzę.

– Ale obawa przed utratą pracy była motywem – stwierdził Rick. – A esemesy dowodzą tego aż nadto dobitnie.

– Uważasz, że Bobby zabił Jessicę, tę młodą kobietę, która najwyraźniej bardzo go obchodziła, tylko po to, by utrzymać pracę?

– „Młodą kobietę”? – wtrąciła Trisha. Zdała sobie sprawę, że powiedziała to tonem chyba znacznie ostrzejszym, niż zamierzała.

– Miała piętnaście lat – odparła Maya. – Wolałabyś słowo „dziewczyna”?

– Miała piętnaście lat – powtórzyła za nią Trisha. – Wolałabym słowo „dziecko”.

– Moja córka ma siedemnaście lat – wtrąciła Kathy – i bez dwóch zdań nie jest jeszcze wystarczająco dorosła na takie rzeczy.

– Nie mówię, że to słuszne – powiedziała Maya. – Mówię tylko, że cokolwiek wydarzyło się między Bobbym a Jessicą, jest być może bardziej skomplikowane, niż moglibyśmy sądzić.

Szybko zerknęła na Ricka. Trisha nie potrzebowała nic więcej, by zorientować się, co jest grane.

Maya dokonywała projekcji, prawda? W normalnym życiu mieszkała ze swoim chłopakiem. Była praktycznie mężatką. Jej romans z Rickiem łamał nie tylko zasady nałożone na nich przez sąd. Trisha miała prawie pewność, że wie, skąd bierze się forsowana przez Mayę moralność typu „żyj i daj żyć innym”.

– A zatem wszyscy jesteśmy grzesznikami? – zapytała sarkastycznie Trisha. – Któż z wyjątkiem Boga może osądzić nasze prywatne grzeszki?

Maya wzdrygnęła się. Jakby wypomniano jej sekret, którego Trisha nie mogła znać.

– Mówię, że trudno jest na kogoś spojrzeć i zawyrokować o tym, kim tak naprawdę jest.

Trisha zwykle starała się łagodzić sytuacje, ale naprawdę nie była w stanie dłużej znosić świętoszkowatego bredzenia Mai.

– A czy ty czasem nie sądzisz, że możesz wyrokować o mnie?

– Dobrze, może zrobimy przerwę – powiedziała Kathy.

– Nie – zaprotestowała Trisha. – Ja już nie mogę tego słuchać. Wszystkich tych aluzji i sugestii. Maya, może byś po prostu powiedziała, co myślisz?

– Ja... Ja nie... Co myślę?

– Myślisz, że w całej tej sprawie muszę się identyfikować z Bobbym Nockiem. Że najsilniej określa nas kolor naszej skóry. Nic w tym złego, Maya. To nie czyni z ciebie rasistki. To jest najbardziej niesamowite w tych dobrych białych ludziach, którzy mają najlepsze intencje, co? Ileż zadajecie sobie trudu, by nie wyjść na rasistów. Wielkie nieba! Zamiast powiedzieć: „Bobby jest mężczyzną, a Trisha jest kobietą, więc niewiele mają ze sobą wspólnego”, mówisz: „Bobby jest czarny i Trisha jest czarna, więc właśnie to mają ze sobą wspólnego”. Co najbardziej rzuca się w oczy? Jaka część określa całość?

Już nie wiedziała, co mówi. Dosłownie zagotowała się z frustracji.

– Jae – ciągnęła Trisha, porzucając wszelkie konwenanse. – Jesteś Koreańczykiem.

– No – odparł niepewnie Jae.

– Czy koreańskość jest twoją najbardziej interesującą cechą?

Jae zmarszczył brwi.

Rick odwrócił się do Trishy.

– Może dajmy temu spokój, co?

Zignorowała jego uwagę.

– Jae, mogę się założyć, że w twoim życiu jest tysiąc rzeczy bardziej interesujących niż fakt, że pochodzisz z Korei. Ale teraz mówimy właśnie o tym, bo jakimś cudem to jedno słowo, „Koreańczyk”, staje się murem. Muralem! Obrazem, za którym nie sposób zobaczyć ciebie, Jae, prawdziwego żywego człowieka.

Wszystko się z niej wylało, słowa przelały się przez brzegi, a ich źródło biło gdzieś w znużonej głębi jej istoty.

– Rick, jesteś czarny. Więc powiedz mi: ile mamy ze sobą wspólnego?

– Obecnie – powiedział Rick – oboje żywimy przekonanie, że Bobby Nock jest winny.

Trisha skinęła głową.

– No, to będziemy mieli jakiś temat do rozmowy.

– Nie wiem, jak ktokolwiek może patrzeć na tę sprawę – odezwała się Maya – czy w ogóle jak ktokolwiek może patrzeć na cokolwiek... inaczej niż przez pryzmat własnego doświadczenia. Tylko o to mi chodzi. Że tutaj nikt nie jest bezstronny. Nikt nie może wyłącznie przyglądać się faktom. Bo nie sprzeczamy się o ich interpretację, sprzeczamy się o ich istotę. Mówicie, że esemesy to fakt. Ja mówię, że tak nie jest. Nie tak jak sądzicie. Mówicie, że plamy krwi są faktem. Ja mówię, że nie wiem, czy nim są.

– Proszę was...

To był głos Lili. Kiedy Trisha się odwróciła, zobaczyła, że Lila jest na skraju płaczu.

– Nic się nie stało, skarbie. – Fran próbowała uspokoić Lilę. – Może powinniśmy zrobić przerwę.

– W tej sali nie ma złych ludzi – powiedziała Lila.

To było takie ciepłe i wielkoduszne stwierdzenie, że Trishy natychmiast zrobiło się głupio. Sądząc po wyrazach twarzy osób siedzących przy stole, chyba nie ona jedna czuła się winna.

Dlaczego dążyła do konfrontacji z Maya? Co chciała udowodnić? Co chciała przez to wszystko osiągnąć? Jeśli Bobby Nock dostanie dożywocie i przez resztę życia będzie cierpiał katusze, czy wyniknie z tego coś dobrego?

Może ostatecznie to wszystko był tylko spektakl. Gdyby zagłosowała „niewinny”, odegrałaby rolę czarnej buntowniczkki, której wszyscy się po niej spodziewali. Gdyby zagłosowała „winny”, odegrałaby sprzeciw wobec tej samej roli. Chyba nie miała wyjścia? Mogła być tym, kim chcieli albo nie, ale każda z tych tożsamości istniała wyłącznie w cieniu ich oczekiwań.

Najlepsze w byciu nastoletnią gwiazdą musicali były różnorodne wcielenia. Zmarła przed wiekami angielska arystokratka, amerykańska dziewczyna z prerii – dziś była jedną, jutro drugą, nieprzywiązana do niczego z wyjątkiem tej jednej chwili. Jeśli sądziła, że rola ławniczki pozwoli jej podobnie uwolnić się od zastanych wyobrażeń, to była równie naiwna jak Maya i równie łatwo poddawała się manipulacji, jak ta nieszczęsna nieżyjąca dziewczyna, której twarz promieniała ze wszystkich fotografii leżących na stole.

Czy Bobby Nock zabił Jessicę Silver? Trisha nie wiedziała. Nie na pewno. Nie ponad wszelką wątpliwość. Może to był przypadek, jak sądził Jae? Może Jessica z jakiegoś powodu zaatakowała Bobby’ego, a on bronił się

w krwawej walce na śmierć i życie, jak sugerował Wayne? Może to był jakiś, kurwa, samozapłon?

Czy po czterech miesiącach w sali sądowej naprawdę mogła utrzymywać, że o którymkolwiek z tych ludzi wie cokolwiek na pewno? O Bobbym, Jessice, Lou, Elaine czy którejkolwiek z tych dziwnych postaci siedzących teraz obok niej? Byli aktorami przebranymi w kostiumy i pocącymi się w świetle reflektorów. Wyszli na deski, by odegrać kilka krótkich, przejmujących scen i wycofać się za kulisy.

Ale nikt nie miał scenariusza, nikt nie znał swoich kwestii, a im dłużej będzie trwało przedstawienie, tym większej liczbie ludzi fikcja zniszczy życie.

Więc do diabła z trzecim aktem. Do diabła z tym, co zrobi z nimi wszystkimi. Lepiej, żeby „winny” odszedł wolno – cokolwiek to mogło jeszcze znaczyć – niż by Trisha udawała choćby jeszcze przez sekundę, że jest kimś, kto potrafi dostrzec prawdę.

Wyprostowała się na krześle. Położyła ręce na stole, utrzymując prosty kręgosłup.

– Dobrze więc – powiedziała.

Patrząc Mai prosto w oczy, dała jej to, czego tamta chciała.

– Niewinny.

Rozdział 17

KAPITULACJA

TERAZ

Zanim Maya przedarła się przez słabnący chaos na skraj obozu, samochody reporterów pędem oddalały się już w ciemność. Tylne światła niknęły w tumanie pyłu wzbijanego spod kół.

Na granicy obozu stał Izmael ze strzelbą opuszczoną u boku.

– Dlaczego odjeżdżają? – zapytała.

– Wyjechał stąd samochód. Z drugiej strony obozu. Myślę, że ich zdaniem to twój kumpel.

– Nazywa się Bobby.

– Taa... A więc zabił tę dziewczynę?

Od czego miała zacząć?

– Nie sądzę – odpowiedziała.

Odnalazła swój samochód i ruszyła w długą drogę powrotną do Los Angeles. W ciągu minionej doby widziała zbyt wiele naładowanej broni, by odczuwać zmęczenie. Przejeżdżając przez ciemne, niewyraźnie zarysowane góry upstrzone zapadniętymi półmiastami regionu Inland Empire, wyobraziła sobie, co musieli czuć pierwsi osadnicy na tych ziemiach, gdy spoglądali w dół z przełęczy. Nie mogli wiedzieć, że czeka na nich ocean. Czy dopuszczali myśl, że kiedy stąd wyjdą, natkną się na coś tak pięknego?

Godzinę później wjechała na wiadukt nad torami na zachód od Monterey Park, gdzie całe hektary kontenerów zwiastowały bliskość miasta. Sygnalizowały, że Los Angeles jest przecięciem szlaków: miejscem, z którego rzeczy i ludzie wyruszali w podróż po całym świecie.

Bobby powiedział jej, że Los Angeles w trzydziestu procentach składa się z dróg. Czy to mogła być prawda?

Gdzieś w okolicach Boyle Heights zadzwonił jej telefon. To był Craig.

Jak miała mu opisać swoje przeżycia w East Jesus?

– Hej – powiedziała do telefonu.

– Nie jestem już tym młodym człowiekiem, którym niegdyś byłem – stwierdził Craig.

– Aha...

– Pamięć czasem mi szwankuje. Ale przypominam sobie mgliście, że kazałem ci przestrzegać jednej kardynalnej zasady. Wiesz może jakiej?

– Nie rób nic głupiego.

– A mimo to...

W ciągu ostatnich kilku dni zrobiła wiele rzeczy, których by nie pochwałał.

– A o czym konkretnie mówisz?

– W internecie jest nagranie przedstawiające cię w miejscu o niewiarygodnej nazwie East Jesus. Stoisz przed jakimś wieśniakiem ze strzelbą, który wygląda, jakby handlował metamfetaminą, i twierdzisz, że będziesz mediować z Bobbym Nockiem.

Kurde, pomyślała Maya, zdążyli wrzucić to do internetu.

– Szybcy są.

– A ty głupia.

– Znalazłam Bobby'ego.

– Najwyraźniej.

– To nie on zabił Ricka.

– Nie wiesz tego.

W jego głosie usłyszała irytację.

Opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Bobbym, o zdjęciach i znacznikach czasu, które zapewniały Bobby'emu alibi na czas morderstwa.

– Zatem wszystko, czego dokonałaś, to eliminacja potencjalnego podejrzanego? – zapytał, gdy skończyła.

Musiała przyznać, że formalnie rzecz biorąc, to prawda.

– Są wyniki analizy DNA. Przed chwilą dostałem wiadomość.

Czekała na to, czego najbardziej się bała.

– Na Ricku Leonardzie i wokół niego znaleziono wyłącznie twoje DNA.

A więc jest. Ostatni gwóźdź do jej trumny.

Wiedziała, co jej powie na pociechę: brak dowodu nie jest dowodem braku. Nie było dowodu na to, że tylko ona mogła zabić Ricka, ale oznaczało to tylko tyle, że ktokolwiek go zabił, nie zostawił po sobie żadnych włosów, śliny ani innych wydzielin ciała.

Nie chciała wysłuchiwać podnoszących na duchu przemówień.

– Co teraz? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

– Policja Los Angeles aresztuje cię pod zarzutem morderstwa.

Trzydzieści minut później Maya zajechała pod dom Crystal i zastała tam czekającego już na nią Craiga. Było tuż po pierwszej w nocy, więc Crystal miała na sobie dres, ale mimo obecności szefa chyba zupełnie nie czuła się tym skrępowana. W końcu, uznała Maya, była u siebie w domu.

Mocno uścisnęła Mayę.

– Jeszcze cię, kurde, nie zapuszkowali – wyszeptała jej cicho do ucha.

Craig nie okazał swojego niepokoju tak demonstracyjnie; powitał ją w milczeniu krótkim skinieniem głowy.

Była im obojgu wdzięczna.

Kiedy zastanawiali się, co dalej, Crystal zaparzyła herbatę imbirową. Żadne z nich jej nie tknęło.

Wyściem numer jeden było oskarżenie o zabicie Ricka Petera Wilkiego albo Wayne'a Russela. Peter miał motyw, ale raczej niewielkie możliwości. Wayne miał możliwości, kłopot był z motywem. „Wybierz sobie truciznę”, jak to ujął Craig.

Wyściem numer dwa było łyknięcie obu trucizn naraz i poprawienie dla pewności paroma innymi. „Maya tego nie zrobiła, ale proszę, oto spis potencjalnych sprawców”. Skuteczność tej strategii wymagała jak najobszerniejszego rozbudowania listy podejrzanych. Jako że Maya, niestety, usunęła z niej Bobby'ego Nocka, należało umieścić na niej wszystkich pozostałych ławników. Jae Kim skłamał na temat swoich powiązań z Lou Silverem, prawda? Tego wieczoru, gdy zamordowano Ricka, wypił kilka głębszych, czyż nie? Z kolei Cal Barro miał na koncie niezgłoszoną kolizję z prawem. Maya zmuszona była zauważyć, że sugestia, jakoby osiemdziesięcioletni Cal mógł fizycznie obezwładnić trzydziestoosmioletniego Ricka, była... wątpliwa, niemniej, jak zauważył Craig, celem strategii numer dwa nie było wysunięcie wobec kogokolwiek niepodważalnych zarzutów. Chodziło jedynie o to, by w polu możliwości zaroilo się od podejrzanych.

Oczywiście było jeszcze trzecie wyjście.

– Właśnie dlatego podoba mi się scenariusz samoobrony – powiedział Craig. – Wykorzystuje wszystkie ich dowody, tyle że na opak. Twierdzą, że na zwłokach było wyłącznie twoje DNA? No i świetnie, jesteśmy co do tego zgodni. Wynika to z faktu, że Rick po prostu cię zaatakował. Mówią, że ukryłaś seksualną naturę związku z Rickiem, okłamując przez wszystkie te lata rodzinę, znajomych, a nawet wysoki sąd? Odpowiadamy: „Oczywiście, tak właśnie zrobiła!”. Rick był przemocowym gnojem, a ty nie umiałaś się

z tego wywikłać, wstydziałaś się i tak dalej. Przemawia za tym nawet charakter obrażeń Ricka: pojedyncze uderzenie potylicą w blat stołu. Dla mnie wygląda to na przepychanki, które wymknęły się spod kontroli. Jesteśmy w stanie wyjaśnić absolutnie wszystko.

– Poza tożsamością prawdziwego zabójcy Ricka – odparła Maya.

Craig spojrział na nią, jakby była dzieckiem.

– Moim zadaniem nie jest znalezienie faktycznego zabójcy Ricka. Moim zadaniem jest uniemożliwienie stanowi Kalifornia skazania cię za zabójstwo.

Maya spojrzała na Crystal, oczekując wsparcia. Nie doczekała się.

– Godzinę temu rozmawiałem z Benem Gao – powiedział Craig, mając na myśli zastępcę prokuratora dystryktowego. – Chce, żebyś oddała się w ręce policji jutro o dziesiątej rano.

Maya zdrętwiała. Spotkała się już w sądzie z Benem Gao, chociaż nigdy nie stawiała przeciwko niemu osobiście. Nie piastowała odpowiednio wysokiego stanowiska w kancelarii.

Wielu zastępców prokuratora to były prawdziwe dupki, ale nie on. Pamiętała przede wszystkim to, że był uprzejmym, cichym i niezwykle skrupulatnym człowiekiem.

Craig nie musiał jej wyjaśniać, że strategia samoobrony wymaga od niej tego, by zajęła miejsce dla świadka i opowiedziała okropną zmyśloną historię. Musiałaby skłamać pod przysięgą, że Rick ją zaatakował, a ona się broniła. Musiałaby popełnić przestępstwo, by uniknąć kary za przestępstwo, którego nie popełniła. Musiałaby powiedzieć, że Rick był „brutalny” i „skory do wybuchów gniewu”. Czy będzie umiała zmusić się do złożenia zeznań, które nie dość, że byłyby fałszywe, to jeszcze okrutnie obciążałyby pamięć człowieka będącego dla niej niegdyś kimś bardzo ważnym? Sama myśl o wszystkich rasistowskich i seksistowskich podtekstach takiej historii napełniała ją obrzydzeniem.

Stałaby się godną pogardy białą kobietą z powieści *Zabić drozda*, która dla ratowania własnej skóry fałszywie zeznała, że czarny mężczyzna ją zgwałcił.

– Czy jako czarny mężczyzna mieszkający w Los Angeles nie uważasz, że twierdzenie przeze mnie, że Rick mnie zaatakował, jest... no cóż...

– Rasistowskie? – zapytał Craig.

– Najłagodniej rzecz ujmując: żeruje na rasistowskich uprzedzeniach sędziego?

Craig zrobił taką minę, jakby miał pretensje do Stwórcy, że postawił go w takiej sytuacji.

– Jako czarny mężczyzna mieszkający w Los Angeles czterdzieści jeden razy reprezentowałem swoich klientów w sprawach karnych. Setki razy negocjowałem ugody między obroną a prokuraturą. Sześć razy pozwałem policję Los Angeles pod zarzutem brutalności. Pięć razy wygrałem. Jako czarny mężczyzna mieszkający w Los Angeles jestem prawdopodobnie najlepszym obrońcą w sprawach karnych w tym mieście. Jako czarny mężczyzna z Los Angeles nie chcę, by ktokolwiek, a już na pewno nie moja pracownica i, owszem, przyjaciółka, siedł do więzienia za przestępstwo, którego nie popełnił. – Westchnął ciężko. – Wiesz, czego pragnąłbym najmocniej? Jako czarny mężczyzna z Los Angeles? Sprawiedliwości. A nie umiem się jej dopatrzeć w twoim dożyciu.

Crystal rzuciła Mai karcące spojrzenie. Widzisz, co się dzieje, kiedy próbujesz dyskutować z szefem?

– Nie wiem, czy dam radę – powiedziała Maya słabym głosem.

Patrzyła, jak wymieniają spojrzenia. Najwyraźniej rozmawiali już o tym pod jej nieobecność.

– Nie musisz podejmować tej decyzji dzisiaj – powiedziała Crystal spokojnie. – Prześpij się. Porozmawiaj z rodziną. Jeśli oddasz się w ręce policji jutro rano, nie musisz wnosić o ugodę, dopóki nie zostanie ci przedstawiony akt oskarżenia.

Wtedy będę już miała za sobą jeden dzień więzienia, pomyślała Maya.

Crystal musiała zakładać, że po dobie za kratkami Maya zmięknie i przyjmie linię samoobrony. Wszystkie jej światłe zasady ustąpią wobec nagiego instynktu samozachowawczego. Jak szybko pęknie?

Maya uświadomiła sobie, że jest poddawana manipulacji.

Ileż czasu strawiła na postępowaniu właśnie w ten sposób z własnymi klientami. Zwyczajni recydywiści, bezdyskusyjnie winni zarzucanych im czynów, to była pestka. Oni byli zawodowcami, rozumowali w kategoriach układów, a w relacjach z nimi zawsze wiedziała, na czym stoi. Problemów przysparzali niewinni ludzie, amatorzy, którzy wykonali jeden niepewny krok poza granice prawa i odkryli, że nie są stworzeni do życia po ciemnej stronie mocy. Ich psychika wymagała nieustannej troski. Najważniejszy był krzepiący uśmiech. Czasem trzeba było całkiem dosłownie potrzymać ich za rękę.

Craig zerknął na zegarek.

– No dobra, ja też muszę się przespać i tobie sugerowałbym to samo. Porozmawiaj, z kimkolwiek musisz. Przyjadę po ciebie o ósmej.

– Zawieszysz mnie na policję?

Podszedł i uściskał jej dłoń.

– Maya. Oczywiście, że tak.

Kiedy już Craig wyszedł, a Crystal położyła się do łóżka, Maya nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Co się robi, zanim pójdzie się do więzienia?

Zadzwoiła do ojca. W Albuquerque zegary wskazywały godzinę później, więc zapewne chrapał już w najlepsze, pewnie na kanapie, przed migoczącym ekranem telewizora nadającego późną nocą program MSNBC.

Opanowała do perfekcji trudną sztukę nieprzysparzania rodzicom zmartwień. Rozprawa okazała się niełatwą próbą dla jej ojca i zapewne jeszcze trudniejszą dla matki, która ze wszystkich sił starała się zachować patynę normalności, choć było to niemożliwe. Maya oczywiście nie mogła rozmawiać z nimi o procesie, a rozmowy na wszystkie inne tematy i tak podsłuchiwał woźny Steve. Rodzice zagłuszali ciszę w słuchawce opowieściami o własnym życiu: mama kończyła studia ogrodnicze na Uniwersytecie Stanu Nowy Meksyk, zbliżała się pomidorowa fiesta, prace przy budowie nowego murowanego ogrodzenia za domem posuwały się bardzo sprawnie.

Jak najdłużej próbowali przytrzymać ją przy telefonie.

Musieli się pogodzić z tym, że więcej informacji uzyskają z programów nadawanych w kablówce niż od Mai. Później Maya dowiedziała się, że nabrali zwyczaju codziennego oglądania godzinami wiadomości CNN. Byli wdzięczni za tak szybką ich aktualizację. Za kruche poczucie bliskości z nią, które zapewniały im kamery i gadające głowy.

A potem ogłoszono werdykt. W mgnieniu oka komentatorzy wiadomości zwrócili się przeciwko niej. Skala społecznego potępienia przytłoczyła doradcę podatkowego i gospodynię domową, nieprzygotowanych do wystąpień publicznych.

– Tato? – odezwała się Maya, kiedy odebrał telefon. – Tylko nie panikuj.

To był okropny początek.

– Co się stało, skarbie? – zapytał zaspanym głosem. – Poczekaj, tylko przyciszę...

Słyszała, jak majstruje przy pilocie.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Zaufaj mi. Mój prawnik i ja już nad tym pracujemy. – Brutalna pauza. – Niemniej zostanę aresztowana pod zarzutem zabójstwa.

Ogólnie rzecz biorąc, dalszy ciąg tej rozmowy mógł przybrać znacznie gorszy obrót.

Potem na chwilę zamknęła oczy. Leżała w ubraniu na łóżku w pokoju gościnnym Crystal. Wiedziała, że nie zaśnie. Nie mogła przestać rozmyślać o chwili, w której wszyscy się od niej odwrócą. Jej rodzice, przyjaciele, współpracownicy... Jak szybko się od niej odetną?

Wyobraziała sobie Bobby'ego Nocka uciekającego po wsze czasy przez nagą pustynię. Samotnie.

Zrobił coś okropnego. Jak straszna musiała być czyjaś zbrodnia, zanim wszystkim wolno było wyzbyć się resztek współczucia? Gdzie przebiegała linia, poza którą już od nikogo nie można oczekiwać pociechy?

Kiedy Maya puściła wolno człowieka winnego w oczach większości ludzi, jej izolacja była tylko częściowa. Czy stanie się całkowita teraz, gdy stan Kalifornia postawi jej wiarygodne zarzuty?

Crystal zrobiła im na śniadanie koktajle mleczne.

– Chcesz porozmawiać? – zapytała, wręczając Mai ogromną szklanę.

– Nie.

Maya pociągnęła łyk. Banany, sok pomarańczowy, truskawki. Rozkoszowała się smakiem, którego być może długo nie będzie miała okazji poczuć.

– W porządku.

Crystal wzięła do ręki telefon i to było na tyle.

Craig przyjechał jak zwykle punktualnie. Przez większość drogi milczeli. Los Angeles było zakorkowane jeszcze bardziej niż zwykle. Od czasu do czasu odzywał się, by opowiedzieć jej szczegółowo to, co już wiedziała, o śledczych, którzy dokonają jej aresztowania, więzieniu, w którym się znajdzie, i przyziemnych procedurach towarzyszących aresztowaniu.

Sama mówiła podobne rzeczy swoim klientom. Nigdy nie zwracali na nie uwagi.

Zajechali przed komisariat. Daisey i Martinez czekali już na nich w zaułku przy Szóstej Ulicy. Czterech nieumundurowanych

funkcjonariuszy bez przekonania robiło za obstawę. Nikt nie spodziewał się żadnych scen.

Maya rozpoznała zastępcę prokuratora dystryktowego Bena Gao, który cierpliwie i w milczeniu obserwował i nadzorował pracę policji.

Craig wysiadł z samochodu i otworzył drzwi po stronie Mai.

– Zobaczymy się dopiero wtedy, gdy zostanie ci przedstawiony akt oskarżenia – powiedział cicho. – Więc proszę, zastanów się nad warunkami ugody.

Maya nie umiała sobie wyobrazić, by mogła się zastanawiać nad czymkolwiek innym.

– Jeśli chcecie wejść do środka – powiedziała śledcza Daisey – zawsze możemy porozmawiać przed odeskortowaniem pani do więzienia.

Craig zwyczajnie się roześmiał. Bez przymusu, prawdziwie, serdecznie, z głębi trzewi.

– Bez żartów, proszę – odparł.

Daisey się uśmiechnęła. Warto było spróbować. Wyciągnęła z kieszeni plastikowe kajdanki.

Maya oddała Craigowi swój telefon komórkowy, portfel i klucze. Lepiej, żeby to on miał na nie oko, a nie jakiś klawisz.

Bez słowa odwróciła się plecami do Daisey i wyciągnęła ręce za siebie.

– Może pani wyciągnąć ręce przed siebie – powiedziała Daisey. – Jeśli tak będzie pani wygodniej.

Nigdy linia oddzielająca dwie warstwy amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości nie była dla Mai bardziej czytelna niż wówczas, gdy policjantka zapytała ją, jak chciałaby zostać aresztowana.

Maya odwróciła się twarzą do Daisey i wyciągnęła ręce przed siebie. Daisey ostrożnie nasunęła jej kajdanki na nadgarstki i zacisnęła. Maya straciła swobodę ruchów.

– Mayu Seale – powiedziała śledcza Daisey – jest pani aresztowana pod zarzutem zamordowania Ricka Leonarda.

Rozdział 18

YASMINE

15 PAŹDZIERNIKA 2009

Yasmine Sarraf przysłuchiwała się, jak Maya i Rick dyskutują. Ich pierwszorzędne debaty zasługiwały na piątkę z plusem. To było naprawdę coś: subtelna protekcjonalność, oświadczenia składane w złej wierze – „wyłącznie dla jasności” – bezwzględne łapanie się za słówka i wychwytywanie przypadkowych niespójności wywodu. Co sobie o tym myślała Yasmine?

Że ci dwoje są dla siebie stworzeni.

Zaledwie przedwczoraj dowiedziała się od Fran, że ze sobą kręcą. Ale Fran nie wiedziała, czy są parą, czy chcą być parą, co to jest w ogóle za układ. Czy pasowali do siebie? Może Yasmine była nieuleczalną romantyczką – jej mąż David w kółko to powtarzał – ale obserwując, jak zacięcie dyskutują, miała pewność, że to nie jest przelotna miłośćka.

Żaden człowiek nie walczy tak zaciekle z kimś, na kim mu nie zależy. Nie odczuwa jego niesłusznych poglądów jako wymierzonej w siebie obelgi, jeśli jego opinie nie przejmują go do głębi.

Yasmine pochodziła z rodu zaprawionego w zażartych sporach. Jej rodzice byli niezrównanymi dyskutantami. Jako perscy Żydzi uciekli z Teheranu po rewolucji. Ona sama, będąc małą dziewczynką, wiedziała, że zabawa zaczyna się wtedy, gdy rodzice przechodzą na perski; angielski służył do robienia list zakupów i umawiania wizyt lekarskich. Jej mama zwykle zaczynała od kąśliwego przycinka: „A więc lubisz żyć w brudzie, tak?”, po czym sięgała po zniesławienie: „Nie szanujesz nikogo poza sobą!”. Ojciec odpierał napaść okrutnym śmiechem: „Ha! Tak sądzisz?”, po czym sięgał po arsenał uzalania się nad sobą: „Może powinienem zatem zostać w sklepie, gdzie przynajmniej lubią moje towarzystwo!”.

Trzasnąwszy drzwiami dwóch oddzielnych pokoi, przez kilka kolejnych dni rozmawiali ze sobą wyłącznie za pośrednictwem dzieci. Yasmine i jej brat Dariusz posłusznie przekazywali wiadomości.

– Yasmine – mówiła jej matka – powiedz, proszę, ojcu, że jeśli zamierza palić na ganku, to niech pozamyka okna.

– Dari – mówił jej ojciec – powiedz matce, że za długo zostawia ubrania w suszarce.

Co kilka tygodni Yasmine słyszała, jak rodzice gwałtownie wybaczą sobie za zamkniętymi drzwiami sypialni. Słyszała ich emocjonalne przeprosiny, po których następowały namiętne... hm, o tej części starała się zaledwie nie rozmyślać.

Sprzecznienie się było ich wspólnym hobby, które łączyło ich przez trzydzieści pięć lat.

Natomiast mąż Yasmine, David – rodzina z Upper West Side, rozwiedzeni rodzice, którzy nie rozmawiali ze sobą od dwudziestu lat, synek mamusi, ale absolutnie kochany – połowę życia spędził na kozetce terapeuty. Kiedy zaczęli się sprzeczać, a ona podniosła głos o pół decybel, mówił coś w stylu: „Yasmine, nigdy nie miałaś wzorca zdrowej relacji dorosłych ludzi”.

Całymi dniami rozpamiętywał najdrobniejsze nieporozumienie. Wystarczyło, że fuknęła, a już prosił o umówienie „wizyty rodzinnej”. Jego „strategie radzenia sobie” były równie romantyczne jak firmowa poczta.

I niby to było zdrowe?

Yasmine myślała o tym, jak walczą prawnicy w sądzie. „System kontradyktoryjny”, tak się to nazywało. Prawnicy obu stron ze wszystkich sił starali się wygrać, przy czym dozwolone były wszystkie chwyt. Cokolwiek wyłoniło się z tej plątaniny przetrąconych kończyn, zwało się sprawiedliwością.

Yasmine widziała w tym sens. Widzieli go chyba również Maya i Rick.

To było urocz, ile ich łączyło.

Dzisiaj polem bitwy był głos oddawany przez Petera. Peter wyrażał jakieś wątpliwości co do esemesów („No wiecie, każdemu z nas zdarzyło się wysłać dziewczynie jakiś tekst czy coś, czego nie należało wysłać, nie? Nie wsadzę za to gościa do więzienia”). Maya wyczuła, że być może zdoła przeciągnąć Petera na swoją stronę, i przypuściła atak („Skoro esemesy nie mają znaczenia, a zgadzam się, że nie mają, to jakim właściwie materiałem dowodowym dysponuje prokuratura?”). Oczywiście Rick nie zamierzał oddać Petera tak łatwo („Jakim materiałem poza logami telefonów komórkowych, kłamstwami Bobby’ego i wynikami badań DNA?”).

To ostatnie, DNA w samochodzie Bobby’ego, wydawało się Peterowi najistotniejsze („Po prostu z mojego punktu widzenia nic nie jest równie

ważne jak nauka”). To zaś oznaczało, że jakimś cudem wszyscy po raz tysięczny wracali do kwestii śladów krwi.

– Jak zatem – powiedział głośno Rick – krew Jessiki znalazła się w bagażniku samochodu Bobby’ego?

Maya sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

– Nie są w stanie udowodnić, że to była krew Jessiki. Pamiętacie przesłuchanie pracownicy laboratorium?

– Powiedziała, że to krew Jessiki!

– Powiedziała, że zbadana przez nią próbka została zidentyfikowana jako krew Jessiki. Ale przyznała, że technik, który zbierał próbki w samochodzie, nie przestrzegął odpowiedniej procedury.

– „Odpowiedniej procedury”. To strasznie mętne. Jeśli nieprawidłowo przechodzisz przez jezdnię, to też nie przestrzegasz odpowiedniej procedury. Jeśli podpiszesz czek czerwonym długopisem, też nie przestrzegasz procedury. Procedur jest tyle, że zawsze ktoś którejś z nich nie przestrzega.

– Mam jednak nadzieję – odparła Maya – że gdyby ktoś kiedyś cię zabił, technik stojący nad twoimi zakrwawionymi zwłokami nie omieszka postępować zgodnie z procedurami.

– Doceniam. – Głos Ricka ociekał sarkazmem.

– Słuchajcie, wy dwoje – powiedział Cal. – Może byśmy tak wzięli na wstrzymanie?

– Specjalistka od medycyny sądowej powiedziała, że jest pewna, że krew w bagażniku jest krwią Jessiki – odezwał się Peter.

– To prawda – dodała Carolina. – Była tego pewna.

– Ale zastrzegła, że nie jest to pewność stuprocentowa – zaprotestowała Trisha.

Yasmine była zdumiona, że Trisha występuje teraz w obronie niewinności Bobby’ego. Przynajmniej nie próbowała utrzymywać, że Bobby jest z całą pewnością niewinny. Wszystkie jej cięte komentarze uwypuklały istniejące niejednoznaczności.

– Dopiero po tym, jak prawniczka obrony zaczęła ją dociskać – odparł Wayne. Przez cały ranek niczym katatonik siedział z zamkniętymi oczami na swoim zwykłym miejscu przy oknie. Gdy pytali go, czy ich słucha, tylko kiwał głową. To były jego pierwsze tego dnia słowa i wszyscy poczuli się wzięci z zaskoczenia. – Nie mogła stwierdzić tego na sto procent, ale jest

specjalistką i ma przekonanie, że ta krew należała do Jessiki. Nie wiem, jak ktokolwiek działający w dobrej wierze może pomijać ten fakt.

Na chwilę zapadło milczenie. Wszyscy przetrawiali tak nagle wtrąconą do rozmowy uwagę Wayne'a.

– Ale tu nie chodzi o niczyje przekonania – odezwała się Trisha. – Tu chodzi tylko o to, czego można dowieść.

– No cóż, ta kobieta bez wątpienia wyglądała na kogoś, kto wie, o czym mówi. Skoro ona w to wierzy, to ja wierzę jej – powiedział Wayne.

– Dlaczego? – zapytała Maya cichszym głosem.

– Bo wygląda na uczciwą osobę.

Yasmine dostrzegła krótki przebłysk uśmiechu na twarzy Mai. Mama Yasmine robiła taką minę, kiedy udało jej się zapędzić swojego męża w kozi róg.

Maya powtórzyła słowa Wayne'a:

– „Bo wygląda na uczciwą osobę”.

– Właśnie to powiedziałem.

– Co jest takiego w technicze medycyny sądowej, że wygląda w twoich oczach na „uczciwą osobę”, Wayne?

– Maya – wtrącił się Rick – ta kobieta jest specjalistką w swojej dziedzinie.

Yasmine spojrzała na Petera, który odsunął się nieco od Wayne'a, jakby nie chciał wpaść do dziury, która otwarła się nagle między nimi.

– Pozwól Wayne'owi odpowiedzieć.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz – odparł Wayne.

– Sądzisz, że techniczka medycyny sądowej jest wiarygodniejsza i uczciwsza niż Bobby Nock – stwierdziła Maya. – I może faktycznie tak jest. Ale ostatecznie do tego się wszystko sprowadza, prawda? Komu dajemy wiarę.

– Jest wiele powodów, by wierzyć lub nie wierzyć każdej z tych osób – powiedział Peter.

Próbował wyprowadzić ich ze zdradliwych rejonów, ale bezskutecznie.

– Masz rację – przyznała Maya. – Możemy tu przesiedzieć kolejny rok, rozmawiając o plamach krwi. O tym, ile cząsteczek DNA znajdowało się w której próbce, ile godzin ta czy tamta fiolka leżała bez nadzoru na laboratoryjnym stole. Możemy rozpracowywać wszystkie te bzdury po kolei. Ale to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. Dla nikogo z nas. Tu nie

chodzi o „fakty”. Tu chodzi o ludzi. Konkretnie: o jedną osobę. Czy wierzymy Bobby’emu Nockowi? Czy też uważamy, że kłamie?

– Jak dla mnie – powiedział Wayne – ten chłopak wygląda na stuprocentowego pieprzonego łgarza.

Yasmine poczuła, jak w pokoju ciężko zawisa słowo „chłopak”. Nie do wiary, że Wayne dał się podpuścić, żeby powiedzieć coś takiego.

Trisha ze świstem wciągnęła powietrze, jakby ktoś uderzył ją w splot słoneczny.

Peter zamknął oczy, wydawał się sparaliżowany samym faktem bycia po tej samej stronie co Wayne.

Włączył się Rick. Wiedział, że ohydne uchybienie zawodnika z tej samej drużyny jego również stawia w fatalnym świetle.

– Bobby jest niewiarygodny, bo wiemy, że kłamał już wcześniej – powiedział. – Okłamał policjantów, szkołę, wszystkich, którzy mogli się dowiedzieć o jego absolutnie niestosownej relacji z jedną z uczennic. – Rick obrócił się do Wayne’a, aprobując, a jednocześnie krytycznie. – Mamy solidne podstawy, by nie dawać wiary jego słowom.

Wayne albo nie zrozumiał, albo nie chciał zrozumieć.

– Ja tam nie wiem – burknął. – Myślę, że po prostu chłopak jest kawałem gnoja.

Yasmine widziała frustrację Ricka. Wayne nawalił. Mleko się rozlało.

Maya uderzyła prosto w czuły punkt. Mówiąc do Petera, wskazała gestem Wayne’a.

– To jest właśnie wasza argumentacja. Do tego sprowadza się wasze stanowisko. Możesz to ubrać w dowolne słowa, ale czy naprawdę chcecie, by obecna tu ława przysięgłych wydała wyrok właśnie w tym duchu?

– Nie traktuj Petera, jakby był Wayne’em – zaprotestował Rick.

Wayne natychmiast to wychwytał.

– Słucham?!

– Ja i Peter nie stawiamy sprawy w ten sam sposób co ty.

– Tak sądzicie? A może ja po prostu mówię to, co sami myślicie, tylko boicie się powiedzieć głośno?

Wayne wychylił się naprzód, opierając łokcie na stole. Yasmine poczuła, jak pod ciężarem jego ciała stół lekko się poruszył. Prawym obcasem Wayne uderzał szybko, jeszcze szybciej niż zwykle, o podłogę. Yasmine bała się, że zaraz wybuchnie. Może nie dziś i nie jutro, ale na pewno niedługo.

– Nie wmawiaj mi, że wiesz, co myślę – zaproponował Rick.

– To nie nazywaj mnie rasistą.

Po słowie na „r” nikt już na pewno nie przysypiał.

Peter zmartwiał. Biały mężczyzna, mieszkający jak i on w Kalifornii, śmiertelnie obawiał się tego, by przypadkowo czy celowo nie uznano go za ciemniaka i kołtuna. Yasmine prawie słyszała myśli przewalające się przez jego głowę: „Czy głosowanie tak samo jak Wayne, chociaż z innych powodów, można uznać za przejaw rasizmu?”.

– Nikt cię nie nazwał rasistą – powiedział Jae do Wayne’a.

Ale Wayne’a już poniosło. Był pewien, że go zelżono, i nie zamierzał puścić tego płazem.

– Ale Rick tak pomyślał – stwierdził, nachylając się przez stół w kierunku Ricka. – Zaprzeczysz, Rick?

– Dlaczego słowo „rasista” tak mocno wytrąca wszystkich z równowagi?

– Rick również nie zamierzał odpuścić. – Można by pomyśleć, że to najbardziej obelżywe słowo w całej angielszczyźnie. Co jest dość zabawne, bo bez problemu potrafię wskazać gorsze.

Dzięki Bogu oszczędził im słowa na „cz”.

– Tu nie ma albo-albo. To nie jest konstrukcja binarna. „Ten człowiek jest rasistą”. „Ten człowiek nie jest rasistą”. Zero albo jedynka. To jest pewna struktura. Ramy myślowe.

– Jasne – zadrwił Wayne.

– Pomyśl o seksizmie. Kurde, pomyśl o orientacji seksualnej. Pomyśl o samym koncepcie. Rasizm dotyczy orientacji rasowej. Powiedzenie, że oceniasz Bobby’ego Nocka przez pryzmat koloru jego skóry, nie jest tym samym co powiedzenie, że jesteś jakimś nieuleczalnym burakiem, prostackim skurwysynem, który ciąga za sobą kaptur i linę. Uważamy rasistów za jakąś inną kategorię ludzi, jakiś podzbiór kurewskich podludzi, czarne charaktery we wszystkich tych groteskowych filmach z białymi zbawcami. Są nam przedstawiani jako osobnicy tak bezwzględnie źli, że możemy wieczorem spokojnie kłaść się do łóżek ze świadomością, że nic nas z nimi nie łączy. A jeśli to nie jest takie oczywiste? Jeśli to bardziej skomplikowane niż wyraźny podział na heroicznym białych antyrasistów i złych do szpiku kości białych rasistów? A co, jeśli z mojej perspektywy najbardziej naglące pytanie nie dotyczy tego, jak rasistowski jesteś we własnym mniemaniu albo jakie masz dowody na poparcie tego, że nie jesteś? Gównu mnie obchodzi, czy we własnym mniemaniu na jakiejś

rasistowskiej skali Kinseya plasujesz się na jedynce czy dziesiątce. Interesuje mnie tylko to, co zamierzasz w tej sprawie zrobić.

Wayne wyglądał na dziwnie rozbawionego tą przemową.

– Nie mam pojęcia, co ty gadasz. Ale to ty wyciągnąłeś ten cały „rasizm”.

Yasmine widziała już, że Peter przeszedł do przeciwnego obozu. Na jej oczach Maya przeciągnęła Caroline, potem Lilę, Trisnę, a teraz Petera. Yasmine patrzyła, jak młodsza od niej kobieta opada na oparcie krzesła z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Maya domyśliła się, że Wayne i Rick wyznają te same poglądy, jednak z diametralnie różnych powodów. Rozbiła ich przymierze, płosząc w ten sposób Petera. Z jego punktu widzenia bezpieczniej było zagłosować razem z Mayą niż zbrukać się pozostaniem w obozie przeciwnym. Z kolei Wayne i Rick, zamiast dyskutować z Mayą, zaczęli się ze sobą spierać. Można było przyjąć, że ostatecznie jeden z nich wkurzy drugiego tak mocno, że sam wyląduje w stronnictwie Mai.

Kto zabił Jessicę Silver? Yasmine nie miała pojęcia.

Ale to było już bez znaczenia. Przeciwstawianie się Mai nie miało sensu. Ustrzeli ich wszystkich po kolei, aż wreszcie podda się nawet Rick.

Rozdział 19

TAK MI PRZYKRO
TERAZ

Ogólnie rzecz biorąc, w więzieniu nie było wcale tak źle. Sprawa została zbyt nagłośniona medialnie, by Ben Gao, zastępca prokuratora dystryktowego, ryzykował przetrzymywanie Mai z innymi więźniami. Gdyby ją choćby draśnięto, Craig zalałby władze stanowe sprawami z powództwa cywilnego. Była więc dobrze traktowana, co w areszcie hrabstwa Los Angeles oznaczało tyle, że w dużej mierze zostawiono ją samej sobie.

Zaprowadzono ją do oddzielnej celi i kilka godzin później poinformowano, że akt oskarżenia zostanie jej przedstawiony następnego ranka. Craig ją na to przygotował, choć sama też to przewidziała. Gdyby sędzia pozwolił jej wyjść za kaucją, Ben Gao mógłby powiedzieć, że przynajmniej jedną noc spędziła za kratkami. Zyskiwał w ten sposób informacje w dwóch wydaniach wiadomości: dziś jej aresztowanie, jutro przedstawienie aktu oskarżenia.

Leżała na twardej metalowej ławie, która – o ile nie liczyć muszli klozetowej bez deski – stanowiła jedyne umeblowanie celi. Miała mnóstwo czasu na rozmyślanie; popołudnie niepostrzeżenie przeszło w wieczór, wieczór wyparował w noc. To był najgorszy element jej krótkiego pobytu w więzieniu: brak dostępu do czegokolwiek poza własnymi myślami. A od własnych myśli chciała uciec jak najdalej.

Po śniadaniu złożonym z jajecznicy w proszku i pieczonych ziemniaków została przewieziona przez funkcjonariuszy służby więziennej do budynku sądu. Odpowiedzialność za nią przeszła z jednych służb na drugie, z miasta na stan. Gdyby zadźgano ją w sądowym korytarzu, kłopoty miałyby całkiem inna grupa prawników.

Po krótkim przejeździe policyjną furgonetką zabrano ją do budynku sądu, a następnie przeprowadzono w kajdankach korytarzem, w którym razem z Rickiem rozwiązywali kiedyś krzyżówki. Minęła tylne wejście do sali sądowej, w której po raz pierwszy widziała Bobby'ego Nocka. Usłyszała

własne kroki na terakotowej posadzce pod salą, w której kilka lat wcześniej wywalczyła uniewinnienie nastolatki oskarżonej o zabicie molestującego ją wuja. Pomyślała o wszystkich rolach, tak bardzo różnych, które odgrywała w tym budynku. Czuła, że niezależnie od tego, jaki obrót przybiera jej życie, to miejsce jest jej przeznaczone.

Znów zaprowadzono ją do celi, w której ponownie była jedyną osadzoną. Sąd i zakład karny obchodziły się z nią jak z jajkiem. Zastanawiała się wcześniej, czy to doświadczenie odsłoni przed nią wewnętrzne mechanizmy działania prawa karnego z perspektywy osoby oskarżonej. Poczowała rozczarowanie, że tak się nie stało. Była wyjątkowa. Nawet tutaj chroniły ją przywileje, o których nikt głośno nie mówił.

Gdyby wszyscy oskarżeni byli traktowani równie troskliwie... Gdyby traktowano tak Bobby'ego Nocka.

Przesłuchanie Mai wyznaczono jako pierwsze tego dnia. Za stołem sędziowskim zasiadła sędzia Anita Fontaine.

Rodzice Mai siedzieli wśród publiczności. Maya nie poznałaby własnej matki, gdyby nie to, że siedziała obok jej ojca, ubranego w granatową marynarkę, niewzruszonego jak skała. Mama Mai tryskała zwykle entuzjazmem, jaśniała kolorami i pobłyskiwała ciężką, masywną biżuterią. Zaprzyjaźniała się z każdym kelnerem i jakimś cudem skłaniała do zwierzeń każdego sklepikarza, u którego kupowała akurat apaszkę. Tego ranka nawet się nie uczesała. Oczy miała nabiegłe krwią, twarz opuchniętą od płaczu.

Gdy Maya weszła na salę sądową, jej ojciec uniósł rękę.

Ze wszystkich sił starała się do nich uśmiechnąć, milcząco zapewnić, że ten proces to tylko formalność.

W ławce po drugiej stronie przejścia siedziały dwie osoby. Podejrzewała, że to rodzice Ricka. Byli chyba w jeszcze gorszym stanie niż rodzice Mai. Maya pamiętała, że rozwiedli się lata temu, lecz mimo to usiedli razem. Po drugiej stronie ojca Ricka siedziała kobieta będąca chyba jego drugą żoną.

Czy w ciągu kilku minionych dni zorganizowali Rickowi pogrzeb? Maya nie miała pojęcia. Była zbyt zajęta zabieganiem o to, by nie znaleźć się w miejscu, w którym się właśnie znalazła.

Rodzice Ricka spiorunowali ją wzrokiem – zimnymi, twardymi spojrzeniami, które jednak nie ujawniały wszystkiego, jakby nie chcieli dać

po sobie poznać, jak potwornie cierpią. Maya była pewna, że niezależnie od wyroku sądu będą jej nienawidzić do śmierci.

Miejsca dla publiczności były w połowie wypełnione przedstawicielami prasy i prawnikami, w których Maya rozpoznała pracowników własnej kancelarii.

Samotny Craig czekał na nią przy stole obrony. Po drugiej stronie przejścia siedział Ben Gao z dwoma młodszymi prawnikami ze swojego biura.

Maya usiadła obok Craiga. Była tak otępiąła, że ledwie zarejestrowała fakt zdjęcia jej przez woźnego kajdanków.

– Jak się miewasz? – wyszeptał Craig.

Rozprostowała nadgarstki.

– W porządku.

– Proszę oskarżoną o powstanie – powiedziała sędzia Fontaine. – Mayu Louise Seale, zarzuca się pani zabójstwo pierwszego stopnia, zabójstwo drugiego stopnia, napaść pierwszego stopnia i porwanie. Czy oskarżona przyznaje się do stawianych jej zarzutów?

Wysuwając zarzut zabójstwa, oskarżyciele Bobby’ego Nocka postawili wszystko na jedną kartę. Maya wiedziała już, że było to dość rzadko stosowane, ryzykowne posunięcie, zrodzone z nadmiernej pewności siebie. Tamtą sprawę przegrali. Ben Gao nie zamierzał powtarzać ich błędu. Strzelał grubym śrutem z nadzieją, że jeden z odłamków trafi w tętnicę. Przy takiej strategii zmuszony był przedstawić kilka teorii popełnienia jednego przestępstwa. Gdyby ławnicy nabrali przekonania, że Maya Seale zawczasu zaplanowała zamordowanie Ricka, mogliby ją skazać za zabójstwo pierwszego stopnia. Gdyby doszli do wniosku, że była to zbrodnia w afekcie, mogliby ją skazać za zabójstwo drugiego stopnia. Gdyby uwierzyli, że nie zamierzała zabić Ricka, lecz tylko nieopatrznie go uderzyła, a jego śmierć była wypadkiem, któremu można było zapobiec, mieli do dyspozycji napaść pierwszego stopnia.

Porwanie było jakąś bzdurą. Ławnicy mogliby, oczywiście, dojść do wniosku, że Maya uwięziła Ricka; przetrzymywanie go choćby przez sekundę w jej pokoju wbrew jego woli wyczerpywało znamiona porwania. Niemożliwe, by ktokolwiek uwierzył, że go faktycznie „porwała”, ale zarzut pozostawiał ławnikom pewną swobodę. Gdyby wśród przysięgłych pojawił się jakiś apostata walczący o uniewinnienie – ktoś taki, jak, dajmy na to, ona – grupa mogłaby uznać porwanie za pewien kompromis.

– Czy oskarżona przyznaje się do stawianych jej zarzutów? – ponowiła pytanie sędzieja Fontaine.

Craig nachylił się i wyszeptał:

– No więc? Wóz albo przewóz.

Maya była mu wdzięczna za tę próbę zachowania luzu. Z perspektywy Craiga stojąca przed nimi decyzja nie była kwestią moralności czy sumienia, lecz wyłącznie strategii obrony.

Gdyby Craig nie miał skrupułów, Mai łatwiej byłoby wybrać. Ale było wręcz przeciwnie: w myśl nadrzędnej zasady kierującej jego życiem należało jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Trudno było wyobrazić sobie kogoś bardziej niż Craig zaangażowanego w sprawne funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Kierował się platońskimi ideałami zaczerpniętymi z wykładu dla studentów pierwszego roku prawa, który sama w połowie przespała: w systemie kontradyktoryjnym bezwzględny obowiązek stron było dołożyć starań, by wygrać postępowanie. Martwienie się o to, czy werdykt jest zgodny z prawdą, należało pozostawić systemowi.

A jednak w sali wypełnionej prawnikami ostatnim, na co można było liczyć, była prawda. Nikt z nich nie przyszedł tu po sprawiedliwość.

Maya dotknęła dłoni Craiga.

– Nie mogę tam wyjść i skłamać.

Craig nakrył jej dłoń swoją dłonią.

– Wiesz, że jesteś prawniczką, prawda?

W jego oczach dostrzegła nieklamany niepokój.

– Naprawdę mi przykro.

– Proszę obronę o natychmiastowe ustosunkowanie się do przedstawionych zarzutów.

– Tak, wysoki sędzie. – Craig uściśnął palce Mai, po czym wyszeptał: – Jeśli chcesz usłyszeć moją opinię jako prawnika, to popełniasz katastrofalny błąd. Błagam cię, zastanów się jeszcze. Cokolwiek w tym momencie powiem, zostanie podane dalej przez media i będzie miało wpływ na opinie przyszłych ławników. Nie będziesz się już mogła wycofać. Wybieramy w tym momencie jedną wersję i nie zmieniamy zdania nawet na sekundę, póki nie zostaniesz oczyszczona z zarzutów. Proszę, pozwól mi przedstawić wersję samoobrony.

Maya odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję ci. Masz absolutną słuszność. Ale nie zabiłam Ricka Leonarda.

Craig skurczył się w sobie. Skoro już wypowiedziała te słowa w jego obecności, zgodnie z prawem nie wolno mu było bronić tezy samoobrony.

– Niech cię wszyscy diabli, Maya.

Sekundę później odwrócił się twarzą do sędzi.

– Wysoki sędzie, zgodnie z posiadaną przeze mnie wiedzą i zgodnie z tym, co jest powszechnie wiadome, moja klientka jest niewinna. Nie przyznaje się do żadnego ze stawianych jej zarzutów.

Maya usłyszała dobiegające ze wszystkich stron pomruki. Spojrzała na Bena Gao, który zachował kamienny wyraz twarzy.

– Zapisujemy zatem w protokole, że oskarżona nie przyznaje się do żadnego ze stawianych jej zarzutów – powiedziała sędzia Fontaine. – Jakie są zalecenia prokuratury, jeśli chodzi o kaucję?

– Wysoki sędzie, prokuratura nie zaleca zwolnienia oskarżonej z aresztu za kaucją – oświadczył Ben Gao.

W sali znów rozległy się pomruki. Maya była prawie pewna, że słyszy płacz własnej matki.

– Oskarżona dysponuje odpowiednimi środkami finansowymi i w oczywisty sposób zachodzi tu wysokie prawdopodobieństwo ucieczki. Wiemy o związkach łączących ją z Robertem Nockiem, skazanym prawomocnym wyrokiem, który obecnie ucieka przed wymiarem sprawiedliwości. Prokuratura ma silne przekonanie, że jeśli wysoki sąd zgodzi się na zwolnienie za kaucją, choćby bardzo wysoką, oskarżona nigdy więcej nie pojawi się w tej sali sądowej.

Sędzia Fontaine przyjęła to do wiadomości.

– Czy chciałby się pan do tego odnieść, mecenasie Rogers?

Craig odpowiedział, zwracając się wprost do Bena Gao:

– Jak pan śmie! Wysoki sędzie, nie zadam sobie trudu wskazywania, że moja klientka przez dziesięć lat była przykładną obywatelką szanowaną w swojej społeczności. Nie będę marnował czasu wysokiego sądu na przypominanie, że jest członkinią kalifornijskiej palestry, cenioną w środowisku prawniczym, i przyrzekła służyć nie tylko własnym klientom, ale i temu konkretnie sądowi. Szczęśliwie nie muszę odnosić się do faktu jej wcześniejszego notowania, ponieważ nic takiego nie miało miejsca. Chciałbym jednak powiedzieć rzecz następującą: dziesięć lat temu moja klientka wsparła naszą społeczność, zasiadając w ławie przysięgłych. Właśnie w tym budynku zrobiła to, czego oczekujemy od wszystkich naszych obywateli. A teraz siedzi tu, na tym krześle. Jest powszechnie

znana z roli, którą wówczas odegrała w służbie wymiaru sprawiedliwości, a to sprawia, że jej uwięzienie jest groźne. Chciałbym przypomnieć, że to za sprawą niedopełnienia obowiązków przez wymiar sprawiedliwości tożsamość mojej klientki została dziesięć lat temu ujawniona. Gdyby cokolwiek przytrafiło się jej w areszcie władz stanowych, które niegdyś zawiodły jej zaufanie, zaniedbanie władz polegające na umieszczeniu powszechnie znanej obywatelki w środowisku cieszącym się tak złą sławą dałoby aż nadto powodów do wniesienia pozwu, a ponadto zniechęciłoby obywateli do udziału w tym, co stanowi fundament amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Wskutek takiej decyzji ucierpieliby w sposób nieodwracalny wszyscy ławnicy, wszyscy oskarżeni, a nawet wszyscy oskarżyciele. Największych szkód doznałaby nie moja klientka, ale wymiar sprawiedliwości, który wskutek tego jednego katastrofalnego orzeczenia straciłby zdolność do dalszego funkcjonowania.

Zapadła długa cisza.

Zastępca prokuratora dystryktowego zapewne powinien coś powiedzieć choćby po to, by nie sprawiać wrażenia, że odebrało mu mowę, ale nie odezwał się nawet słowem.

Sędzia Fontaine przemówiła:

– Ustala się zatem kaucję w wysokości miliona dolarów.

– Doskonale, wysoki sądzie. – Craig spojrzął na woźnego. – Mam już wypisany czek. Do usług.

Sędzia stuknęła młotkiem, próbując uciszyć gwar na sali.

Craig usiadł i nachylił się, by szepnąć Mai do ucha:

– Teraz ty rozdajesz karty.

Mayę zwolniono z aresztu niecałą godzinę później. Craig odebrał ją i zaprowadził do limuzyny zaparkowanej na dwóch miejscach parkingowych przy Hill Street. Pomógł jej usiąść z tyłu, gdzie czekali już jej rodzice.

To było zdecydowanie najtrudniejsze. Mama szlochała, a kiedy objęła Mayę, również ojcu nie udało się powstrzymać emocji. Oboje przytulili ją bez słowa. Craig zajął miejsce kawałeczek dalej i uprzejmie przeglądał zdjęcia w telefonie.

– Mamo. Tato. Naprawdę, nic się nie dzieje. Wszystko będzie dobrze.

Czy sama w to wierzyła? Była zdecydowana spróbować.

– W porządku. – Tylko tyle zdołał wydusić z siebie jej ojciec. – W porządku.

– Oddam wam pieniądze za kaucję. Moja hipoteka...

Myśl o tym, że rodzice musieli wypisać dziś rano czek opiewający na dziesięć procent milionowej kaucji, była naprawdę okropna. Mai zrobiło się wstyd, że po wszystkim, co udało jej się w życiu osiągnąć, rodzice muszą teraz wykupywać ją z więzienia.

– Chodź, zawieziemy cię do domu – powiedział ojciec.

– Nie radziłbym tam wracać – wtrącił Craig. – Media w końcu zdobędą adres, o ile już go nie mają. Wolałbym, żebyście we troje zaszyli się gdzieś na uboczu.

– Dobrze. Tak. Słuszna myśl – zgodził się ojciec Mai.

– Może zamieszkalibyście przez tydzień w moim domu w Malibu? – zaproponował Craig. – Mój mąż jest w Nowym Jorku. Będziecie tam sami.

– Malibu – powiedział ojciec Mai, jakby powoli przetrawiał tę informację.

Maya skinęła głową Craigowi.

– Dzięki.

– Malibu to dobry wybór – stwierdził Craig. – Tylko korki okropne.

Trzy poziomowy dom Craiga stał niedaleko arterii Malibu Road. Wystrój był cieplejszy, niż Maya by się spodziewała: więcej drewna, mniej szkła, na ścianach więcej osobistych zdjęć w ramach niż wspaniałych dzieł abstrakcjonizmu. Ale stanąwszy na patio na pierwszym piętrze, wokół siebie widziała już tylko ocean.

– Czy Craig właśnie tak zawsze zachowuje się w sądzie? – zapytał tata Mai, stając obok niej przy barierce. Craig został w Los Angeles. Pojechał do swojego domu w Hancock Park, z którego zwykle korzystał w tygodniu.

– Właściwie nigdy nie widziałam go na sali sądowej. Prowadzi kancelarię. Zatrudnił mnie od razu po studiach.

– Niezły jest, tak na oko.

Maya przypomniała sobie, jak będąc w liceum, pożyczyła kiedyś od ojca samochód, a potem jej znajomy zostawił na desce rozdzielczej skręta. Ależ sobie nagrabiła... Dwa tygodnie później ktoś doniósł dyrekcji szkoły, że Maya trzyma w szafce marihuanę. Podczas przeszukania znaleziono kilka zabłąkanych pokruszonych liści. Dyrektor wezwał jej ojca na rozmowę, a ten stanął całkowicie po jej stronie, grożąc, że pozwie szkołę, jeśli ta

wymierzy Mai karę, nie dysponując przekonującymi dowodami. Zdjął jej nawet szlaban za wcześniejsze przewinienia. Potrafił być surowy, ale gdy czuł, że coś jej grozi, skupiał się tylko na tym, jak ją ochronić.

Nie wiedziała, jak powiedzieć to, co należało w tym momencie powiedzieć. Pomyślała, że ojciec uzna to za obrazę, ale z drugiej strony... Gdyby się nie odezwała, to czy do końca życia nie zastanawiałby się podświadomie, jaka jest odpowiedź na pytanie, którego nigdy nie odważył się zadać?

– Tato... – zaczęła z wahaniem. – Słuchaj, po prostu chciałabym, żebyś wiedział...

– Co?

Czarne fale rozpląwały się cicho po piasku.

– Nie zrobiłam tego.

Wzdrygnął się, jakby coś go przestraszyło.

– Kochanie... Ja... Och, skarbie...

– Nigdy byś tak nie pomyślał. Wiem. Po prostu ci mówię. Wprost. Nikogo nie zabiłam.

Powoli zakołysał się w przód i w tył na piętach, zaciskając ręce na metalowej barierce.

– Wiesz, że nawet jeśli to zrobiłaś, zawsze będę cię kochał.

Poczuła się urażona czy wzruszona? Trudno było powiedzieć.

– Wiem.

– Zobaczysz, jak to jest, jak sama będziesz miała dzieci. To bez znaczenia, czym zawiniły. Chronisz je tak czy inaczej.

– Tato... Powiedziałam ci, że tego nie zrobiłam.

Wziął głęboki wdech i puścił barierkę.

– No to mamy przesrane, prawda?

Ten wieczór był przedziwnie rodzinny. Ugotowali razem kolację. Mama Mai poszła zrobić zakupy w spożywczym, po czym pokazała im, jak przyprawia się świeżego okonia. Ojciec wziął się za sprzątanie, a Maya zrobiła wszystkim drinki, sięgając do znakomicie zaopatrzonych barku Craiga. Obejrzelili film na wielkim telewizorze. Przypominało to weekend Święta Dziękczynienia albo jeden z tych leniwych dni po Bożym Narodzeniu, gdy przyjeżdżała na jakiś czas do domu.

Żadne z nich nie wspomniało już o morderstwie.

Nazajutrz wstała z łóżka i zastała ojca siedzącego przed telewizorem. Oglądał film, przy którym zasnął zeszłego wieczoru. Maya zapamiętała, że pod koniec był zaskakujący zwrot akcji; ojciec chciał się dowiedzieć, co przespał.

Usiłowała właśnie rozgryźć działanie ekspresu Craiga, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Chwilę zajęło jej uzmysłowienie sobie, że dzwoni stacjonarny. Nie zdawała sobie sprawy, że tu w ogóle jest linia telefoniczna.

Pięć dzwonek później namierzyła telefon w kącie śniadaniowym.

– Halo? – powiedziała. – Tu... dom Craiga Rogersa.

– Mówi Craig. Włącz telewizor.

Słyszała dobiegającą z sąsiedniego pokoju ścieżkę dźwiękową filmu.

– Mój tata ogląda...

– Wiadomości. Proszę.

Nie wypuszczając z ręki słuchawki, przeszła do sąsiedniego pokoju i wzięła pilota leżącego obok ojca.

Chciał zaprotestować, ale zamarł, gdy zobaczył wyraz jej twarzy.

– Kochanie?

– Która stacja? – zapytała do słuchawki.

– Bez znaczenia, wszystkie pokazują to samo.

Maya przeczuciła na CNN. Pasek zajmował jedną trzecią ekranu: BOBBY NOCK NIE ŻYJE – PRZYCZYNĄ PRAWDOPODOBNIIE SAMOBÓJSTWO.

Jej ojca aż zatchnęło.

– O rany boskie... Co się stało? – zapytała Maya.

– Policja znalazła zwłoki w motelu w Teksasie – powiedział Craig. – Fox i CNN twierdzą, że zostawił list, MSNBC nie potwierdza. A poza tym...

Na ekranie pojawiło się najwyraźniej pośpiesznie zrobione zdjęcie obskurnego motelowego pokoju. W kadrze zmieściło się stare łóżko przykryte spłóviałą kapą w kwiaty i niski drewniany stolik. Leżała na nim zamazana biała kartka i srebrny wisiołek.

Wisiołek Jessiki Silver błyszczał jasno nawet na tym kiepskim zdjęciu.

Maya natychmiast go rozpoznała. Nie pojmując, co właściwie ogląda, z trudem stłumiła krzyk.

– Czy to... – odezwała się mama Mai. – Czy to nie wisiołek Jessiki Silver?

Maya poznałaby go na końcu świata. Wpatrywała się w niego przez wiele godzin, uwiecznionego na ostatnim zdjęciu Jessiki zrobionym przez

kamerę monitoringu w jej szkole. Doskonale wiedziała, jak ubrana była Jessica na kilka godzin przed swoją śmiercią. Granatowy szkolny mundur. Białe adidasy. Błyszczący naszyjnik z prawdziwego srebra.

Ekran wypełnił się tekstem napisanym odręcznie niebieskim długopisem na kartce: „Tak mi przykro”.

Mai zakręciło się w głowie.

– Ale on tego nie zrobił... – powiedziała słabym głosem do Craiga. – Powiedział mi... na pustyni... Mówił prawdę...

Przecież była tego taka pewna.

– W tej kwestii jesteś nadzwyczaj konsekwentna. Nie wydaje się, żeby policja zdążyła już zbadać wisiołek pod kątem DNA Jessiki Silver.

– To jej wisiołek – przyznała Maya.

Przypomniała sobie miękką torbę turystyczną, którą na jej oczach Bobby zabrał ze sobą. Pomyślała o kilku pamiątkach, które wepchnął do środka. Czy wśród nich mógł być naszyjnik?

Usiłowała pogodzić tę informację z własnym wyobrażeniem o świecie, ale tu nic do niczego nie pasowało.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest wisiołek Jessiki Silver. Bo jeśli tak, a prokurator udowodni, że Rick Leonard o tym wiedział... to motywy stojące za zabiciem go przez ciebie stają się jasne jak słońce.

Rozdział 20

FRAN

16 PAŹDZIERNIKA 2009

Fran Goldenberg szykowała się już do łóżka, gdy usłyszała dziwny dźwięk dobiegający z łazienki. Przyzwyczaiała się do nocnych hałasów w hotelu Omni, ale to było coś nowego.

Jakby przytłumione, nieregularne jęki. Odgłosy wydawane przez człowieka.

Przyłożyła ucho do ściany łazienki, za którą znajdowała się łazienka Wayne'a. Czasem słyszała go rano, jak się kąpie. Z trudem znosiła myśl o tym, że on może słyszeć to samo.

Ale teraz brzmiało to tak, jakby wymiotował.

– Wayne? – Zapukała w ścianę. – Wszystko w porządku?

Bez odpowiedzi. Tylko te jęki.

– Wayne?

Nadal bez odzewu.

Zaniepokoiła się. Wsunęła kapcie i wyszła na korytarz. O tej godzinie na dwunastym piętrze panowała upiorna cisza.

Na palcach podeszła do drzwi pokoju Wayne'a i zapukała jeszcze raz.

Gdzie się podział Glen, nocny strażnik, który zwykle pełnił służbę przy windzie? Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że na krześle siedzi jakiś obcy funkcjonariusz, którego nie znała. Zastępca Glена pogrążony był w głębokim śnie.

Czy powinna go obudzić? Ale co mu powiedzieć? Że słyszy dziwne hałasy dobiegające z pokoju Wayne'a? Wyszłaby na wariatkę, paranoiczkę albo zwyczajną wścibską babę, względnie wszystko z powyższych. A jeśli narobi sobie kłopotów przez to wychodzenie z pokoju o tak późnej godzinie?

Z perspektywy czasu Fran gotowa była przyznać, że strasznie się denerwowała, gdy związała ze stolika strażnika jego kartę magnetyczną. Łamanie przepisów nie leżało w jej naturze. To Wayne i Maya mieli skłonność do rebelii. Może uwięziona tu z nimi zaczynała się do nich upodabniać?

Wróciła pod pokój Wayne'a, przeciągnęła kartę przez zamek i pchnęła drzwi.

– Wayne?

W środku paliły się wszystkie światła. Drzwi do łazienki były otwarte.

Znów usłyszała jęk człowieka wstrząsanego torsjami.

Wayne leżał na podłodze w pozycji embrionalnej. Ślina i wymiociny pokrywały jego twarz i zimne kafle.

Fran ukłękła obok niego. Znów zwinął się w gwałtownym spazmie, ale nie zwymiotował już nawet płynem, tylko cienką strużką żółci.

– Wayne – powiedziała Fran. – Wayne.

Oczy miał, dzięki Bogu, otwarte.

– Fran? – wymamrotał.

– Co się stało? Jak się czujesz?

To wtedy zobaczyła leżącą na podłodze pod umywalką pustą buteleczkę. Sięgnęła po nią, drugą ręką unosząc głowę Wayne'a.

Nazwa na etykiecie nic jej nie mówiła. Czy to były tabletki nasenne?

– Fran? – Głos Wayne'a był ledwie słyszalny. Ale dobrze, że w ogóle coś mówił.

– Słucham, kochany. Jestem tutaj.

Fran nie było przy tym, jak umierał jej najstarszy syn Josh, który był wtedy na drugim końcu świata. Od miesięcy nie miała nawet jego numeru. W końcu dowiedziała się, że jest w Tajlandii. Pojechał tam pić, ćpać i wyniszczać się na inne sposoby. Dowiedziała się, że ukuto nawet specjalne określenie na ludzi takich jak Josh. Nazywano ich deathpatami: ekspatami śmierci. Jechali do niedrogiemu kraju z korzystnym przelicznikiem walutowym, by odurzać się do nieprzytomności tak długo, aż organizm nie wytrzyma.

Czy tak właśnie wyglądał hotelowy pokój, w którym znalazła go tajlandzka policja? Czy Josh umarł na zimnej wykafelkowej podłodze?

Po ciału pojechał jej najmłodszy syn Ethan.

– Wayne, kochany... Wziąłeś te wszystkie tabletki?

Skinął głową. Wyglądał na skrępowanego.

– To był błąd – wyszeptał. – Staralem się to wszystko wyrzygać.

– Wymioty pomagają. Usuwają tabletki z żołądka. Nic ci nie będzie.

Przekonywała chyba samą siebie.

Płakał. Może nie miał już nic poza łzami.

Próbowała wstać, wysuwając dłoń spod jego głowy.

- Nie – powiedział błagalnie. – Proszę.
- Muszę dopilnować, żeby ktoś się o ciebie zatroszczył.
- Nikomu nie mów.

Wzięła głęboki wdech.

- Wayne, muszę wezwać lekarza.
- Nie. Proszę, nie.

Był prawie dwukrotnie od niej większy, ale kiedy tak leżał skulony na podłodze, nie do wiary, jaki wydawał się drobny.

- Wszystko zwymiotowałem – upierał się. – Tam już nic nie ma.

Wystarczająco wiele razy przechodziła kurs pierwszej pomocy przed wyjazdami swoich synów, by wiedzieć, że w szpitalu zrobią mu najwyżej płukanie żołądka. A tam nie było już nic do wypłukania.

Nalała do szklanki wody z kranu i uklękła obok Wayne'a.

– Zawrzemy mały układ. Wypijesz tę wodę i postaramy się, żebyś ją zwymiotował. A potem zrobimy to jeszcze raz. I jeszcze raz, dopóki nie nabierzemy pewności, że w żołądku już nic nie zostało. Wtedy wypijesz jeszcze trochę wody. Nie pójdziemy dziś spać aż do rana. Dopóki nie będę miała stuprocentowej pewności, że nic ci nie jest. – Podsunęła mu szklankę do ust, by mógł upić kilka łyków. – A rano porozmawiamy o tym, co dalej.

Podniósł na nią wzrok i spojrzał jej po raz pierwszy prosto w oczy.

- Muszę stąd wyjść – wyszeptał pomiędzy kolejnymi łykami.

– Z łazienki?

- Nie... Stąd... Ja już nie dam rady.

Fran mocno go uścisnęła. Trzymała go tak, jak nigdy nie miała sposobności trzymać Josha. Trzymała jego głowę na kolanach i przeczesywała dłońmi blond strąki. Kiedy ostatni raz Josh położył jej głowę na kolanach? Czy kiedykolwiek pozwolił jej przeczesywać swoje włosy? Odwracał się za każdym razem, gdy mówiła mu, jak go kocha. Najprostsze, najbardziej bezpośrednio wyrazy uczucia przerastały chłopca, a później mężczyznę, który uważał, że na nic nie zasługuje.

Oparła się o kafelki i zamknęła oczy. Nie zamierzała zasypiać ani nawet na chwilę tracić czujności.

- Musimy się stąd wydostać – powtórzył niewyraźnie.

Tak, pomyślała Fran. Musimy.

Nazajutrz Fran wzięła podaną jej kartkę i długopis, po czym pierwszy raz napisała słowo „niewinny”.

W ten sposób oddano dziesięć głosów „niewinny” i dwa „winny”. W przeciwnym obozie pozostali tylko Jae i Rick.

– Co się stało? – zapytał Rick Wayne’a i Fran. Jeszcze wczoraj oboje byli po jego stronie.

Wayne tylko wzruszył ramionami.

– Nie muszę nikomu tłumaczyć, jak i dlaczego głosuję.

Fran wyłowiła fotografię Jessiki Silver. Tę ostatnią, zrobioną pod szkołą, na której Jessica ma na sobie mundurek i błyszczący srebrny wisiołek.

Uniosła fotografię, by reszta wyraźnie ją widziała.

– Możemy o tym wszystkim rozprawiać od rana do wieczora i rzeczywiście omawiamy to od wielu dni. Faktem pozostaje jednak, że nie wiemy. Nie znamy Bobby’ego. Nie znaliśmy Jessiki. Nie wiemy, co tak naprawdę działo się w ich głowach, co ukrywali przed rodzicami i całą resztą. I w tym sęk. – Fran dotknęła brzegu fotografii, jakby pieściła twarz dziewczyny. – Jessica Silver zasługuje na to, co najlepsze. Zasługuje na to, by świat zyskał pewność, kto ją zabił. Jeśli skażemy Bobby’ego, śledztwo zostanie zamknięte i policja przestanie się nim zajmować. Prasa i ekipy telewizyjne, które czatują tu każdego ranka... Wszyscy zaczną ścigać kolejną ofiarę, kolejną nierozwiązaną zagadkę. A Jessica zasługuje na więcej. Ta promienna dziewczyna zasługuje na coś lepszego niż zakończenie tej sprawy przez dwunastu zmęczonych ludzi i ich uwiarygodnione przypuszczenia. Nie mogę wypowiadać się za Wayne’a, ale ja oddałam głos „niewinny”, bo tak naprawdę nie wiemy. Mogę mieć tylko nadzieję, że kiedyś poznamy prawdę.

Rozdział 21

NAJŚWIEŻSZE FATALNE INFORMACJE TERAZ

Maya i jej rodzice przerzucali kanały telewizyjne i internetowe portale w poszukiwaniu najnowszych wiadomości. Kolejno czytali na głos najświeższe doniesienia z Twittera, Facebooka i wszystkich przeładowanych reklamami serwisów ze słowem „news” w adresie. Każda aktualizacja wprowadzała coraz większe zamieszanie lub wprost zaprzeczała poprzedniej. Nie wiadomo było, w co wierzyć. Ojciec Mai odczytywał im z Twittera wszystkie posty, które zaczynały się od słowa „potwierdzone”. Jej mama śledziła nobliwe media z tradycjami – „New York Timesa”, „The Washington Post”, CNN, miejscowy „Albuquerque Journal” – ale ich strony aktualizowano nie częściej niż co pół godziny.

Ktoś ze znajomych mamy Mai wrzucił na Facebooka zdjęcia motelu, w którym znaleziono Bobby’ego. Dwadzieścia minut później dziennikarz obserwowany przez tatę Mai zamieścił na Twitterze to samo zdjęcie z podpisem „zweryfikowane negatywnie”. Okazało się, że zrobiono je w motelu o podobnej nazwie, w którym cztery lata wcześniej samobójstwo popełnił ktoś inny.

Brytyjski „Daily Mail” – zdumiewająco dobrze poinformowany, zważywszy na oddalenie od centrum wydarzeń – zacytował wypowiedź naocznego świadka wypadków, do których doszło w motelu. Człowiek ów zeznał, że zanim Bobby Nock się powiesił, zamordował jednego z gości, który go rozpoznał. Mai nie mieściło się to w głowie, ale kiedy wiadomość została potwierdzona na Twitterze przez osobę związaną z Associated Press, zaczęła traktować ją poważniej. O rzekomym morderstwie nie wspomniała jednak żadna ze stacji telewizyjnych.

Niežnośne półtorej godziny później agencja Associated Press poinformowała, że potwierdziła informacje „Daily Mail”, opierając się na relacji tego samego naocznego świadka. Trzydzieści pięć minut później „Dallas Morning News” zdemaskował „naocznego świadka”, którym okazał się znany żartowniś. Przed upływem godziny historia „Daily Mail” zniknęła z internetu, jakby jej nigdy nie było; linki wyświetlały komunikat o błędzie

404. Wyparowały też wpisy z Twittera i tym samym z historii, która dotarła do milionów ludzi na całym świecie, pozostały tylko zrzuty ekranu. Associated Press swoją informację opatrzyła dezorientującą „notą od redakcji”, z której wynikało, że artykuł został wycofany, niemniej pozostawiono go na stronie internetowej w duchu przejrzystości mediów. Albo też, jak uznała Maya, w duchu pozyskiwania jeszcze paru kliknięć na materiał, o którym wiadomo, że jest fałszywką.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Pojawiały się nowe informacje („Bobby Nock napisał 45-stronicowy samobójczy manifest”), które jakiś czas później odwoływano („Aktualizacja: Bobby Nock nie napisał samobójczego manifestu”). W skąpych faktach doszukiwano się nawiązań politycznych, wydobywając je na powierzchnię jak ostatnie krople z dna wyschłej studni („List samobójczy Bobby’ego Nocka, utrzymany w duchu Black Lives Matter, dowodzi, że polityka tożsamości zeszła na manowce”). Po pięciu godzinach już nikt – ani Maya, ani jej rodzice, ani ktokolwiek inny – nie miał podstaw twierdzić, że byłby gorzej poinformowany, gdyby się w tym czasie zdrzemnął.

Pod wieczór szeryf z Broward w Teksasie zorganizował konferencję prasową i streścił to, co wiedziała już większość osób śledzących tę historię.

Bobby Nock został wyśledzony w motelu przez dziennikarzy z australijskiego tabloidu. Kiedy walenie w drzwi nie dało efektów, dziennikarze zdołali przekonać recepcjonistę, żeby otworzył pokój. Bobby wisiał pod sufitem na wiatraku wentylatora. Pożegnalny list policja znalazła na niskim stoliku zaledwie kilka centymetrów od stóp denata. Charakter pisma odpowiadał temu z formularza, który Bobby wypełnił w recepcji, gdzie zameldował się pod nazwiskiem Chris Rummel.

List pożegnalny faktycznie był bardzo krótki, zwykle „Tak mi przykro”.

Obok ciała, jak potwierdził szeryf Broward, znaleziono srebrny wisiołek. Zdjęcia wisiorka, jak odnotował, wyciekły już do prasy.

Szeryf miał również do przekazania jedną świeżą informację: w zapince łańcuszka znaleziono długie blond włosy. W tym momencie wykonywane były testy DNA, ale na jego oko, jak powiedział, kolor znalezionych włosów odpowiadał kolorowi włosów Jessiki Silver.

Jessica. Rick. Bobby.

Maya przyglądała się, jak słońce niknie w oceanie. W głowie kołatały jej się te trzy śmierci. Zamordowanie Jessiki Silver uruchomiło reakcję łańcuchową, której efektem było zabójstwo Ricka Leonarda, które z kolei doprowadziło do samobójstwa Bobby'ego Nocka. Maya walczyła o sprawiedliwość, o prawdę, tymczasem rujnowała życie kolejnym ludziom. Wkrótce ten cyklon śmierci i zniszczenia dosięgnie również ją.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Bobby mógł zabić Jessicę, potrafiła sobie jednak wyobrazić, że w poczuciu beznadziei i osamotnienia odebrał życie samemu sobie. Raz po raz próbowała znaleźć wyjaśnienie tej śmierci i raz po raz wracała myślami do Lou Silvera.

Jeśli Lou zabił Jessicę, jak podejrzewał Bobby, a potem zdjął wisiołek z jej zwłok... przechował go przez dziesięć lat... po czym podrzucił Bobby'emu... po tym, jak go zamordował, w jakiś sposób pozorując samobójstwo...

W tym miejscu logika wywodu się załamywała. Dlaczego Lou miałby zachować wisiołek? Nawet jeśli z niewytłumaczalnych przyczyn zabrał wisiołek córki po jej zamordowaniu, czemu nie podrzucił go Bobby'emu dziesięć lat wcześniej? Czy ten przedmiot nie obciążyłby go silniej w chwili rozpoczęcia śledztwa? Jeśli Lou czy ktokolwiek inny próbował zrobić Bobby'ego w morderstwo, to wyszło mu to wyjątkowo kiepsko. Do tego poniewczasie.

Maya próbowała wymyślić jakąś wielką teorię spiskową, która wyjaśniałaby ten frustrujący brak logiki, ale wszystkie scenariusze, w których „prawdziwy zabójca” wrabia Bobby'ego, okazywały się mocno naciągane.

W ciągu kilku dni po śmierci Bobby'ego często dzwoniła do Craiga, przedstawiając mu kolejne, coraz bardziej egzotyczne teorie. Słuchał jej cierpliwie, zwłaszcza że na wiadomości o tym, kto zabił Jessicę Silver, nic nie zyskiwał ani nie tracił.

– A co z tajemniczymi nowymi dowodami Ricka świadczącymi przeciwko Bobby'emu? – zapytała. – Nadal nie wiemy, co to było.

– Chyba że dowodem był wisiołek – podsunął Craig. – Jeśli Rick dowiedział się jakimś cudem, że wisiołek jest nadal w posiadaniu Bobby'ego, i powiedział mu o tym wprost podczas wizyty w Miracle... A może próbował go ukraść i właśnie dlatego Bobby uciekł?

– To dlaczego Rick mi o tym wszystkim zwyczajnie nie powiedział? Skąd ta skrytość?

– Nie mam pojęcia. Może miał jakiś sekretny plan?
– Ale żadna z tych teorii nie wyjaśnia tego, co spotkało Ricka w moim pokoju w hotelu – upierała się Maya.

– Chyba że to ty zabiłaś go podczas przepychanki – zaprotestował Craig łagodnie. – Akurat ta teoria wyjaśnia wszystko.

Ale przecież wiem, że go nie zabiłam! Miała ochotę wykrzyczeć to Craigowi w twarz, niemniej uznała, że oszczędzi mu dalszej obrony swojej niewinności.

Pomyślała o uzbrojonych dilerach, których spotkała w East Jesus. O przestępcach seksualnych napotkanych w Miracle. Czy którykolwiek z nich gotów był zabić Ricka na polecenie Bobby'ego? Bez wątpienia każdy z nich mógł zrobić to, czego nie mógł zrobić Bobby: wślizgnąć się niepostrzeżenie do hotelu Omni. Ale jak, na Boga, miała dowieść tego w sądzie?

Maya zatrudniła kiedyś biegłą, by ta dokonała oceny psychologicznej jej klienta. Psycholożka znakomicie sprawdziła się w roli świadka. Bez końca mówiła o „cyklach przemocy”, w których klient Mai był zarówno ofiarą, jak i sprawcą. W jej interpretacji przypominały pływy morskie: równie nieuniknione jak przyciąganie Księżyca w pełni.

Z perspektywy Mai „cykle” bardziej przypominały pustynie. Nie wierzyła w przeznaczenie. W jej wyobrażeniach przemoc była zakaźną chorobą, a każdy, kto się z nią zetknął, stawał się nosicielem. Nawet ocalańcy czy przypadkowi obserwatorzy przyczyniali się do jej potęgowania.

Poczuła się jak idiotka. Mogła do upadłego obwiniać świat o jego niegodziwość, ale jeśli najświeższe fatalne wiadomości okażą się prawdziwe, będzie zmuszona przyznać zarówno przed sobą, jak i przed całą resztą, że powodem tych najnowszych tragedii – zamordowania Ricka Leonarda, samobójstwa Bobby'ego Nocka, a nawet postawienia jej przed sądem – jest jej własna pomyłka sprzed dziesięciu lat.

Maya pozostała w Malibu pod czujną kuratelą zaniepokojonych rodziców. Większość dnia przesiadywali wspólnie na kanapach w salonie lub przy kuchennym stole, starając się nie zwariować w niesłabnącym strumieniu pogłosek i medialnych doniesień. Co chwila któreś z nich informowało pozostałych o tym, czego dowiedziało się przed dziesięcioma sekundami.

Życie rodziców Bobby'ego Nocka kolejny raz zamieniło się w piekło. Prześladowano ich żądaniami komentarzy do samobójstwa ich syna.

Potraktowano jak kryminalistów. Ojciec Bobby'ego posunął się do publicznych przeprosin Lou Silvera. Powiedział przed kamerami, że chociaż dotąd zawsze wierzył słowom syna, teraz zmuszony jest spojrzeć prawdzie w oczy. Jest mu ogromnie przykro, że jego Bobby odebrał życie czyjemuś dziecku.

Maya zadzwoniła do Lou Silvera rankiem po znalezieniu zwłok Bobby'ego. Telefon odebrała ta sama kobieta co poprzednio i zapewniła ją, że Lou oddzwoni. Nigdy tego nie zrobił. Maya zadzwoniła ponownie następnego dnia i kolejnego, lecz kobieta powtarzała tylko, że Lou oddzwoni, gdy będzie to możliwe.

Maya musiała pogodzić się z myślą, że odegrała już swoją rolę. Czy Lou kazał reporterom pojechać za nią do East Jesus? Zapewne tak. A jeśli nie, najpewniej i tak wiedział, że wysłanie jej do Bobby'ego musi wywołać jakąś reakcję: Mai, Bobby'ego albo postronnych. Lou chciał, by Bobby został tak czy inaczej ukarany, a wykorzystanie Mai w charakterze katalizatora było jeszcze jedną metodą zadania mu bólu. Plan Lou wypalił lepiej, niż mógł się spodziewać: Bobby nie żył. Lou nie miał dla niej więcej zadań.

Czy Lou znęcał się nad Jessicą, jak utrzymywał Bobby? Nawet jeśli to on ją zabił, niekoniecznie musiał kłamać w tej sprawie. Może Lou znęcał się nad Jessicą, a potem Bobby ją zabił? Może Bobby utrzymywał z Jessicą niewłaściwe stosunki, a potem Lou ją zabił? Z perspektywy Mai obaj mogli szczerząc w piekle.

Dwa dni po samobójstwie Bobby'ego Lou zorganizował konferencję prasową. Maya i jej rodzice obejrzel ją w salonie Craiga. Zza otwartych okien dobiegał łagodny pomruk oceanu.

Lou stał obok Teda Morningstara, obecnie emerytowanego, na podwyższeniu ustawionym na schodach budynku sądu. Pogratulowali sobie nawzajem tego zadośćuczynienia.

W telewizji Lou wydawał się wyższy i niemal przystojny. A może zwyczajnie nie przywykła oglądać go z uśmiechem na ustach.

Od czasu procesu Maya kilkakrotnie widziała Morningstara w telewizji. Czasem udzielał komentarza prawnego, opisując szczegółowo, na ile sposobów sprytni obrońcy posługują się „kartą rasową”, by wywołać współczucie dla swoich klientów. Maya przypomniała sobie, że napisał nawet kryminał: fabularyzowaną wersję morderstwa Jessiki Silver, w której wychodził na bohatera. Obsadził się w roli Brudnego Harry'ego, uczciwego

gościa, który mówi, jak jest, zakrzyczanego przez „rasowych kanciarzy”. Maya pomyślała wówczas, że jest coś przewrotnego w tym, że śmierć jednej dziewczyny pozwoliła tylu ludziom przeżyć fantazje o własnym bohaterstwie. Morningstar zawsze chciał być Clintem Eastwoodem. Gibson prawdopodobnie chciała być Johnniem Cochrane’em. Maya uważała się za Henry’ego Fondę z *Dwunastu gniewnych ludzi*, jedyne go ławnika, któremu starczyło odwagi, by powiedzieć prawdę swoim ślepym i nieczułym towarzyszom.

Z tłumu urzędników stojących na drugim planie Maya wyłowiła czujną twarz zastępcy prokuratora okręgowego, Bena Gao, który sprawiał wrażenie gotowego podjąć się dalszego sprzątania tego bałaganu. Jego obecność na tej konferencji pozwalała sądzić, że chociaż Bobby Nock zdołał szczęśliwym trafem uchylić się przed karzącym ramieniem sprawiedliwości, Maya nie będzie miała tyle szczęścia. Jeśli sądziła, że doprowadzili Bobby’ego do ostateczności, niech poczeka, co Ben Gao zrobi z nią.

Na podium obok Lou Silvera stanęła jego żona Elaine. Lou wprost tryskał energią, tymczasem twarz Elaine wydawała się całkowicie nieprzenikniona. Maya nachyliła się bliżej ekranu. Jeśli Bobby mówił prawdę, to Elaine chroniła męża i jednocześnie była jedną z ofiar jego ataków. Co kryły niewzruszone rysy tej idealnie opanowanej kobiety?

Ewidentna radość, jaką Lou czerpał z możliwości skomentowania listu pożegnalnego Bobby’ego Nocka, miała w sobie coś makabrycznego.

– Czuję ogromną ulgę – powiedział do kamery – mogąc stwierdzić, że sprawiedliwości stało się zadość.

Ale czy można było go winić? Przez dziesięć lat domagał się sprawiedliwości, której odmówili mu ludzie tacy jak Maya. Czas płynął nieubłaganie i nie brakowało niedowiarków, a on wytrwał.

Dziennikarz poprosił go o komentarz na temat ławy przysięgłych, która uniewinniła Bobby’ego. Stojący za nim Ben Gao wzdrygnął się, słysząc tę prośbę.

Lou wziął głęboki wdech, po czym udzielił odpowiedzi.

– Nie obwiniam ławy przysięgłych. Zostali zwiedzeni przez Bobby’ego Nocka, podobnie jak wielu innych. Popełnili błąd. Jestem jednak przekonany, że działali w dobrej wierze.

– Czy uważa pan, że Maya Seale zabiła Ricka Leonarda? – zapytał reporter.

Ekran telewizora wypełnił się jej zdjęciami.

– Myślę, że ustalenie tego jest zadaniem nowej ławy przysięgłych. – Lou pokręcił głową, jakby miał pretensje do kapryśnego losu. – Naprawdę chciałbym, by potrafili przyznawać się do swoich błędów. Maya Seale... No cóż, sami państwo widzą, co się dzieje, gdy ktoś się uprze i nie potrafi przyznać, że się pomylił.

Dziennikarze zarzucili go kolejnymi pytaniami, ale Lou nie chciał dalej komentować tego, co jest, jak powiedział, „śledztwem w sprawie karnej, którego szczegółów nie znam”.

Telewizja pokazała materiał z Mayą nakręcony w East Jesus. Wyglądała na nim jak współniczka Bobby’ego. W świetle reflektorów jej oczy błyszczały w pustynnych ciemnościach, jakby była opętana. „Od jak dawna wiedziała, gdzie przebywał?” – zapytał prezenter w studiu, gdy nagranie dobiegło końca. – „Od jak dawna go chroniła?”

– Jasna cholera! – powiedział ojciec Mai siedzący obok na kanapie.

Matka uspokajająco położyła dłoń na jego kolanie.

– Tato. Nic się nie dzieje.

– Nie mogą wygadywać o tobie takich rzeczy!

Nie była na tyle głupia, żeby wyłączyć telewizor. Nic dobrego by nie wynikło z ukrywania przed ojcem tego wszystkiego. I tak z samego rana obejrzały wszystkie powtórki.

– Kogo obchodzi, co o mnie wygadują? – powiedziała.

Spojrzał na nią tak, jakby faktycznie była wariatką, potwierdzając ich najgorsze obawy.

– Mnie.

I znów prawie pękło jej serce.

Maya odkryła, że społeczny ostracyzm za drugim razem nie boli już tak mocno.

Miała sporo wprawy w puszczeniu mimo uszu nieprzychylnych komentarzy i towarzyszących im paskudnych aluzji. Komik występujący w wieczornym programie zażartował, że Bobby Nock „miał posłuch u białych dziewczyn”, za co musiał później publicznie przeproszać. Nie wywleczono jeszcze jej związku z Rickiem, więc przynajmniej to upokorzenie zostało jej na razie oszczędzone. Niemniej większość telewizyjnych komentatorów uważała, że Maya naprawdę zamordowała Ricka. „Czy Bobby Nock wyszkolił ławniczkę, żeby zabijała za niego?”,

brzmiał najbardziej odjechany nagłówek wielkonakładowej prasy. Bez zaglądania do archiwów wszyscy gratulowali sobie słuszności ówczesnej oceny Bobby'ego. Ich przekonanie, że Maya jest winna zabójstwa, zyskiwało w ten sposób solidne podstawy. Wszystkie te hipotezy były do bólu przewidywalne i przez to raniły ją jakby mniej.

Tym razem nie była tak głupia, by czuć wdzięczność dla swoich nielicznych obrońców. Nawet legaliści i nieustraszeni reporterzy, którzy rzekomo stali za nią murem, bez wahania zostawiliby ją na lodzie przy pierwszej sposobności zaprezentowania swoich poglądów jako bezstronnych i wyważonych. Mikrofony zarezerwowano dla tych, którzy wzięli rozejm z własnym stronnictwem przynajmniej na tyle, by sprawiać wrażenie bezstronnych, jak republikanie opowiadający się za ograniczeniem dostępu do broni palnej lub demokraci oczekujący zniesienia podatku od nieruchomości. Niekiedy trafiały się tak łatwe cele, że wszyscy nabierali ochoty, by w nie wymierzyć. „Każdy z nas bez wątpienia przyzna...” No i wszyscy bez wątpienia przyznawali, że Maya na każdym kroku obchodziła wymiar sprawiedliwości.

Niemal z czułością przypomniała sobie wszystkie zarzuty, jakie Rick wysunął wobec niej przed dziesięciu laty. Wtedy ją dotkliwie zraniły. A teraz? Teraz wydawały się wręcz urocze, wyważone i uzasadnione, gdy porównać je z obecnym szaleństwem. Uzmysłowiła sobie, że gdyby Rick mógł ją usłyszeć, chciałaby mu powiedzieć proste zdanie: „Wybaczam ci”.

Czy przejąłby się tym? Nigdy się tego nie dowie. Ale taka była prawda.

Poradzi sobie z tym wszystkim, uzbrojona w zimną metodyczność płynącą z doświadczenia. Wiedziała, co się o niej mówi i dlaczego. Niepokoiły ją inne, bardziej palące kwestie. Musiała zadbać o to, żeby nie trafić do więzienia.

Czwartego dnia po śmierci Bobby'ego, gdy zainteresowanie mediów zaczęło słabnąć, Maya pojechała z powrotem do Los Angeles.

Do biura swojej kancelarii wróciła jako klientka.

Wszyscy odnosili się do niej z bolesną uprzejmością. Recepcjonistka ją uściskała i powiadomiła Crystal. Maya nie mogła teraz sama kręcić się do woli po korytarzach kancelarii.

– Ależ to jest dziwna sytuacja – powiedziała Crystal i objęła ją.

– Mnie to mówisz?

Czy nadal formalnie tu pracowała? Mogła się tylko zastanawiać, idąc za Crystal do gabinetu Craiga. Po drodze raz po raz zatrzymywali je współpracownicy, którzy nie szczędzili Mai uścisków i słów otuchy. W tym momencie była na zwolnieniu, ale po upływie kilku tygodni będzie musiała uczciwie porozmawiać z kadrami. Jej sprawy – w każdym razie te, które wymagały od niej stawienia się w sądzie w najbliższych tygodniach – przekazano innym obrońcom. Te z dłuższymi terminami mogły poczekać, aż wyjaśni się, jak długo potrwa jej nieobecność.

Craig czekał na nią, przysiadłszy na krawędzi drewnianego biurka.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparła.

Crystal popatrywała to na jedno, to na drugie.

– Postaraj się, żeby nie trafiła do więzienia, dobra?

Po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– A zatem utrzymujemy, że jesteś niewinna – powiedział Craig, gdy Maya usiadła – choć w mojej ocenie jest to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Jednakże oznacza to, że mamy mnóstwo pracy. Najbardziej naglące pytanie: kto zabił Ricka Leonarda?

Maya była na nie przygotowana.

– Chciałabym obstawić kilka możliwości.

– Będziemy zatem utrzymywać, że to Peter Wilkie? Albo Wayne Russel? Albo ktoś z pozostałych? Mam te akta, które mi wysłałaś. One są... Chryste.

– No wiem.

Doprawdy, los nie mógł się zdobyć na większą ironię. Rick dostarczył im nieocenionego materiału dowodowego pozwalającego oczyścić Mayę z zarzutu pozbawienia go życia.

– To mógł być także dowolny spośród znajomych Bobby'ego z Miracle albo East Jesus – dodała Maya. – Z pewnością Mike i Mike znajdą kilku skazanych za napady i dysponujących bardzo kiepskim alibi.

Craig sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

– Zaraz im to zlecę.

– Mamy cokolwiek nowego na Wayne'a?

– Jeszcze nic. – Craig wzruszył ramionami. – Minął zaledwie tydzień.

Maya pomyślała o wszystkich brudach, które można było wywlec z akt Wayne'a. Stawiane mu zarzuty nie były niczym chwalebny, ale też nie pogrążyły go na tyle, by uzasadniać zabójstwo.

Lecz z drugiej strony... Informacje zebrane przez Ricka były niepokojące, ale Wayne nie powiedział prawdy o miejscu swojego pobytu w dniu popełnienia morderstwa, co czyniło go obiecującym podejrzanym.

– Po procesie utrzymał kontakt z Fran Goldenberg. Powiedziała mi to tamtej nocy w hotelu.

Na Craigu nie zrobiło to wrażenia.

– Może ona zna miejsce jego aktualnego pobytu? – dodała.

Zastanowił się przez chwilę.

– Wyślę tam Mike'a.

– Sama pojedę.

– Fran jest zarówno potencjalnym świadkiem oskarżenia, jak i potencjalną alternatywną podejrzaną. Nie chcę, żebyś z nią rozmawiała.

Maya uniosła brew.

– A Mike albo Mike rozmawiali z nią już wcześniej? Tuż po zabójstwie?

– Owszem.

– I co im powiedziała?

– Nic.

Maya pozwoliła, by ta odpowiedź zawisała na chwilę w powietrzu jako argument przemawiający na rzecz zaakceptowania jej propozycji.

Craig skrzyżował ręce na piersi.

– Niech ci będzie.

Maya odwróciła się do wyjścia.

– Proszę, nie utrudniaj mi roboty bardziej, niż zdążyłaś to zrobić do tej pory.

– Sądziłam, że w sprawach karnych jesteś najlepszym obrońcą w Los Angeles – powiedziała z uśmiechem.

Zamykała już drzwi za sobą, gdy usłyszała, jak krzyczy:

– I lepiej o tym nie zapominaj!

Fran Goldenberg nadal mieszkała w Los Feliz, w piętrowym domu przy Tracy Street, cichej uliczce odchodzącej pod nietypowym kątem od szerokiej alei, by niecały kilometr dalej skrzyżować się z inną. Wczesnym popołudniem Maya weszła po kilku ceglanych schodkach i zadzwoniła do drzwi. Nikt nie otworzył.

Czekając w samochodzie, przemyślała swoje główne zastrzeżenie do teorii, wedle której Ricka zabił Wayne: motyw.

Czy to miało coś wspólnego z rzekomymi dowodami, które Rick miał na Bobby'ego? Ale co to mogło obchodzić Wayne'a? Od lat nie wypowiadał się w tej sprawie publicznie. Czy nie wyjechał do Kolorado właśnie po to, żeby od niej uciec?

A może Wayne wszedł tamtej nocy do pokoju Mai z zamiarem zabicia właśnie jej, tymczasem natknął się na Ricka? Po wszystkim, co przez nią przeszedł, umiała sobie wyobrazić, że pragnąłby jej śmierci. Ale podjąć faktyczną próbę morderstwa? A poza tym dlaczego, skoro już wszedł do pokoju i zastał w nim Ricka, miałby zabić właśnie jego, niejako w zastępstwie?

Spędziwszy ponad godzinę w towarzystwie natrętnie nawracających myśli, Maya dostrzegła wreszcie kobietę, która mogła znać przynajmniej część odpowiedzi. Ulicą szła Fran Goldenberg. Krótkie włosy założyła za ucho, na nosie miała czarne stylowe okulary w grubych oprawkach. Gdyby nie naturalnie siwe włosy, Maya mogłaby wziąć ją przez pomyłkę za uczennicę podstawówki. W kilku nieporęcznych pojemnikach niosła kwiaty.

Maya wysiadła z samochodu.

– Cześć – powiedziała. – Co to?

Fran wzdygnęła się na jej widok.

– Sukulenty.

– Może pomóc?

Fran poprawiła sobie w rękach niesione pojemniki.

– Co ty tu robisz?

– Oglądałaś wiadomości?

– Ostatnio jest mnóstwo nowych wiadomości. Codziennie coś nowego.

– Możemy wejść do środka?

Fran podała jej jeden z pojemników i ruszyła przodem po schodkach. Kiedy zaprowadziła Mayę do kuchni z boku domu, ta zauważyła, że we wszystkich pomieszczeniach porozstawiane były cięte kwiaty. Białe kafelki na blacie były modne dziesięć lat temu; od tego czasu zdążyły wyjść z mody i ponownie w nią wejść.

– Nie wiedziałam, że masz taką rękę do kwiatów – powiedziała Maya.

– Emerytura.

– Zawsze miałam ochotę zająć się ogrodnictwem. Moja mama uwielbiała grzebać w ziemi.

– Co cię powstrzymało?

– Pewnie brak czasu.

Fran naląła sobie szklankę wody, ale nie zaproponowała Mai nic do picia.

– To bardziej skomplikowane zajęcie, niż mogłoby się wydawać.

Na górze głośno zaskrzypiały deski podłogi.

– Wynajmujesz komuś pokój?

– To mój syn – powiedziała Fran. – Przyjechał do miasta po tym... co wydarzyło się w zeszłym tygodniu.

– Moi rodzice też już tu są. Doprowadzają mnie do szaleństwa.

– Jak się trzymasz?

Gdyby Maya była gotowa udzielić uczciwej odpowiedzi, musiałaby przyznać, że sika po nogach ze strachu, że resztę życia spędzi w więzieniu.

– Słyszałaś, że nikt nie wie, gdzie jest Wayne?

Fran podniosła płatek, który opadł z jednego z kwiatów.

– I że tej nocy, gdy dokonano morderstwa, był w Los Angeles? – ciągnęła Maya. – Wiesz może, gdzie on jest? Albo dlaczego był tamtej nocy w Los Angeles, choć zapowiedział, że nie przyjedzie?

Fran wrzuciła opadły płatek do kosza.

– Nie utrzymywaliśmy kontaktów, naprawdę.

– Pod koniec wydawało mi się, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

– Pod koniec procesu? – powiedziała Fran z powątpiewaniem w głosie. – Przeżywał ciężkie chwile. Wszyscy przeżywaliśmy... Kiedy jest mi ciężko, chętnie pomagam innym. Synowie powiedzieli kiedyś, że to u mnie natręctwo. Pomaganie.

Maya doskonale rozumiała to uczucie.

Znów skrzypnęły deski podłogi. Fran sprawiała wrażenie poirytowanej.

– Mogę cię na chwilę przeprosić? Sprawdzę tylko, czy czegoś ode mnie nie potrzebuje.

Wyszła. Maya słyszała jej kroki na głównych schodach wiodących na pierwsze piętro. Potem zapadła cisza.

Maya wyjrzała przez okno na mały różany ogródek na tyłach. Podjazd wił się wokół domu, prowadząc do budynku, który kiedyś był pewnie garażem, a teraz bardziej przypominał szopę na narzędzia. Przed nią stał zaparkowany wielki czerwony pikap.

Ford F-150.

Maya szybko wyciągnęła telefon i wyszukała numer rejestracyjny czerwonego fordka F-150 należącego do Wayne'a Russela. Wszystko się

zgadzało.

Wayne Russel był w tym domu.

Szybkim krokiem przeszła z kuchni do salonu.

– Maya? – Fran schodziła po schodach. – Coś się stało?

Maya spojrzała ponad ramieniem Fran na schody, obawiając się, że zobaczy na nich rozchwianego emocjonalnie kłamcę z piętra wyżej.

W pierwszej chwili chciała uciekać, ale wówczas Fran by się domyśliła. Powiedziałyby Wayne’owi i nim Maya wezwałaby policję, Wayne zdążyłby się ulotnić, Maya zaś nie miałaby żadnego dowodu, że w ogóle tu był.

– Nie, nic. – Wskazała stojący w salonie wazon ze świeżo ściętymi różami. – Po prostu podziwiałam kwiaty.

Fran była z nich wyraźnie bardzo dumna.

– Tutaj naprawdę niełatwo jest coś wyhodować. Kwestia gleby.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że tutaj w ogóle nic nie miało prawa urosnąć. Kwestia pustyni. – Maya wiedziała, że powinna zabierać się stąd jak najprędzej, ale mogła w ten sposób przypieczętować swoje dożywocie. Gdyby udało jej się wrócić do kuchni, mogłaby zrobić zdjęcie samochodu. Zyskałaby coś, co dałoby się później wykorzystać. – Rick mi to powiedział.

Fran zeszła z ostatniego stopnia.

– To musi być dla ciebie strasznie trudne. Wszyscy dookoła są przekonani, że go zabiłaś.

– Ty też tak sądzisz?

– Oczywiście, że nie.

Jakby wariactwem była sama sugestia. Jakby nie uważało tak pół miasta.

Znów zaskrzypiały deski.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maya. – Z twoim synem?

Fran popatrzyła na sufit.

– Sekundkę.

Gdy tylko Fran zniknęła z pola widzenia, Maya pospieszyła do kuchni. Wyciągnęła telefon, wycelowała aparat w okno i zrobiła zdjęcie samochodu. Sprawdziła ostrość: tablicę rejestracyjną dawało się odczytać. Doskonale. Należało wiać.

Odwróciła się na pięcie.

W drzwiach stał Wayne Russel.

Miał na sobie dzinsy, czarny T-shirt i ciężkie buty. Koszulka była luźna, lecz mimo to Maya widziała pod nią zarys mięśni. Zapomniała już, jaki Wayne był potężny.

Poczuła, że łydkami opiera się o szafkę.

– Mayu – powiedział Wayne – nie zrobię ci krzywdy.

Widziała stojącą za nim Fran, która sprawiała wrażenie zmartwiałej.

– Nie zrobi. Naprawdę.

Maya dwukrotnie uderzyła kciukiem w ekran telefonu, naciskając ostatni wybierany numer.

Gdzieś daleko dzwonił telefon Crystal.

Słyszała sygnał z własnego telefonu. Odbierz, odbierz...

– Kiedy zostanie nawiązane połączenie – powiedziała – będą mogli namierzyć GPS mojego telefonu dokładnie w tej kuchni. Będzie wiadomo, skąd dzwoniłam. Technologia komórkowa w ciągu ostatnich dziesięciu lat zrobiła wielkie postępy. Jeśli zrobisz mi to samo, co zrobiłeś Rickowi, nie ma szans, żeby uszło ci to na sucho.

Nie była to do końca prawda, ale Maya uznała, że ani Wayne, ani Fran się nie zorientują.

Wciąż słyszała sygnał oczekiwania na połączenie.

– Nie zabiłem Ricka.

– No to witam, kurwa, w klubie.

Wszedł do kuchni. Od Mai dzieliły go jeszcze ze dwa metry, ale zdawało się, że nad nią góruje.

– Musisz odłożyć ten telefon. Nie chcę, żeby policja...

Fran położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie chcesz, żeby policja co? – Mówiła do Wayne'a, nie do Mai. – Może już czas, żebyś z nimi porozmawiał.

– Zamkną mnie. Za to, co przytrafiło się Rickowi.

Maya usłyszała wiadomość nagraną przez Crystal na sekretarce: „Mówi Crys, zostaw wiadomość...”.

– Jeśli nic nie powiesz – odezwała się Fran – to co oni zrobią jej?

Maya przyłożyła telefon do ucha.

– Mówi Maya. Jestem w domu Fran Goldenberg i...

W oczach Wayne'a był strach. I autentyczny niepokój.

– Naprawdę wsadzą cię do więzienia?

Maya skinęła głową.

– Już mnie wsadzili. Zwolnili mnie za kaucją.

– Odłóż telefon – powiedziała Fran. – Powiemy ci wszystko, co wiemy.
Maya przenosiła wzrok to na jedno, to na drugie z nich. Wayne sprawiał wrażenie kogoś, kto bardziej boi się o Mayę niż o siebie.
Sama nie wierzyła w to, co właśnie zamierzała zrobić.
– Oddzwonię – rzuciła do telefonu i rozłączyła się.
Zawierzała tym ludziom własne życie.
– No dobra. A zatem... Kto, do cholery, zabił Ricka Leonarda?
Wayne oparł się o framugę. Fran wypuściła powietrze.
– Najbardziej wkurza mnie to – powiedziała – że nie mamy bladego pojęcia.

Kilka minut później wszyscy siedzieli w salonie. Bukiet róż roztaczał słodki zapach, który towarzyszył opowieści Fran.

Wayne zmienił zdanie w sprawie uczestnictwa w zjeździe ławników około dwudziestej trzeciej. Myśl, że oni wszyscy spotkają się bez niego, okazała się trudniejsza do zniesienia niż myśl o tym, że znów będzie musiał stanąć z nimi twarzą w twarz. Więc wsiadł do samochodu, zatankował do pełna i ruszył w drogę. Tyle że kiedy dotarł do centrum Los Angeles, zrobiło się naprawdę późno. A kiedy zajechał przed hotel Omni...

Policja była dosłownie wszędzie. Stało się coś złego.

– Widziałem cię – powiedział, zwracając się do Mai. – Widziałem, jak zabiera cię policja.

– Wtedy go zobaczyłam – wtrąciła Fran. – Po tym, jak cię aresztowali.

Fran wyjaśniła, że policja wszystkich po kolei obudziła i odesłała do domu. Fran widziała Wayne'a w jego samochodzie. Zwyczajnie siedział na fotelu kierowcy.

– Gdyby policja go zobaczyła, uznaliby, że coś ukrywa – powiedziała Fran.

– Przecież ukrywał – odparła Maya.

Wayne wzruszył ramionami.

– W każdym razie zabrałam go tutaj ze sobą – ciągnęła Fran. – Z początku chodziło o to, żeby po prostu dociec, co się tam wydarzyło. Ale nikt nie chciał rozmawiać z policją, a policja nie przekazywała nam żadnych wiadomości o tym, jak Rick zginął, jeżeli ktoś go zabił. O nagraniu z fotoradaru też dowiedzieliśmy się dopiero dwa dni później.

– Kolejne dwa dni, podczas których podejrzewali mnie o jego zamordowanie.

– No cóż, pomyśl o tym z naszej perspektywy – powiedziała Fran.

– Staram się.

– Z naszej perspektywy być może to ty go zabiłaś.

Maya odwróciła się do Wayne'a. Każdy może zabić każdego, prawda?

– Widziałem ciebie i Ricka – rzucił Wayne. – Wtedy. Jak Rick któregoś ranka wyszedł z twojego pokoju.

– Wiem.

– Więc pomyślałem sobie... Sam nie wiem...

– Zrozumiałe – stwierdziła Fran. – Wayne nie zrobił nic złego. Jest dobrym człowiekiem.

Maya by się roześmiała, gdyby to wszystko było mniej okrutne. Ile razy w jej życiu usprawiedliwiano czyjąś brutalność tym, że ów ktoś był „dobrym człowiekiem”? Ile zbrodni, w które ją wtajemniczono, zostało popełnionych przez ludzi, którzy „mieli jak najlepsze intencje”. Słyszała to od swoich zbuntowanych klientów i ich oburzonych rodzin. Od nadgorliwych oskarżycieli, którzy mieli jakoby „związane ręce”, co kazało im interpretować przepisy w najsurowszy możliwy sposób. Słyszała to od kolegów ławników. Co gorsza, gdy tylko włączyła telewizor, słyszała to od ludzi mówiących tak o niej.

Nie znajdowała współczucia dla rzekomo „dobrych” ludzi, których decyzje raz po raz przysparzały cierpienia innym.

– A zatem chcecie mi powiedzieć, że nie macie nic wspólnego ze śmiercią Ricka oraz nie macie pojęcia, kto może za nią stać?

Żadne nie odpowiedziało. Siedzieli bez ruchu, bez jednego drgnienia, jak kamienie gotowe razem zatonać.

Fran naprawdę wierzyła, że Wayne jest bez winy, więc kłamstwo w jego interesie, sprowadzające się w sumie do niemówienia całej prawdy, było jej zdaniem usprawiedliwione. Oboje byli głęboko przekonani, że postępują słusznie.

Maya była wściekła. Ale przecież zachowywała się tak samo jak Fran, prawda? Kryła zabójcę, któremu jako jedyna uwierzyła. Teraz nie była już taka głupia.

– Chcesz, żebym poszedł na policję? – zapytał Wayne. – Pójdę. Jeśli to ma ci pomóc.

Gorzka ironia losu polegała na tym, że wcale by nie pomogło. Opowieść Wayne'a dawała umiarkowanie solidne alibi nie jej, ale jemu. Sytuacja, w której nikt nie wiedział, gdzie go szukać, była użyteczna z perspektywy

obrony Mai i obciążająca z perspektywy obrony Wayne'a. Ta myśl była przygnębiająca, lecz jego zniknięcie okazywało się dla niej dotąd znacznie przydatniejsze.

– Chcesz mi pomóc? – zapytała. – To pomóż mi znaleźć mordercę Ricka.

Zgodzili się jeszcze raz to przedyskutować. Ponownie porozmawiają ze wszystkimi ławnikami, by sprawdzić, czy uda im się wyciągnąć z nich jakieś nowe informacje, zważywszy na wydarzenia minionego tygodnia. Maya powiedziała Wayne'owi i Fran, co ma na Petera. Fran była wstrząśnięta. Wayne zadeklarował, że gotów jest osobiście stłuc go na miazgę. Maya chętnie by na to przystała, gdyby potencjalnie nie komplikowałoby to sprawy, którą miała założyć w imieniu Margarity.

Podczas poprzedniej wizyty u Jaego Maya zastała u niego Trishę. Od tego czasu Trisha zdążyła już zapewne wrócić do Houston, więc Wayne mógł spróbować zobaczyć się z Jaem.

Fran miała porozmawiać z Yasmine i Kathy; Maya nie zdążyła przepytac żadnej z nich. Fran bez wątpienia będzie mieć więcej szczęścia.

Tymczasem Maya postanowiła wrócić do miejsc, z którymi wiązała pewne nadzieje na przełom.

Lila Rosales otworzyła drzwi wejściowe z oczami czerwonymi od płaczu, co nieudolnie usiłowała ukryć.

– Maya, cześć... Przepraszam cię, ale to nie jest dobry moment...

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić – powiedziała Maya z zakłopotaniem. – A potem uzmysłowiłam sobie, że akurat jestem w pobliżu, więc... Mogę wpaść później.

– Boże, nie, jak mogłam tak powiedzieć? – Lila ukradkiem otarła oczy, udając, że drapie się w nos. – Tak się cieszę, że nie wylądowałaś w więzieniu. To musi być dla ciebie... Nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Wchodź, wchodź.

Zaprowadziła Mayę do salonu, w którym z założonymi na piersi rękami stał jej ojciec. Spiorunował Mayę spojrzeniem, wyraźnie wściekły, że przerwała toczącą się awanturę. Ostatni tydzień również dla tej dwójki musiał być niełatwy. Lila zamieniła z ojcem kilka szybkich, nerwowych zdań po hiszpańsku, w efekcie czego mężczyzna wyszedł załatwić jakieś sprawy.

Kiedy już zniknął, Lila zwróciła się do Mai.

– Naprawdę muszę sobie poszukać własnego lokum.
– Kiedy ja rozmawiam ze swoim ojcem, to zawsze wygląda, jakby nie mógł się zdecydować, czy chce mnie uratować, czy udusić.

– Mniej więcej.

Gdzieś zza domu doleciał je płacz Aarona.

Lila westchnęła ze znużeniem.

– Poczekaj minutkę.

Kiedy Lila zajmowała się Aaronem, Maya kręciła się po frontowej części domku. Kuchnia była nieskazitelnie wysprzątana. Puste butelki po piwie stały w skrzynce obok zlewu, czekając, aż ktoś je wyniesie do odpowiedniego kosza. Na suszarce do naczyń suszyły się kubeczki z dziobkiem i łyżeczki z gumową końcówką. Mai przebiegło przez myśl, że powinna przynieść w prezencie jakieś kwiaty od Fran.

Czy taktownie było dawać gospodyni kwiaty, gdy przychodziło się ją wypytać w sprawie morderstwa?

Na lodówce wisiały rysunki Aarona. Niektóre wykonano kredkami, inne flamastrami, jeszcze inne farbą do rączek. Wszelkiej maści zwierzątka: wielki żółty lew, niedźwiedź, który z jakiegoś powodu był jaskrawofioletowy, wściekle czerwony aligator...

Mai mróz przebiegł po krzyżu. To pewnie z wyczerpania. Aligator wyglądał tak samo jak ten na rysunku w namiocie Bobby'ego Nocka. Wielkie drapieżne zęby, czerwone łuski, oczka jak paciorki...

To było jakieś szaleństwo. Skąd niby Bobby miał mieć rysunek zrobiony przez syna Lili?

Maya usłyszała, jak Lila wchodzi do kuchni. Wskazała na lodówkę.

– Skąd Bobby Nock miał rysunek twojego dziecka?

Lila znieruchomiła.

– Maya... Tylko mi tu nie wariuj, dobra?

Rozdział 22

LILA

19 PAŹDZIERNIKA 2009

Lila Rosales nie mogła oderwać oczu od Bobby'ego Nocka. Siedział przy stole obrony, wpatrując się w nieokreśloną dal, jak codziennie przez minione pięć miesięcy. Lila siedziała w drugim rzędzie łoży przysięgłych na miejscu, które zajmowała od początku procesu, zerkając na salę ponad ramieniem Fran. Nie zliczyłaaby godzin, które spędziła właśnie w taki sposób, zastanawiając się, co dzieje się w głowie tego mężczyzny. Co musi myśleć o prawnikach, o sędzim, o całym tym postępowaniu...

Tyle o nim wiedziała. A co on wiedział o niej?

Jej nazwisko pojawiło się w wiadomościach, ale czy wolno mu było oglądać wiadomości? Po tych wszystkich miesiącach mógł nawet nie wiedzieć, jak jej na imię.

– Czy ława przysięgłych ustaliła werdykt? – zapytał sędzia.

Kathy wstała. Lila wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć twarz Bobby'ego.

– Tak, wysoki sędzie – powiedziała Kathy.

– Proszę przekazać wyrok woźnemu.

Kathy wręczyła kartkę sędziemu Steve'owi. Wypełnili ją i złożyli na pół jeszcze w pokoju przysięgłych. Na dole strony wszyscy złożyli podpisy.

Woźny Steve zaniósł kartkę sędziemu. Lila nie spuszczała wzroku z Bobby'ego, który nawet w tej chwili pozostał niewzruszony. Nie zmieniła się również mina sędziego. Zachowywanie kamiennej twarzy należało zapewne do jego obowiązków.

Rodzice Bobby'ego nie starali się pozorować opanowania. Lila doskonale to rozumiała. Jako jedyni zachowywali się jak normalni ludzie. Mama Bobby'ego płakała, ojciec otaczał ją ramieniem. Byli całkowicie skupieni na synu, choć ten chyba w ogóle nie zwracał na nich uwagi.

Twarz Elaine Silver była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. No cóż, pomyślała Lila, trudno ją za to winić. Ta kobieta straciła dziecko. Po takiej tragedii miała prawo do każdego wyrazu twarzy.

Lou Silver siedział obok żony. Lila nie widziała go od momentu, gdy osobiście pogroził oskarżeniem. Zachował się okropnie, lecz mimo to

współczuła mu wszystkiego, przez co musiał przejść.

Sędzia w milczeniu przeczytał wyrok, złożył kartkę i oddał ją woźnemu, który odniósł ją Kathy.

– Czy przewodnicząca ławy przysięgłych może odczytać werdykt na głos? – zapytał.

Kathy drżącymi rękoma rozłożyła kartkę. Spojrzała na lewo, a potem na prawo, jakby upewniając się po raz ostatni, czy cała ława jest zgodna.

– My, sędziowie przysięgli – powiedziała – uznajemy Roberta Nocka niewinnym zarzucanego mu zabójstwa pierwszego stopnia.

W sali sądowej zaległa upiorna cisza. Oskarżyciel nawet nie drgnął. Bobby chyba kompletnie osłupiał. Wzdrygnął się, gdy obrończyni położyła mu dłoń na ramieniu, po czym nachyliła się i wyszeptała mu coś do ucha. Lila żałowała, że nie usłyszała, co to było.

I wtedy Elaine Silver krzyknęła boleśnie. Raz. Lila usłyszała tylko ten jeden dźwięk.

Lou Silver zrobił coś najdziwniejszego: uśmiechnął się. Gorzko, mściwie i z rezygnacją. Jakby był przygotowany na najgorsze i wyrok tylko potwierdził jego oczekiwania.

Lila chciała powiedzieć Silverom, że strasznie jej przykro, że do tego doszło, ale ten wyrok był najlepszym rozwiązaniem. W ogóle nie odczuła tego wszystkiego tak, jak się spodziewała. Wiedziała, że nie będzie żadnych oklasków, jak po zakończeniu projekcji filmowej. Sądziła jednak, że dostaną jakiś wyraźny sygnał, że dobrze wykonali swoją pracę. Kiedy uczeń poprawnie napisze sprawdzian, dostaje od nauczyciela piątkę. A tutaj? Po wszystkim, co z siebie dali, po całej tej ciężkiej pracy, jaką wykonali, by wywalczyć dla Bobby'ego wolność, tylko tyle? Łza, krzyk, kilka kaszlnięć. Jeszcze więcej przemilczeń niż wcześniej.

Lila też chciała krzyknąć. Dlaczego nie miała poczucia zwycięstwa?

– Zatem sprawa Stan Kalifornia przeciwko Robertowi Nockowi zostaje zamknięta – oświadczył sędzia. – Szanowni sędziowie przysięgli, wasza służba dobiegła końca. Woźny zaprowadzi was do pokoju obrad celem dopełnienia ostatnich formalności, po czym zostaniecie zwolnieni do domu.

Powiedział „zwolnieni” w taki sposób, jakby byli zwierzętami w klatkach, które w niewoli złagodniały i obrosły w sadło, a teraz miały zostać wypuszczone do dżungli.

– Sąd dziękuje wam za służbę, która dalece przekraczała wszystko, czego można oczekiwać od obywateli. Wiemy, ile poświęciliście dla wymiaru

sprawiedliwości, i jesteśmy ogromnie wdzięczni.

Bynajmniej nie sprawiał wrażenia wdzięcznego. Wyglądał na zwyczajnie wkurzonego.

Zanim Lila się zorientowała, pozostali ławnicy już wstali. Kiedy cała grupa zaczęła opuszczać lożę przysięgłych, utworzył się obok niej zator. Wayne stanął nad nią, patrząc wyczekująco na dół. Czas się zbierać.

Lila poczuła się bardzo głupio. Oczywiście, że sala sądowa nie była odpowiednim miejscem do radosnego świętowania. Oczywiście, że będzie musiała poczekać, aż wróci do domu. Jej rodzice będą z niej naprawdę dumni. Ocaliła człowiekowi życie. Jej siostra też będzie dumna. Może wpadną też jej kuzynki z dziećmi, które pewnie zdążyły już postawić pierwsze kroki!

Po powrocie do domu dostanie takie zakończenie, na jakie zasługuje. Wróci jako bohaterka.

Dwóch funkcjonariuszy policji Los Angeles odwiozło ją z powrotem do domu, w którym mieszkała od urodzenia. Ale kilka kilometrów przed celem utknęli w korku. Nie przypominała sobie, żeby na tych ulicach kiedykolwiek panował taki ruch. Kiedy radiowóz skręcił w ulicę, przy której mieszkała, przyczyna stała się jasna: pod domem jej rodziców stał tłum dziennikarzy, niemal równie liczny jak ten przed budynkiem sądu. Kierowca radiowozu włączył koguta na dachu, żeby rozproszyć gromadę, po czym zaparkował na podjeździe za starym fordem jej taty.

Jej ojciec otworzył drzwi wejściowe i w tym momencie trzasnęły dziesiątki lamp błyskowych. Był ubrany jak na jakąś uroczystość, ale gdy zobaczył jej twarz, jego własna przybrała wyraz, jakby zaraz miał się rozpłakać. Lila sięgnęła do klamki, po czym przypomniała sobie, że radiowozy nie otwierają się od środka.

Funkcjonariusz wysiadł i otworzył jej drzwi.

Była nadal w szoku, gdy ojciec otoczył ją ramionami.

– *Te amo* – powiedział. – *Querida*.

Dziennikarze trzymali się z dala, gdy prowadził ją do domu, otaczając silnymi ramionami.

W środku czekały jej mama, siostra, kuzynki i dwójka małych dzieci. Uściskali ją wszyscy jednocześnie. Lila uzmysłowiła sobie, że płacze.

Wreszcie była w domu.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej miała poczucie, że rodzice są z niej dumni. W szkole średniej nigdy nie należała do żadnej drużyny, jak jej brat. Nigdy nie startowała w biegach przełajowych, jak jedna z jej kuzynek. Wiedziała, że rodzice ją kochają, że zrobiliby dla niej wszystko, ale nigdy nie miała poczucia, że zrobiła cokolwiek, co napełniło ich dumą.

Aż do tej chwili.

– *¿Qué has hecho?*

Coś ty narobiła?

To powiedziała jej mama.

Lila była dezorientowana. Zabrzmiało to tak, jakby za późno wróciła do domu i została przyłapana na próbie wślizgnięcia się niepostrzeżenie do środka. W takich sytuacjach w głosie mamy słycać było ulgę, że Lila bezpiecznie dotarła do domu, i wściekłość, że napędziła jej takiego stracha. Przyglądając się przez łzy minom członków swojej rodziny, Lila zrozumiała, że coś jest nie tak. Na ich twarzach nie malowała się duma, tylko niepokój.

– Nic się nie stało – powiedział ojciec, próbując uspokoić resztę rodziny.

– Dajcie jej odpocząć. – Położył silne dłonie na jej ramionach. – *Querida*. Wszystko będzie dobrze.

Zabrzmiało to tak, jakby chciał pocieszyć nie ją, ale siebie.

Nigdy nie umiał kłamać.

Wywalono ją ze studium kosmetologicznego.

Wystarczyło, że zjawilo się kilku dziennikarzy. Wypytywali jej koleżanki z klasy o to, jaką jest uczennicą, czy utrzymuje po zajęciach kontakty z nauczycielami i inne nonsensy. A jednak dyrektorka szkoły uznała, że odrywa to pozostałe uczennice od nauki. „Musimy brać pod uwagę dobro ich wszystkich” – powiedziała.

Lila była wściekła. Nie złamała żadnych zasad, nie zrobiła nic złego. Jakim cudem ukaranie jej w ten sposób można było uznać za sprawiedliwe? Co miała teraz zrobić?

Szukanie pracy okazało się ponurym żartem. Nosila na tyle popularne nazwisko, że potencjalni pracodawcy nie orientowali się od razu, ale żadnemu z nich nie zabralo to wiele czasu. Była tak głupia, że w kilku pierwszych podaniach o pracę umieściła jako wcześniejszego pracodawcę „system wymiaru sprawiedliwości stanu Kalifornia”. (Za pięć miesięcy

pracy ławniczki zapłacili jej tysiąc czterysta trzydzieści sześć dolarów; jej ojciec z tych pieniędzy spłacił dług na swojej karcie kredytowej). Ale nawet gdy zaczęła pomijać tę informację, musiała wyjaśniać, czemu przerwała naukę, a gdy tylko wspomniała o „ławie przysięgłych”, osobie przeprowadzającej z nią rozmowę wystarczyło kilkakrotnie kliknąć w wyszukiwarce, by połączyć kropki. Jedna, druga sieć sklepów spożywczych... Nie dostała nawet pracy kierowniczką zmiany w lodziarni. Nakładała tam lody w szkole średniej. Jako dziewiętnastolatka nie dostała pracy, którą wykonywała jako piętnastolatka.

Zacząła coraz później wstawać z łóżka. Próbowwała pomagać w pracach domowych, ale wystarczyło, że wstawiła miseczki do szuflady, by mama skarciła ją, że zwykle stoją w drugiej. Wszystko robiła źle. Nigdy dotąd nie czuła się tak zmęczona. Żałowała, że nie może po prostu zwinąć się w swojej dziecinnej pościeli i spać bez końca pod pastelowymi motylkami.

Dwa tygodnie po jej powrocie do domu jakiś kretyn wybił im kamieniem okno w salonie. Lila się nie przestraszyła, ale jej mama owszem. Tydzień później zarzucili im dach papierem toaletowym. Tym razem to musiały być jakieś dzieci z sąsiedztwa, ale jej mama zachowywała się tak, jakby to był najazd. Czy durni koleżkowie jej brata nie postępowali tak samo, gdy byli młodszy?

Lila zauważyła, że ojciec zaczął więcej pić. Nieczęsto zdarzało jej się wynosić śmieci, ale za każdym razem, kiedy to robiła, słyszała na dnie worków głośne brzękanie pustych butelek po piwie. Znów ukrywał je pod resztą domowych śmieci. Kilka piw nie stanowiło powodu do niepokoju, ale ukrywanie butelek to już co innego.

Ojciec był jednak absolutnie trzeźwy, gdy wyjaśniał jej, dlaczego wyrok był takim wstrząsem dla wszystkich spoza sali sądowej. Powiedział jej o wcześniejszym skazaniu Bobby'ego za napaść. Najwyraźniej podawano to w wiadomościach od wielu miesięcy, ale nikt nie poinformował o tym ławy przysięgłych. A może, pomyślała Lila, mówiono o tym w wiadomościach właśnie dlatego, że ławnicy o tym nie wiedzieli? Ale kogo to właściwie obchodziło? Dlaczego wszyscy zachowywali się tak, jakby Bobby zamordował nastolatkę tylko dlatego, że w szkole średniej wdał się w bójkę? Wyłuskali jeden fakt i rozdmuchali go ponad wszelką miarę. Zachowywali się tak, jakby go świetnie znali.

A przecież to ona spędziła z nim te wszystkie miesiące na sali sądowej, zaglądając w głąb jego umysłu. Wiedziała, że jest dobrym człowiekiem.

Dawni znajomi mówili w telewizji o jego uczciwości, byli uczniowie zapewniali, że był życzliwy i świetnie ich rozumiał. Czuła, że to potwierdza podjętą przez nią decyzję. Przysłuchiwała się ich wypowiedziom z poczuciem, że podczas rozprawy więcej informacji przed nią ukryto niż ujawniono.

Widziała w telewizji także Ricka. Przepraszał za podjętą przez nich wspólnie decyzję i wygadywał koszarne rzeczy o innych ławnikach, najgorsze zniewagi zachowując dla nieszczęsnej Mai.

Wywiady udzielane przez Jaego nie były tak kąśliwe, choć Jae zmienił perspektywę równie szybko jak Rick. Trisha powiedziała publicznie tylko kilka słów, ale te kilka słów pozwalało sądzić, że stanęła po stronie Ricka.

Oglądając innych ławników w telewizji, Lila poczuła dziwną tęsknotę. Tutaj, w prawdziwym świecie, nikt nie rozumiał, co przeżyła. Wiedziała to wyłącznie ta jedenastka, choćby zdążyła się już serdecznie znienawidzić.

Lila zadzwoniła do Yasmine. Wreszcie mogła porozmawiać z kimś, kto przeżył to samo co ona. Chciała się spotkać w jakimś zacisznym miejscu, ale Yasmine za każdym razem przesuwiała godzinę spotkania na niemal środek nocy, jakby marzyła tylko o tym, żeby wyjść z domu potańczyć. Wystrojone, popijały żurawinowe koktajle w hałaśliwych dyskotekach, upijały się, a gdy faceci zaczęli z nimi flirtować, ulatniały się bez śladu. Przynajmniej wychodząc na miasto z Yasmine, nigdy nie płaciła za swoje drinki.

Yasmine miała dość rozmów o Bobbym Nocku, a Lila poczuła, że nigdy nie dostała sposobności, by o nim choćby napomknąć.

Wychodziły wieczorami coraz rzadziej, a przecież Lila najbardziej na świecie pragnęła towarzystwa kogoś, kto tam był. Kogoś, z kim mogłaby wspominać woźnego Steve'a bez potrzeby wyjaśniania, kto to taki i jakie to dziwne, że spędzał z nimi tyle czasu, choć nie był wcale jednym z nich.

Raz umówiła się na kawę z Fran Goldenberg, ale ta nie rozumiała, co Lila właściwie straciła, gdy wyrzucono ją ze studium kosmetologicznego. Lila próbowała jej wytłumaczyć, że tęskni za układaniem fryzur, pracą z różnymi kobietami i słuchaniem ich opowieści, ale Fran kiwała głową tak samo jak jej kuzynki. Starła się być uprzejma.

– No cóż, skarbie – powiedziała – a zastanawiałas się, co innego mogłabyś robić? Jesteś taka młoda. Tyle dróg przed tobą, możesz robić, co tylko chcesz. Może zawsze o czymś marzyłaś, a nigdy nie miałaś szansy spróbować?

Ale dokąd miała pójść? Nie знаła nikogo, kto nie byłby stąd.

Nie zadzwoniła ponownie do Fran.

Męczyła ją bezsenność. Kładła się do łóżka nad ranem i spała do południa. Ledwo znajdowała siły, by przejść z sypialni do salonu. Co się z nią działo?

Widziała kiedyś w telewizji program o gościu, który miał w przewodzie pokarmowym pasożyta i spał przez to na okrągło. Wygooglowała „pasożyty”, ale nie zgadzały się inne objawy.

Oczywiście myślała o Bobbym Nocku. W wiadomościach podawali stale aktualizowane informacje o jego losach. Dowiedziała się, że postawiono mu zarzut rozpowszechniania dziecięcej pornografii. Nawet ludzie z telewizji, którzy go nienawidzili, uznali ten zarzut za bardzo naciągany.

Gdy zaczynała się nad sobą litować, przypominała sobie, że Bobby ma znacznie gorzej. Niesłusznie oskarżony o potworną zbrodnię, prawie rok przesiedział w więzieniu i dalej nie dawali mu spokoju.

Chciała jakoś się z nim skontaktować. I wtedy ją olśniło, że przecież może napisać do niego list. Napisałaby mu, że chociaż tylko się domyśla, przez co przechodzi, bezwarunkowo go wspiera.

Gdyby była na jego miejscu, doceniłaby wyrazy wsparcia.

„Szanowny Panie, nazywam się Lila Rosales i byłam jedną z ławniczek podczas Pana procesu. Numer 429. Niezależnie od tego, co się mówi, uważam, że podjęliśmy słuszną decyzję”. Dalej napisała mu więcej o sobie. O swoim życiu przed procesem i teraz. O tym, jak tęskniła za rodziną, lecz teraz czuje się w jej obecności jeszcze bardziej samotna.

Nim się obejrzała, zapisała pięć stron z pojedynczą interlinią. Chyba od czasów szkoły średniej nie skomponowała tak obszernej wypowiedzi!

List zaadresowała do jego prawniczki. Już samo wysłanie go poprawiło jej nastrój. Zrzuciła z serca przytłaczający ciężar. Gdyby nawet Bobby nigdy nie przeczytał jej listu – a pewnie nie przeczyta – była dumna, że go napisała.

Nie spodziewała się odpowiedzi.

„Droga Lilo – napisał do niej Bobby trzy tygodnie później – nie masz pojęcia, jak bardzo poruszył mnie Twój list. Podczas wszystkich tych miesięcy na sali sądowej zastanawiałem się, co Ty i pozostali ławnicy o tym wszystkim sądzicie. Nie udało mi się dociec, co musiałaś o mnie myśleć. Dziękuję zatem, że mi uwierzyłaś. Dziękuję, że nadal mi wierzysz. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie to musiało być dla ciebie trudne, stawać

w mojej obronie. Na cokolwiek zasłużyłem swoimi czynami, wiem, że ty niczym sobie nie zasłużyłaś na to, co cię spotkało. Dziękuję również za to, że tak obszernie opowiedziałaś mi o swoim życiu. Żałuję, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach. Uściski, Bobby Nock”.

Poniżej umieścił swój adres e-mailowy.

Nareszcie, pomyślała Lila, czytając list po raz trzeci. Nareszcie ktoś, kto rozumie.

Odpisała mu e-mailem jeszcze tego samego wieczoru.

Rozdział 23

DRUGI WERDYKT

TERAZ

– Bobby Nock jest ojcem twojego dziecka.

– Cśśś. Bądź cichutko, dobrze? – Lila zastygła jak skamieniała. – Aaron nie może nas usłyszeć.

Ponure szczegóły dwóch zbrodni, które dzieliło dziesięć lat, splotły się w umyśle Mai.

– Właśnie tego dowiedział się Rick na temat Bobby’ego. Właśnie tego nie chciał zdradzić ani mnie, ani Lou Silverowi, ani nikomu innemu. Nie znalazł wisiora. Nie dowiedział się niczego na temat Bobby’ego i Jessiki. Dowiedział się o tobie i Bobbym!

– Rick kłamał! Nigdy nie znalazł żadnego dowodu na to, że Bobby był mordercą.

– Dowiedział się, że po procesie ty i Bobby zaczęliście się spotykać. Że urodziłaś syna. I że trzymałaś to w sekrecie.

– Mój ojciec nas do tego zmusił. Kiedy powiedziałam mu, że widywałam się z Bobbym i jestem w ciąży, był naprawdę wściekły. Chciał, żeby Aaron dorastał w normalnych warunkach. W spokoju. Żeby nikt nie prześladował go do końca życia za to, że jego ojciec był mordercą. Żeby nikt nie traktował go tak, jak wszyscy traktowali Bobby’ego.

– Ale Rick chciał... – Genialny plan Ricka, który postawił wszystko na jedną kartę, stał się wreszcie jasny. – Cholera. Rick próbował zaszantażować tą informacją Bobby’ego, żeby ten przyznał się do zamordowania Jessiki, prawda?

– Rick pojechał do Bobby’ego, który mieszkał wtedy w tej koszmarnej miejscinie. Zagroził Bobby’emu, że wyjawি wszystkim, co między nami zaszło. Zniszczyłby życie Aaronowi, o ile Bobby nie przyznałby się do czegoś, czego nie zrobił.

Maya nie mogła w to uwierzyć.

– Nadal jesteś przekonana, że Bobby był niewinny?

– Bobby był dobry – odparła Lila. – Obie to wiemy. Był dobrym człowiekiem. Cokolwiek przytrafiło się Jessice... Za cokolwiek przeproszał

w liście pożegnalnym...

- Miał jej wisiorek.
- Był skomplikowanym człowiekiem.

Zaledwie przed kilkoma dniami także Lila dowiedziała się, że ojciec jej dziecka, mężczyzna, którego pokochała, był mordercą. „Skomplikowany” żadną miarą nie wyczerpywało tematu.

Lila nie dała temu wiary. Dziesięć lat temu Maya aż za dobrze przekonała ją do swoich racji.

– Pomyliliśmy się – powiedziała teraz. – Ja też nie chciałam w to uwierzyć i nadal nie chcę. Wciąż szukam innego wyjaśnienia, ale... Pomyliłam się co do niego. Myliłam się od początku. To była moja wina. Bobby zabił Jessicę.

Wypowiedziała te słowa po raz pierwszy w życiu. Smakowały żółcią.

– Nie – wyszeptała Lila. – Nie zrobił tego.

Z trudem nad sobą panowała.

– Mielście jakiś sposób komunikowania się bez niczyjej wiedzy – stwierdziła Maya. – Powiedział ci, że Rick mu groził.

Lila skinęła głową.

– Bobby miał dwa wyjścia: przyznać się albo patrzeć, jak Rick niszczy Aaronowi życie. Zrobił jedyne, co mógł zrobić. Tylko tak mógł postąpić uczciwie. Uciekł. Zapadł się pod ziemię. Właśnie taki był. Nie chciał nikomu przysporzyć więcej bólu: ani mnie, ani Aaronowi... Nikomu. Nawet mi nie zdradził, dokąd wyjeżdża. Byłam przerażona... Napisałam do niego list... Ale dokąd miałam go wysłać?

Drżącą ręką odsunęła z twarzy długie czarne włosy.

Bobby okłamał Mayę w East Jesus. Nie powiedział jej, co usłyszał od Ricka. Skłamał dla dobra syna, którego nie wolno mu było odwiedzać. Dla dobra dziecka, którego rysunkowy aligator był dla niego jedynym łącznikiem z życiem, na jakie nie miał już żadnych szans.

Ciąg wydarzeń, który doprowadził do śmierci Ricka, zaczął układać się w logiczną całość.

Rick wściekał się w pokoju Mai. Usłyszał pukanie do drzwi. Założył, naturalnie, że to Maya, która wraca kontynuować sprzeczkę. Ale kiedy otworzył drzwi, zobaczył w progu Lilę.

- Rick wpuściłby cię do środka – powiedziała Maya.
- Przyszłam do twojego pokoju, nie jego. Szukałam ciebie.
- Mnie?

– Żeby ci powiedzieć, co się dzieje. Potrzebowałam twojej pomocy. Ufałam ci.

Lila mocno zacisnęła drżące dłonie w pięści.

– Jakoś mi się nie wydaje – odparła Maya.

– Sądziłam, że jeśli ktokolwiek może mi pomóc, to właśnie ty. Dlatego wzięłam Aarona ze sobą do hotelu. Żebyś mogła go zobaczyć. Żebyś zrozumiała.

– Ale zamiast na mnie trafiłaś na Ricka.

– To był wypadek! – Lila jęknęła, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Z początku wystraszyłam się, widząc go w twoim pokoju. Przecież mógł ci coś zrobić! Ale potem powiedział, że powinnam wejść do środka. Rozglądałam się, ale nigdzie cię nie było. Zastanawiałam się, co się z tobą stało. Powiedział mi, że nic nie wiesz, że jeszcze nikomu nie zdradził, co wie, i nie zdradzi, jeśli Bobby wyzna „prawdę”. Czas już prawie minął. Rano Rick miał wystąpić przed kamerami. Błagałam go, Maya, błagałam go! „Nie niszczy życia mojemu synowi. Aaron nigdy nikogo nie skrzywdził. Zasługuje na normalne życie”. Ale Rick odmówił. Powiedział: „Zrujnować życie Aarona? Tak jak Bobby zrujnował nasze?”. Nigdy nie widziałam, by ktoś kogoś nienawidził tak bardzo jak Rick Bobby’ego... Jakby Rick nienawidził człowieka ogarniętego obsesją, którym sam się stał, i obarczał Bobby’ego winą za tę przemianę. Zaczęliśmy się kłócić. Krzyczał na mnie, pchnęłam go, on mnie odepchnął, pchnęłam go jeszcze raz, upadł... Boże, to był wypadek, Mayu. Musisz mi uwierzyć. To był wypadek.

Maya w głębi serca żałowała, że Lila nie kłamie. Chciała samodzielnie dociec, co się wydarzyło, chciała sama znaleźć tego czarta, tymczasem znalazła wystraszoną młodą kobietę zdeterminowaną, by chronić swoje dziecko.

– Zostawiłaś go tam – powiedziała Maya. – Zostawiłaś go tam, żebym to ja go znalazła.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że cię aresztują. Nie wiedziałam o was... O tym, co się wtedy działo między wami. Dowiedziałam się dopiero w tym tygodniu. Kiedy Rick umarł... Umarł w ciągu sekundy, nie wiedziałam, że można tak po prostu umrzeć od jednego uderzenia w głowę... Pomyślałam, że... Nie wiem, co pomyślałam. Gdybym została, policja dowiedziałaby się o Aaronie. Pomyślałam, że jak wyjdę, uznają to za wypadek, zgodnie z prawdą. – Podeszła krok bliżej. – Pomyślałam, że jakoś sobie z tym poradzisz. Właśnie taką cię zapamiętałam. Za taką cię

miałam przez te wszystkie lata. Cokolwiek się działo, umiałaś sobie z tym poradzić.

Chciałabym, żeby tak było, pomyślała Maya.

Lila zaczęła płakać. Próbowwała powstrzymać łzy, ale przegrała walkę o zachowanie panowania nad sobą.

Odruchowo, pocieszająco, a może ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości Maya objęła Lile i mocno ją przytuliła.

Poczuła, że młoda kobieta poddaje się i oddaje w jej ręce. Naprawdę wierzyła, że Maya ze wszystkim sobie poradzi. I teraz już Maya nie miała wyboru.

Usłyszała ciche kroki. Do kuchni na paluszkach wszedł Aaron. Musiał usłyszeć płacz matki. Widząc, że stoją objęte, on też się przytulił: jedną małą rączką objął nogę Lili, a drugą Mai. I tak stali: Maya, która próbowała rozwikłać zagadkę tego morderstwa, Lila, która je popełniła, i Aaron, który najbardziej by przez nie ucierpiał.

Jakiś czas później Maya i Lila usiadły przy małym stole jadalnym. Lila nerwowo skubała odpryskujący lakier na paznokciach. Aaron wrócił do swojego pokoju, pocieszony, że mamie nic się nie dzieje.

– Co teraz zrobisz? – zapytała Lila.

Maya pomyślała o swoim poprzednim wcieleniu. O niewinnej dziewczynie, która weszła do budynku sądu z przypinką NADZIEJA na plecaku. Idiotce, która uwierzyła, że wszystko jest możliwe, która spotkawszy jedenaścioro nieznanym w pokoju przysięgłych, pomyślała, że ktokolwiek z nich ujdzie z tego z życiem.

– Co się z nami stało? – zapytała Maya. A potem uzmysłowiła sobie, jak przedziwnie musiało to zabrzmieć.

Ale Lila chyba zrozumiała, co Maya miała na myśli.

– To przez to miejsce.

Maya rozejrzała się. Były dwiema kobietami, które w innych okolicznościach nigdy by się nie spotkały, a jednak wspólnie musiały podjąć niemożliwą do podjęcia decyzję. W tej zagraconej kuchni. W tej zapomnianej dzielnicy. W tym szybko rozwijającym się mieście. W tym wielkim świecie, który miał je w nosie, chyba że można było zrobić z nich ponurą sensację.

– Co robimy z Aaronem? – zapytała Lila.

To wszystko było takie zagmatwane. Maya mogłaby powiedzieć policji, że to Lila zabiła Ricka, ale Lila by temu zaprzeczyła. Oczywiście nie chciała, by Maya poszła do więzienia, ale gdyby musiała wybierać między Mayą a własnym synem... I Mai trudno byłoby winić ją za dokonanie takiego, a nie innego wyboru.

Jakimi dowodami właściwie dysponowała? Dwoma rysunkami aligatora? Nie wiedziała nawet, czy w tym motelowym pokoju znaleziono aligatora Bobby'ego. Gdyby Maya zdołała nakłonić sąd do zlecenia obowiązkowego testu DNA (co stało pod wielkim znakiem zapytania), mogłaby dowieść, że Aaron był dzieckiem Bobby'ego. Ale jakie to miało znaczenie z perspektywy aktu oskarżenia postawionego Mai?

Gdyby mecenas Seale miała przyrzeć się tej sprawie, musiałaby przyznać, że jej obecna strategia obrony jest lepsza niż dowodzenie prawdy. Gdyby starała się obciążyć pozostałych zgodnie z dewizą „każda z tych osób mogła to zrobić”, miałyby do dyspozycji akta, napaść Petera, sprzeczności w zeznaniach Wayne'a i kto wie, ile jeszcze potencjalnych dowodów, które mogłaby wykorzystać. Prawda, jak zwykle, nie była ani obroną, ani zbawieniem. Prawda nie pomogła jeszcze nikomu.

Mai przemknęła przez głowę myśl tak przewrotna, że aż zachciało jej się śmiać, ale im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej była przekonana, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

Jeśli pragnęli sprawiedliwości, uczciwości lub jakiegokolwiek moralnie uzasadnionego finału tego ciągu śmierci... musieli zapewnić go sobie sami.

– Mam pewien pomysł – powiedziała Maya. – Ale dość, kurwa, obłąkany.

Skontaktowanie się z pozostałą ósemką przysięgłych wymagało wykonania zaledwie ośmiu telefonów. Powiedziała im, że znaleziono zabójcę Ricka i że ma nadzieję spotkać się z nimi jeszcze raz, by mogli wspólnie zdecydować, co z tym zrobić.

Spodziewała się oporu. Dlaczego Wayne miałby jej zaufać, że go nie wystawi? Dlaczego Trisha, która zdążyła już wrócić do Houston, miałaby chcieć znów się w to wszystko angażować?

– Wayne zrobi to, co będzie najlepsze dla wszystkich – zapewniła Mayę Fran. – Ja również.

Trisha zapowiedziała, że przyjedzie, bo gdyby nie przyjechała, to bez niej Maya będzie wszystkich nękała tak długo, aż podejmą taką decyzję, jaką będzie chciała.

Jae uznał, że musi się osobiście przekonać, jakimi dysponują dowodami.

Cal sprawiał wrażenie, jakby zaimponowało mu, że Maya dotarła do sedna sprawy.

Kathy powiedziała, że skoro Fran przyjdzie, to ona też.

Yasmine zdecydowała, że skoro wszyscy się wybierają, to nie będzie jako jedyna się wyłamywać.

Peter powiedział, że zrobi, do cholery, wszystko, czego Maya od niego chce.

Dwa dni później zebrali się w salonie domu Cala, który wybrali ze względu na jego obszerność i neutralność; zważywszy na potrzebę zachowania dyskrecji, trudno byłoby im znaleźć miejsce niedające nikomu żadnej przewagi.

Fran i Wayne usiedli razem z Yasmine na dużej pluszowej kanapie.

Trisha, Cal i Jae ścisnęli się na nieco mniejszej.

Lila i Kathy przyciągnęły sobie krzesła z jadalni. Lila wyglądała tak, jakby od tygodni nie spała.

Peter usiadł na bujanym fotelu, który Cal przyniósł mu z sypialni. Fotel kołysał się w tył i w przód, gdy Peter nerwowo postukiwał stopą o podłogę.

Maya wstała i zwróciła się do wszystkich, jakby byli w sali sądowej.

– Zebraliśmy się tutaj, bo wiem już, jak zginął Rick. Jeśli nie chcecie wiedzieć, macie ostatnią sposobność, by wyjść. Wszystkich, którzy zostaną, poproszę, by obiecali, że zostaną do samego końca, aż jako grupa ustalimy, jaka kara ma spotkać zabójcę. Dziesięć lat temu podjęliśmy wspólnie decyzję. Może nie mieliśmy racji, lecz działaliśmy zgodnie. Dziś mamy do podjęcia kolejną decyzję i nie sądzę, by ktokolwiek z nas miał prawo podjąć ją samodzielnie. Jeśli nie jesteście gotowi wziąć na siebie takiego zobowiązania, proszę was, byście w tym momencie wyszli. Nie będziecie musieli w żaden sposób angażować się w to, co wydarzy się dziś w tym pokoju.

Spojrzała na nich wszystkich po kolei, jedno po drugim.

Nikt nawet nie drgnął.

– Lila, czy chciałabyś opowiedzieć wszystkim o tym, co się stało? – zapytała Maya.

Nie potrzebowali wiele czasu, by się zorientować, dokąd to wszystko zmierza. Opowieść Lili w dużej mierze pokrywała się z tym, co usłyszała

już wcześniej Maya. Lila nie starała się jej upiększyć ani bagatelizować roli, jaką odegrała w śmierci Ricka.

Gdy przetrawiali usłyszane wiadomości, Maya zwróciła się do nich ponownie. Podała resztę informacji, których potrzebowali przed podjęciem decyzji. Opowiedziała o niespodzianym zjawieniu się Wayne'a pod hotelem tamtej nocy i o tym, jak Fran skłamała, by go kryć.

Potem opowiedziała im o Peterze.

Kiedy opisywała to, czego dowiedziała się o jego ataku na Margaritę, sprawiał wrażenie, jakby chciał zapaść się w fotel.

W przeciwieństwie do Lili próbował się bronić.

– Musicie zrozumieć, że nie myślałem wtedy trzeźwo... Pamiętacie, wszystkim nam zaczynało odbijać, wciągnąłem się w te przygody online i...

– Zamknij się, kurwa – powiedziała Maya.

Zamknął się.

– Teraz pytanie, co dalej. Z mojej oceny wynika, że są tylko dwie możliwości.

Rozwiązanie numer jeden, jak wyjaśniła, polega na tym, że Maya opowie o wszystkim publicznie. To znaczy całą prawdę. Innymi słowy, rzuca kostką. Wynik rzutu będzie zależał od nieprzewidywalnej policji, bezwzględnych mediów i sądów, których nie sposób być pewnym. Najbardziej prawdopodobny skutek będzie taki, że Aaron będzie dorastał jako dziecko słynnego mordercy i jego pojętnej uczennicy, potencjalnie jako sierota. Lila zostanie oskarżona o zabójstwo, którego się wyprze, do pewnego stopnia wiarygodnie. Peterowi nie zostaną postawione żadne zarzuty o charakterze karnym, być może uda mu się wygrać proces cywilny wytoczony mu przez Margaritę, której tożsamość również wycieknie do prasy, natomiast Maya może wylądować w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniła.

Nie musiała się zanadto wysilać, by odmalować im obraz dwunastu ludzi takich jak oni – a może zupełnie innych – których sąd wyselekcjonuje, by sobie to wszystko poukładali. Doskonale wiedziała, jacy będą ci świeżo upieczeni ławnicy, pełni jak najlepszych chęci dojścia do prawdy. Mogą nawet sądzić, że zdołają ją ustalić.

Można było mieć tylko nadzieję, pomyślała Maya, że ostatecznie się nawzajem nie wyrzną. Zważywszy na własne doświadczenia, nie miała takiej pewności.

Było też wyjście numer dwa. Znacznie bardziej skomplikowane i wymagające udziału wszystkich zebranych.

– W tym wypadku – powiedziała Maya – decydujemy się pominąć prawdę i przechodzimy bezpośrednio do sprawiedliwości albo jej maksymalnego przybliżenia.

– Sprawiedliwości dla kogo? – zapytała Fran. – Dla Ricka? Dla ciebie? Dla dziecka Lili?

– Właśnie o tym możemy zdecydować – odparła Maya. – W rozwiązaniu numer dwa kilkoro z was zapewnia mi alibi obejmujące noc morderstwa. Bez znaczenia, kto to będzie. Opracowujemy historię wystarczająco dobrą, by prokuratura wycofała oskarżenie.

– Pilnujemy, żeby cię nie wsadzili – powiedział Cal – ale też żeby Lila nie wylądowała w więzieniu. Ani nikt inny.

– Jak? – zapytała Yasmine.

Maya widziała, że Cal zaczął się już nad tym zastanawiać, tworząc jakąś barokową, średnio wiarygodną konstrukcję.

– Może Maya była w chwili morderstwa z Jaem i Trishą, ale ci nie powiedzieli o tym policji, bo nadal byli na nią wściekli z powodu werdyktu sprzed dziesięciu lat?

– I kto w to uwierzy? – zapytała Trisha.

– Podobnie było w *Świadku oskarżenia* – podsunął Cal. – Alibi zapewnione przez żonę jest tym wiarygodniejsze, że udzieliła go niechętnie. – Widząc pustkę w ich oczach, zapytał: – Agatha Christie? Było kilka filmów.

Nikt nie odpowiedział.

– Słuchajcie, ja tylko rzucam luźne pomysły...

– Chodzi jedynie o to, żebyśmy coś wymyślili – stwierdziła Fran.

– No dobrze, to może porozmawiajmy na razie o Peterze – zaproponowała Maya. – Prawda jest taka, Peter, że nie ma sposobu, żeby wsadzić cię do więzienia. Zgodzimy się na takie odszkodowanie, jakie zdołamy uzyskać. Rozmawiałam z Margaritą i zależy jej przede wszystkim na anonimowości, bo miała okazję się przekonać, co ujawnienie tożsamości potrafi wyrządzić ludziom takim jak my, i na tym, żeby wyrwać się z tego cholernego hotelu. Więc, Peter, w rozwiązaniu numer dwa dajesz Margaricie dużo pieniędzy. Naprawdę dużo. Na tyle dużo, żeby po tych wszystkich latach mogła zrezygnować z pracy w hotelu Omni i posłać swoje dzieci do prywatnej szkoły.

Peter próbował protestować.

– Nie wiem, jakie masz wyobrażenia o moim majątku, ale moje inwestycje w marihuanę nie dadzą się łatwo upłynnić...

– Mam to w dupie – odparła Maya. – Coś wymyślisz. A potem zastanowisz się, jak wykonać ten sam manewr w odniesieniu do Aarona. Lila będzie wychowywać swojego syna i ma mu niczego nie brakować.

Widziała, że się zastanawiają. W wyjściu numer dwa mieli odegrać role sędziów, ławy przysięgłych, katów i wszystkie inne role, których wymagała od nich sprawiedliwość.

– Jeśli zrobimy coś takiego – powiedziała Yasmine – nikt nigdy nie dojdzie, jak zginął Rick.

– Jeśli chodzi o opinię publiczną, to owszem. Przy czym oczywiście każda decyzja, którą podejmiemy, musi być decyzją jednogłośną. Bo jeśli którekolwiek z nas się wyłamie, wszyscy będziemy mieli masę kłopotów.

– To przestępstwo – zauważył Jae. – Współudział i nakłanianie do przestępstwa. – Zamilkł na chwilę. – Tak to się nazywa, prawda?

– Pomoc po dokonaniu przestępstwa – uściśliła Maya. – Ale poza tym, tak, masz rację.

– Zatem chcesz nam powiedzieć, że wszyscy powinniśmy dokonać przestępstwa, żeby ocalić Lilę? – upewniła się Trisha.

– Nikomu nie mówię, co ma robić – odparła Maya. – To wasz wybór. Pytam, co waszym zdaniem powinno się teraz wydarzyć.

– Jeśli Lila pójdzie teraz do więzienia... – powiedział Cal. – No cóż, biedny ten jej synek.

– Syn Bobby’ego Nocka – dodała Fran.

– Dzieciak nic nie zawinił, że miał takiego ojca – zauważył Wayne, odzywając się po raz pierwszy tego dnia.

Trudno było zaprzeczyć.

Lila zawahała się, ale chyba uznała, że to nie czas ani miejsce na obronę dobrego imienia ojca jej dziecka.

– Nikt inny tej decyzji nie podejmie. Musimy to zrobić my – powiedziała i podniosła się z krzesła. – No, wy.

Wyjaśniła, że nie będzie głosować. Złoży swój los w ich ręce.

Maya zrozumiała, co chce w ten sposób powiedzieć. Zrozumieli to chyba również pozostali. Po wszystkim, co przeszli, razem i osobno, wiedzieli, że nie mogą powierzyć Lili systemowi. Obcym. Ludziom takim jak oni.

Kiedy Lila wyszła, wstała Kathy, jakby był to moment, w którym formalnie powinna objąć przewodnictwo. Paralizujący brak wiary w siebie, od którego uwolniła się przed dziesięciu laty w pokoju przysięgłych, najwyraźniej nigdy nie wrócił.

– Cał, masz jakieś kartki i długopisy?

Wskazał jej szufladę w kuchni, skąd wróciła z zestawem karteczek i pudełkiem mazaków.

– Zatem głosowanie wstępne – zarządziła. – Żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy.

Nikt nie zaprotestował.

Rozdała karteczki.

I wtedy po raz pierwszy od dziesięciu lat zagłosowali.

Rozdział 24

CAROLINA
2 CZERWCA 2009

Przez trzydzieści lat Alana, siostra Caroliny Cancio, była właścicielką Domu Tarota, małego zakładu wróżbiarskiego na Sunset Boulevard, w którym przyjmowała klientki, podczas gdy sama mieszkała dosłownie przez ścianę. Dawno zmarły mąż Alany pomalował całą elewację na czarno. Wałkoń był wtedy tak pijany, że białe litery wymalowane nad drzwiami wyszły mu co do jednej krzywo. Piętnaście lat po tym, jak któregoś wieczoru zalany w trupa spadł z mostu Szekspira i się zabił, litery były równie krzywe jak wcześniej. Co mówi niejedno o Alanie.

Druga informacja na jej temat: Alana nie wierzyła w żadne zabobonne dyrdymały, które wciskała swoim klientkom. Obie z Caroliną były katoliczkami. Urodziły się i wychowały w Durango, a przyjechały do Los Angeles, gdy były jeszcze dość młode, by szybko podłapać angielski. Alana modliła się razem z Caroliną do Najświętszej Pani i razem z nią wrzucała drobniaki do fontanny w pobliżu bazyliki. Nie była kobietą bezbożną i zupełnie nie przypominała białych nastolatek, które wtaczały się do Domu Tarota późnym wieczorem, chichocząc, jakby to był świetny dowcip, lecz w gruncie rzeczy niczego nie pragnąc bardziej niż uwierzyć, że da się odczytać ich przyszłość. Carolina wiedziała, że ludzie muszą w coś wierzyć. Może więc jej siostra wcale nie wykorzystywała tych białych młodek, w każdym razie nie do końca, gdy pukały do jej drzwi o dziesiątej czy jedenastej w nocy i płaciły czterdzieści pięć dolarów gotówką za wróżenie im z kart w blasku świec. Zawsze dostawały to, po co przyszły.

– Spotkałaś już miłość swojego życia – mówiła Alana. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

I już miały z czego pochichotać.

Albo mówiła:

– Zanadto martwisz się o pieniądze.

A one kiwały głowami, jakby to było jakieś objawienie, po czym wręczały jej gotówkę.

Najbardziej irytujące było to, że kiedy już wyszły, Alana grała dalej. Czy naprawdę wierzyła w Głupca, Króla Mieczy i Śmierć, która wedle jej interpretacji oznaczała nowe życie? Przecież nie mogła być taka głupia. Jezus nigdy słowem się nie zająknął o tarocie, a i święty Paweł, o ile Carolinie było wiadomo, nie majstrował przy kościach zdechłego kota. W tych okolicznościach zmuszona była powiedzieć, że jej siostra wygadywała, uczciwszy uszy, straszliwe kocopoły.

A teraz, nie do wiary, Alana chciała, by jej córka Sonia, siostrzenica Caroliny, przejęła Dom Tarota i wciskała podobne brednie kolejnym upalonym białym klientkom.

Sonia była już dorosła, pracowała jako sekretarka w pobliskim biurze księgowym. Miała męża i dzieci, własne życie, po cóż był jej Dom Tarota?

Ale kiedy Carolina wyłożyła to wszystko Alanie, co tamta jej odpowiedziała? Zapytała, czemu Carolina wtyka nos w nie swoje sprawy. Może dlatego, jak zasugerowała, że dwaj synowie Caroliny już dorośli, wyszli z domu i zajęli się własnymi rodzinami? Zamieszkali w Riverside i San Luis Obispo, nigdy nie rozważali powrotu i zupełnie nie dbali o swoją wścibską starą, więc ta musiała prawić morały wszystkim naokoło, bo sama przez całe życie umiała tylko zaglądać innym w garnki.

Kiedy przyszło wezwanie do stawienia się w charakterze ławniczki, Carolina specjalnie zostawiła je na kuchennym stole i przez dwa tygodnie wszyscy, którzy przewinęli się przez jej dom, mogli zauważyć pieczęć stanu Kalifornia na kopercie. A kiedy ktoś – sąsiad, przyjaciel, Alana czy Sonia – współczuł, że tak pechowo trafiła, Carolina pałała świętym oburzeniem. Absolutnie nikt jej nie zmuszał do tego, by stawiała się jako ławniczka, przecież nikt jej pod broń nie prowadził. Robiła to, do czego zobowiązany jest każdy Amerykanin i każda Amerykanka, uczestnicząc w obrzędzie równie ważnym jak przysięga wierności, którą złożyła w 1964 roku. To był przywilej nabyty prawowicie i w pełni zasłużony po czterdziestu pięciu latach płacenia podatków, przestrzegania prawa i miłowania kraju, w którym wstąpiła w związek małżeński, wychowała dwóch synów, młodo owdowiała, lecz dożyła słusniejszego wieku, i to w lepszym zdrowiu niż którekolwiek z jej rodziców. Jeśli jej siostra chciała trwać przy swoich zenujących, niemoralnych szachrajstwach, to nikt jej tego nie bronił, ale Carolina jako osiemdziesięciodwulatka wciąż mogła pokazać Sonii, że gdzieś tam jest wielki świat i kiedy stan Kalifornia mówi,

że potrzebuje twojej pomocy, by ustalić winę lub niewinność innego obywatela w sprawie karnej, to idziesz bez wahania.

I wtedy głupia siostra Caroliny miała czelność powiedzieć, że Carolina stawiała się na wezwanie tylko dlatego, że lubi krytykować innych.

Carolinę wybrano do ławy przysięgłych jako pierwszą, więc tamtego dnia usiadła i zaczęła rozwiązywać krzyżówkę, a tymczasem powoli napływali inni.

Najpierw pojawił się ławnik 158. Wyglądał na mola książkowego. Był schludnie ubrany, co Carolina bardzo ceniła.

Pierwsze słowa, jakie padły z jego ust, brzmiały: „Czy jest pani wróżką?”.

Skąd mógł wiedzieć, o czym myślała? Poczula się jak idiotka, gdy spuściła wzrok i zauważyła, że ma przy sobie torbę Domu Tarota. Zabawne, że akurat dzisiaj pożyczyła od siostry jedną z jej toreb, żeby włożyć sobie do niej krzyżówkę. Bo o to w tym wszystkim chodziło: jej siostra utrzymywała, że potrafi wywróżyć przyszłość, a Carolina przyszła tu tylko po to, by jej dowieść, że nie ma racji.

– Nie wierzę w przeznaczenie – powiedziała do ławnika 158.

Ależ tworzyli grupę! Pragmatyczna Żydówka, na oko bardzo trzeźwo myśląca, która sprzątała po nich wszystkich, jakby byli małymi dziećmi. Zabawny starszy mężczyzna, który czytał powieść i musiał być gejem (w tym wieku!). Młodszy biały mężczyzna, który ostentacyjnie klepał innych mężczyzn po plecach. Chinka, która trzykrotnie pytała woźnego, o której godzinie sąd zwykle kończy pracę.

Carolina zdążyła ich wszystkich ocenić, zanim oni zdążyli ocenić siebie nawzajem. I nie mogła przestać się zastanawiać, jakież to obłąkany Bóg umieścił wszystkich tych ludzi w jednej sali.

To nie tak, że ktoś z nich ją denerwował. Po prostu wszyscy razem... Odnosiła wrażenie, że zaraz porozbijają się jak bile na bilardowym stole i wyślą nawzajem w kierunkach, których żadne z nich nie potrafiło zawczasu przewidzieć.

Wszyscy wydawali się bardzo przyzwoici. Jakby chcieli się jak najmocniej postarać, by wymierzyć sprawiedliwość za śmierć dziewczyny, która zmarła, zanim którekolwiek z nich zdążyło ją poznać. Chcieli tylko

pomóc. Carolina rozejrzała się uważnie po sali i zobaczyła czternaścioro ludzi, którzy mieli aż nadto dobrych chęci.

Dlaczego więc nie mogła się pozbyć przeczucia, że dobre chęci tej konkretnej grupki nieznajomych tylko pogorszą sprawę?

– Nie wierzę w przeznaczenie – powiedziała do ławnika 158.

Ale zaczynała pojmować, dlaczego niektórzy wierzą.

Rozdział 25

SPISKOWCY

TERAZ

Jae Kim zagłosował tak, by oszczędzić Aaronowi wątpliwej sławy, która ciągnęłaby się za nim do końca życia.

Cal Barro zagłosował tak, by drażliwej sprawy nie rozgrzebywali nieczuli policjanci.

Yasmine Sarraf zagłosowała tak, by nie wciągać już nikogo więcej w to bagno.

Wayne Russel zagłosował w interesie całej grupy.

Trisha Harold zagłosowała tak, by grupa nieznajomych nie mogła im podyktować, kim właściwie są.

Fran Goldenberg zagłosowała, mając na względzie przede wszystkim dobro Aarona.

Peter Wilkie zagłosował tak, by ocalić własny tyłek.

Maya Seale zagłosowała tak, by naprawić wcześniejszą pomyłkę.

Z ośmiu różnych powodów ósemka byłych członków ławy przysięgłych w sprawie Stan Kalifornia przeciwko Robertowi Nockowi zagłosowała za kłamstwem w imię lepszej przyszłości.

Historia, którą upitrasili, była iście barokowa. Kiedy już podjęli trudną decyzję, żeby zaszachrować, sam twórczy akt wymyślenia odpowiedniej narracji stanowił przyjemną odmianę. Kogo obsadzić w roli czarnego charakteru? Kto odegra postać heroiczną?

W tej wersji prawdy w chwili morderstwa Ricka Maya była z Trishą i kłóciła się z nią o to, co tak naprawdę przytrafiło się Jessice Silver. Gdy Rick został zamordowany, żadna z nich – ze względu na wcześniejsze doświadczenia z wymiarem sprawiedliwości – nie chciała rozmawiać z policją. Rankiem tamtego dnia Trisha wyznała Fran prawdę dotyczącą alibi Mai i teraz to Fran jako pierwsza zdradzi tę informację władzom. Wtedy Trisha przyzna, że faktycznie, nic nie mówiła, ale jej małomówność w kwestii Mai nie była nielegalna. Co więcej, jednym z powodów zachowywania przez nią milczenia była świadomość, że Maya jest

niewinna. Trisha ufała, że system sprawiedliwości nie skaże niewinnej kobiety.

Nie udało im się wymyślić inteligentniejszej bzdury. To był pomysł Cala. Zamiast szczerze wyznać swój brak zaufania do wymiaru sprawiedliwości, zarówno Trisha, jak i Fran obwieściły, że to właśnie wiara w jego skuteczność skłoniła je do zachowania milczenia. W istocie mówiły: wierzyliśmy, że właściwie rozpoznacie tę sprawę, lecz tego nie zrobiliście, więc składamy teraz zeznania, by wydobyć was z tej kabały.

Wiedzieli, że historia wycieknie do prasy, więc wszyscy musieli się jej trzymać – w rozmowach z policją i całą resztą – do końca życia.

Jak zawsze najbardziej zgodni byli wtedy, gdy łamali zasady.

Kiedy Lila wróciła i usłyszała, jaką podjęli decyzję, rozplakała się. Uściskała ich po kolei, nikogo nie pomijając. Powiedziała, że w jakimś sensie Aaron należy teraz do nich wszystkich. Wszyscy dali mu życie, którego nieomal odmówił mu prawdziwy ojciec.

W tym pochodzie śmierci przynajmniej powstało jedno nowe życie. Przynajmniej, pomyślała Maya, znalazła się w tym wszystkim jedna osoba autentycznie i absolutnie niewinna.

Rankiem po tych obradach Maya spotkała się z Craigiem w jego gabinecie, by powiedzieć mu, co się „naprawdę wydarzyło”. Wyjaśniła, że nie tylko Trisha zezna, że w chwili śmierci Ricka Maya była z nią, ale i Fran powie policji, że tę samą informację usłyszała nazajutrz od Trishy. Nikt nie zaprzeczy przedstawionej przez nie wersji zdarzeń.

Kiedy skończyła, Craig zapytał:

- Jesteś pewna, że obie złożą takie zeznanie?
- Dziś rano zadzwonią na policję, żeby to zrobić.
- Rozumiem, że Trisha i Fran, nie wspominając o tobie, orientują się, jakie są prawne konsekwencje takiego... zeznania?

– Owszem.

Craig uniósł brew.

- Myślisz, że wycofają zarzuty? – zapytała.

Zastanowił się.

- Nie wcześniej niż za tydzień czy dwa. Będą chcieli cię przemaglować. I twoje koleżanki też. Sprawdzić, czy nie będą chciały zmienić zdania. No wiesz, na wypadek gdyby któraś z was kłamała, chociaż oczywiście wiem,

że nie kłamie, będą chcieli sprawdzić, czy któraś nie pęknie. Albo może ktoś z pozostałych. Wystarczy im dowolna rozbieżność.

Mai nie drgnęła powieka.

– Rozumiem.

– Jeśli pozwolisz, poczekamy, aż obie złożą zeznania na policji, dobrze? Kiedy to zrobią, zadzwoni do mnie prokurator i bez wątpienia oskarży mnie o mataczenie, na co oczywiście odpowiem, że od początku do końca jedynie dawałem wiarę słowom mojej klientki. – Urwał dla większego efektu. – W każdym razie możesz na mnie liczyć. Powiesz im to, co powiedziałaś mi, i ani słowa więcej.

– Craig... Dziękuję.

Oboje wiedzieli, że go okłamuje, ale jakimś cudem nie skłoniło ich to do żadnych emocjonalnych manifestacji.

– Bardzo proszę.

Dwa tygodnie później stan Kalifornia wycofał wszystkie zarzuty stawiane Mai Seale. Zeznania ławniczek wyciekły już z prokuratury do prasy, która zaczęła zażarcie rozkładać je na czynniki pierwsze, jakby to był skandal w angielskiej rodzinie królewskiej.

Wznowiono dochodzenie w sprawie śmierci Ricka, śledczy nie mieli jednak nadziei na jakieś znaczące postępy.

Rodzice Mai zostali w Los Angeles na miesiąc. Gdy wycofano zarzuty, mama Mai poszła na długi spacer, sama, żeby się kompletnie nie rozsypać. Ojciec Mai chyba już przestał się wstydzić łez i otwarcie się przy niej rozpłakał. Nie byli głupi. Musieli wiedzieć, że historia, która przyniosła ich córce uniewinnienie, była sfabrykowana. Ale nigdy jej o to nie zapytali. W stosunkach między rodzicami a dziećmi pewna liczba kłamstw była dopuszczalna, obopólnie uzgodniona w zawartej przez nich umowie, i również to, błogosławiony cud, zgrabnie się w niej mieściło.

Tydzień później Maya przygotowywała się do powrotu do pracy. Teraz mogła się chwalić, że była zarówno oskarżoną, jak i ławniczką. Popyt na jej szczególne kompetencje mógł w tej sytuacji tylko wzrosnąć, wobec czego Craig podwyższył jej stawkę godzinową.

Dzień przed planowanym powrotem do pracy poszła na długą kolację z Crystal. Nad talerzem ostryg próbowała wprost odnieść się do sprawy

swojego alibi. Nie chciała, by Crystal się na nią gniewała, ale nie mogła powiedzieć jej prawdy.

– Słuchaj, na pewno ta historia o mnie i Trishy tamtego wieczoru, gdy popełniono morderstwo, jest ogromnym zaskoczeniem...

– Och, ta brednia? – przerwała jej Crystal ze śmiechem. – Zawrzyjmy układ, dobra? Siedzisz tutaj razem ze mną, a nie w pudle, więc powiedz mi, co trzeba, i jeśli ma ci to oszczędzić kłopotów, obiecuję nigdy o nic nie zapytać.

Maya wzięła głęboki wdech i uniosła kieliszek prosecco. Crystal trąciła się z nią szklaneczką gazowanej wody.

Następnego ranka Maya wreszcie weszła z powrotem do swojego gabinetu. Powitali ją Mike i Mike. Sprawiali wrażenie uradowanych.

Nadal nie pamiętała, który jest który.

Tydzień później napisała list do Ricka. Usiadła na patio za domem i napisała pożegnanie, którego nie miała okazji wygłosić. Wybaczyła mu wszystko: publiczne obrzucenie jej błotem, tropienie Bobby'ego, próby zaszantażowania Lili. Przeprosiła za ukrycie okoliczności jego śmierci. Miała nadzieję, że jeśli ktokolwiek potrafi to zrozumieć, to właśnie on. Czuła, że gdyby którykolwiek z ławników zagroził synowi Lili, Rick zagłosowałby tak samo jak oni. Miała nadzieję, że przynajmniej w tej kwestii byłiby zgodni.

Napisała, że żałuje, że nie wyznała mu miłości, gdy miała jeszcze okazję. Pomyślała, że może i on kiedyś ją kochał. Gdyby nie rozdzieliła ich śmierć Jessiki, może wciąż mogliby się kochać. Ale gdyby Jessica nie umarła, nigdy by się nie poznali.

Złożyła swój list i przytknęła go do płomienia. Patrzyła, jak popiół leci w niebo niesiony jesiennym wiatrem.

Następnego dnia Lou Silver wreszcie oddzwonił, a raczej oddzwoniła jedna z jego asystentek. Kobieta zapytała, czy Maya przyjdzie porozmawiać z Lou osobiście.

– Pan Silver chciałby zostawić wszystkie nieprzyjemne nieporozumienia za sobą – wyjaśniła decyzję swojego szefa.

Maya pojechała do Century City w piątek późnym popołudniem. Słońce zachodziło we wszystkich sięgających od podłogi do sufitu oknach, gdy asystentka prowadziła Mayę do narożnego gabinetu. Całe Los Angeles było

skąpane w karmazynowej poświacie. Przy biurku, nad stosikiem dokumentów, za rzędem zdjęć w ramkach, siedział Lou.

Czy Bobby powiedział jej prawdę? Czy Lou rzeczywiście bił swoją córkę? Czy Jessica powiedziała prawdę Bobby'emu? A może Bobby to wszystko zmyślił, żeby mieć Mayę po swojej stronie? Musiała się pogodzić z tym, że nigdy się nie dowie. Na tym etapie może już nawet nie chciała.

– Ha. – Lou pokierował ją na skórzaną kanapę obok dużego kawowego stolika, a potem usiadł obok niej. – Czy wreszcie to powiesz?

Roześmiałyby się, gdyby nie to, że zginęło dwoje tak bliskich im ludzi.

– Miał pan rację. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Myliłam się.

Ledwie zauważalnie skinął głową, a potem zmarszczył brwi, jakby był rozczarowany, ale nie umiał powiedzieć dlaczego.

– Czy to pomaga? – zapytała Maya. – Świadomość, że miało się rację?

Przekrzywił głowę.

– Jeszcze nie wiem.

– Wykorzystał mnie pan.

– Ja?

– Wysłał mnie pan, żeby odnalazła Bobby'ego w East Jesus, a potem nasłał pan na niego dziennikarzy, żeby znaleźli nie tylko jego, ale nas oboje razem.

– Och. No tak. Zrobiłem to.

Nie powiedział tego ze wstydem. Odnalezienie Bobby'ego byłoby większą sensacją, gdyby odszukano go w towarzystwie jednej z ławniczek, która go wcześniej sądziła. W pościg za nim rzuciliby się kolejni pismacy. Jedynym celem Lou było prześladowanie Bobby'ego na wszystkie możliwe sposoby, natomiast Maya zjawiała się jak na zawołanie i okazała użytecznym narzędziem.

– Jestem wściekła.

– Na mnie?

– Tak.

– Nie wyglądasz na wściekłą.

A co miała zrobić? Nawrzeszczyć na niego za to, że ją zmanipulował, dochodząc sprawiedliwości, której przed laty odmówiła jego zamordowanej córce?

– Chyba będzie mi pan musiał uwierzyć na słowo.

– Ja też nie miałem całkowitej słuszności.

– Nie?

– Bobby Nock nie zabił Ricka Leonarda.

W ustach Lou taka wypowiedź na temat Bobby'ego mogła uchodzić za najwyższą pochwałę. Był przynajmniej jeden grzech, którego Bobby nie popełnił.

– Policja znalazła zdjęcia – ciągnął Lou. – Zrobione przez... no nie wiem, towarzysza Bobby'ego Nocka. Fotografę z pustyni.

– Pokazali panu znaczniki czasu.

– Tak. A więc myliłem się.

– No cóż. Przynajmniej miał pan rację, że to nie ja go zabiłam.

– Ale człowiek faktycznie zaczyna się zastanawiać... – Nachylił się bliżej niej. – Kto naprawdę zabił Ricka?

Teraz zrozumiała, dlaczego ofiarował jej te drobne, pośrednio wyrażone przeprosiny. Nie znał prawdy o śmierci Ricka, ale wiedział, że jej wersja jest sfabrykowana.

Nie obchodziło go życie Ricka. Bobby go nie zabił, więc ze strony Lou była to zwykła, próżna ciekawość.

– Myśli pan, że kiedykolwiek się dowiemy?

Nawet nie drgnął.

– To okrutne. Gdy tylko dowiedliśmy ponad wszelką wątpliwość, kto zabił moją córkę... straciliśmy wszelkie ślady prowadzące do odpowiedzi na pytanie, kto zabił twojego chłopaka.

Jeśli w słowie „chłopak” zabrzmiała drwina czy protekcjonalność, Maya tego nie usłyszała. Mimo to wspomnienie ją zabolowało.

– Może będę się musiała pogodzić z tym, że nigdy się nie dowiem. Zdążyłam nabrać w tym wprawę.

– Może policja do tego dojdzie.

– Mam nadzieję.

– Ja zaś mam nadzieję, że zabójca Ricka stanie przed znakomitą ławą przysięgłych.

Przerwał im dzwonek telefonu. Lou odebrał go burkliwie, po czym powiedział do kogoś po drugiej stronie, że zaraz zejdzie.

Odwrócił się na chwilę.

– Mogę cię na moment przeprosić? Partnerzy z Innovations... Jakiś późnopiątkowy kryzys.

Wystawił palec wskazujący, sygnalizując, że to potrwa tylko minutkę, po czym zostawił ją samą w gabinecie.

Wyrzała na zachodzące słońce. Z tej wysokości widok był spektakularny. Wschodni skraj miasta był już pogrążony w ciemnościach, na zachodzie resztki słońca zapadały się w oceanie. Zachód słońca w Los Angeles był zawsze bardzo stopniowy, po czym nagle wszystko z minuty na minutę pogrążało się w ciemnościach.

Obeszła biurko, by podejść do zachodniego okna, ścigając wzrokiem ostatnie promienie.

Bezmyślnie zaczęła przeglądać foldery, czasopisma i zdjęcia w ramkach stojące na biurku Lou.

Wszystkie zdjęcia przedstawiały Jessicę.

Każde zrobiono na innym etapie jej krótkiego życia. Zdjęcie noworodka z zamkniętymi oczkami, owiniętego w szpitalny kocyk, tulonego przez Elaine w ramionach. Zdjęcie zrobione w przedszkolu, gdy mała skakała na trampolinie, a jej włosy w kolorze miodu fruwały na wszystkie strony. Zdjęcie ze szkoły podstawowej, na którym próbowała wczołgać się do zbyt już dla niej małego domku dla lalek. Fotografia ze szkoły średniej, na której jako nastolatka ubrana w granatowy szkolny mundurak sztucznie uśmiechała się do pozowanego ujęcia.

Maya uzmysłowiła sobie, jak dużo wie o ostatnich miesiącach Jessiki, a jak niewiele o piętnastu poprzedzających je latach. Nigdy nie poznała dziewczyny, jaką znali Lou i Elaine. W jakimś sensie znała tylko tę jej ulotną stronę, której nigdy nie poznali.

Wyobraziła sobie, jak musi się czuć Lou, codziennie rano spoglądając na te zdjęcia. Cokolwiek wydarzyło się między nimi za zamkniętymi drzwiami, nie próbował ukryć ani zapomnieć jej wizerunku, jak próbowałoby wielu innych. Trzymanie tych fotografii tutaj wydawało się przejawem zuchwałości. Dumy. To była jego córka.

Wzrok Mai spoczął na fotografii, której wcześniej nie widziała, przedstawiającej Jessicę i jej uśmiechniętych rodziców. Na zdjęciu byli Elaine, Lou i Jessica, wówczas może dziesięcio- czy dwunastoletnia, na jakichś wakacjach na plaży. Lou był ubrany w głupią hawajską koszulkę, natomiast Jessica i Elaine wyglądały jak jedna i ta sama osoba na różnych etapach życia. Miały na sobie takie same niebieskie kostiumy kąpielowe, takie same białe kapelusze, a na szyjach takie same srebrne wisiorki.

Maya podniosła ramkę. Poczwała w ustach gorzki, metaliczny smak mosiądzu.

To był wisiołek, który Jessica miała na sobie w dniu swojej śmierci. Ten, który Maya milion razy widziała na zdjęciach podczas procesu. Wisiołek, który kiedyś trafił na okładkę magazynu „Time”.

Elaine miała identyczny.

Jak to możliwe, że Maya przez cały ten czas ani razu nie usłyszała o istnieniu drugiego wisiora? Prawdopodobnie nie było człowieka, może poza Lou Silverem, który wiedziałby o śmierci Jessiki więcej niż Maya. A jednak Maya nie wiedziała, że ten kluczowy dowód, ten sam, który ostatecznie pozwolił potwierdzić po dziesięciu latach, że Bobby faktycznie był mordercą, istniał w dwóch egzemplarzach.

Skoro Jessica i jej matka miały identyczne wisiora, to...

Maya podniosła wzrok, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

Wzięła wdech, by zapytać Lou o to, czego się właśnie dowiedziała, ale to nie Lou wszedł do gabinetu.

To była Elaine.

Miała na sobie gładki biały spodniem, który pasował do jej elegancko obciętych krótkich siwych włosów. Obcasy zastukały na drewnianej podłodze i ucichły.

– Pani Seale! – powiedziała Elaine z zaskoczeniem w głosie. – Nie wiedziałam, że panią tu zastanę. – Zaczęła się uśmiechać, ale zobaczyła wyraz twarzy Mai. – Coś się stało?

Maya obróciła fotografię tak, by Elaine mogła ją zobaczyć.

– Pani i Jessica miałyście takie same wisiora.

Usta Elaine delikatnie drgnęły.

– Może powinnam zawołać mojego męża.

– Gdzie jest pani wisiołek?

– Bez wątpienia nie mam pojęcia.

– Dziesięć lat i nie powiedziała pani nikomu, że były dwa wisiora?

– Mój mąż musiał wyskoczyć tylko na chwilę, zaraz go znajdę.

– Wystarczyło, żeby Jessica dotknęła pani wisiora, a znalazłoby się na nim jej DNA. Może nawet kilka włosów. Umieszczenie na nim włosy byłoby bardzo proste, gdyby musiała pani to zrobić.

Elaine klasnęła w ręce.

– Nie podoba mi się ton pani głosu. Będę musiała prosić, by opuściła pani ten gabinet.

Mai trzęsły się dłonie.

– Wie pani doskonale, gdzie znajduje się pani wisiołek... bo pani mąż podrzucił go przy zwłokach Bobby’ego. Po tym, jak kazał go zamordować.

W pokoju zapadła lodowata cisza. Wiatr się wzmógł i Maya słyszała, jak tłucze w okna za jej plecami.

– Uspokójmy się, zanim powiemy coś, czego możemy żałować.

– Wie pani doskonale, co zrobił pani mąż. Proszę przestać kłamać w jego imieniu. Proszę przestać ukrywać jego zbrodnie.

– Zbrodnie?

– Śledczy Lou jeździli za Bobbym, odkąd Rick go namierzył. Za mną również, prawda? Kiedy tam pojechałam.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Pojechali za Bobbym, kiedy dotarł do tego motelu w Teksasie... To dlatego Lou nie mógł tak po prostu wysłać prasy do East Jesus, nie wysyłając tam wcześniej mnie. Musiał się dodatkowo zabezpieczyć. Ja znalazłam Bobby’ego, prasa znalazła mnie, Bobby znów uciekł, a ludzie Lou za nim pojechali. Dorwali go w motelu. Kazali mu napisać list pożegnalny. Tylko Lou mógł ułożyć tak idealny list: „Tak mi przykro”. Ludzie Lou powiesili Bobby’ego i podrzucili wisiołek. Przechowała go pani przez te wszystkie lata, prawda? Wiedziała pani, co Lou zamierza z nim zrobić? Dlaczego czekał tak długo? Dlaczego nie podrzucił go Bobby’emu przed dziesięciu laty? Dlaczego czekał do momentu, aż Rick zostanie zamordowany?

Lou nie zabił Ricka. Kiedy więc ktoś to zrobił – choć Lou nigdy się nie dowiedział, kto to taki – znalazł sposób, by obrócić tę sytuację na swoją korzyść i dostać to, czego zawsze chciał: karę dla zbrodniarza, którym był – Lou nie miał żadnych wątpliwości – Bobby.

Chyba że... Bobby nie był jedyną ofiarą Lou.

– Wiem o biciu. O tym, co Lou robił Jessice. O tym, co Lou robił pani. Czy nadal to robi?

Twarz Elaine zbieleła tak samo jak jej spodnium.

– Proszę – powiedziała błagalnie Maya. – Tylko pani zna prawdę o swoim mężu. Może pani wyznać ją publicznie. Pomogę pani.

– Nie mam pojęcia, co pani sobie roi – odezwała się Elaine cicho. – Ale cokolwiek pani mylnie podejrzewa... na pani miejscu raczej bym tego nie nagłaśniała. Nie ma pani cienia dowodu.

Elaine miała rację. Samo istnienie drugiego wisiora mogłoby wzbudzić wątpliwości, ale żadną miarą nie dowodziło tego, że Lou był winien

zabójstwa Bobby'ego. Albo Jessiki. Nie dowodziło nawet, że to nie Bobby zabił Jessicę; od tego zarzutu został już w kategoriach prawnych uwolniony.

– No i oczywiście nawet gdyby zdołała pani czegoś dowieść – ciągnęła Elaine – wszelkie nowe pytania o jedną śmierć bez wątpienia każą postawić nowe pytania na temat innej.

Smak mosiądzu w ustach Mai przyprawiał ją o mdłości. Elaine była subtelna, taktowna i po raz pierwszy naprawdę przerażająca.

Elaine nie była głupia. Podobnie jak jej mąż, wiedziała, że Maya coś ukrywa. Zakładała, że skoro Maya sprowokowała jej męża, to oni mogą sprowokować ją do ujawnienia tego, co rozpaczliwie próbowała ukryć. Elaine nie musiała wiedzieć, kogo Maya chroni. Wiedza o tym, że ma coś cennego, w zupełności wystarczała, by móc ją zaszantażować.

Maya rozumiała warunki groźby wystosowanej przez Elaine. Słowem nie piśnie o tym, co zrobił Lou, w przeciwnym razie Lou i Elaine odkryją i ujawnią spisek, w którym bierze udział. Sprawiedliwość dla Bobby'ego została wymieniona na sprawiedliwość dla Aarona. Chłopiec będzie miał normalne życie tylko wtedy, gdy Lou ujdzie na sucho zamordowanie jego ojca.

Mai zrobiło się niedobrze. Chciała uciec jak najdalej od tych okropnych ludzi, zdolnych do takich potwornych rzeczy... Do niektórych z nich sama również najwyraźniej była zdolna. Czy najtrudniej było jej znieść to, że Elaine pomogła ukryć zbrodnie męża? A może to, że sama była nie lepsza od nich?

– Nie musi pani tego robić – powiedziała. – Nie musi pani ukrywać tego, co zrobił pani mąż. Może się pani od tego wszystkiego uwolnić.

Elaine zrobiła krok w kierunku Mai.

– Przykro mi. Musisz zrozumieć... Robię to wyłącznie dla Jessiki.

– Jessica nie żyje. A pani nie pozwala ujawnić prawdy o jej losie.

Elaine przekrzywiła głowę, jakby próbowała rozwiązać zupełnie inną łamigłówkę.

– Och. Sądziłam, że już się domyśliłaś.

Maya nie miała pojęcia, o czym mówi Elaine.

Kobieta zwróciła się do niej jak do dziecka:

– Jessica żyje.

– To niemożliwe.

Elaine starannie zamknęła drzwi do gabinetu męża, po czym przekręciła klucz.

– Otwórz torebkę.

Powiedziała to szybko i bez ogródek, ale tak cicho, że jej głos był ledwie słyszalny.

Zanim Maya zdążyła się zorientować, Elaine zdarła jej torebkę z ramienia i wyciągnęła z niej telefon komórkowy. Sprawdziła, czy ich rozmowa nie jest nagrywana.

– Mój mąż popełnił potworne błędy – wyszeptała. – I nie zamierzam go usprawiedliwiać. Skrzywdził naszą córkę i mnie. Ale żyłam u jego boku zbyt długo, by tak po prostu się poddać i odejść. Co miałabym zrobić? Wrócić na Florydę z ochłapami, które zdołałabym wydrzeć jego prawnikom? Nie. Nie wrócę tam, skąd pochodzę. Potrafię kontrolować mojego męża. – Wzięła głęboki wdech. – Ale muszę chronić córkę.

– Gdzie ona jest?

Elaine pokręciła głową.

– Co byś zrobiła na moim miejscu? Będąc żoną mężczyzny zdolnego do takiej serdeczności, któremu jednocześnie zdarza się... zachowywać inaczej. Jessica powiedziała mi, że spędza czas ze swoim nauczycielem, z Bobbym... No cóż, wtedy zrozumiałam, że to się dobrze nie skończy. Opowiedziałyby Bobby'emu o tym, że jest bita, on przekazałby tę informację dyrekcji szkoły, a my stracilibyśmy wszystko.

– Zdążyła mu powiedzieć.

Elaine szeroko otworzyła oczy. To była pierwsza informacja w posiadaniu Mai, której Elaine dotąd nie знаła, i chyba nieco wzmocniło to pozycję Mai.

– Zatem dobrze, że zdecydowałam się wówczas działać.

– Reputacja pani cholерnej rodziny była dla pani ważniejsza niż życie córki?

– Widziałaś, co dzieje się z ludźmi oskarżonymi o rozmaite potworności? Widziałaś, co dzieje się z ich żonami? – Elaine pokręciła głową, jakby wyobrażając sobie ponury los tych nieszczęsnych zamożnych kobiet. – Nie zamierzaliśmy tak skończyć. Nie. Na szczęście Jessica miała plan. To nawet nie był mój pomysł. To ona to wymyśliła.

– Jessica chciała... zniknąć?

Elaine skinęła głową, zachęcona tym, że Maya zaczyna rozumieć.

– Chciała wyjechać możliwie daleko i zacząć od początku. Pod zmienionym nazwiskiem.

Z otchłani pamięci Maya wyłowiła długo ignorowany fragment materiału dowodowego przedstawionego na procesie.

– Połączenie wykonane z telefonu Jessiki. Tego popołudnia, gdy zniknęła... – Maya przypomniła sobie niekończące się dni, gdy starali się ustalić, gdzie był telefon w chwili wykonania połączenia. Zupełnie umknęło im jednak sedno sprawy: dlaczego Jessica miałaby dzwonić do domu w samym środku bycia mordowaną, nie zostawiając nawet wiadomości. – Dzwoniła do pani.

Elaine wydawała się usatysfakcjonowana.

– To był umówiony sygnał. Wiedziałam, że przystąpiła do realizacji naszego planu. Tutaj nie mogłam zapewnić jej bezpieczeństwa. Nie mogłam ochronić Jessiki przed jej ojcem. Ale mogłam zbudować nowe życie dla... – Urwała. – Och, ale nie zdradzę ci jej imienia.

Maya miała ochotę krzyknąć. Czuli się – i była – kompletnie bezradna.

– Odesłała ją pani, żeby mogła rozpocząć nowe życie... i wrobiła pani Bobby'ego w morderstwo.

– Nie! – zaprzeczyła Elaine stanowczo. – Uznałyśmy, że wobec braku ciała będzie to jeszcze jedno niewyjaśnione zaginięcie. Ale Bobby skłamał policji, gdzie był w chwili morderstwa! Czemu skłamał? Podejrzewam, że się wystraszył. Przesłuchiwała go policja Los Angeles. Próbował ukryć swój związek z Jessicą, a tymczasem z każdym ruchem coraz bardziej się pogrążył. Aż przykro było patrzeć. A kiedy policja znalazła esemesy i odkryła, że czarnego nauczyciela coś łączyło z białą uczennicą...

Elaine pokręciła głową, jakby to ona wyszła na tym najgorzej.

– A zatem Lou nie wie – powiedziała Maya, która właśnie w tej chwili zrozumiała. – Naprawdę sądzi, że to Bobby zabił Jessicę. A pani nigdy nie wyprowadziła go z błędu.

Maya przypomniła sobie własne skomplikowane teorie na temat śmierci Bobby'ego. Zastanawiała się, czy zabójca Jessiki mógłby chcieć wrobić Bobby'ego za pomocą wisiorka, i uznała to wyjaśnienie za mało wiarygodne. Tymczasem miała rację: Bobby został wrobiony. Tylko że nie przez zabójcę Jessiki.

Dlatego właśnie, uzmysłowiła sobie Maya, Lou nie podrzucił wisiorka Bobby'emu przed jego pierwszym aresztowaniem: bo wówczas, w czasie pierwszego procesu, Lou nie próbował nikogo wrobić. Naprawdę chciał

dojść do prawdy o tym, co stało się z jego córką. Prawdopodobnie nie myślał jeszcze wówczas o drugim wisiorku.

Elaine wzruszyła ramionami.

– Mojemu mężowi zdarzało się kłamać w niektórych sprawach. Ale jego wściekłość wymierzona w Bobby’ego była absolutnie autentyczna.

– Patrzyła więc pani, jak Bobby zostaje aresztowany. Obserwowała go pani codziennie podczas procesu.

Elaine skinęła głową.

– A potem zobaczyłam, jak go uwalniasz. Pani Seale... Mayu... Oto prawdziwa ironia losu. – Położyła miękką dłoń na ramieniu Mai. – Mam nadzieję, że to dla ciebie pewna pociecha: od początku miałaś rację.

Maya poczuła, że coś jej się przewraca w żołądku.

Przypomniała sobie skowyt, który wydała z siebie Elaine Silver, gdy w sądzie odczytano werdykt ławy przysięgłych. To nie był krzyk rozpacz. To był okrzyk ulgi. Sprawiedliwości, dzięki Bogu, stało się zadość.

– Pomogła pani swojemu mężowi zabić Bobby’ego.

Dopiero teraz na twarzy Elaine ukazało się coś na kształt skruchy.

– Nie wiedziałam, co planuje. Zabrał wisiorek z mojej szuflady wiele tygodni wcześniej... Zachowałam go, jak sama powiedziałaś. Nie wiedziałam, co Lou zamierza. Powinnam była wiedzieć. Ale teraz już nic nie da się zrobić, prawda?

W ustach Elaine zabrzmiało to tak, jakby życie Bobby’ego Nocka było mlekiem rozlanym na kuchennej podłodze.

– Gdzie jest Jessica? – zapytała Maya.

Elaine uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem.

– Mieszka na farmie, daleko stąd. Ma konie. Partnera. I córkę. Moją wnuczkę, której podobnie jak jej matce, nie grozi to wszystko, co się tutaj dzieje. – Elaine wyraźnie spęczniała z dumy. – Jest szczęśliwa. Więcej się nie dowiesz.

Zachrobotą kłamka.

A potem z korytarza dobiegło pukanie.

– Halo! – huknął Lou. – Maya? Jesteś tam?

Elaine odwróciła się do Mai i wyszeptała:

– Jeśli podejmiesz jakąkolwiek próbę odnalezienia mojej córki, dowiem się, co tak naprawdę przytrafiło się Rickowi Leonardowi. Jeśli napomkniesz o tym wszystkim komukolwiek... efekt będzie ten sam. Pomożesz mi utrzymać wszystko w sekrecie, bo miałaś rację przed minutą. Och, ileż razy

się nie myliłaś. Możemy sobie wzajemnie pomóc. Jesteśmy po tej samej stronie. A najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych, wszystkich, którzy nadal żyją, jest milczenie.

Zwinnym ruchem wyjęła z ręki Mai rodzinną fotografię i postawiła ją delikatnie na biurku męża. A potem – zanim Maya zdążyła się zastanowić, co odpowiedzieć – Elaine otworzyła drzwi.

– Och! Nie wiedziałem, że... – Lou urwał, gdy zobaczył Mayę za plecami żony i dostrzegł wyraz jej twarzy. – Co się stało?

– Nic, kochanie – powiedziała Elaine.

Lou widział, że pod jego nieobecność między tymi dwiema kobietami coś zaszło, lecz być może był już wystarczająco długo żonaty, by wiedzieć, że jeśli żona mówi mu, że niepokojąca sytuacja jest pod kontrolą, należy uwierzyć jej na słowo.

Uważnie przyjrzał się pełnej obrzydzenia twarzy Mai, próbując wysondować, jak daleko sięga jej wiedza.

Maya z kolei spojrzała na Elaine, która uniosła brew, jakby chciała powiedzieć: „No cóż, Mayu, jak będzie?”.

Tak niewiele byłoby trzeba, by wyjawić Lou zbrodnie Elaine Silver, ujawnić publicznie zbrodnie Lou... Lecz to naraziłoby Jessicę i Aarona na krzywdy, których rozmiarów nie sposób było oszacować.

Ludzkie losy w rękach Mai – losy ludzi, których chroniło jej posłuszne milczenie – zwielokrotniły się. A najdziwniejsze, że wszystko to od samego początku wydarzyło się dlatego, że najpierw Lou, potem policja, potem Maya, potem Rick, potem znów Maya nie potrafili się powstrzymać od prób rozwiązania zagadek, które należało pozostawić spowite mgłą ludzkiej niewiedzy.

– Mayu? Wszystko w porządku? – zapytał Lou.

– Pani Seale? – zapytała Elaine.

Maya odwróciła się do okien. Niebo za nimi było już całkiem czarne. Zniknęły resztki słonecznej poświaty. Z trudem dostrzegała niewyraźne sylwetki ludzi idących chodnikiem.

Mimowolnie próbowała wyobrazić sobie twarz Jessiki Silver. Dziewczyna miała teraz dwadzieścia pięć lat. Jak wyglądała? Gdyby któregoś dnia przypadkiem Maya minęła ją na ulicy, czy zdołałaby ją rozpoznać? Pewnie nie.

Wśród idących chodnikiem postaci wyobraziła sobie córkę Jessiki i syna Bobby'ego. Za dwadzieścia lat, już dorośli, mogą minąć się na ulicy takiej

jak ta. Prześlizgną się po sobie spojrzeniami i pójda każde w swoją stronę, nieświadomi zbrodni, jakie popełniono niegdyś w ich imię. Dwoje niewinnych nieznanym w tłumie winowajców.

Podziękowania

Wielu współpracowników okazało mi nieocenione wsparcie – zarówno artystyczne, jak i zawodowe – podczas tworzenia tej powieści. Niemniej na szczególne wyróżnienie zasługuje jedna osoba: moja redaktorka Susan Kamil.

Susan była najzagorzalszą rzeczniczką tej książki i jej najbardziej bezlitosną krytyczką. Nie jest przesadą stwierdzenie, że bez niej ta książka nigdy by nie powstała, i nie chcę przez to powiedzieć, że „nie powstałaby w tej formie”, lecz w ogóle. Jeśli spodobał Wam się choć jeden jej akapit, miejcie, proszę, świadomość, że w jednej z wcześniejszych wersji Susan na pewno wypisała wielkimi literami na marginesie: NUDA. Nigdy w życiu nie spędziłem z nikim tyle czasu, ile z Susan, omawiając z nią przez telefon kolejne poprawki – oto jak zależało jej na tej książce. Uwielbienie Susan dla beletrystyki było zaraźliwe i nieubłagane niczym huraganowy wiatr, którego jedynym celem było poprawienie języka tej książki.

Susan zmarła we wrześniu 2019 roku, zaledwie kilka tygodni po ukończeniu i kilka miesięcy przed publikacją tej książki. Do końca życia będę wdzięczny losowi za to, że mieliśmy szansę ukończyć naszą wspólną pracę. Do śmierci będę żałował, że Susan nie było dane obserwować, jak ta książka wychodzi w świat.

Skoro więc ta strona ma służyć składaniu podziękowań, pozwólcie, że zacznę od razu: Susan, dziękuję. Tęsknię. Pozostawiłaś ślad w życiu bardzo wielu ludzi. Mogę mieć jedynie nadzieję, że najtrwalszym śladem Twojej obecności w moim życiu będzie odnawiane co dzień pragnienie, by siadając przy biurku, starać się być odrobinę mniej nudnym.

Oczywiście napisanie tej książki wymagało pomocy wielu innych ludzi. Proszę, by moje podziękowania przyjęli:

Jennifer Joel, moja agentka literacka i przyjaciółka od ponad dziesięciu lat,

Priscila Garcia-Jacquier, Keya Vakil i Matthew Rusthoeven, moi pomocnicy, weryfikatorzy i współpracownicy,

Dannis Ambrose, Benjamin Dreyer, Deb Dwyer i Clio Seraphim, fantastycznie profesjonalny zespół z Random House, który wykonał naprawdę niesamowitą pracę w bardzo wymagających okolicznościach,

Caitlin Decker, Ben Epstein, Suzanne Joskow, Johnathan McClain i Scoop Wasserstein, którzy czytali pierwsze wersje tekstu i podpowiadali mi, jak go ulepszyć,

Neil Cohen i Anthony O'Rourke, którzy fachowo doradzali mi w kwestiach prawa karnego, poprawiając moje liczne błędy. Wszystkie, które zostały się w tej powieści, są wyłącznie moją winą.

Specjalne podziękowania przekazuję Samowi Wassonowi, który nigdy nie przeczytał i nie przeczyta ani jednego napisanego przeze mnie słowa.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Dorota Konowrocka-Sawa
Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Beata Wójcik

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Mint Images/Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9230-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo